



ADAM
PODLEWSKI

WARS
I SAWA

FANTOM

ADAM PODLEWSKI

WARS I SAWA

FRONTOM

Spis treści

- Karta tytułowa
- Karta redakcyjna
- I. Trzecia nitka
- II. Ognie na piasku
- III. Szwedzki łącznik
- IV. Trzecie prawo Muldera
- V. Skrzypiący w ciemności
- VI. Czy te oczy mogą zabić?
- VII. Błoto Renu
- VIII. Szał
- IX. Zabójcza promocja
- X. Pani Pustyni
- XI. Koniec świata na Szaserów
- XII. Legenda o trzech rangerach (bonus track)

Korekta i redakcja
Ewa Kapyszewska

Projekt graficzny okładki, skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Opowiadania ilustrował
Jan Madejski

Ilustracja na okładce
fotolia.com

© Copyright by FANTOM, Warszawa 2017
© Copyright by Adam Podlewski, Warszawa 2017

Wydanie pierwsze
ISBN: 978-83-63842-41-3

Wydawca
FANTOM

Imprint wydawnictwa Agencja Wydawniczo-Reklamowa Skarpa Warszawska Sp. z o.o.

ul. Borowskiego 2 lok. 205

03-475 Warszawa

tel. 22 416 15 81

redakcja@wydawnictwofantom.pl

www.wydawnictwofantom.pl

Przyjaciołom z „Wykrotu”,
zwłaszcza Maciejowi, Janowi i Zbigniewowi,
dzięki którym moja Warszawa stała się naprawdę fantastyczna.

I. TRZECIA NITKA

Na głupie pytanie: „gdzie znaleźć dyskretnych detektywów-okultystów”, można odpowiedzieć tylko w sposób równie głupi: „w internecie”. Tak właśnie zrobiła Pani Prezydent Stolicy po wykorzystaniu znanych jej rozsądnych sposobów. Zaprosiła do gabinetu najbardziej zaufanego asystenta i to zapytanie wklepali razem w wyszukiwarce. Zignorowali pierwsze osiem adresów (wśród których znajdowały się witryny pornograficzne oraz wykonane niechlujnie strony okulistów), po czym trafili na tajemniczą firmę „Wars i Sawa”. Niestandardowe usługi detektywistyczne. Asystent przygotował bezpieczną linię, po czym wręczył pryncypałce telefon.

– Jeśli zdradzicie mediom zapis naszej rozmowy, wlepię wam taki podatek gruntowy, że sprzedacie nerki własnych dzieci – powitała rozmówcę Pani Prezydent.

– Mieszkam za miastem – odparł zachrypnięty, męski głos. – A proszę mi przypomnieć, z kim mam przyjemność?

Pani Prezydent, nie czekając na zgodę detektywa, oznajmiła, jakie są warunki spotkania. Miała szczęście, ponieważ Zygmunt na początku chciał przerwać połączenie. Przed południem rzadko z kimkolwiek rozmawiał, a telefon o dziewiątej stanowił dla niego złamanie wręcz religijnego tabu. Zanim sięgnął do czerwonego guzika, rozpoznał głos Pani Prezydent i... fala zaciekawienia przebiła się przez mur niewyspania. Podana na końcu monologu suma do reszty zdobyła uwagę detektywa.

– Kawiarnia „Siedzący Struś” – oznajmiła Prezydent. – Punkt dwunasta, inaczej nici z kontraktu.

Zygmunt potwierdził, rozłączył się, uśmiechnął, po czym się przeraził. Właśnie odkrył, że władze jego miasta wydawały pieniądze na szemrane usługi okultystyczne. Prowadząc ten biznes, wiedział aż za dobrze, jak wielu oszustów tylko czekało na państwowe i samorządowe kontrakty. Niestety obywatelska dusza detektywa znów szybko zapadła w drzemkę, a bezwzględne ciało rozpoczęło przygotowania do ubicia interesu.

* * *

Zadzwoił po Agnieszkę. Ta oczywiście nie spała, nie wiedzieć czemu traktując wciąż piątek jako część tygodnia pracy, a nie weekendu. Kończyła właśnie poranne zajęcia i mogła dotrzeć do kawiarni na czas. Spotkali się przy lokalu na kilka minut przed wyznaczonym terminem, powitali się i wymienili uprzejme uwagi.

– Jeśli to jest profesjonalny strój pogromcy duchów, to wolę, abyś przychodziła

po cywilnemu – ocenił szczerze Zygmunt.

Agnieszka była uroczą, drobną blondynką o niewinnej twarzy i maniakalnie optymistycznym uśmiechu. Jak zwykle wystroiła się wiosennie, mimo że wiosna jeszcze do Warszawy nie wróciła (i temu Zygmunt się nie dziwił). Czerwony polar i kwietna sukienka nie do końca odpowiadały imidżowi, który detektyw starał się dla firmy tworzyć. Zygmunt sam był ubrany w płaszcz prochowiec, uprasowane spodnie oraz przysmaloną na krawędzi kamizelkę. Na Sherlocka Holmesa nie wyglądał, ale przynajmniej wyróżniał się z tłumu porządnie nudnych ludzi.

– Daj spokój. Nie będę chodziła na wykłady w jakichś wiktoriańskich fiszbinach. Zleceniodawcy powinni cenić w nas nie wygląd, ale profesjonalizm.

– Ale jeśli nie możemy im zapewnić profesjonalizmu, spróbujmy tworzyć choć dziarskie pozory – mruknął Zygmunt.

– Wchodzimy, Zysiu? – zapytała pani detektyw do spraw specjalnych.

Weszli i zajęli zarezerwowany stolik. Pani Prezydent i asystent już czekali. Ta dwójka kamuflowała się tak dobrze, że Zygmunt wziął ich za odpoczywający podczas przerwy personel lokalu. Urzędniczka natychmiast przysiadła się do detektywów i wyciągnęła z torby radyjko tranzystorowe. Nastawiła na częstotliwość pewnej religijnej rozgłośni, bardzo nie lubianej przez władze jej partii.

– To przeciw podsłuchom – wyjaśniła przy akompaniamencie transmitowanego nabożeństwa. – A teraz słuchajcie, bo to, co powiem, jest tak głupie, że po raz kolejny nie powtórzę. – Miała rację, było głupie.

– Przepraszam, muszę ustalić podstawowe fakty – powiedział Zygmunt, ściskając w dłoni ołówek. Na stole leżał notes, ale detektyw nie zapisał jeszcze ani jednego słowa. – Twierdzi pani, że czynniki paranormalne powstrzymują panią przed budową trzeciej nitki warszawskiego metra? – Pani Prezydent skinęła głową. – Czy, o ile zdobędziemy na to dowody, zamierza je pani przedstawić w najbliższej kampanii wyborczej?

– Nie! – wykrzyknęła Prezydent. Chciała uderzyć pięścią w stół, ale trafiła na palce asystenta. – Chcę się dowiedzieć, co to za diabelstwo! Cztery wypadki w przeciągu dwóch miesięcy. Niedoczekanie, media zaraz zwęszą, że nie ubezpieczyliśmy sprzętu.

– Załatwimy tę sprawę – zapewniła Agnieszka cukierkowym głosem. – Moce piekielne się nas nie imają. Trafiła pani na profesjonalistów.

* * *

Na miejsce budowy pojechali niebieskim samochodem Agnieszki. Zygmunt wiele razy pomstował na wesoły kolor oraz niezbyt groźny wygląd wehikułu, ale jego partnerka była nieugięta. Pochodzące ze wschodniej Azji auto – pewnego europejskiego koncernu – mało paliło i parkowało w miejscach, które o zdatność postojową mało kto podejrzewał. Zresztą Zygmunt nie miał wielkiego wpływu na politykę finansową firmy. Spółka „Wars i Sawa” utrzymywała się jedynie w niewielkim stopniu z jego stypendium, w większym – z kieszeni rodziców

i chłopaka Agnieszki. Detektyw dostarczał głównie własne umiejętności oraz wizerunek.

Dotarli do wykopów przed pierwszą. Odgradzony fragment Grochowa przyciągnął chyba wszystkie maszyny ziemne niezaangażowane w powstrzymanie inwazji bagien na Stadion Narodowy ani w rycie gliny przy budowie obwodnicy. Koparki, dźwigi i betoniarki trwały chwilowo w pełnym powagi spoczynku, ale – jak zapewniała Pani Prezydent – wyłącznie ze względu na panującą na budowie kłątwe.

– Inspektorzy budowlani. Europejska Agencja Rozwoju Inżynierii Podziemnej – oznajmił Zygmunt, pokazując brygadziście legitymację uniwersytecką. – Przysyła nas Pani Prezydent.

– Aha... to zapraszam! – Na twarzy starszego budowlańca zagościł wyraz niebiańskiego spokoju. Być może inżynier uznał, że kontrolerzy unijni to gatunek tak wytrzymały, że aż niemożliwy do wytępienia, więc w przeklętych wykopach bezpieczny. – Czy życzą sobie państwo gumiaci? Bo hełmy, to trzeba...

Detektywi weszli do magazynowego kontenera, gdzie przywdziali odzież ochronną. Zygmunt już kłął na przedwiosenną pogodę i niewiarygodnie agresywne błoto warszawskiego Grochowa. Jego spodnie zakwitły kamuflażem szarych plam, a płaszcz dostał wysypki w tym samym kolorze. Agnieszka zabrudziła się równie poważnie, ale połączenie sukienki z gumofilcami nadawało jej wygląd Alicji z Krainy Późnego Gierka. Dziewczyna dyskretnie założyła na kolana ochraniacze motocyklowe. Na szczęście kraj sukienki zasłaniał ten kompromitujący zawodowców element wyposażenia. Dostali kaski z latarkami czołowymi, choć akurat podręczne halogeny, race oraz pałeczki fluorescencyjne Zygmunt nosił ze sobą zawsze (również na zajęcia do Instytutu Filologii Klasycznej, co kilka razy spowodowało nieprzyjemne incydenty). Pokierowani przez brygadzystę, ruszyli do windy.

Na dole nie spotkali robotników. Tylko dwóch kopaczy spoglądało na detektywów z góry, to jest z poziomu gruntu. Bali się. Zygmunt od razu rozpoznał szczerą miłość polskiego budowlańca do fajrantów, ale w cichym zachowaniu personelu widać było coś więcej niż lenistwo. Kiedy wyszli z kabiny na dzień dziesięciometrowego rowu, detektyw natychmiast wyciągnął z torby kuszę. Złożył ją kilkoma sprawnymi ruchami, po czym osadził w łożu poświęcony bełt. Wiedział, że broń miotająca wygląda profesjonalnie, oldskulowo i retro, ale akurat tym razem nie był zadowolony z imidżu zawodowca. W spotkaniu z czynnikiem nadprzyrodzonym wolałby mieć do dyspozycji automatyczny pistolet ze święconymi kulami. Niestety klamka pozostawała towarem nielegalnym, ale zdatna do bezgłośnego zabicia człowieka z odległości stu metrów kusza – ponoć nie (w rzeczywistości wymagała pozwolenia, a Agnieszka o tym wiedziała; nie chciała jednak obciążać Zygmunta kolejnym problemem). Przynajmniej tak było według Agnieszki. Studiowała prawo i (chyba) znała się na rzeczy. Prawniczka *in spe* dzierżyła dumnie paralizator oraz krucyfiks – wyposażenie typowe dla początkujących łowców potworów.

– Po prostu tam wejdziemy? – zapytała Agnieszka, a jej współnik skinął głową.

– O jejku, jejku, co by powiedział Błażej, gdyby wiedział...

– Aha... – przypomniał sobie detektyw – wycisz komórkę. Ostatnim razem skompromitowałaś nas w środowisku i w co najmniej jednej sferze astralnej. Idę przodem.

Blondynka pokornie wyciszyła aparat, a Zygmunt zapalił latarkę. Tunel nie wyglądał zachęcająco. Po oświetleniu podłoga pokazywał swoją wilgoć i brud. Budowę – jeszcze przed zetknięciem się z tajemniczą klątwą – prowadzono tak niechlujnie, że groziła intruzom śmiercią nawet bez interwencji sił nieczystych. Korytarz schodził delikatnie w dół, niknął w mroku i błocie i pachniał zgnilizną. Detektyw musiał zdać się na partnerkę. To Agnieszka przejawiała bez porównania silniejszą wrażliwość astralną. Zygmunt uśmiechnął się do wspomnień. Po jednej z sesji RPG, jeszcze w liceum, musieli sprzątać sufit pokoju z ektoplazmy i spalić dywan, zanim rodzice przyszłej łowczynie zauważyliby wypalone eterycznym ogniem znaki okultystyczne.

– Czuję ziemię – oznajmiła blondynka. – Dużo.

– Mam pewną teorię wyjaśniającą zjawisko – mruknął Zygmunt, rozchlapując nogą błoto.

– Nie! Chodzi mi o żywiol – dodała dziewczyna. – Tu się skrzy. To silne miejsce i faktycznie mogło ściągnąć jakichś amatorów łatwo dostępnej mocy. Chociaż... – zamilkła na chwilę, idąc jednak za towarzyszem. – ON tu jest! – oznajmiła w końcu.

Odruchem, wyuczonym przez lata oglądania filmów sensacyjnych, detektyw sięgnął kciukiem, aby odciągnąć kurek. Przypomniał sobie jednak, że trzyma kuszę, więc tylko groźnie podniósł nieporęczną broń. Tunel milczał, a odgłosy dochodziły do łowców jedynie od strony wyjścia. Zygmunt czuł dziwaczne podmuchy powietrza, przypominające delikatny, ale pewny siebie oddech. Sam odetchnął głęboko, próbując uspokoić nerwy. Musiał zaufać talentowi partnerki, zamiast pobudzać wykarmioną tandetnymi horrorami wyobraźnię.

– To nie tu – powiedziała Agnieszka. – Równoległe do wykopu idzie drugi korytarz. Trochę głębiej i na północny zachód.

– Techniczna pętla przedwojennego tunelu wschodniego – ocenił Zygmunt. – Boże! Kopią metro nad nieczynną drogą. To się zawali i bez pomocy duchów.

– Żywiolak ziemi – powiedziała blondynka, wpatrzona nieobecny wzrokiem w ścianę wykopu. – Albo i coś większego. Jest bardzo silny. Właśnie się obudził...

– Jest wściekły? – zapytał detektyw.

– Tak sądzę – odparła. – Robole zwalili mu na głowę sześciotonową koparkę.

Ostrożnie podeszli do wyrwy w posadzce, a Zygmunt zaświecił w dół. Projektowany kanał metra niemal przecinał pierwotny tunel techniczny Dworca Wschodniego z lat dwudziestych minionego stulecia. To tłumaczyło chyba wszystkie wypadki, ale nie oznaczało końca kłopotów. Wręcz przeciwnie, jeśli intuicja nie zawodziła łowczynie, to robotnicy obudzili pradawne zło. Był to dogodny temat do eksploatacji w kampanii wyborczej, ale nie na tym detektywi musieli się skupić.

Łowca miał w chlebaku dziesięć metrów linki oraz o połowę krótszą drabinę.

Ta druga starczyła. Ostrożnie zszedł do niższego tunelu i przytrzymał sznury. Chyba niepotrzebnie, ponieważ Agnieszka należała do najzwinniejszych studentek prawa, które Zygmunt znał. Nawet strój rodem ze szczęśliwie minionej epoki nie przeszkodził jej znaleźć się na dole w kilkanaście sekund. Ruszyli dalej, aż do szerokiej szczeliny w posadzce, która prowadziła do komory jeszcze niżej.

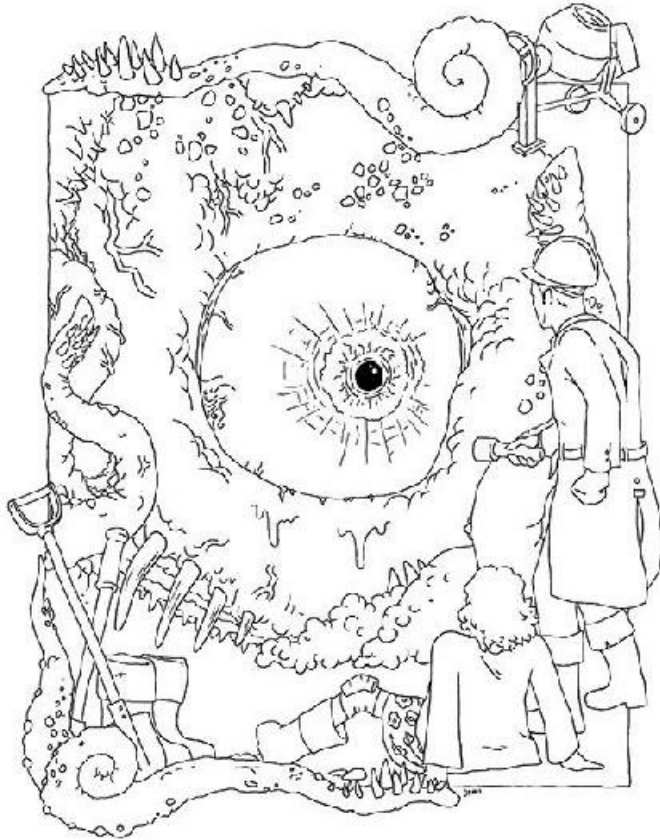
Świecili latarkami bez obaw, a w każdym razie obawiali się nie z powodu oświetlenia. Rozciągając zasady biologii ewolucyjnej na świat nadprzyrodzony, Zygmunt wnioskował, że potwory żyjące w ziemi dysponują dziesiątkami sposobów, aby wykryć intruzów, ale wzrok nie należy do ich atutów. Rozumowanie było słuszne, choć w niewielkim stopniu poprawiało samopoczucie łowcy. Agnieszka kroczyła dziarsko i bez strachu, ponieważ darzyła przyjaciela irracjonalnym zaufaniem. Była wręcz pewna, że chuderlawy student filologii klasycznej obroni ją w każdej sytuacji. Krótko mówiąc, mimo budzącego zainteresowanie Mensy wysokiego ilorazu inteligencji, nie należała do istot roztropnych.

Rozpadlina odsłaniała tunel, ale nie taki, do jakich łowcy byli przyzwyczajeni. Dziwaczny kształt, zapach i aura żywiołu ziemi (włosy Agnieszki niemal skrzyły) wskazywały, że kręconego korytarza nie wykopały ludzkie maszyny. Po średnicy przewodu, która przekraczała pięć metrów, Zygmunt oszacował wielkość ziemnego stwora. Po tym niewesołym rozumowaniu, spuścił cięciwę z kuszy. Pojedynczym bełtem nie mógł zaszkodzić monstrum, sobie jak najbardziej.

– Chyba tam nie zejdziemy... – z nadzieją mruknęła łowczyni.

– Musimy wiedzieć, z czym mamy do czynienia – odparł Zygmunt. – Idź do drabinki. Ja go wywabię, cyknę fotkę, a potem spadamy. Odpowiada? – Pokręciła przecząco głową. Ufała w zdolności towarzysza, ale nie aż tak. – No jakoś musimy go sprawdzić... – dodał już mniej pewnie detektyw.

Złośliwość losu stanowi najsilniejszą zasadę rządzącą wszechświatem. Agnieszka nie zdążyła ostrzec towarzysza, zanim pierwszy wstrząs posłał ich na ziemię. Dziewczyna puściła latarkę, która wpadła do korytarza pod nimi. Właściwie łowczyni miała podążyć za przedmiotem, ale Zygmunt chwycił ją za ramię. Zastygli na krawędzi rozpadliny, przez kilkanaście sekund ciesząc się niewiedzą. Dopiero potem zrozumieli, że potworny huk, dobiegający z dołu, nie mógł być odgłosem zbliżającego się pociągu.



– Spadamy! – syknął detektyw. W złą godzinę. Spadli.

Podłoga pękła, a dwójka łowców ruszyła na spotkanie nieznanego. Uderzenie w ziemię (zwłaszcza po pięciu metrach lotu) nie należało do przyjemnych, a prawdę pisząc, było paskudne. Na szczęście grunt, w który wbiły się nogi detektywów, był miękki, a jakimś cudem żaden fragment sklepienia nie wylądował na ich karkach. Z trudem wyciągnęli stopy z błota i ruszyli tunelem na zachód.

Huk nad nimi wzrastał się z każdą sekundą. Zygmunt zrozumiał, że obecność stwora maskowały do tej pory odgłosy z niedalekiego tunelu drugiej linii metra. Biegli dobre kilka minut, aby wreszcie wpaść w jakąś szczelinę, na szczęście płytką. Zygmunt padł na ziemię, Agnieszka na Zygmunta, a fala błota na nieszczęsną dwójkę. Łowca nie mógł się zdecydować, czy rozpacząć z powodu śmiertelnego zagrożenia, czy stanu swojej ulubionej kamizelki.

– Ciii... – szepnęła towarzysze do ucha. – Agnes, musimy coś zrobić. Jesteś cała? – odpowiedziało mu potwierdzające mruknięcie. – Możesz biec? – mruknięcie zaprzeczyło, ale nie dość stanowczo, aby łowca uwierzył. – Nie słyszę go. Zaraz zapalę latarkę i jeśli będzie bezpiecznie, ruszymy do punktu zawału. Tam jakoś wejdziemy na górę. Mam jeszcze dziesięć metrów liny.

Zygmunt wstał ostrożnie, podparł przyjaciółkę tak, że podnieśli się niemal do krawędzi szczeliny. Łowca wyrzwał w ciemność tunelu, podniósł halogen i nacisnął włącznik. Widok zaskoczył go niepomiernie, ponieważ tam, gdzie spodziewał się zastać pustkę, zobaczył jasnoszarą tarczę o średnicy przekraczającej metr. Na jej środku wisiał ciemny dysk, kurczący się od rozmiarów samochodowego koła do przekroju rury gazowej. Detektyw świecił halogenem w środek tej czerni. Dopiero wibrujący w kościach wrzask Agnieszki uzmysłowił mu, że ma do czynienia z okiem.

Działając odruchem miłośnika fantastyki i gier fabularnych, sięgnął do kieszeni po przenośne kropidło. Wrzucił kroplę wody święconej w spojówkę monstrualnego szkodnika. Jak się sekundę później okazało, Agnieszka krzyczała głośno, ale nie mogła się równać z gigantycznym żywiołakiem ziemi. Oko zniknęło, a na ziemię powaliła Zygmunta fala wibrującego dźwięku i drgania gruntu. Potwór cofał się, wręcz uciekał od nienawistnego światła i *sacrum*, ale akurat dla łowców nie była to najlepsza wiadomość. Nagły ruch wielkiego cielska i pchniecie groteskowymi mackami do reszty naruszyły delikatną strukturę tunelu. Opuszczenie kryjówki należało do zachowań ze wszech miar rozsądnych.

Zygmunt chwycił Agnieszkę za ramię, wygramolił się ze szczeliny i wciągnął towarzyszkę. Widząc w świetle latarki walące się przed nim grudy ziemi, ruszył na zachód, w głąb korytarza – dalej od potwora, ale i znanego im wyjścia. Szczegóły tego biegu zatarły się mu w pamięci. Wiedział tylko, że w pewnej chwili poczuł podmuch powietrza z góry, chwycił gruby kabel (na szczęście martwy) i wciągnął się z Agnieszką kilka metrów wzwyż. Potem został prawie zabity przez ruszający z Centralnego pociąg osobowy, zgubił się w labiryncie bocznych komnat tunelu średnicowego, po czym wreszcie wszedł na jakiś zamknięty peron. Dwójka żuli, która zmieniła nieczynną odnogę w przytulne schronienie, natychmiast zauważyła postaci wychodzące z ciemności. Dopiero patrząc na ich przerażone twarze, Zygmunt zdał sobie sprawę, jak musieli być nieziemsko brudni.

– Potwory! – zawył trzeźwiejszy z lumpów. Obaj ruszyli biegiem ku zagraconej klatce schodowej.

Pokryci błotem, mokrzy, poobijani, ale bardzo szczęśliwi z przebiegu eskapady, łowcy padli na ławkę. Tam wybuchnęli śmiechem, który wydają z siebie tylko ludzie, którzy właśnie wrócili spoza granicy szaleństwa. Pięć minut później znalazła ich Straż Ochrony Kolei. Detektywi musieli nosić wyraźne znamię niedawnych przygód, bo na widok intruzów dzielni sokiści również uciekli z krzykiem.

* * *

Resztę piątku, a także część nocy z piątku na sobotę łowcy poświęcili na likwidację skutków podziemnej wyprawy. Hełmy zgubili, sukienkę Agnieszki oraz płaszcz Zygmunta musieli spalić, a plamy oleju (złapane w tunelu średnicowym) zmywali około godziny. Na szczęście szara kamizelka łowcy

nadawała się jeszcze do prania chemicznego (wymagała kilku dezynfekcji). W mieszkaniu detektywa znajdowało się oficjalne biuro „Warsa i Sawy”, więc właśnie tam dokonywali regeneracji. Po zdjęciu zniszczonych ubrań i zmyciu ciepłą wodą pierwszej warstwy brudu, mogli ocenić obrażenia. Były na tyle poważne, że trzeba było wezwać Celestynę.

Musimy zrozumieć pewną przyziemną okoliczność. Detektywi paranormalni nie mogli korzystać ze standardowej oferty Narodowego Funduszu Zdrowia. Dziwna natura większości obrażeń szybko zwróciła uwagę czynników oficjalnych, to jest Ministerstwa Zdrowia, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz Kościoła katolickiego. Starsza siostra Agnieszki i niedoszła dziewczyna Zygmunta w jednej osobie była studentką czwartego roku medycyny. Nie podzielała entuzjazmu krewnej ani wobec powołania nadprzyrodzonego łowiectwa, ani samego łowcy, który wpadł na pomysł tego interesu. Przy okazji miała pewną zaletę, czyniącą z niej idealną pomocnicę – była fundamentalistyczną materialistką. Oprócz deklarowanej fanatycznie niewiary w Boga, nie uznawała żadnych fenomenów nieopisanych przez współczesną naukę. Była zaimpregnowana na doświadczenie do tego stopnia, że po pamiętnej sesji RPG pomogła zmyć ektoplazmę z sufitu, nie zadając ani jednego pytania. „Nie wierzę w to, co robię” stało się nieoficjalną dewizą jej pracy.

– Nie wierzę w to, co robię! – mruknęła Celestyna. Pochylała się właśnie nad leżącym na brzuchu Zygmuntem i zszywała ranę na łopacie. – Wyglądasz, jakbyś o włos uniknął zderzenia z pociągiem.

– Istnieje logiczne wytłumaczenie tego faktu – zauważył łowca. – Ja naprawdę o włos uniknąłem zderzenia z pociągiem.

– Wymówki... – prychnęła samozwańcza medycza. – A to skręcenie kostki, to pewnie ślad po upadku z wysokości co najmniej trzech metrów. W cokolwiek się bawicie, nie jest to stabilna strategia ewolucyjna.

Większość ciosów, które los skierował ku Agnieszce, przejęły ochraniacze motocyklowe, mokra ziemia oraz pierś Zygmunta, więc wykpiła się tylko kilkoma siniakami i wybitym kciukiem. Siedziała na kanapie, pocieszona całusami siostry oraz silną dawką wyszabrowanych z Akademii Medycznej znieczulaczy. Patrzyła na operację, nie mogąc wyjść z podziwu dla przezorności współlnika. Zygmunt, zanim poddał się zabiegom Celestyny, rozłożył na kanapie i podłódze gazety. To na nie kapała krew i spływały strumienie aseptyków. Teraz jęczał tylko z powodu tortur ciała, a nie z obawy o zakupiony właśnie mebel.

– No! Dzisiaj śpij na brzuchu. Niech ci jutro Agnieszka zmieni opatrunek. Zostawiam gaziki na biurku... – Po czym zmierzyła siostrę surowym wzrokiem. – Chyba nie spędzisz tu nocy? I czy w ogóle Błażej wie, gdzie jesteś?

– Nie mówiłam mu o tunelach... – odparła prostodusznie łowczyni, po czym zrozumiała intencje Celestyny. – Co, Błażej byłby zazdrosny? Wie, że ciężko pracujemy.

– Ja bym nie podejrzewała, że ten pierdoła może nastawać na twoją cześć – medycza właśnie skończyła czyścić szwy Zygmunta – ale historie, które zapewne opowiadasz Błażejowi, są jeszcze mniej prawdopodobne.

– Prześpij się tu z nami. Będzie przyzwoiciej – zaproponował łowca, pełnym nadziei głosem, lecz został z godnością zignorowany.

– To co dalej? – zapytała Celestyna. – Nie chcę słuchać tych bzdurnych szczegółów, ale ze stanu waszej garderoby wnoszę, że coś się nie udało. Co zrobicie teraz?

– Teraz do akcji wkracza Zygi! Będzie myślał – z mocą oznajmiła Agnieszka.

– Cóż, czyli gorzej już być nie mogło – zauważyła jej siostra.

* * *

Do biblioteki ruszyli w sobotę, skoro świt. Dla Zygmunta dzień zaczynał się o jedenastej, ale z powodu powagi sprawy zrobił wyjątek i wstał o dziewiątej. Godzinę później siedział już na trzecim piętrze Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego i kartkował nielegalnie wyniesione z Pracowni Starodruków księgi. Jego współpracowniczka pilnowała komputera i skanera, aby skopiować wskazane przez partnera fragmenty starych woluminów. Agnieszka przyuczała się do zawodów prawniczych. Nie przyswoiła ani greki, ani arabskiego, a łacinę liznęła bardzo powierzchownie. Za to znała doskonale wszelkie kruczki prawne, które pozwoliłyby uniknąć im odpowiedzialności za zabranie starych druków z zamkniętej pracowni. Wars i Sawa stanowili uzupełniający się zespół.

– Dużo tego – zauważyła Agnieszka. – Jesteś pewien, że to książka o podziemnych potworach? Nie jestem najlepsza z łaciny, ale tytuł „De Glacie Vivo” sugeruje coś związanego z lodem...

– Wiem. Skanuj, nie gadaj! – mruknął Zygmunt, wyraźnie rozeźlony tym, że Celestyna nie została. – To znaczy, przepraszam. Informacje o żywiołakach wody i lodu zbieram do mojej Księgi Wiedzy. Skoro już trafiliśmy na takie teksty przypadkiem, grzechem by było marnować okazję.

Do Księgi Wiedzy Zygmunt wkładał wszystkie materiały okultystyczne, jakie znalazł. „Wkładał” dosłownie – *Grimoire* był tylko obłożony cielęcą skórą, pod którą chował zieloną okładkę skoroszytu. W sztywnej oprawie znajdowały się plastikowe koperty, do których łowca wrzucał kserówki oraz wydruki znalezionych w bibliotekach i w sieci materiałów paranormalnych. Czar skórzanego kodeksu pryskał od razu po otwarciu, dlatego Zygmunt nie pozwalał go nikomu dotykać, z wyjątkiem Agnieszki. Niezależnie od tandetnego wykonania, *Grimoire* spełniał swoje zadanie, ponieważ detektyw wzbogacał go wciąż o nowe fragmenty ze starych ksiąg. Rozdział o żywiołakach rozrósł się tej soboty znacznie.

Niestety niewiele znaleźli (i zeskanowali) na temat olbrzymich potworów ziemnych. Już w bibliotece sporządzili wstępny portret pamięciowy monstrum. Po obejrzeniu rezultatu, stracili wiele z szacunku do przeciwnika. Może z odległości dwóch metrów, kiedy zaginiony w podziemiach śmiałek widzi tylko oczy i macki żywiołaka, widok ten budzi przerażenie. Jednak łącząc obserwacje i dedukując z kształtu tunelu, łowcy ustalili, że w pełnej okazałości potwór wygląda jak skrzyżowanie czeskiego Krecika z Predatorem i ze względów

pijarowskich nigdy nie powinien opuszczać lochów.

Kilka istot z szesnastowiecznych kodeksów pasowało z grubsza do opisu monstrum. Ponoć Ziemcarz (bo tak określał stwora jeden z polskich renesansowych encyklopedystów) nawiedził w latach 1525–1528 Kraków, burząc wiele kamienic i wysuszając studnie. Opuścił miasto (albo zapadł w letarg) po odprawieniu egzorcyzmu pod okiem biskupa Piotra Tomickiego oraz bawiącego z wizytą w Rzeczpospolitej sławnego inkwizytora hiszpańskiego Jana z Saragossy. Woda wróciła do studni, choć jeszcze przez rok miała nieprzyjemny posmak. Niestety opis ceremonii był krótki, a przy tym sugerował użycie środków spoza zasobów Zygmunta.

– *Y potwór okrótnie znoye na mieszkaniców grodu znosił, aż Wójt JEcje Bpa poprosił y przebłagał, co by egzekwie konieczne a skuteczne przygotować raczył...* Boże, czy oni nie mieli w tych księgach funkcji autokorekty? – zapytała łowczyni, przekładając kartę kodeksu.

– W szesnastym wieku zapewne nie – zauważył Zygmunt. – Ciesz się, że jest po polsku. Nie wiem, czy pamiętasz, ale translator gugla jeszcze nie obsługuje średniowiecznej łaciny... choć ponoć nad tym pracują – zakończył rozmarzonym głosem.

– *Stu braci kaznodzieji na rynku stauo, moduły... nie modły. Czyli moduy, wznosząc pobożne a żarliwe. Jan z Saragossy, suawy wielkiej inkwizytor, przybrał szaty pokutne i śpiewał pieśni nabożne w aragoniskim języku. Lud prosty go nie rozumiał, ale i dobrze to było, bo czego lud nie rozumie, tego się boi i szanuje* – dziewczyna literowała dalej ze starego tekstu.

– Bez sensu – przerwał jej łowca. – Księgi to dobra rzecz, ale tego gada musimy pozbyć się sami. Po naszymu, po warszawsku, nie po krakowsku.

– Nie będzie hiszpańskiej inkwizycji?

– Spodziewałaś się, że ją sprowadzę? – zapytał, zmieszany, Zygmunt. – Ale nieważne. Kończymy skanowanie tej księgi i spadamy. Dziś w nocy pokażemy temu Ziemcarzowi moc Warsa i Sawy!

* * *

Jeśli nawet Agnieszka miała wątpliwości co do legalności podjętych środków, oznaczało to, że z pewnością łamali prawo. Dlatego do pomocy wynajęli ledwo mówiącego po polsku Iwana oraz szalonego pana Józka. W przypadku nakrycia, łowcy mogli z czystym sumieniem uciekać. Złapany Rosjanin – z powodu nieznamomości języka i realiów – mógłby użyć „obrony norymberskiej”, a Józek zgłosić niepoczytalność. Ale Zygmunt wątpił, aby straż miejska niepokoili samozwańczych obrońców Warszawy. Straż miejska nie chadzała w takie miejsca, ponieważ za bardzo śmierdziało.

W heroicznej próbie ochrony kobiecości przyjaciółki, łowca zgodził się, aby Agnieszka stała na czatach. On i dwaj pomocnicy ubrali się w kombinezony piankowe, które jednak nie miały chronić przed wodą, ale zagrożeniem epidemiologicznym, wywołanym przez niezawodną broń biologiczną. Oddychali

powietrzem z butli tlenowych, ale cóż, czy mieli inne wyjście w czasie kontaktu z warszawskimi ściekami?

Otwierali wszystkie zardzewiałe zawory, a w odpowiednim miejscu rozbili rurę. Strumień odrażających produktów przemiany miejskiej materii ruszył w dół, do piwnic pod jednym z budynków Grochowa. Był to jednak dopiero początek pracy. Musieli jeszcze uszczelnić miejsce wycieku tak skutecznie, aby nikt z miejscowych nie zginął w męczarniach. Pracowali niemal do rana, kładąc w studzienki ściekowe azbestowe płyty i wylewając beton. Straż Miejska może nawet obserwowała wandalów, ale nie zareagowała. Nie możemy mieć o to do nich pretensji. Czy wy wezwalibyście posiłki, widząc trzech mężczyzn ubranych w piankowe stroje do nurkowania, którzy operują wypełnioną po brzegi betoniarką?

Skończyli około czwartej, zmyli z siebie część brudu w Wiśle (a ponieważ wazyli się na zwalczanie ognia ogniem nieco mniejszym, świadczy to o sile warszawskiej kloaki), po czym obudzili Agnieszkę, która zasnęła na warcie. Łowczyni krzyknęła, widząc trzech ubranych w pianki osobników, ale szybko zamknęła usta – za bardzo śmierdziało. Poganiani przez wściekłe okrzyki obudzonych mieszkańców, ruszyli do całodobowej myjni samochodowej, aby dokonać kolejnej ablucji. Tymczasem Agnieszka odstawiała betoniarkę na budowę metra. Przed świtem wrócili do biura, zadowoleni, dumni i cuchnący.

* * *

Niedzielne wydarzenia przeszłyby do historii, gdyby Warszawę stać było na stację sejsmiczną. Nie przeszły, ale mieszkańcy Grochowa czuli dziwaczne wstrząsy i słyszeli zbolące krzyki z wnętrza ziemi. Rozpoczęty tunel trzeciej nitki zawalił się do końca, a jeden z budynków przy alei Waszyngtona osiadł dobre pół metra w głąb Matki Ziemi (dodajmy dla porządku, że władze dzielnicy odrzuciły wszystkie skargi mieszkańców z tym związane, jako bezzasadne). Ale wieczorem sytuacja uspokoiła się. Nikt więcej nie czuł drgań innych niż te, spowodowane przez pociągi. Jedynym problemem miejscowych był niemożliwy smród, unoszący się w ciepłe dni z jednej z piwnic (władze dzielnicy zignorowały także te skargi).

W poniedziałek sama Pani Prezydent przybyła na miejsce prac, aby ocenić skutek podjętych środków. Wysłuchała spokojnie raportu Zygmunta, bardzo nieznacznie dając odczuć swoje niezadowolenie (asystentowi, nie detektywom). Prosiła o pokazanie portretu Ziemcarza, fragmentów z krakowskiej kroniki oraz planu nowego odpływu ścieków. Milczała długo, kontemplując zdobyte dane.

– Proszę spojrzeć na pozytywy – odważył się na uwagę asystent. – Rocznie zaoszczędzimy kilka milionów na darmowym zutylizowaniu części ścieków. Jeśli kanały tego potwora są głębokie, nie powinny się przelać do końca kadencji.

– Dla własnego dobra wykorzystaj okazję, aby milczeć! – syknęła Pani Prezydent, po czym spojrzała na detektywów. – Nie o to mi chodziło, kiedy was wynajmowałam.

- Umowa to umowa – słodko zauważyła Agnieszka. – Przepędziliśmy potwora.
- Ale odkryliście stary tunel wschodni! – wybuchnęła urzędniczka. – Teraz muszę go zasypać albo odwołać pracę nad metrem.
- Proszę Pani, może projekt dodatkowych linii Szybkiej Kolei Miejskiej rozwiąże sprawę? Tak właściwie, to metro jest już *passé*! – jęknął asystent. Zwierzchniczka nie zdzieliła go znów po głowie, tylko odpłynęła w zamyślenie.
- Tak... – odparła po chwili. – Po co nam trzecia nitka? Dobrze, dostaniecie swoją zapłatę. Tylko, na Boga!, wymyślcie coś sensownego, co można by wpisać do faktury!
- Poszukiwanie źródeł geotermalnych? – zaproponowała Agnieszka.
- Dobrze, ujdzie – zgodziła się urzędniczka. – Oczywiście wiecie, że jeśli komuś zdradzicie, że zalaliście stary tunel średnicowy szambem, aby odstraszyć podziemnego demona, dopadnę was i zniszczę? – Po czym dodała słodkim głosem: – Tylko powiedzcie mi jeszcze jedno, co się stało z Ziemcem?
- Nie ma go tutaj – zapewniła Agnieszka.
- A gdzie...
- To już nie pani problem – zauważył Zygmunt.

* * *

Pan Prezydent Łodzi zasłonił żaluzje w oknach, włączył tranzystorowe radyjko przeciwposłuchowe i wezwał najzaufaną asystentkę. Poważna sekretarka weszła do gabinetu szefa i – zapewne dla lepszego zachowania tajności – założyła ciemne okulary. Urzędnik przywitał ten gest ze zrozumieniem. Trzeba było podejmować niezwykle środki w tych niezwykle czasach, kiedy trzęsienia ziemi postanowiły nawiedzić Łódź akurat w momencie rozpoczęcia prac nad metrem.

- Dobrze, teraz szukaj – polecił, podając pomocnicze klawiaturę. – Detektywi paranormalni, najlepiej z doświadczeniem w rozpraszaniu klątw budowlanych.

II. OGNIE NA PIASKU

Ziemia ledwo oddychała po piekielnie gorącym dniu. Warszawskie powietrze przypominało raczej płynny ołów niż jakikolwiek gaz, nie mówiąc już o gazie zdatnym do oddychania. I zmrok wcale nie przynosił ulgi, przynajmniej nie od razu. Także nad Wisłą, gdzie wyschnięty bród rzeki odkrywał piaszczyste przejście na bielańskie łąchy, gorąc atmosfery zabijał nawet smród brudnej rzeki. Bezchmurne niebo pokryło się już żarem gwiazd, ale to nie one rozświetlały najsilniej krzaki i piaszczysty brzeg. Na łasze płonęło ognisko, wielkie i wznoszące się żółtą kolumną ku niebu. W tym świetle łatwo można było dostrzec kilkanaście postaci otaczających ogień. Kto podszedłby bliżej, usłyszałby inkantacje w języku, którego już od dawna nie uczą w szkołach. Ubrani w długie, jak na taką pogodę potwornie długie, ciemne szaty ludzie kręcili się z powolnym, ekstatycznym zapamiętaniem wokoło, coraz głośniejsze śpiewając i bijąc pokłony świętemu ogniovi. Gdyby odważny szpieg dostał się na sam brzeg, mógłby odróżnić frazy łacińskie i słowiańskie, wypowiedziane ni to staropolszczyzną, ni to żadnym faktycznym dialektem starocerkiewnym. Z pewnością zrozumiałby jednak szalone gesty zakapturzonych kultystów. Oni czekali i śpiewali na cześć tego, który przyjdzie. Kimkolwiek był wytęskniony gość, budził grozę. Tym większą, że poza kręgiem ognia leżał, złożony na szarym dywaniku, ośmioletni chłopiec, nieświadomy obrzędu, który odbywał się tuż obok niego. Spał, więc nie zwracał uwagi ani na groźne głosy dobiegające od ognia, ani na, zapowiadającą smutny koniec historii, łopatę wbitą w ziemię tuż obok jego głowy.

Ale wróćmy do tancerzy. Obracali się wokół ognia coraz szybciej, ignorując czerwcowy upał i suchość powietrza. Ciężkie szaty utrudniały rozpoznanie płci, ale bose stopy dotykające rozgrzanego piasku świadczyły, że w kręgu są kobiety i mężczyźni. Pot lał się obficie z nagich, przykrytych jedynie szarymi kapami ciał. Gdzieś z ciemności, za ogniskiem, rozlegał się miarowy rytm bębna. Uderzenia stawały się coraz szybsze i gwałtowniejsze. Nie mogły jednak zagłuszyć niehumanoidalnego śmiechu, który nagle rozległ się na brzegu Wisły.

Tancerze zastygli, zdumieni i przerażeni. Spod ciężkich szat nie było widać twarzy, ale napięcie jeszcze zagęszczało tłuste powietrze. A śmiech powtórzył się, brzmiąc obco i sztucznie. Z pewnością niehumanoidalnie. Zgromadzeni skierowali oczy ku źródłu dźwięku, gdzieś w tył, w kierunku śpiącego chłopca. Jedna z tańczonych jeszcze niedawno postaci oddzieliła się od kręgu i ruszyła biegiem za potwornym odgłosem.

– Wybaczcie, siostry i bracia! – krzyknęła, po czym uklękła na piasku, tuż obok dziecka.

Przez chwilę szukała czegoś pod krzakiem, a śmiech powtórzył się po raz trzeci

i czwarty. Wreszcie kobieca dłoń znalazła ciemny kształt. Podniosła szykowną torebkę z ekologicznej skóry i wyciągnęła z niej błyszczący wszystkimi kolorami tęczy telefon komórkowy.

– Halo? – zapytała, nie kryjąc wściekłości. – Rozumiem, ale do jutra nie zniknie. Panie marszałku, ta sprawa może poczekać. Jutro zajmę się ustawą... Tak, przeszkodził mi pan. Dobranoc – zakończyła rozmowę, po czym powoli wstała i ze wstydem spojrzała na towarzyszy.

* * *

Dni takie jak ten nie zachęcały do siedzenia w biurze. Właściwie każdą sekundą sprzeciwiała się istnieniu biur. Zygmunt mocno żałował, że zawodowa duma kazała mu dyżurować w lokalu, zamiast na rozmowy umawiać się z klientami na mieście. Polityka agencji detektywistycznej „Wars i Sawa” zawierała zasady ograniczonego zaufania wobec interesantów oraz fachowego imidżu rodem z filmów *noir*. Ta pierwsza kazała Zygmuntowi Wietrzykowi nagrywać wszystkie rozmowy, ta druga – siedzieć podczas trzydziestostopniowego upału w wyprasowanej koszuli i kamizelce. Brunet chciałby, wzorem swoich ulubieńców z powieści detektywistycznych, raczyć się właśnie whisky z wodą sodową i lodem (przedkładając nawet zalety wody sodowej i lodu nad cnoty okowity), ale ten sam klimat, który podgrzewał jego biuro niczym mikrofalówkę, czynił dzienne pijaństwo niemożliwym. Za oknami świeciło słońce, z wolna dochodząc do zenitu. Aleja Wojska Polskiego zdawała się być martwa, a nawet Mickiewicza zamarło w okołopołudniowej sjeście. Detektyw wyłączył radio i komputer, aby zbędne urządzenia elektryczne nie podnosiły temperatury pomieszczenia. Potem wytarł czoło w różową, materiałową chustkę z wyhaftowanym na środku Kubusiem Puchatkiem. Wtedy właśnie zadzwonił klient.

Jako człowiek ostrożny i wstydlivy, potężny gość w zmiętej koszuli i mocno metroseksulanych butach z czubami, zdecydował się przyjść bezpośrednio do firmy. Może bał się, że rozmowa telefoniczna zostanie nagrana? Cóż, w takim wypadku nie pomyślał, że „Wars i Sawa” nagrywa przesłuchania klientów „w trosce o bezpieczeństwo i wysoką jakość usług”, o czym regulamin firmy głosił na piątej stronie, czcionką tak drobną, że wyglądającą jak ozdobny element graficzny. Zygmunt zdecydował się na taki zwyczaj po solennych zapewnieniach Agnieszki, że nie robią nic złego, a w każdym razie nic ewidentnie nielegalnego. Kiedy detektyw ujrzał nowego klienta w drzwiach, ucieszył się z własnej zapobiegliwości. Coś w aparycji gościa szeptało, że szuka pomocy w śmierdzącej i brzydkiej sprawie.

Na pierwszy rzut oka nie sposób było powiedzieć, czy klient jest mafiosem, czy tylko nowobogackim człowiekiem korporacji. W każdym razie pewna niemożliwa do usunięcia z duszy prostota obyczajów i niepewność wobec wykształconego rozmówcy objawiły się u potężnie zbudowanego czterdziestolatka o fryzurze piłkarskiej, jeszcze zanim Zygmunt powiedział choć słowo. Klient mruknął coś, co

przy odrobinie dobrej woli można było uznać za „dzień dobry”, po czym usiadł na krześle niezaproszony, ale i niepowstrzymywany. Przez dłuższą chwilę mierzył wzrokiem Zygmunta.

– Słucham pana – powiedział detektyw.

– To jakiś żart z tymi duchami? – zapytał przybysz. – Na stronie napisałeś... – przeszedł na dość pogardliwe „ty”, co wywołało jedynie zdawkowy uśmiech Zygmunta.

– Niech pan sobie daruje złośliwości – odparł detektyw, akcentując słowo „pan”. – Ma pan problem i szuka pan pomocy. Proszę przedstawić sprawę zwięźle i bez owijania w bawełnę. – Łysy wyciągnął z kieszeni koszuli zdjęcie kobiety o przeciętnej urodzie, „podrasowanej” eleganckim ubiorem i makijażem. – No dobrze, nie aż tak zwięźle. Proszę rozwinąć – dodał Zygmunt.

– To moja żona – oznajmił Łysy i zamilkł, jakby oczekiwał w tym momencie wyrazów współczucia. Widząc brak reakcji detektywa, kontynuował: – Rozwódzimy się i zdzira chce przejąć prawa rodzicielskie nad moim Maciusiem. – Zygmunt zmarszczył brwi, zdając się mówić: „I słusznie”. – Chcę, aby... pan do tego nie dopuścił.

– Przepraszam, to pomyłka – odparł detektyw. – Nie zajmuję się organizacją szantaży ani problemami rodzinnymi. Nasza agencja specjalizuje się w sprawach niewyjaśnionych...

– Ta dziwka jest poganką, sekciarą czy jak je tam zwą... okulturystką – przerwał mu Łysy. – To chyba wchodzi w zakres usług tego domu wariatów?

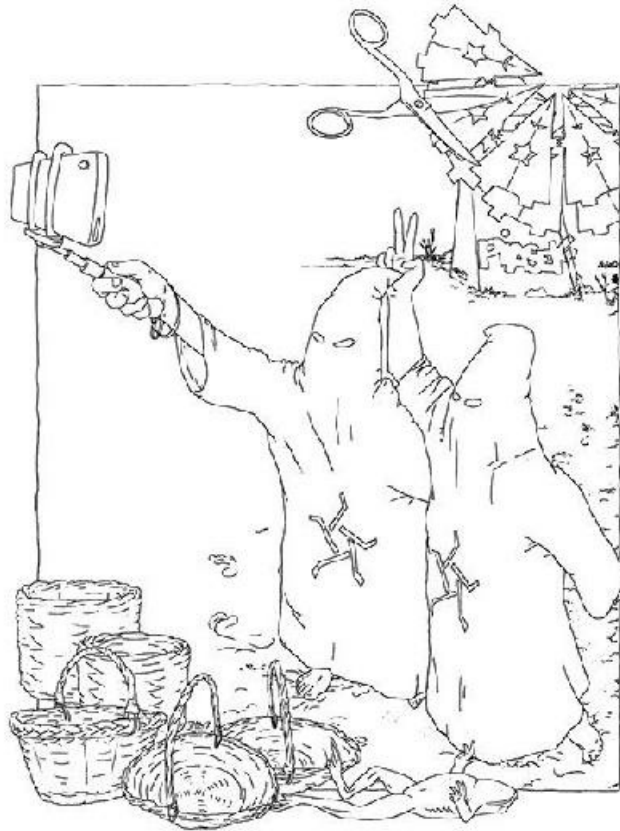
– Panie...

– Paceań – odparł Łysy. – Janusz Paceań.

– Chce pan uzyskać znośny rozwód i zachować prawa rodzicielskie – podsumował Zygmunt. – Czy nie taniej i szybciej byłoby wynająć dobrego prawnika?

– Nie. – Paceań pokręcił głową. – Mariola pracuje w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i chadza na kawę z połową liczących się adwokatów w Warszawie. Bez mocnego kompromatu, nic nie zyskam.

Detektyw przez chwilę się zastanawiał, czy klient nie był zbyt młody jak na karierę w esbecji, ale w końcu uznał, że tego typu wiedzę można zyskać też w rodzinie. Jeśli do tej pory odruchowo nie lubił gościa, teraz nie miał już z tego powodu wyrzutów sumienia. Niestety sprawa zapowiadała się ciekawie.



– Ale w okultystyczne zaangażowanie żony pan nie wierzy... – zauważył.

– No przecież pan chyba nie liczy, że oni naprawdę przywołują wieczorami szatana na Marymoncie – zachnął się Łysy. – Na pewno mają jakieś uroczystości i chyba orgie. Posłałem jednego z moich ludzi na zwiady, więc wiem, gdzie i kiedy. W dodatku co najmniej raz zabrała ze sobą Maciusia. Jeśli zdobędziemy dowód, że świntuszy i to przy dziecku, wygram sprawę w każdym sądzie, a pan dostanie swoich magików. Zapłacę sto pięćdziesiąt procent stawki.

– Nie w tym tkwi problem... – odparł Zygmunt. Przy okazji uznał, że ma do czynienia z bardzo źle wychowanym nowobogackim. Stary burżuj zaproponowałby dwukrotność stawki, choćby tylko dla równości liczby. – Nie przyjmę zlecenia na szpiegowanie pańskiej żony. Możemy się zająć sprawą kultu, a jeśli odkryjemy, że pańskiemu synowi coś grozi, zostanie pan o tym poinformowany i przekażemy wszelkie dowody. Ale nie zamierzam...

– Co pan napisze w umowie, to mnie nie obchodzi. Dobra, tropcie kult. – Łysy uśmiechnął się.

Zygmunt musiał uruchomić komputer, a potem oddać (z pewnym obrzydzeniem) gościowi myszkę. Paceń zaznaczył na mapie przypuszczalne miejsce schadzki. Na pytanie, dlaczego jego podwładny zaprzestał śledztwa,

odpowiedział szczerze, że ewentualna wpadka współpracownika pomniejszała jego szanse w sądzie. Kiedy przeszli do pytań dotyczących samego kultu, nie powiedział nic wartego uwagi, nie zgodził się podać telefonu do świadka, a przy tym zrobił się bardzo nerwowy. Zygmunt wyprosił go z poczuciem ulgi, wyłączył dyktafon i zadzwonił do Agnieszki.

Jego partnerka zakończyła bez problemów sesję egzaminacyjną, ale początek lata spędzała pracowicie, prowadząc korepetycje z francuskiego. Agencja „Wars i Sawa”, jako działalność gospodarcza, przynosiła poważne dochody, ale i wymagała poważnych wydatków, więc łowcy tajemnic nie zaniebdywali innych sposobów zarobku. Na szczęście Agnieszka zakończyła już lekcje i dość dobrze przyjęła wiadomość o nowym zleceniu. Obiecała zajrzeć na Żoliborz jak najszybciej, to jest za dwie godziny. Przez ten czas Zygmunt przygotował się do misji.

Rozpoczął kwerendę sieciową. Szybko zorientował się, które z reklamujących się w sieci firm krawieckich mogły uszyć szaty obrzędowe. To znaczy, każdy krawiec mógł zszyć starą kotarę, a na dodatek wyhaftować piękny pentagram z żółtej włóczki, ale detektyw wczuł się w osobę podejrzaną – dumną i zupełnie oderwaną od świata urzędniczkę ministerstwa. Założył, że inni członkowie sekty też nie wiedzieli o istnieniu zwykłych zakładów krawieckich, więc zaczął śledztwo od podmiotów mających strony internetowe i przyjmujących zlecenia mejlem. Szybko znalazł nie tylko sklep, ale i szczegóły zamówienia na dwanaście czarnych szat z symbolem zniekształconej Gwiazdy Syryjskiej. Zamawiająca Mariola Romuska-Paceń, zapewne przyzwyczajona doświadczeniem w administracji publicznej, nie przeczytała drobnych druczków z ostatniej strony elektronicznego formularza, a tym samym pozwoliła, by zdjęcie gotowego produktu służyło za reklamę zakładu. W galerii zdjęć „Nasze Ubioru” można było pobrać fotografię szaty w dużej rozdzielczości. Zygmunt dowiedział się niemal wszystkiego, czego potrzebował.

Podjechał do hipermarketu i kupił uniwersalną zasłonę w kolorze wyblakłej czerni, idealną do stworzenia dwóch kap, a także specjalną folię, na której mógł poznany symbol wydrukować i przykleić go do ubioru. Podobiznę Gwiazdy Syryjskiej specjalnej troski opublikował na forum Pogromców Szkodliwych Czynników Nadprzyrodzonych z całego świata. Wszyscy rozmówcy twierdzili, że symbol stanowi wymysł kiepskiego grafika, który nie miał pojęcia o złych mocach. Na wszelki wypadek Zygmunt zadzwonił do ojca Jana, ale emerytowany egzorcysta też nie przypominał sobie żadnego znaku diabelskiego w podobnym guście. Dlatego bez skrupułów wprasował foliowy wydruk w tani materiał. Potem czekał na Agnieszkę.

Blondwłosa studentka prawa od samego początku asystowała detektywowi. Być może było wręcz na odwrót. Choć Zygmunt miał wiele zalet, wrażliwość na czynniki astralne oraz zasoby pieniężne do nich nie należały. Agnieszka sponsorowała agencję w chudych miesiącach po rozpoczęciu działalności, a jako Czująca odkrywała ciemne tajemnice, znane poszukiwaczowi jedynie ze starych ksiąg. Firma „Wars i Sawa” stanowiła nierozzerwalny zespół. Zygmunt poczuł to

jeszcze mocniej, gdy poprosił przyjaciółkę o uszycie szaty.

– I założysz ten worek? – zapytała Agnieszka, kończąc szew.

– Tak, i ty też – uświadomił ją detektyw. – Możesz zająć się drugą szatą?

Byli gotowi przed dwudziestą. Słońce zachodziło leniwie, wciąż czyniąc z wieczornej Warszawy piekło, ale musieli się śpieszyć. Szybko spakowali najpotrzebniejsze paranormalnym odkrywcom tajemnic przybory, takie jak kapsuły z wodą święconą, osikowe bełty do kuszy czy dobre sto metrów taśmy klejącej, która potrafiła zarówno naprawić – w wyjątkowej sytuacji – rozpadającą się kapek, jak i uciszyć pochwyconych jeńców. Oblepili swoje ciała mikrofonami i kamerami, aby inwigilować kultystów z dystansu bezpośredniego. Agnieszka rozsądnie zauważyła, że skoro zdercie szaty i odsłonięcie elektroniki i tak zdemaskuje detektywów, może sobie pozwolić na założenie pod kamuflaż majtek i stanika. Zygmunt nie był w stanie oprzeć się sile tego rozumowania.

Oczywiście na Bielany pojechali w cywilnych ubiorach. Przebrali się dopiero w krzakach za zjazdem z Wisłostrady na Gwiaździstą. Potem rozpoczęli żmudne podchody ku piaskowej łąsce. Żmudne, ponieważ skradanie się w normalnym ubraniu do łatwych nie należy, a kiedy nosi się zszytą pośpiesznie zasłonę z hipermarketu, nabiera charakteru prawdziwego wyzwania. Dotarli niezauważeni do brzegu, a potem ruszyli w kierunku mostu Grota. Szybko znaleźli się na wysokości łąchy.

Tak jak się spodziewali – tuż po zachodzie słońca przyszli pierwsi amatorzy zabaw na świeżym powietrzu. Jak na standardy stolicy „ważnego” państwa europejskiego, wybrzeże Wisły na wysokości Podleśnej stanowiło oko cyklonu w miejskiej cywilizacji. Chaszcze nad rzeką sprawiały wrażenie tak dzikich, że nawet miejscowe gangi nie torturowały tam dłużników (do tego służyło Wybrzeże Gdyńskie przy moście Gdańskim, gdzie można było wygodnie dojechać tramwajem, a po skończonej robocie pójść do pobliskiego ogródka piwnego na drinka). Najczęstszym gościem tej ziemi niczyjej były (od wygnania Romów) zwierzęta przechodzące z Kampinosu oraz pijani studenci, którym nie przeszkadzało spanie z dzikami. Znajdująca się prawie kilometr od mostu łącha przez większość roku stanowiła wyspę, ale przy tak niskim poziomie wody w całości łączyła się z brzegiem. Wsypana śmierzdzącym, ale wizualnie bardzo ładnym piaskiem zdobyła uznanie sekty. Dobrze ubrani, solidnie odżywieni i prowincjonalnie opaleni bogacze schodzili nad brzeg Wisły i ruszali w krzaki, aby nałożyć rytualne szaty. Na to właśnie czekali detektywi.

Wiele ryzykowali, ale zyskiwali szansę dobrej zabawy. W ciągu długiego i bujnego życia studenckiego Zygmunt liczył podstaw psychologii i ze swojej wiedzy wysnuwał wnioski na temat ludzkiego postrzegania. Uznał, że w dwunastoosobowej grupie ludzie potrafią jeszcze liczyć. Dwie dodatkowe sylwetki w szczupłej grupce mogłyby zwrócić uwagę okultystów. Dlatego postanowił uspić jednego z sekciarzy i zająć jego miejsce. Agnieszka nie zastępowała żadnej z druidek, ponieważ, po pierwsze, nie chciała nikogo napadać, a po drugie, ponieważ Zygmunt uznał, że mężczyźni wykazują daleko idącą ufność i nie będą przesłuchiwać seksownej dziewczyny, nawet jeśli jej urok

kryła pokryta błuźnierzczymi symbolami szata.

Unieruchomienie i uśpienie pechowego heretyka nie nastręczyło detektywowi trudności. Kiedy wysoki, ale cherlawo zbudowany starszy mężczyzna rozebrał się do naga i już chciał nałożyć czarną kapę, Zygmunt podbiegł od tyłu i podsunął mu pod nozdrza chustkę z chloroformem. Następnie owinął ofiarę w koc plażowy, zabrał jego szatę i ruszył do Agnieszki.

– Uff... Nieźle wyglądasz – oceniła dziewczyna. – Przez chwilę myślałam, że to ten staruch. A tak przy okazji... Skoro i tak zabraliśmy kapę jednemu z nich, dlaczego szylaś dwie?

– Aby zrobić wreszcie coś godnego kobiety! – syknął zirytowany Zygmunt. – Nałóż kaptur i nie odzywaj się. Znasz nasze kody alarmowe, ale pewnie nie będę się bawił w nadawanie alfabetem Morse’a, tylko kiedy się zdekonspirujemy, krzyknę „Spierdalamy!”. Gotowa? – Kiwnęła głową, pamiętając o przykazaniu milczenia. – Włącz dyktafon.

Bez problemu wmieszali się w grupę idących na łachę. W pełnej rozgorączkowania ciszy zgromadzeni nie tracili czasu na rachunki. Cała grupa przeszła przez piasek wyschniętego koryta aż pod zarośla. Tam czekał Maciuś Paceń i smażył kielbaskę na rytualnym ognisku. Podeszła do niego zakapturzona postać.

– Synku, poczekaj na nas przy samochodzie – poprosiła Mariola Romuska-Paceń. Malec zabrał mięso i ruszył ku brzegowi.

Zygmunt rejestrował wszystko, zrobił nawet kilka zdjęć ukrytym pod kapturem aparatem. Poniekąd ucieszył się, że śledzona kobieta nie mieszała dziecka w działalność sekty. „Pewnie mężulek się zmartwi, ale nic na nią nie mamy. Jak na razie. Ciekawe, co oni tu robią?”. Rozpoznał Agnieszkę po niepewnym chodzie i wzroku wbitym w odchodzącego Maciusia. Podeszedł do zamaskowanej współniczki.

– Co czujesz, siostrze? – zapytał.

– A nic, mistrzu... – zawahała się. – Zygmunt – chłopak skinął głową, choć kaptur szaty zapewne zamaskował gest – to złe miejsce. Czuję na tym brzegu źródło mocy. Węzeł wody. Kiedyś stał tu ołtarz pogański, póki go nie spalili kameduli na początku siedemnastego wieku. – Detektyw nie pytał, jakim cudem talent Agnieszki może wskazać tak dokładną datację zdarzenia, po prostu zazdrościł jej tej umiejętności, tym bardziej że prawniczce na niewiele się to zdawało, a jemu, przyszłemu filologowi klasycznemu, mogło uratować nieraz życie. – Ale nie rozumiem jednej rzeczy. Nie ma tu czujących.

– Jak to? A najwyższy kapłan? – zdumiał się Zygmunt. Jednocześnie szukał wzrokiem kogoś, kto sprawiał wrażenie szefa.

– To chyba Mariola tu rządzi, ale ona jest równie nieaktywna, jak... ekhem... ty – zapewniła niezręcznie Czująca. – Co robimy?

– Czekamy, aż zaczną. Jeśli robi się gorąco, biegnij na brzeg do naszych rzeczy. Tam mam ekwipunek.

Zaczęli. Marianna ustawiła zgromadzonych w okręgu, ale, na szczęście!, nie liczyła gości, czego obawiał się detektyw. Kobieta zaintonowała łacińskie śpiewy.

Ze zdumieniem poszukiwacz tajemnic zrozumiał, że słyszy chorał gregoriański, śpiewany dość niewprawnie i z małym poszanowaniem dla gramatyki średniowiecznej łaciny. „To wszystko podpucha!” – jęknął w duszy. „Śledzimy znudzonych życiem japiszonów z Warszawki?”. W tym samym momencie zrobiło mu się bardzo nieswojo. Wielokrotnie przekraczał prawo, usprawiedliwiany przez Agnieszkę i ojca Jana, ale robił to w walce z mniej lub bardziej uchwytnym złem. Tymczasem właśnie ogłuszył amatora plażowych orgii z powodu głupiej pomyłki. To nie tak miało być.

Jego współniczka chyba też straciła rezon, ale z innego powodu. To podnosząc, to opuszczając dłonie, pokazywała Zygmuntowi znaki. „Co? O co chodzi? – myślał niespełniony inkwizytor – to żaden kod... to liczby. Czternaście... ale czego czternaście?”. Zrozumiał, ale właściwie nie rozumiał. Było ich czternaścioro, nie dwanaścioro, jak być powinno, nie trzynaścioro, jak zaplanowali detektywi. „Albo dziś mamy jakąś inicjację, albo...” Wtedy właśnie wrócił Maciuś.

– Mamo! Mamo! – krzyczał na cały głos.

Tuż za nim z krzaków wypadł nagi mężczyzna z rosochatą gałęzią. Zygmunt zaniepokoił się, najpierw o chłopca, potem o siebie. Wściekłym golasem był starszy pechowiec, którego ogłuszyli. Wykrzykiwał przekleństwa, nieliczące z powagą ceremonii. Kultysty zastygli, patrząc to na stojących na brzegu, to na prowadzącą rytuał Mariannę.

– Owca weszła między wilki! – szepnęła poważnie kobieta. Brzmiało to groźnie, ale w istocie nie miało sensu. – Jest wśród nas zdrajca! – dodała. Widząc poruszenie sekciarzy, rozkazała zdecydowanym tonem: – Siostry i bracia, stańcie w kole.

Zygmunt miał ledwie sekundę na podjęcie decyzji. Zauważył, że Agnieszka stoi pod samymi chaszczami, tak daleko od brzegu, jak tylko mogła. Powstrzymał chęć ucieczki, myśląc rozpaczliwie, co dalej. Kultysty nie wyglądali na wysportowanych, ale było ich co najmniej jedenaścioro, a detektyw musiał uciekać na bosaka, skrępowany kablami, w samych majtkach i zasłonie z przeceny. Odruchowo przystąpił do ogniska, gotowy chwycić wystającą z paleniska głównię.

– Teraz znajdziemy profana! – krzyczała Marianna, a Zygmunt uznał, że faktycznie lepiej by było pozbawić ją praw rodzicielskich, nawet gdyby Maciuś miał powędrować do Łysego. – Zdejmijcie szaty.

– Matko Czcigodna, nic nie mam pod spodem! – jęknął jakiś kobiecy głos.

– Dobra myśl, Matko Czcigodna! – sprzeciwił się głos męski.

– Może najpierw się przedstawmy – zaproponowała kobieta.

– Ty! – zawołała Mariola, wskazując na sekciarza stojącego tuż przy Zygmuncie. Detektyw spiął mięśnie, gotowy do ucieczki. – Jak się nazywasz?

– Marek, z kancelarii sejmu, Czcigodna Matko! – jęknął kultysta. – Przecież poznajesz...

– Ty! – Kapłanka podeszła do następnego czciciela. Na szczęście ruszyła w drugą stronę. Zygmunt był na razie bezpieczny... Agnieszce pozostało około minuty.

– Henryk, ISI Investments – odparł pewny siebie głos.

– Dobrze, ty! – Mariola ruszyła dalej, ale zanim uderzyła palcem pierś współwyznawcy, spojrzała w tył. – Henryk? Jaki Henryk!?

– No... wie Czcigodna Matka. – Zamaskowany mężczyzna stracił już pewność siebie. – Zaprosił mnie Gustaw z NBP.

– Jaki Gustaw? – zapytała Mariola.

Wtedy Henryk ocenił, że został zdemaskowany. Skoczył przed siebie, przewracając Marka i jeszcze niezlustrowanego czciociela. Przez dobre trzy sekundy reszta sekciarzy była zbyt zdumiona, aby nawet mrugnąć, niestety oszust potknął się i wyłożył na piasku. Nim wstał, Czcigodna Matka odzyskała rezon.

– Łapać go, moje dziatki! – rozkazała. Skoczyła na hałdy ubrań, podniosła torebkę, po czym zaczęła nią okładać zdrajcę. Zygmunt wyczuł szansę ucieczki.

– Za nim! – krzyknął, licząc, że Agnieszka zrozumie. – Nie dajmy mu dotrzeć do brzegu.

Sam chciał się znaleźć jak najbliżej ścieżki, aby opuścić szalony konwent. Rzecz jasna zamierzał szybko powiadomić policję, ale odczuwał pewien dyskomfort – ostatecznie zostawiał na pastwę sekty tajemniczego intruza, który wpadł przez niezawiniony błąd. Dobięł do przyjaciółki, trącił ją ramieniem, a po chwili oboje biegli za uciekinierem. Słowo „biegli” warto ująć w cudzysłów, ponieważ powłóczyście szaty nie ułatwiały sprintu, a co chwilę kolejny sekciarz padał na piasek, rycząc podwórkową łaciną.

Jednocześnie szpieg zdobywał przewagę. W biegu rozdarł kapę (zapewne była wykonana z jeszcze tańszej firanki) i przyśpieszył, nagi i wolny. Zygmunt pomyślał, że jeśli kamera uchwyciła choć klatkę tego pościgu, zdobyli mocny dowód przeciwko Marioli. A Henryk dotarł do brzegu, z rozpędu posłał stojącego tam pechowca na piasek i zniknął w krzakach. Ale, bynajmniej, nie był to koniec walki.

– Czcigodna Matko, buc uszedł – zameldował Marek. Bardzo się pomylił.

Henryk zniknął w krzakach jedynie po to, aby założyć sukienkę z trawy i chwycić bojową kosę *a la* Kościuszko. Postawione na sztorc ostrze błysnęło odległymi światłami mostu Grota i z miejsca usadziło pościg. Kultysty spojrzeli niepewni na Mariolę. Ona przekazywała tajemne znaki, każąc trzem współwyznawcom zająć wroga od tyłu, ale wyznaczeni do tej zaszczytnej służby przeżywali poważny problem motywacyjny. Ostatecznie intruz miał kosę.

– Stać, mówię! – krzyczał Henryk. – Ani kroku, czarcie pomioty. Zapłacicie za tę rozpustę bałwochwalstwa.

Zygmunt zastanawiał się, czy nie trafił na amatorskiego pogromcę. Ale łowców niebezpiecznych czynników paranormalnych nie było w Warszawie wielu. Ojciec Jan już nie praktykował, Jerzy Wawelski był wyższy, nosił brodę i nielegalną broń automatyczną, a pomniejsi amatorzy byliby ubrani znacznie bardziej dramatycznie. Był to chyba debiutant. „Szkoda go” – pomyślał detektyw. „Taka wpadka na pierwszej akcji”.

– Nie wiem, kim jesteś... – zaczęła ostrożnie Mariola. – A ty z pewnością nie

wiesz, kim my jesteśmy. Lepiej uchodź stąd, profanie, zanim dosięgnie cię gniew wodników rzeki albo moi BOR-owcy.

– Nie przestraszają mnie demony! – krzychał Henryk. – Oddałem życie Panu i on jest moją tarczą. Amen! Ani kroku, plugawcze! – dodał, wskazując kosą na kultystę, który postanowił jednak spełnić wolę przełożonej. Potem znów spojrział na zbitą grupę. – A teraz... kto z was jeszcze walczy ze sługami Złego? – zapytał. – Nie wstyďte się. My, wojownicy Pana, musimy się trzymać razem.

– Bredzi – uznał Marek.

– Naprawdę? – zaśmiał się Henryk. – To nie ja ogłuszyłem towarzysza waszej rozpusty. Mam tu sojuszników.

„No to się zrobiło niezręcznie” – pomyślał Zygmunt, patrząc na Czcigodną Matkę, niepewnie lustrującą towarzyszy. Z chęcią przyznałby się do misji i pomógł tajemniczemu prorokowi wiślanej łąchy, ale nie lubił ryzyka. Ostatecznie kultysty mieli przewagę – jedenastu do trzech. I wtedy na pomoc przyszła mu Agnieszka.

– Racja. Kończmy tę farsę – zawołała Czująca. – Nazywam się porucznik Agnieszka Szara i prowadzę grupę operacyjną Centralnego Biura Śledczego.

– To pewnie wie pani, jak ja się nazywam i że dowodzę warszawskim oddziałem cebeesiu – odezwał się jeden z zamaskowanych decydentów.

– Już niedługo – zauważyła Agnieszka. Edukacja prawnicza pozwalała jej kłamać jak z nut. – Skoro pan nic nie wiedział o naszej akcji, to chyba świadczy nie najlepiej o pańskich notowaniach u ministra.

– Ale to ja jestem... – pisnął głos z ciemności, ale został uciszony szybkim szturchańcem.

– Dobrze, nasza sytuacja zrobiła się nieciekawa... – kontynuowała detektywka, niepewna, czy naprawdę nie zamierzała aresztować dyrektora mazowieckiego cebeesiu oraz ministra spraw wewnętrznych. – Chyba państwo rozumieją, że najlepiej dla rządu Rzeczypospolitej, naszych bliskich oraz nas samych byłoby, aby ta sytuacja nie miała miejsca. Dlatego dam wam trzy minuty...

– Błefują – rzucił domniemany minister. – Założę się, że są tu sami...

Agnieszka rzadko korzystała ze swojego talentu, może dlatego te nieliczne razy wyglądały spektakularnie. Wyczuła potężne źródło żywiołu wody i pchnęła czystą moc w pobliskie chaszczce. Chrząst odginanych gałęzi nie brzmiał jak skradająca się na amerykańskich firmach drużyna komandosów, ale był wystarczająco straszny, aby złamać morale kultystów.

– Trzy minuty. Potem aresztujemy nawet premiera. – Z przerażeniem czekała, aż kolejny z sekciarzy zostanie uciszony kuksańcem, ale – chwała Bogu! – nic takiego nie nastąpiło. Zakapturzeni heretycy spoglądali na Czcigodną Matkę, ale ona nie miała im nic mądrego do powiedzenia. Po kilkunastu sekundach milczenia wybuchła panika.

Mariola złapała Maciusia i ruszyła w kierunku Wisłostrady. Dziecięciu sekciarzy pobiegło za nią, krzyżąc w zupełnie niepotrzebnej emfazie. Gdyby w krzaskach faktycznie czaił się oddział agentów ceebesiu, zostałyby stratowane na śmierć. Na szczęście nie doszło już do żadnych wypadków, może prócz kawałka

szkła w czyjejs bosej stopie. Po chwili na plaży została Agnieszka, Zygmunt, tajemniczy Henryk oraz cała hałda ubrań.

– Myślisz, że złapią taksówki? – zapytała z troską detektywka.

– Niech poganie cierpią – odezwał się Henryk. – Dobra robota, słodkie dziewczę, dzielna Judyto. Pokonałaś zastępy wrogów Pana i On ci to policzy w godzinie ostatecznej.

– Bardzo mi miło – odparła Agnieszka i spłonila się, choć w świetle dogasającego ognia i dalekich świateł mostu Grota nie było tego widać. – Ale z kim mamy przyjemność?

– W poprzednim życiu nazywałem się Henryk Kapacki i przewodziłem działem IT firmy ISI Investments. Dwa miesiące temu oddałem się Bogu i żyję na tej pustyni z Jego darów.

– Jest pan eremita? – zapytał zdumiony Zygmunt. Wysoki chudzielec skinął głową. – Mieszka pan w chaszczach nad Wisłą?

– Wiem, że nie pachnie tu kadzidłem, ale to część mojej pokuty za rozpustne życie – wyjaśnił pustelnik. – Sprzedałem dom, cztery samochody i odesłałem grzeszne kobiety, aby zbudować sobie tu chatkę z materiałów niebiodegradowalnych. Nie mam szarańczy, a miód dzikich pszczół nadaje się tylko na smar do rowerów, ale spodobało się Bogu utrzymać mnie przy życiu. A wy, kim jesteście? Ścigacie tych bezbożników?

Musieli Henrykowi wiele rzeczy wytłumaczyć. Eremita zaprowadził ich do swojej chatki, rozpałił ogień i zaczął przyrządzać gulasz z gołębi. Tymczasem Zygmunt opowiadał historię zlecenia. Pustelnik kiwał głową ze zrozumieniem. Zmartwił się dopiero, kiedy Agnieszka wyjawiała mu sekret kultystów.

– To była ściema – powiedziała. – Przychodzili tu nie po to, aby czcić szatana, ale aby pobawić się przy ognisku, może popić i poswawolić. Nie mieli dość wiedzy, aby przywołać coś naprawdę złego. – Widząc zasmucone oblicze pokutnika, który tak bardzo chciał się sprawdzić w roli pogromcy zła, dodała: – Ale jeśli natrafimy gdzieś na ślady demonicznej obecności i będziemy potrzebowali pomocy pobożnego męża, damy panu znać.

– Mój telefon to: siedem, siedem, siedem, osiem, siedem, sześć, siedem, siedem, dziewięć – natychmiast odpowiedział Henryk. Widząc zdumienie na twarzach gości, wyjaśnił: – Rozdałem cały majątek, ale jakoś żyć muszę. Przy tym skażeniu środowiska nie przetrwałbym, jedząc tutejsze płody ziemi. Dlatego kupiłem telefon, kartę pre-paid i generator słoneczny. Korzystam z brudnej mamony, ale zarabiam wyłącznie pracą swoich rąk.

– A co pan robi? – zapytała uprzejmie Agnieszka, a on zachmurzył się.

– Przychodzą do mnie ludzie z Babilonu. Wypełniam im wnioski o dotacje unijne albo prowadzę szkolenia biznesowe, tam, pod dębem. Niestety tylko to umiem robić. Ale uczę się wypłacać kosze i strugać leszczynowe gwizdki – zapewnił solennie. – Za rok lub dwa uniezależnię się od *civitas terrena*.

– Mogę nauczyć pana wypłacać koszyki – zaproponowała Agnieszka. – A pan się za nas będzie modlił.

* * *

Siedzieli z eremita niemal do rana, potem uciekli przed wschodzącym słońcem do klimatyzowanych pomieszczeń biura. Wyprawa zakończyła się poniekąd fiaskiem, choć przy odrobinie dobrej woli można się było z niego cieszyć. Ostatecznie żaden apokaliptyczny kult nie zagrażał Warszawie.

– Myślisz, że to naprawdę był minister? – zapytała detektywka, kiedy przegrywali zapis dźwiękowy i zdjęcia.

– Jeśli nawet tak, to chyba nie sprawiedliwości. Nie martw się o aplikację.

– Fiu, gdyby to był minister sprawiedliwości, moglibyśmy go szantażować – odparła dobrze rokująca prawniczka, ale zaraz dodała, skruszona: – Gdybyśmy byli złymi ludźmi... Ale nie jesteśmy.

– Mówiąc o uczciwości... Co zrobimy z tymi zdjęciami?

Postanowili załatwić sprawę tak porządnie, jak mogli. Zaprosili Łysego i Mariolę do biura. Nie mieli żadnych doświadczeń w konsultacjach małżeńskich, ale musieli od czegoś zacząć. Dał im dobry przykład Henryk, który przed udaniem się nad Wisłę przeczytał jedynie „Żywoty ojców pustyni”. Człowiek uczy się na błędach.

O osiemnastej przybyła skłócona para oraz ich prawnicy. Ci zostali grzecznie, acz stanowczo wyproszeni, a detektywi przystąpili do negocjacji. Zaczął Zygmunt, opowiadając o zajściach na łasze. Oczywiście ominął niektóre kompromitujące agencję „Wars i Sawa” szczegóły, ale najważniejsze elementy przedstawił. Odtworzył materiał dźwiękowy, pokazał zdjęcia. Mariola była dość zażenowana, ale Łysemu się podobało.

– Teraz musimy coś wymyślić. Dla dobra Maciusia – powiedziała Agnieszka. – Dlaczego pani odeszła od męża?

– Zdradził mnie z tą zdziwą z urzędu podatkowego! – wykrzyknęła Czcigodna Matka. – Po dziesięciu latach małżeństwa...

– Nie chciałbym być złośliwy – przerwał jej Zygmunt. – Ale pani zachowanie również odbiega od ogólnie przyjętych standardów. Jak rozumiem, rozpoczęła pani te brewerie nad Wisłą jeszcze przed kłótnią...

– To co innego! – zaprotestowała Mariola. Paceń wciąż oglądał zdjęcia, coraz bardziej zafascynowany i nie zwracał uwagi na słowa żony. Detektyw pokręcił głową, wyrażając sceptycyzm. – No dobrze, byli tam nadzy mężczyźni, ale robiłam to dla duchów Wisły.

– Sąd może nie przyjąć takiej argumentacji – zauważyła Agnieszka. – A może państwo się pogodzą? Tak na próbę, pół roku powiedzmy. Maciuś zachowa oboje rodziców, a ja nie będę musiała pokazywać tych zdjęć mediom.

– Macie kopie!?! – jęknęła Mariola.

– Wyślijcie mi, proszę – odezwał się odruchowo Łyś.

– Tak, jesteśmy zawodowcami, proszę pani – oznajmił Zygmunt. – Poza tym nie stać nas na prawdziwe aparaty fotograficzne, więc korzystamy z cyfrowych. Jak więc będzie?

– No... ja... – zaczęła niepewnie pani Paceń, składając tym samym uroczystą

kapitulację.

– A pan? – zapytała Agnieszka Łysego.

– Tak, właściwie możemy spróbować, czemu nie – zgodził się klient. Potem szepnął do żony. – Może w domu też czasem założysz coś takiego?

Sprawa została pomyślnie rozwiązana, ale Łysy – buc niemożliwy – zapłacił im tylko podstawowe sto procent stawki.

* * *

Janusz Paceń, Wielki Strażnik Złotego Piasku, uśmiechał się, patrząc na nowe miejsce spotkań zakonu. Odkrył je przez przypadek, dzięki aferze z żoną. Nie mógł uwierzyć, że banda znudzonych urzędników państwowych, niemająca pojęcia o czarnej magii, przypadkiem odkryła tak silne źródło mocy. A co jeszcze lepsze – zostawili je odłogiem, nawet nie wiedząc, jakie bogactwo wypuszczają z rąk. Na wiślanej łasze Zakon Złotego Piasku mógł bez trudu przywołać duchy rzeki, a potem dobić z zapomnianymi istotami dobrego targu. A wszystko to dzięki dwójce uciążliwych, ale jakże przydatnych detektywów z agencji „Wars i Sawa”. Co prawda, ściągnęli mu z powrotem do domu żonę, ale była to niewielka cena za idealne miejsce kultu. Wbił pochodnię w ciepły piasek i spojrzał z dumą na towarzyszy – prawdziwych i wiernych czcicieli zapomnianych istot.

Henryk widział tę scenę z pobliskich krzaków. Odłożył lornetkę i przeżegnał się. Serce w nim drżało, ale nie tylko ze strachu. Czuł radość, ponieważ Bóg zsyłał mu okazję do walki w Jego imieniu. Demonom nie wolno było plugawić brzegu rzeki bardziej niż miejskim ściekom. Przeklęte ognie na piasku musiały zostać zgaszone.

III. SZWEDZKI ŁĄCZNIK

28 czerwca 1656, Warszawa

Szwedzi trzymali Warszawę mocno, ale w rękach pozostawało im coraz mniej. Sprowadzone dzień wcześniej armaty wojsk koronnych wybijały kolejne wyrwy w murach – szturm generalny był tylko kwestią czasu. Po roku okupacji i dwóch miesiącach oblężenia przez Polaków, najeźdźcy zmienili się z myśliwego w zwierzynę łowną. Ludność pochowała się po domach i piwnicach, ale Jorgowi Sternsonowi zdawało się, że w każdym zaułku czyhają mieszczanie chcący odpłacić Szwedom za upokorzenie z zeszłego roku. Sierżantowi było zresztą wszystko jedno – zasłużył na śmierć, czy to z ręki mieszkańców, czy wojsk oblężniczych.

Wszedł do kwatery – kamiennicy przy Pivnej – już naruszonej strzałem z polskiej kolubryny. Służba uciekła, jego oddział siedział na murach, ale Jorg nie zamierzał dołączać do towarzyszy. Zrzucił hełm i wbiegł po schodach na piętro. Padł na podłogę izby, po czym zaczął szlochać. Nie był tchórzem, nie bał się śmierci, ale drżał na myśl o grzechach życia. Błagał Boga o przebaczenie za splądrowanie miasta podczas szturm, zbezczeszczenie katedry i zabicie właściciela kamiennicy. Obiecywał też, że jeśli niebiosa podarują mu dość czasu, rozda zdobyty przemocą majątek ubogim i chorym. Owa szczerza skrucha najpewniej uratowała duszę sierżanta Sternsona od ognia piekielnego, nie pomogła jednak ciału Szweda. Kiedy pocisk z polskiej kolubryny uderzył w ścianę kamiennicy, cegły i ciężka belka pomknęły na spotkanie ziemi, po drodze napotykając podłogę pierwszego piętra i klęczącego na niej człowieka. Jorg umarł, myśląc o szlachetnych czynach, jakich mógłby dokonać dzięki ukrytemu bogactwu.

28 czerwca 2011, Warszawa

Po domofonie klienta Zygmunt miał jakieś sto pięćdziesiąt sekund na doprowadzenie się do stanu oficjalnego. Kiedy klient wchodził po wąskich schodach na drugie piętro kamienicy w alei Wojska Polskiego, detektyw założył spodnie, białą koszulę i szarą kamizelkę, zapiął się i usiadł za biurkiem. Postanowił nie wstawać z tego miejsca. Opuszczenie bezpiecznej kryjówki ujawniłoby, że poszukiwacz tajemnic ma na nogach futrzaste kapcie w kształcie królików, prezent od Agnieszki. Na szczęście klient wszedł do biura sam.

– Agencja detektywistyczna „Wars i Sawa”. Czym mogę służyć? – zapytał Zygmunt Wietrzyk.

– Pomocą – odparł wysoki, chorobliwie chudy blondyn, który usiadł naprzeciwko detektywa. Wyjął z kieszeni kilka kartek. Były to zdjęcia oraz komputerowy wydruk. – Chciałbym odzyskać skradzioną własność.

– Nie prowadzimy tego typu spraw... – oznajmił Wietrzyk, patrząc na fotografię młodej i skąpo ubranej kobiety.

– A, przepraszam, to zdjęcie nie ma związku z moją prośbą – odparł zażenowany klient i schował kartonik. – Proszę spojrzeć tu.

Pozostałe cztery fotografie przedstawiały splądrowane mieszkanie. Artyzm zniszczenia sugerował napad rabunkowy połączony z intensywną libacją. Niewielki pokój został przeszukany niesprawnymi rękoma. Ze ścian zdjęto obrazy, książki leżały porozrzucane, jakby złodziej szukał między stronami pieniędzy, nie przepuścił też śwince skarbonce, której nędzne resztki leżały obok przewróconego barku. Zawartość barku zniknęła, być może częściowo jeszcze podczas włamania. Pusta butelka po dobrej whisky uśmiechała się smętnie ku sufitowi. Z bliżej nieokreślonego powodu, na środku pokoju leżała wielka, drewniana belka, raczej niestanowiąca elementu konstrukcyjnego budynku.

– Gdzie te zdjęcia zostały zrobione? – zapytał Zygmunt.

– W moim mieszkaniu – odparł Chudy. – Adres nie jest panu potrzebny do prowadzenia śledztwa.

– Co takiego? I tak zapamiętam, kiedy będę oglądał miejsce włamania.

– Nie obejrzy pan – poinformował go klient. – To niemożliwe. – Widząc zdumioną minę detektywa, Chudy wyjaśnił. – Istnieją pewne względy, które uniemożliwiają mi wprowadzenie do domu kogokolwiek. Ale dostarczę wszelkich potrzebnych informacji...

– Panorama jest niekompletna – zauważył poszukiwacz tajemnic. – Brakuje obrazu czwartej ściany.

– No dobrze, wszystkich informacji, które uznam za konieczne – doprecyzował Chudy. – Ta ściana nie ma nic wspólnego z włamaniem.

W tej samej chwili Zygmunt wyobraził sobie co najmniej kilka wyjaśnień zagadkowej wstydlivosti klienta. Najbardziej malowniczą były trofea seryjnego mordercy, którym przecież Chudy mógł być. Detektyw spojrzał uważnie na gościa

i spróbował go sobie wyobrazić wieszającego w mieszkaniu odcięte kończyny oraz wygarbowane skóry ofiar. Z drugiej strony ów brakujący fragment panoramy mógł stanowić dowód, że klient ukartował włamanie, licząc na odszkodowanie.

– Czy zgłosił pan wypadek policji? – zapytał Wietrzyk. Chudy pokręcił głową. – A zamierza pan?

– Czy to ważne? Nie zobaczy pan tego mieszkania, ot co. Proszę spojrzeć na ostatnie zdjęcie. – Był to właściwie komputerowy wydruk. Przedstawiał zniszczoną okładkę starej gramatyki szwedzkiej, autorstwa Mławy i Krestinna.

– Złodzieje zostawili na miejscu tę książkę? – zapytał skołowany detektyw.

– Nie, zabrali – odparł klient. – Muszę odzyskać tę gramatykę i to szybko. Włamywacze zabrali trochę pieniędzy, naczynia, alkohol oraz inne książki. Ale pana proszę o znalezienie właśnie tej. „Gramatyka opisowa języka szwedzkiego”, Joanna Mława, Sigmund Krestinn, Warszawa tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt osiem. Jeśli dostarczy pan ją w ciągu trzech dni, zapłacę pięć tysięcy złotych. Żadnych pytań, proszę nie mieszać policji.

– A co ze złodziejem? Albo złodziejami? – zapytał Wietrzyk.

– Nie pogardzę danymi włamywaczy – odparł gość. – Ale zależy mi w pierwszej kolejności na gramatyce. Przyjdę za trzy dni.

– A jak mam się z panem kontaktować, panie...

– To nie będzie konieczne – odparł anonim i ruszył do wyjścia. Zygmunt pobiegłby za nim i zatrzymał go, gdyby nie przekłete kaptcie.

* * *

Z Agnieszką umówił się już na miejscu. Piękna współpracowniczka Zygmunta skupiała się na studiach prawniczych i znajdowaniu kolejnych luk w Kodeksie karnym, umożliwiających działalność ich szemranej agencji. Nie miała głowy do tradycyjnej roboty detektywistycznej, dlatego pierwsze kroki Wietrzyk podjął sam. Zadzwoił do wszystkich antykwariatów reklamujących się w sieci i zapytał o gramatykę. Oczywiście nie wprost. Krzyczał do słuchawki rozpaczliwe klątwy, potępiające głupią (choć urojoną) siostrę, która przed wyjazdem sprzedała w skupie staroci jego podręcznik. „Może dostał pan ostatnio dużą przesyłkę? Przyniosła ją rudowłosa dziewczyna, około dwudziestki, albo jej facet... Niech pan sprawdzi. Książki to śmieci, ale muszę odzyskać podręcznik przed egzaminem”. Dzięki tej historii odkrywał chciwym antykwariuszom wiele tajemnic, na szczęście nie swoich. „To już wina Chudego, że mnie nie dopuszcza do konfidencji” – myślał detektyw. „A w ten sposób szybko wykreślę połowę potencjalnych skupów”. Niestety szanowane lokale nie otrzymały w ostatnich dniach paczki książek ze szwedzką gramatyką. Zygmunt rozpoczął poszukiwania w miejscach mniej dostojnych. W tym mogła mu pomóc Agnieszka.

– Cześć Zyg! – powitała go blondynka. – Szukamy przekłetej księgi? Jak starej?

– Lata pięćdziesiąte – odparł nieco zażenowany detektyw.

– Którego wieku? Szesnastego? – zapytała Agnieszka, ale widząc kwaśną minę

przyjaciela, nie drażyła wątku. – A dlaczego pod Merkurym? Tu są tylko budki z makulaturą.

Wczesnym popołudniem ulica Słowackiego wymierała. Czerwcowy upał trzymał wszystkich rozsądnych warszawiaków w domu, a ci, którzy musieli wdychać powietrze o konsystencji asfaltu, przemykali chodnikami tak szybko, jak mogli. Detektywi stali między dawnym domem handlowym a Urzędem Dzielnicowym Żoliborza. Między blaszanymi budkami rozkładali się handlarze książek. Tego dnia czekali, schowani w skąpym cieniu blaszaków. Wywabić mogła ich tylko Agnieszka.

Detektywka przywołała na usta dziewczęcy uśmiech i zabójczą dawkę niewinnego uroku. Kiedy pytała zmęczonych i skatowanych pogodą sprzedawców, ci odpowiadali jej uprzejmie. Gdyby te same kwestie poruszył Zygmunt, zapewne oberwałby w głowę ciężkim tomem sowieckiej encyklopedii. Czekał więc cierpliwie w cieniu urzędu. Po dwudziestu minutach ujrzał rozpromienioną przyjaciółkę, niosącą w ręku zniszczony wolumin.

– Chyba ten – powiedziała, wręczając mu gramatykę. – Mam też rysopis sprzedawcy.

– Czy nie czujesz... czegoś dziwnego? – zapytał Zygmunt. Agnieszka przejawiała naturalny talent do rozpoznawania mocy niewidzialnego świata, takich jak węzły żywiołów lub ludzka magia. – Jestem bliski pewności, że nasz klient trudni się zakazanymi sztukami.

– Być może, ale chyba nie używa do tego podręcznika – zauważyła dziewczyna. – Nie wykrywam w tych kartach żadnej specjalnej mocy. No chyba że zapisywał zaklęcia na marginesach. – Agnieszka siadła w cieniu urzędu i pokazała przyjacielowi portret pamięciowy dziwnego sprzedawcy książek. – Co o tym sądzisz? Ponoć nazywa się Zdzisław, wołają na niego „Kryśka” i często przynosi makulaturę. Mieszka w hotelu robotniczym na Żeraniu.

– Pojadę go odwiedzić – powiedział detektyw. – A ty obejrzyj tę książkę. Dokładnie. Skup się i oceń, czy kiedykolwiek służyła w celach magicznych. Chcesz klucze do biura?

– Nie, pojadę do Celestyny – zapowiedziała dziewczyna. Wietrzyk przez chwilę pożałował, że to nie on bada gramatykę, ale zamienić się nie mógł. Po pierwsze, nie posłałby współpracownicy na wizytę do włamywacza. Po drugie, Celestyna Szara nie wpuściłaby go do domu bez ważnego powodu.

Agnieszka zabrała samochód, a warszawski detektyw dowlókl się do przystanku pod Halą Marymoncką i ruszył za Wisłę. Dochodziła druga – godzina, o której Kryśka zapewne zwykł wstawać, zwłaszcza po takim zastrzyku finansowym. Zygmunt z ledwością przetrwał podróż przez zakorkowany już most Grota, po czym szybko znalazł ponury hotelik. Przydomek „robotniczy” nie funkcjonował już od kilkunastu lat, ale i od tego czasu w ćwierćgwiazdkowej noclegowni o wdzięcznej nazwie „W cieniu komina” chyba nikt nie sprzątał. Nie widząc recepcjonisty, którego można by było przekupić, detektyw sam zajrzał do księgi gości i odnalazł autograf Zdzisława Kryśmiana. Stąpając cicho, wszedł na pierwsze piętro i zaczął szukać numeru piętnaście. Kryskę znalazł szybciej niż

odpowiednie drzwi.

– Pan Kryśmian? – zapytał Zygmunt, patrząc na uśmiechniętego człowieka na korytarzu. – Możemy porozmawiać?

– Spadaj pan, na śniadanie idę – odparł potężny gość hotelu robotniczego.

– Przyniosłem śniadanie ze sobą – zapewnił detektyw, wyciągając pół litra z plecaka.

Przenieśli się do stołówki i rozmawiali całkiem przyjaźnie. Zygmunt pokazał włamywaczowi licencję, przez co pośrednio udowodnił, że nie jest z policji. Słyszając o niedawnej kradzieży, Kryśka już chciał się naburmuszyć i zakończyć temat, ale napełniona wódką musztardówka zatrzymała go na miejscu.

– Pan się nie boi. Odzyskałem książki, a w każdym razie wiem, gdzie zostały sprzedane. Chciałem porozmawiać o tym włamaniu, bo mam wrażenie, że mój klient chce mnie oszukać. – Był to język, który Zdzisław rozumiał, dlatego uśmiechnął się przyzwalająco. – Czy w tej robocie zauważył pan coś... nietypowego? Niezwykłe przedmioty w mieszkaniu. Takie pozbawione wartości, ale wyglądające groźnie?

– No... mieszkanie jak mieszkanie – odparł złodziej. – Nic w nim nie było. Wybrałem tego chudzielca, gdyż wyszedł na całą noc. Nic ciekawego nie znalazłem, więc zabrałem co starsze książki... – Zawahał się sekundę, po czym dodał. – Pamiętam, że na środku pokoju leżała nieziemsko ciężka belka. Więcej chyba nic.

– Pamiętam... – powtórzył zaskoczony Zygmunt. – Jak to?

– No... barek był zachęcający. Zacząłem konsumpcję już na miejscu – odparł Kryśka. – Strasznie mocną miał gorzałę, absynt chyba jakiś, bo mnie zdrowo przetrzepało.

– Tak? Może pan powiedziec coś więcej? – zapytał detektyw, wyczuwając klucz do rozwiązania zagadki.

* * *

Agnieszka odebrała telefon, aktywując zestaw głośnomówiący. Po stukocie noży o deski, Zygmunt poznał, że jego współpracowniczka przygotowuje sałatkę. To go zirytowało. Albo detektywka wypełniła swoje zadanie szybciej niż on, albo zignorowała je.

– Już wiem! – oświadczył z udawaną dumą. – Nasz klient wywoływał duchy.

– Zygi? – zapytała słysząca rozmowę Celestyna. – Nie powinieneś chodzić na takim słońcu bez czapki. – Po czym dodała z jadowitą satysfakcją. – Agnes doszła do tego kretyńskiego wniosku co najmniej pół godziny przed tobą.

– Tak?

– Wyczuwam w tej książce silną obecność duszy czyścowej – wyjaśniła Czująca. – Sama gramatyka nie była używana do obrzędu przywołania, ale znajdowała się blisko, podczas wizyty duszy. Chudy robił notatki na marginesach.

– Zeskanuj wszystko... – zaczął poszukiwacz tajemnic, ale przerwał mu śmiech Celestyny. – Taa... pewnie już to zrobiłaś? W takim razie już do was jadę. Musimy

się dowiedzieć, dlaczego Chudy miał gramatykę szwedzką podczas obrzędu.

– Bo wywoływał Szweda – oznajmiła Celestyna. Zygmunt jęknął upokorzony. Oto najlepszy warszawski detektyw paranormalny został pokonany przez dziewczynę, która nawet nie wierzyła w istnienie duchów. – No już nie płacz, mój Van Helsingu – pocieszyła go studentka medycyny. – Agnieszka odkryła na marginesach interesujące frazy. Wpisałyśmy je do translatora i otrzymałyśmy, między innymi, pytanie: Gdzie jest skarb? Ale to o niczym nie świadczy, nie wyobrażaj sobie. Na zdjęciu z miejsca przestępstwa zauważyłam pustą butelkę po absynce. Wasz klient nie lubi otaczającej go rzeczywistości, więc usiłuje rozmawiać ze skandynawskimi truposzami.

– Dobrze, doskonale... – powiedział zupełnie zbity z tropu Zygmunt. – Ale na nic nam ta wiedza, jeśli nie znamy imienia ducha.

– Jorg Sternson – odparła Celestyna. Napawała się triumfem przez dwie sekundy, po czym dodała: – O tym też było na marginesach.

– Doskonale – skłamał upokorzony poszukiwacz tajemnic. – Ale nie znacie adresu obrabowanego mieszkania, a ja...

– Po co nam? – zapytała Agnieszka. – Wezwiemy ducha po imieniu.

– Czekajcie, zaraz do was przyjadę – oznajmił detektyw. Cóż, tego dnia nie popisał się kunsztem analitycznym, ale sytuacja miała pewne plusy. „Przynajmniej odwiedzę Celestynę.”

* * *

Starsza siostra detektywki mieszkała na Wrzecionie, tuż obok metra. Zajmowała niewielkie, po studencku skromne mieszkanie, jednak była z niego wyjątkowo dumna. Widząc Agnieszkę i Zygmunta rozkładających akcesoria do seansu spirytystycznego, mruzczała złowieszczo, zdaniem detektywa groźniej, niż mógłby wywołany duch Dzingis Chana.

– Macie po sobie posprzątać! – po raz kolejny przykazała Celestyna.

Jej strach miał pewne podstawy. Kilka lat temu, kiedy jeszcze nie wiedzieli o talencie Agnieszki (a Zygmunt i przyszła lekarka stanowili źle dobraną, ale szczęśliwą parę), na sesji RPG Czująca wywołała niechcący pomniejszego demona. Wypadek zakończył się szybko i bez ofiar, ponieważ Wietrzyk zachował zimną krew i zaczął okładać potwora święconą świeczką Caritasu. Niestety po zniknięciu potępieńca pokój Agnieszki był cały oblepiony ektoplazmą i śmierdzał siarkowodorem. Celestyna pomagała im zmyć brudy przed powrotem rodziców. Choć dziewczyna zachowała skrajny sceptycyzm wobec wyczynów siostry, wszelkie przygotowania do aktywności paranormalnej kojarzyły się jej z materialnymi stratami.

– Tak *a propos*, czy wywoływanie duchów nie jest zabronione? – zapytała przyszła medyczka.

– Zabronione są kontakty w demonami – wyjaśnił Zygmunt. – My przywołujemy duszę w czyścicu pokutującą. Wszystko odbędzie się w pełni legalnie – dodał tak niepewnym tonem, że gdyby Celestyna wierzyła w zdolności

siostry, duchy, demony i resztę nadprzyrodzonego tałatajstwa, już dzwoniłaby po inkwizycję. Na szczęście, nie wierzyła.

– Bawcie się dobrze, idę na zakupy – oznajmiła.

Kiedy gospodyni zamknęła za sobą drzwi, detektywi paranormalni zasunęli zasłony, zapalili świece i przygotowali, na wszelki wypadek, kapsułki z wodą święconą. Następnie położyli na stoliku z Ikei flagę Szwecji oraz znaną w lodówce butelkę Absolutu, aby gość poczuł się lepiej w znajomym środowisku. Agnieszka usadziła Zygmunta, sama siadła po drugiej stronie stolika, chwyciła dłonie przyjaciela i już chciała przystąpić do nawoływania, gdy zasepiła się poważnie.

– Ale Zygi... jak my będziemy z nim rozmawiać?

– Uprzejmie, acz stanowczo – odparł detektyw, ale sekundę później zrozumiał problem. – A... w jakim języku? – Faktycznie, Chudy potrzebował tej gramatyki nie dla hecy. Cóż, spróbujemy po łacinie.

– Jeśli to nie jest bardzo stary Szwed, możemy mieć problemy. To w większości luteranie...

– Właśnie! Niech się cieszy, że w czyścicu wylądował, a nie w piekle. Kacierz jeden... – zaczął detektyw, ale umilkł. Wspomniał podstawową zasadę udanych negocjacji, to jest dobre nastawienie do rozmówcy. Rozgrzebywanie kwestii światopoglądowych z pewnością nie poprawiłoby atmosfery. – No... znam angielski i niemiecki. – Wstał, zabrał laptopa Celestyny i dyskretnie postawił go obok święconej wody. – Użyjemy translatora na bieżąco – zaproponował.

Rozpoczęli rytuał. Prawdę pisząc, to nie oni ani nie prawdziwy rytuał. Agnieszka dokonywała niemal wszystkich czynności, ponieważ Zygmunt miał wrażliwość astralną skacowanej wiewiórki. W dodatku same przywoływania nie stanowiły działania magicznego. Głośno modlili się za duszę Jorga, a Czująca usiłowała zlokalizować biedaka w zaświatach.

– Kto mnie wołał? Kim jesteście? – zapytała zjawa, jaśniejąca nad stolikiem. Wypowiedziała te zdania po szwedzku, więc nie otrzymała natychmiastowej odpowiedzi, za to siedzący za świecą mężczyzna nachylił się nad świecącym pudełkiem i zaczął w nie stukać palcami. Jorg pomyślał, że dwudziesty pierwszy wiek jest epoką dziwną, przynajmniej w porównaniu z siedemnastym stuleciem.

– My cię witać – powiedział właściciel świecącego pudełka. – Bądź pozdrowiony. Czego potrzebujesz oddechu pralni.

Dopiero wtedy Sternson zrozumiał, że tajemnicze pudełko zastępuje śmiertelnikowi mózg, więc nie irytował się łamaną wymową. Nie wiedział, na jakiej zasadzie działają translatory internetowe, ale pojął, że dokładne wpisywanie myśli w jednym języku i oczekiwanie, że mechaniczny przekład zachowa sens, jest wysoce naiwne. Zauważył jednak na półce obok, książkę o niemieckim tytule.

– Mówisz po szwabsku? – zapytał w mowie Lutra. Zdumiony Zygmunt potwierdził. – To dlaczego od tego nie zacząłeś? – Chłopak bezradnie rozłożył ramiona. – Ten poprzedni też usiłował mnie pozdrowiać mową ojczystą, ale nie

miał myślącego pudełka, a jedynie księgi. Od czasu mojej śmierci bardzoście ludzie pogłupieli...

– Wybacz, duszo... ale co masz na myśli, mówiąc „poprzedni?”.

Kilka minut rozmowy w łamanym niemieckim (warto przypomnieć, że przez cztery wieki język ten zmienił się nie do poznania) wyjaśniło sporną kwestię. Nieważne, jak głupi byłby Zygmunt, nie pobił w bezmyślności Chudego. Ten zadał wszystkie pytania łamanym szwedzkim, po czym zapisał odpowiedzi na marginesie książki. Ponieważ informacje dotyczyły ukrycia skarbu, okradziony okultysta nie otrzymał dokładnej odpowiedzi. Postanowił poszukać zaufanego tłumacza, ale gdy go znalazł, odkrył rabunek.

– Szkoda – mówił Jorg. – Ten Polak obiecał mi pomoc. Miał przeznaczyć skarb na ofiarę dla katedry Świętego Jana. Wtedy skończyłaby się moja kara...

– Kara? – zapytał detektyw, a Sternson rozpoczął smutną opowieść.

Był sierżantem piechoty w armii Wittenberga. W 1655 roku zdobywał Warszawę i był jednym z żołnierzy, którzy sprofanowali ołtarz w katedrze. Potem został z garnizonem aż do wiosny pięćdziesiątego szóstego, gdy okupowane miasto otoczyły wojska koronne. Umarł, obciążony grzechami okrucieństwa i świętokradztwa, ale także chciwości. Zgromadził w podziemiach starówki wielki skarb, który zamierzał zabrać do domu. Szczęśliwie w dniu śmierci poczuł wyrzuty sumienia i ślubował Bogu przeznaczenie wyszabrowanego mienia na zbożne cele. Potem jego potylicza doznała bliskiego kontaktu ze spadającą belką. Poza karami czyścowymi został skazany na błąkanie się po Warszawie aż do czasu zadośćuczynienia za grzechy.

– Nie ufaj temu człowiekowi – powiedział z mocą Zygmunt. – Mamy podstawy przypuszczać, że chce cię oszukać, skarb zatrzymać dla siebie i zapomnieć o sprawie.

– No tak głupi to chyba nie jest. Zawsze mogę go straszyć aż do skutku – odparł Jorg.

– Nie do końca... – zauważył ponuro Zygmunt. – Zostałeś skazany na pokutę w Warszawie. Dawnej Warszawie, która podczas oblężenia obejmowała obszar niewiele większy od zasięgu Barbakanu. Na Wrzeciono przybyłeś tylko dlatego, że moja przyjaciółka cię wezwała. Nie możesz dręczyć nikogo, kto znajduje się dalej niż w zasięgu dźwięku dzwonów warszawskiej katedry.

– Tak... – zasępił się Szwed. – Okazałem się równie głupi, co wy. Jak dobrze, że ten oszust nie znajdzie skarbu. Ale... – spojrzał z nadzieją na młodych detektywów – może wy mi pomożecie? Nie mam czym zapłacić, ale jeśli obiecacie, że zwrócicie skarb, pozwolę wam zatrzymać arsenał mojej kompanii.

– Zapewne nie wystawisz nam za to faktury... ale zgoda! – powiedział Zygmunt. – Jutro zajmiemy się sprawą.

* * *

Ubrali się jak gazownicy, a w każdym razie tak jak według telewizji wyglądali kontrolerzy instalacji gazowej. Szare kombinezony (w czerwcowym upale

dostarczające niewiarygodnych katuszy) pożyczyci od grających w paintball sąsiadów Zygmunta. Naszywki z logiem odpowiedniej instytucji były w istocie nalepkami wydrukowanymi na klejącej folii. Za mierniki posłużyły im egzotyczne końcówki ogrodowego węża, a także stary licznik Geigera. Ten dostarczył im nieliczej rozrywki, ponieważ w metrze ciągle piszczał.

– Pewnie się rozregulował – uspokajał przyjaciółkę Zygmunt. – Albo te plotki o zostawionych przez sowietów głowicach są prawdziwe – dodał ciszej, a w jego głosie można było usłyszeć niezdrową fascynację.

Wysiedli przy Ratuszu i ruszyli Długą ku Staremu Miastu. Około południa dotarli pod wskazany adres. Jorg był z nimi, ale nie mógł manifestować się w świetle dziennym. Dlatego tylko szeptał do ucha Agnieszki. Przypomnijmy, dziewczyna nie znała szwedzkiego ani niemieckiego. Ale uczyła się.

– *Hjer ist das hajm! My mussen zu piwnicen gejen* – powtórzyła Czująca. – O, Jorg zna trochę polski – dodała z dumą.

Niestety kamienica należała do kilku rodzin oraz właściciela knajpy. Detektywi przykleili plakietki i zapukali w boczne drzwi. Otworzył im postawny Wietnamczyk w staropolskim kontuszu. W prawej ręce trzymał tacę z kuflami, w lewej menu lokalu. Po wymianie kilku, dość abstrakcyjnych zdań, Zygmunt stwierdził, że Sarmata z Azji Południowo-Wschodniej mówi po polsku tylko trochę lepiej, niż on po szwedzku.

– Musimy zejść do piwnic – stwierdził rozkazującym tonem detektyw. – *Mazel tov!* – I ruszył ku schodom.

Oświetlając drogę kieszonkowymi latarkami, wkroczyli do podziemi. Szybko opuścili pomieszczenie dopuszczone przez inspektorat budowlany do użytku i zagłębili się w siatkę korytarzy starych jak całe miasto. Tu Jorg już mógł pokazać swoje oblicze. Dość pewnie prowadził detektywów ku skarbcowi pod Piwną. Już chciał zdradzić Zygmuntowi miejsce ukrycia klucza do wrót, ale poszukiwacz tajemnic wpadł po ciemku na spróchniałe drewno i przewrócił całe skrzydło drzwi. Klnąc na czym świat stoi, podniósł latarkę i oświetlił duszną komnatę. Sekundę później podziękował Bogu, że wybrał się z nowoczesnym świetlikiem, a nie z pochodnią.

– Boże! Jak to wybuchnie, to rozwali pół ulicy! – jęknął detektyw, patrząc na arsenał.

Kompania Jorga zgromadziła w podziemiach słusne zapasy prochu, kilkanaście muszkietów, pistoletów oraz pik. Zygmunt przesadzał. Zamknięty i zwietrzały proch nie groził wybuchem, wyłączwszy kontakt z otwartym ogniem. Jednak marsz nad pachnącymi siarką baryłkami znacznie przyśpieszył tętno poszukiwacza. Agnieszka kroczyła za nim spokojnie, myśląc, że widzi baryłki wina.

– I co teraz? – zapytał Zygmunt. – Gdzie ten skarb?

Sternson nie znalazł skutecznego sposobu komunikacji z Czującą, ale w ciemności mógł pokazywać kierunek swoim eterycznym ciałem. Poszybował nad zbutwiałą skrzynią i zawisł w oczekiwaniu. I ten zamek nie stanowił dla detektywa wielkiej przeszkody. Wbrew rozpowszechnionemu przez filmy

mniemaniu o piratach, zamknięcia kilkusetletnich pojemników zachowują się dokładnie tak samo, jak każdy materiał po upływie takiego czasu. Wietrzyk zamierzał podważyć od tyłu zawiasy, ale kiedy się zaparł, poleciał do tyłu, trzymając wyrwane wieko.

– *Min älskade!* – zawołał chciwie duch, ale zaraz potem dodał ze skruchą. – Nie, to nie mój skarb. Złoto wrzucie do skarboxy w katedrze, a papiery sprzedajcie i przekażcie zysk ubogim.

– Jakie papiery? – zapytał Zygmunt, który odkrył pod cienką warstwą gdańskich i toruńskich guldenów skórzane teczki.

– To skarb największy. Wart fortunę... – zaczął tłumaczyć duch, ale zniknął.

Struga jaskrawego światła przecięła ciemność komnaty. Ktokolwiek śledził detektywów, był znacznie lepiej przygotowany od nich. Wars i Sawa usłyszeli nieznośną sprzeciwu komendę „Ręce do góry!” i zastosowali się do niej. Jak się okazało – zrobili słusznie. Chudy stał na progu pomieszczenia, trzymając w jednej dłoni jaskiniowy reflektor, w drugiej tłumiony pistolet.

– Dzień dobry, moi mili – powiedział spokojnie. – To wszystko przez te sklepy internetowe. Kupiłem górski zestaw ratunkowy, z mikroradiolatarniami i lokalizatorem. Pan Zygmunt ma nadajnik w bucie. Zauważyłem, że wyjściowe obuwie trzyma pan w przedpokoju i nie mogłem się powstrzymać. – Wietrzyk przełknął ślinę, obiecując sobie przechowywanie garderoby poza biurową częścią mieszkania. – Jak się okazało, słusznie. Chcieliście mnie oszukać.

– Umawialiśmy się na trzy dni – zauważył detektyw. – Dostałby pan swoją książkę.

– Bez skarbu – mruknął Chudy. – Ten duch szprechał w jakimś pogańskim języku, więc nie zrozumiałem szczegółów. To dzięki wam trafiłem na miejsce. Ale teraz, do roboty. – Groźnie pokiwał pistoletem. – Niech pani się nie rusza, a pan Zygmunt wyciągnie ostrożnie zawartość skrzyni.

– To skórzane teczki z jakimiś papierami – odparł detektyw. – Chyba przegapił pan istotne informacje na temat skarbu.

– Wyciągnij jedną i połóż na podłodze. Powoli – rozkazał chudzielec.



Agnieszka mogłaby użyć talentu i z pomocą żywiołu ognia zdetonować naboje rabusia albo rozhartować lufę pistoletu. Nie zamierzała, rzecz jasna, tego robić, obawiając się, aby chudzielcowi nie stała się krzywda. Zygmunt właśnie liczył na poważne uszkodzenie ciała wścibskiego klienta, ale wiedział też, że jego przyjaciółka jest zbyt delikatna jak na swój brutalny zawód. Odłożył plan krwawej zemsty na potem i sięgnął po pierwszą teczkę. Dyskretnie uchylił okładkę, aby przeczytać pozłacany napis na szarym papierze. Potem położył paczkę na podłodze i cofnął się. Chudzielec natychmiast podniósł skarb i ze zdumieniem odwinął skórę.

– *Verenigde Oostindische Compagnie...* – przeliterował. – *VOC Aandeel?* Co to ma znaczyć!? – jęknął. – Szukałem legend o skarbie na Pivnej dwa lata. Uczyłem się szwedzkiego i przywołałem ducha... Tylko po to, aby dostać jakieś papiery!?

– To akcje niderlandzkiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, zapewne zrabowane w Toruniu – wyjaśnił spokojnie Zygmunt. – Za życia Sternsona już były drogie, a pół wieku po jego śmierci zwiększyły wartość kilkakrotnie. Właściwie aż do połowy osiemnastego wieku te papiery stanowiły najcenniejszy skarb na świecie. Jaka szkoda, że Jorg ma pewne zaległości w danych giełdowych...

– Kłamiesz! Tu jest złoto! – warknął Chudy.

– Trochę, ale musimy je złożyć na ofiarę za spokój duszy Sternsona.

– Pokaż mi je – rozkazał klient, a widząc, że Zygmunt podchodzi do skrzyni, dodał: – Nie ruszaj się. Stój, gdzie jesteś, przy tych beczkach. Podam latarkę twojej przyjaciółce, a ona mi poświeci.

Zygmunt spokojnie spoczął na baryłce prochu, myśląc, co dalej. Najchętniej cisnąłby jakimś eksponatem w głowę amatora skarbów, ale nie podobała mu się perspektywa strzelaniny. Ostatecznie siedział na beczce prochu – dosłownie – i nie miał bronii. – *Bist du sicher?* – odezwał się głos w powietrzu. Wzrok detektywa padł na broń skałkową ułożoną pod ścianą.

– Światła! – zażądał Chudy, a Agnieszka spełniła jego żądanie. Aż zbyt skwapliwie.

Skierowała promień wprost w oczy klienta. Ten jęknął, osłonił twarz dłońmi i strzelił na ślepo, na postrach. Zygmunt tylko na to czekał. Rzucił się w kąt pomieszczenia i chwycił dwa antyczne pistolety kawaleryjskie. A Jorg zawył tak głośno, jak potrafią tylko duchy. Chudzielec wypalił pięć razy w ciemność, lewą dłonią wciąż trąc oczy.

– Nie ruszać się, bo wszystkich powystrzelam! – wrzasnął.

– Nie wszystkich. Masz już tylko jeden nabój w magazynku – zauważył Zygmunt. Blefował, bo nie był pewien, jaką broń nosi przeciwnik. Ale groźba zabrzmiała srogo. – A jeśli strzelisz i trafisz w proch, zginiemy wszyscy!

– Wyłącz reflektor, panienko – syknął Chudy. – Nie widzę cię, ale będę strzelał w światło.

Jaskiniowy szperacz zgasł i komnatę oświetlały tylko leżące na podłodze kieszonkowe latarki detektywów. W ich blasku obie strony wreszcie mogły oszacować swoje atuty. Amator skarbów mierzył teraz do Zygmunta, ale Wietrzyk nie był bezbronny. Ścisnął dwa pistolety kawaleryjskie i dyskretnie zastanawiał się, czy istnieje jakakolwiek szansa, że ponad trzystuletni proch wybuchnie od iskry zamka.

– No to sytuacja jest patowa – skłamał lekko. – Niech pan stąd idzie. Guldenów starczyłoby akurat na kupno drugiej latarki, a akcje są bezwartościowe. – Przesadzał. Bezwzględny kolekcjoner mógłby je sprzedać dowolnemu domowi aukcyjnemu za kilkadziesiąt tysięcy złotych. On też myślał o spieniężeniu papierów i przeznaczeniu sumy na pokutę Jorga. – Czy warto ryzykować życie dla zapleśniałej skrzyni i kilku kartek?

– Straciłem pół roku... – jęknął Chudy.

– Rozpoczął pan naukę szwedzkiego – zauważyła patologicznie optymistyczna Agnieszka. – Proszę zainwestować więcej w kapitał umysłowy.

Podstępny klient mierzył wzrokiem detektywów jeszcze dobrą minutę, po czym rzucił skandynawskie przekleństwo i zniknął w korytarzu. Dla pełnego obrazu historii dodajmy, że wychodząc, wpadł na Nguyena Den Giapa, który obił intruza płazem tępej szabli i zaprowadził go do Nelsona Menebe, właściciela restauracji „Sarmatia”. A nasi bohaterowie wyszli spokojnie bocznymi piwnicami, prowadzeni przez Sternsona.

– Nie martw się, Jorg – mówił Zygmunt. – Guldeny zaraz wrzucimy do skarboxy

w katedrze. Spieniężenie zabytkowych akcji zajmie nam chwilę, ale potem wpłacimy odpowiednią sumę na Caritas. Przez ten czas będziesz wciąż uwięziony w Warszawie, ale nie pozwolimy, abyś się nudził.

– Przykro mi, że nie możecie potrącić sobie honorarium – powiedział smutno duch. – Niestety, takie są zasady – muszę zwrócić cały zrabowany skarb.

– Ale ta broń, proch i muszkiety...

– To mój arsenał, nie część łupu. Możesz z nimi zrobić, co chcesz – zapewnił Szwed.

– Doskonale! – Detektyw uśmiechnął się. – Agnes, właśnie stałem się kolekcjonerem militariów. No chyba że ty też masz chrapkę na swoją część skarbu.

– Nie – odparła dziewczyna – zapłata jest dla mnie poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Rzadko się to zdarzało, ale Agnieszka skłamała, a w każdym razie nie mówiła całej prawdy. Prócz zasługi w niebiesiech, zdobyła także darmowego nauczyciela języka szwedzkiego.

IV. TRZECIE PRAWO MULDERA

Stwór wyprostował łapy i wstał. Fuknął z obrzydzeniem, ponieważ nie znalazł tego, czego szukał. Ludzkie ciało nie było smaczne, a wręcz odstręczało wodne stworzenie wonią chemikaliów i strachu. Gorąca noc zaostrzała głód, a pusty żołądek ssał z niewyobrażalną siłą. Choć człowiek nie mógł ukoić bólu, jego dobytek mógł. Szary stwór ruszył kaczym krokiem ku ogrodzeniu strzeżonego osiedla. Jeszcze nigdy nie zapuszczał się tak blisko siedzib suchych istot, ale nie miał wyboru. Widział za płotem las jednakowych, brudnobeżowych klocków, w których mieszkali ludzie. Może mieli tam ryby albo kaszę czy słodkie syropy. Trzeba było spróbować.

Głodna istota postawiła błoniastą łapę na drucianym płocie i napała całym ciałem. Tak jak myślała, ogrodzenie nie wytrzymało i padło z płaskiem w rzadkie błoto warszawskiego Wilanowa. Problem nieoczekiwanie zniknął. Skórzaste łapy poczłapały w głąb, ku światłom osiedla. Zapachy, tysiące woni, zarówno przyjemnych, jak przykrych, rozsadały nozdrza stwora. Głód nie pozwalał mu myśleć, otępieł zmysły. Osłabiał także ostrożność.

– Stój! Kto idzie! – krzyknął Henryk Wiost, starszy stójkowy osiedla „Parkowe”. Nie słysząc odpowiedzi, podniósł latarkę i skierował wąską strugę światła ku szaremu kształtowi z ciemności. – Drzewo... – mruknął, ale w tej samej sekundzie domniemana roślina skoczyła w kierunku ogrodzenia. – Ja wam dam, złodzieje! – sapnął pan Henryk, chwycił gazowy pistolet i wybiegł na trawnik.

Przyjemna zieleń osiedla szybko przechodziła w szarą bagną. Jednak stójkowy nosił solidne buty i był przyzwyczajony do uroków pracy. Odważnie wbiegł na grząski grunt, wciąż szukając słupem światła domniemanych włamywaczy. Zatrzymał się, kiedy dotarł do wyłamanego fragmentu ogrodzenia. Nie był tchórzliwym mężczyzną, ale znał się też na budowie płotów. Tej wyrwy nie dokonałby bezgłośnie pojedynczy człowiek. Może w ogóle nie dokonałby człowiek...

– Pod twoją obronę... – zaczął szeptać ochroniarz i ruszył ostrożnym krokiem w głąb wilanowskich chaszczki.

Wiedział, że między granicą osiedla a ogrodem wokół Świątyni Opatrzności Bożej rozciąga się kilka kilometrów kwadratowych zupełnie dzikich zarośli. Nie chadzał tam, jeśli nie musiał. Ale przecież szukał wandalów. W lewej dłoni ścisnął latarkę, w prawej pistolet i żałował, że nie ma trzeciej ręki, aby złapać za różaniec. Mimo wszystko szedł.

Przeskoczył nad strużką stojącej wody, zapadł się w błoto po kolana, potem chodził już tylko w pobliżu drzew i krzewów. Włamywacze zniknęli w pustce sierpniowej nocy. W powietrzu wciąż było sucho, ale zbierało się na burzę.

Natura ostrzegła Henryka dziwnym smakiem wiatru i martwą ciszą. Po raz kolejny stójkowy obiecał sobie przejść na wcześniejszą emeryturę.

Jak już wspomnieliśmy, starszy ochroniarz nie był bojaźliwy, ale ciężko wymagać od zagubionego na ciemnych bagnach miastowego zbytniego heroizmu. Krzyknął na cały głos, kiedy zauważył nogi wystające żałośnie z lepkiego błota. Opanował nerwy zaledwie sekundzie, odskoczył w bok przed spodziewanym atakiem. Kiedy ten nie nadszedł, zaczął kręcić latarką, przeszukując okoliczne krzaki. Upewnił się, że nikt na niego nie czyha i podszedł do martwego kształtu. Chwycił za nagą kostkę (była to kobieta w spódnicy) i zrozumiał, że jest za późno. Ciało tchnęło chłodem, zastanawiającym jak na tak ciepłą noc. Henryk pociągnął, i wydobył nieszczęśniczkę ze szlamu. Potem krzyknął raz jeszcze, ciszej, ale i z większą żalnością. Znał ją – to była pani Irena spod ósemki.

* * *

Zygmunt czuł się nieswojo, ilekroć przychodził do mieszkania Błażeja. Pocieszało go trochę to, że Błażej czuje się jeszcze gorzej.

Właściwie jasnoszary klocek wciśnięty w jeden z sześciennych, pięciopiętrowych bloków wilanowskiego osiedla „Parkowe” był poniekąd i domem Agnieszki. Dziewczyna niby żyła wciąż z rodzicami, ale często pomieszkiwała kilka dni pod rząd u chłopaka. Czasem właśnie stamtąd Zygmunt zabierał ją na akcje i po wielekroć spotykał irracjonalnie zazdrosnego Błażeja. Wysoki, kościsty ukochany Agnieszki był przekonany, że ta zdradza go z detektywem. Próby wytłumaczenia prawdziwego stanu rzeczy mijały się z celem. Gdyby współpracowniczka agencji detektywistycznej „Wars i Sawa” szczerze opowiadała o swoich zawodowych przygodach, Błażej nie tyle, że by jej nie uwierzył, co wysłałby ją na obserwację psychiatryczną.

Ale tym razem to on wzywał Zygmunta, i to jako śledczego. Zdziwiony odmianą losu, detektyw zsiadł z roweru, przeszedł przez bramkę kontrolną, po czym przekroczył niepewnie mostek nad nienazwanym ściekiem wodnym. Całe osiedle przypominało nie tyle więzienie, co więzienie syberyjskie, z którego uciec nie można. Wejścia i wyjścia z luksusowej osady bagiennej strzegli ochroniarze, metalowa siatka i sama natura, w postaci podmokłych gruntów.

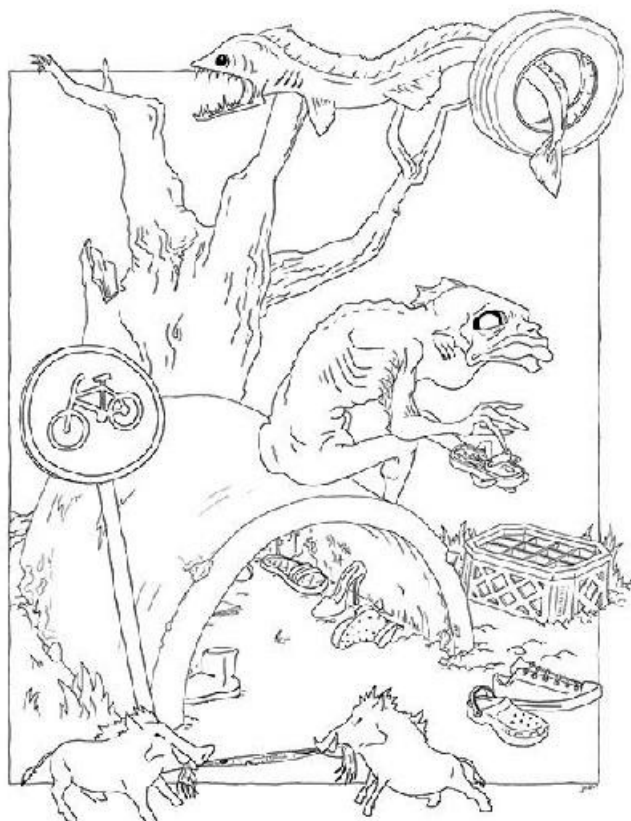
Zygmunt znów wsiadł na rower i ruszył wąskimi uliczkami osiedla pod numer osiem. Gdzieś w dali widział sylwetkę Świątyni Opatrzności Bożej. Jako grzeszny, ale prawowierny katolik, ganił siebie za podobne myśli, ale ilekroć widział dziwną bryłę świątyni, myślał o końcu świata, platformach wiertniczych i szeroko pojętej estetyce postapokaliptycznej. W jakiś sposób betonowy Dom Boży pasował do wciśniętego w enklawę dzikości nowobogackiego osiedla.

Detektyw dotarł do jednego z niskich bloków mieszkalnych, odróżnionych od dziesiątek bliźniaków jedynie numerem. Wpisał kod, a komputer domu uprzejmie go wpuścił. Wniósł rower na pierwsze piętro (po schodach – windy nie działały z powodu wybicia wody w szybie) i zapukał pod numer dziesiąty. Otworzyła Agnieszka, ale nie powitała go zwykłym, promiennym uśmiechem,

a poważnym głosem.

– Cześć, wejź.

Zygmunt przestraszył się. Jego przyjaciółka należała do osób patologicznie wręcz optymistycznych i smutek na jej twarzy oznaczał poważne kłopoty. Przez chwilę detektyw myślał, co się stało i czemu Błażej potrzebował jego pomocy. „Może zabił kogoś i potrzebuje sposobu na ukrycie ciała?” – pomyślał łowca tajemnic. „Ale nie, to głupie. W tych bagnach nawet inwalida pierwszej klasy potrafi ukryć zwłoki tak skutecznie, że nie znajdą się do sądnego dnia”. Wszedł do sterylного mieszkania, któremu nawet indywidualność Agnieszki nie zdołała zaszcześcić osobowości. Odstawił rower, zdjął buty i wkroczył do salonu.



Błażej siedział w fotelu ze szklanką whisky w dłoni. Alkohol był poważnie rozcieńczony sokiem jabłkowym (obrzydliwość!), więc gospodarz zapewne tylko udawał stan depresyjny. Robił to jednak dość dobrze, bo powitał Zygmunta z wyrazem ulgi na twarzy. „Ciesz się na mój widok. Jest źle” – pomyślał Zygmunt i zastanowił się, kogo mógł zamordować gospodarz.

– Policja skończyła dochodzenie. Niczego nie wykryli – oznajmił Błażej. – Odpowiedziałem na wszystkie pytania, a oni nadal nie wiedzą, kto to zrobił. Nie ma taśm wideo, śladów włamania ani świadków.

– Skoro policja skończyła dochodzenie, to chyba jesteś bezpieczny... – chciał powiedzieć Zygmunt, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

Niekoniecznie chodziło o zbrodnię dokonaną przez chłopaka Agnieszki. Detektywka potwierdziła przypuszczenie, podając współnikowi opasłą teczkę. Były to wydruki artykułów prasowych oraz inne materiały: zdjęcia i kserokopie. Zygmunt spojrział na zdjęcie denatki i zrozumiał. Media pisały o sprawie dwa dni wcześniej. Tajemnicza topielica na bagnach Wilanowa. Nie zainteresował się tą sprawą, ponieważ nie skojarzył miejsca. Ofiara była sąsiadką Błażeja. Przy okazji spostrzegł też, że w teczce znajduje się sporo materiałów, które nie powinny były opuścić akt policyjnych.

– Sama to zebrałaś? – zapytał, patrząc z podziwem na Agnieszkę. – To znaczy... sytuacja jest przykra, ale nie sposób nie zauważyć, że przeprowadziłaś bardzo fachowy risercz.

– Podkradanie policyjnych poszlak nic nie da – zauważyła detektywka. – Trzecie prawo Muldera.

Prawami Muldera różnoracy sieciowy detektywi, poszukiwacze tajemnic i oszołomy określali zbiór gorzkich prawd o oficjalnych organach ścigania. Trzecia maksyma brzmiała: „Władze, niekoniecznie ze złej woli, zwykle z powodu rutyny i ograniczeń administracyjnych, prędzej czy później zamkną sprawę związaną z czynnikami paranormalnymi, nie wydając wiążącej konkluzji”. Zapewne dzięki temu agencja „Wars i Sawa” mogła funkcjonować. Wszystkie przestępstwa związane z wampirami, czarnoksięstwem i pogańskimi kultami grzęzły w biurokratycznej maszynie policji, a nikt rozsądny nie chciał rozgrzebywać tak kłopotliwych strupów.

– Czyli to sprawa... nasza? – niezręcznie zapytał Zygmunt. Błażej nie wiedział wszystkiego o profilu działalności „Warsa i Sawy”, a Agnieszka wolała, aby tak zostało. Tym jednak razem nie kryła się przed chłopakiem.

– Tak. Powinieneś porozmawiać z Piotrkim. Wytłumaczy.

* * *

Piotr Waclaw czekał w swoim mieszkaniu. Panował tam niewiarygodny zaduch, jakby po śmierci dziewczyny młody menedżer stracił nie tylko chęć do życia, ale i zmysł powonienia. Siedział na kanapie ze sztucznej skóry i wpatrywał się w ścianę. Zareagował dopiero na łagodny głos Agnieszki.

– To jest Zygmunt, mój przyjaciel. On ci uwierzy.

– Jasne... – szepnęła obojętnie Piotr.

– Panie Waclaw... Piotrze... – odezwał się detektyw. – Pracuję w mojej branży już kilka lat... – Znaczyło to dokładnie „dwa”, ale z formalnego punktu widzenia nie kłamał – ...i widziałem rzeczy dziwne. Większość domniemyanych zagadek paranormalnych okazywała się plotkami bądź fantazjami, ale – o czym Agnieszka może zaświadczyć – widzieliśmy już rzeczy, których współczesna nauka nie potrafi wytłumaczyć.

– A spotkałeś kiedyś wodnika? – zapytał Waclaw.

Zygmunt ustalił fakty, kompilując ustalenia policji, informacje Błażeja i zeznanie Piotra. We wtorek Irena Miska siedziała w mieszkaniu, przygotowując prezentację na weekendową konferencję. Waclaw nie był pewien godzin, ponieważ sam pracował nad zleceniem i nie patrzył na zegarek. Pamiętał, że Irena wykazywała tego wieczoru niepokój, a około dwudziestej pierwszej zwróciła uwagę na dziwne odgłosy dochodzące od strony bagien. Być może wypła drinka albo dwa (to pokrywało się z ustaleniami śledztwa), ale według słów konkubenta, była tuż przed dwudziestą drugą w pełni świadoma swoich czynów i zachowała elementarną sprawność motoryczną. Pięć minut po dziesiątej Piotr postanowił pójść do osiedlowego sklepu nocnego, aby kupić aspirynę. Z powodu kolejki i problemów z kasą wrócił dopiero trzydzieści minut później i nie zastał dziewczyny. Z początku uznał, że poszła odwiedzić Błażeja albo innych sąsiadów, ale tuż po dwudziestej trzeciej, zaniepokojony, zadzwonił na komórkę. Telefonu nie było w domu, ale torebka została. Zaintrygowany Piotr zapukał do Błażeja, potem wrócił do siebie i zadzwonił do kilku znajomych Ireny. Następnie ruszył do sklepu nocnego, aby spytać ekspedientkę, czy nie rozminął się z konkubentką. O północy wrócił do mieszkania. Nie zastał Ireny, więc ruszył na poszukiwanie ochrony osiedla. Spotkał starszego stójkowego Henryka Wiosta, który obiecał rozpocząć poszukiwania niezwłocznie, przy czym poradził Waclawowi powrót to domu i czekanie. Młody menedżer tak właśnie zrobił, dzwoniąc jeszcze pod kilka numerów.

Tymczasem Wiost usłyszał dziwne dźwięki, które dochodziły z południowego krańca osiedla. Za dwadzieścia pierwsza odkrył wyrwę w ogrodzeniu, a pięć minut później ciało Ireny Miski. Zadzwonił na policję. Pierwszy patrol przybył niemal równocześnie z roztrzęsionym Piotrem Waclawem. O trzeciej nad ranem przyjechała ekipa dochodzeniowa, a do piątej trwały wstępne oględziny. Ciało zostało zabrane do kostnicy. Przez ten czas trzech policjantów zebrało zeznania od świadków (konkubenta denatki, Błażeja, Henryka Wiosta i ekspedientki w sklepie). Zygmunt trzymał kopie tych oświadczeń. Teraz chciał się dowiedzieć, czego świadkowie nie zeznali.

– Powiedziałeś wodnik – zaczął ostrożnie.

– Nie wiem, co to było – odparł Piotr bezsilnym głosem. – Wiem, że przyszło z bagien. Miało około dwóch metrów wzrostu, sylwetkę zbyt muskularną, jak na człowieka. Widziałem też ślady. Takie... z płetwami, a w każdym razie z błoną.

Zygmunt drążył. Pokazywał znalezione w sieci rysunki wodników, a także pytał o szczegóły. W pewności Piotr był obciążony popkulturowym schematem potwora, ale pewne detale kazały wierzyć, że widział istotę. Teoria o ataku nadprzyrodzeńca zyskiwała wiarygodność. Nic dziwnego, że policja szybko sprawę zamknęła. Trzecie prawo Muldera działało z pełną mocą. Tylko Agnieszka i Zygmunt mogli rozwiązać problem. Zapowiadała się pracowita noc.

Przez dobre kilka minut detektyw przyglądał się zdjęciom denatki. W pewnym momencie zaprosił przyjaciółkę do łazienki. Tam zmierzył sobie dłonie i zasymulował duszenie ofiary. Czująca poddawała się tym zabiegom z anielską cierpliwością, ale gdy poszukiwacz tajemnic skończył i zapisał coś w notatniku,

nie wytrzymała i zapytała.

– O co chodzi? Wpadłeś na jakiś pomysł?

– Powiedzmy – odparł Zygmunt. – A właściwie straciłem wizję wypadku. Nie potrafię znaleźć śladów po walce, a przecież Irena została brutalnie utopiona.

– Być może stwór nie musiał użyć siły. Ona była przerażona...

– Tak, ale to prowadzi do kolejnego pytania. Jeśli zabił, to dlaczego nie zjadł?

– Przestraszył się – wyjaśniła Agnieszka. – On tak naprawdę nie chciał zrobić nikomu krzywdy, tylko stracił nad sobą panowanie. Bardzo źle się stało. Trzeba go złapać i chyba zabić, ale bardzo mi z tego powodu przykro. Jeśli w zoo tygrysy zagryzie człowieka, strzelają do niego, choć nie złamał prawa swojego gatunku. Biedna Irena... – Blondynka ruszyła ku drzwiom. – Idziemy?

– Jeszcze jedna sprawa... – dodał detektyw. – Wiesz, co chcę zaproponować?

– Sami sobie nie damy rady. Potrzebujemy wsparcia.

– Właśnie. Policja nam nie pomoże, a sprawę trzeba zamknąć szybko. Przy takiej suszy wodnik będzie wciąż podchodził pod ludzkie siedziby. Poziom wody opadł, a on jest głodny.

W tej samej chwili z nieba spadły pierwsze krople deszczu. Lekki prysznic zmienił się szybko w ulewę, jakby natura chciał nadrobić dwa tygodnie absolutnej suszy. Zygmuntowi bardzo się to nie podobało. W mokrym środowisku wodnik przestawał być już oszalałym i umęczonym zwierzęciem, stawał się panem środowiska. Lepiej było go znaleźć szybko, ponieważ wciąż czuł głód.

– Czy możemy wtajemniczyć Błażeja? – zapytał ostrożnie detektyw.

– To nie Celestyna, z nim nie pójdzie tak łatwo – odparła Agnieszka. – No chyba że przekonasz go do teorii zbiegłego z zoo niedźwiedzia albo kabackiego guźca.

– Zabierzemy Błażeja, Piotra i pana Henryka. Powiemy, że szukamy zwierzęcia – zdecydował poszukiwacz tajemnic. – Potrzebujemy pomocy.

Szybko przygotowali wyprawę. Choć bagna między osiedlem a świątynią miały w najszerszym przekroju sześćset metrów, noc i deszcz zwiększały ten dystans zasadniczo. Zygmunt zebrał swoją małą armię i wyjaśnił im plan. Wacław zgodził się od razu, Błażeja przekonała Agnieszka, ochroniarz zgłaszał uwagi. Ostatecznie był to jego teren, a dziwny przybysz chciał wyręczyć stójkowego w robocie. „Chociaż... może to i lepiej” – myślał Wiost gorzko. – „Już raz się nie popisałem”.

Detektyw rozdał czwórce towarzyszy broń, a dokładniej mówiąc, złoty środek między legalnością a skutecznością. Sklepy ogrodnicze sprzedawały teleskopowy sekator – nożyce sadownicze na dwumetrowym, elastycznym pręcie. Zygmunt kupił trzy takie urządzenia, wymontował sekatory, a na to miejsce wstawił ręczne paralizatory. Po ściśnięciu uchwytu, miały poruszać ostrzami, mechanizm uruchamiał elektryczną broń, w ten sposób zwiększając wielokrotnie jej zasięg. Wręczył wynalazek Błażewi i Piotrowi, sam zatrzymał trzeci. Henryk nosił swój pistolet gazowy, a Agnieszka postanowiła świecić im latarką. Ruszyli w szemrzącą deszczem noc.

– Dlaczego musimy go schwytać dzisiaj? – zapytał szeptem Piotr. – I dlaczego przy świadkach?

– Inaczej władze nam nie uwierzą – odparł Zygmunt. – A przecież chcesz, aby

uwierzyli w twoją wersję.

– Nie jestem szalony – zapewnił zduszonym głosem Piotr.

– Wiem.

Dotarli do wyrwy w ogrodzeniu, wciąż czekającej na odwiedzinę ekipy remontowej. Dalej zaczynało się bagno, więc prowadził Henryk. Szedł krętą drogą od krzaka do krzaka, kierując się do miejsca, gdzie owej pechowej nocy znalazł ciało. Deszcz szumiał dalej, tak że światło niesionej przez Agnieszkę latarki szybko ginęło w ciężkich kroplach.

– Trzymajmy się razem – poradził ochroniarz. – Tu jest niebezpiecznie.

– Nie tak bardzo – odparł Zygmunt. – Grozi nam przede wszystkim utonięcie w szlamie.

– A morderca? – zapytał Henryk. – Czy ten legendarny niedźwiedź...

– Nie jest taki straszny, jak się wydaje.

Szli dalej, tracąc z oczu latarnie osiedla. Stójkowy i Waław nie kryli niepokoju. Zygmunt nie dziwił się im, wiedział jednak, że mężczyźni boją się z innych powodów. Latarka Agnieszki przeczesywała krzaki, ale Czująca wskazywała drogę, prowadzona zmysłami innymi niż wzrok. Jej talent bezbłędnie określał kierunek.

– Dziwna sprawa z tym atakiem – mówił Zygmunt tuż nad uchem Piotra. – Wiem, że boisz się wracać do tego wieczoru, ale nie wydało ci się dziwne, że morderca... to znaczy potwór zaciągnął ją na skraj bagien, ale nie schował w krzakach? No i porzucił posiłek...

– Masz rację, wołałbym nie wracać do tego wieczoru – odparł Waław. – A Irena mogła dojść tu sama. Wypiła trochę...

– Właśnie. Mogła wypić i więcej, ale ty tego nie widziałeś, prawda? Poszedłeś do sklepu, tak? – Ale detektyw nie uzyskał odpowiedzi. – Wiesz, że kiedy go złapiemy, policja będzie musiała wykonać czynności procesowe, porównać ślady na ciele z łapami wodnika...

– Wątpię. Przecież władze nie przyznają oficjalnie, że złapały mitycznego stwora – zauważył Piotr.

– Właśnie... ciągle zapominam, że nie mamy do czynienia z ludzkim mordercą – przyznał Zygmunt.

Wtedy Agnieszka stanęła, ostrzegawczo gwiżdżąc. Henryk zamarł, ale powiódł wzrokiem, gdzie prowadziła go struga światła. Natychmiast tego pożałował. Wodnik leżał zwinięty pod wierzbami i pożerał wyciągnięte ze śmietnika mięsne resztki. Szary stwór podniósł oczy w kierunku latarki, ale był zbyt słaby, aby uciekać. Podniósł tylko łapę, osłaniając się przed światłem. Wtedy detektywka zgasła reflektor.

– Nie musisz tego widzieć – zapewniła idącego z tyłu Błażeja. – To zwykły guziec.

– Co? Co to ma znaczyć? – syknął chłopak. – Łapmy go, nim ucieknie!

– Nikogo nie skrzywdzi. Jest zbyt wyczerpany, aby przewrócić najslabszego z nas – odparł Zygmunt. Usłyszeli rozpaczliwy chłupot, gdy stwór próbował skryć się przed pogonią.

– Ale... ale jak to coś mogło zabić i zaciągnąć panią Irenę na bagna? – zapytał stójkowy.

– Nie zrobiło tego. Prawda, Piotrze? – zapytał Zygmunt. – Piotrze...

Pośród szumu deszczu rozległ się nowy dźwięk. To ludzkie kroki rozpryskiwały wodę. Piotr Waclaw biegł ku osiedlu, nie czekając na dalszą przemowę Zygmunta. Ten spojrział na pana Henryka i powiedział zdecydowanym tonem.

– Jest pan wśród nas najbliższy statusem do urzędnika państwowego. Zzna pan, że podejrzany zbiegł, widząc, że jego zbrodnia się wydała.

– Pan Waclaw!?

– Tak. Oczywiście, że to on. Niech pan każe zamknąć bramy.

Stójkowy niechętnie sięgnął po krótkofalówkę i wydał komendę. Zamknięte osiedle nie działało odmiennie od więzienia i z chwilą ogłoszenia alarmu zbieg nie był w stanie wydostać się tradycyjnymi drogami. Zygmunt ruszył w kierunku płotu – zostały jeszcze inne wyjścia, których powinni strzec.

– Dobrze, poprosiłem ludzi, aby zatrzymali pana Waclawa – oznajmił Henryk. – Ale nie rozumiem, jak pan może podejrzewać go o morderstwo... I czy na pewno zostawimy tego... guźca? – Stójkowy wiedział, że Błażej nie dostrzegł stwora. Na wszelki wypadek dołączył do komedii Agnieszki i Zygmunta.

– Nim zajmiemy się później. Najpierw morderca. – Detektyw spojrział na Agnieszkę. – Oświecisz naszych drogich Watsonów?

– Od początku wiedzieliśmy, że wod... guziec jest roślinożerny, a mięso jada tylko w ostateczności – wyjaśniła Czująca. – Nie uważałam, aby był zdolny do zabicia kogokolwiek, ale pomyśl, aby to Piotr zabił biedną Irenę, przyszedł do głowy najpierw Zygmuntowi. – Z tonu jej głosu detektyw wywnioskował, że to on powinien ów koncept wyjawić.

– To było tak... – zaczął, czując się nad wyraz niepewnie. Mimo pozorów wszechwiedzy, o winie Waclawa przekonał się w ostatniej chwili, kiedy podejrzany uciekł. – Istniał powód, dla którego Piotr chciał zabić swoją dziewczynę. Należy dokonać ponownej sekcji zwłok. Bardzo możliwe, że Irena była w ciąży, a Waclaw namawiał ją do aborcji. Być może to nawet nie było jego dziecko... Te smutne szczegóły wykaże badanie. My zauważyliśmy w łazience brak testów ciążowych, które Agnieszka dostrzegła, odwiedzając sąsiadów Błażeja kilka tygodni temu. Piotr pozbył się pozostałych odczynników, ale nie pomyślał o zużytych opakowaniu, które widzieliśmy w śmieciach... Cóż, to kolejny poważny argument za koniecznością zachowania porządku i regularnego opróżniania koszy na odpady. Ale wróćmy do tego smutnego wieczoru. Badanie zapewne wykaże, że Irena wypła więcej niż jeden czy dwa drinki. Być może została do tego zmuszona, ale nie jesteśmy pewni. Pijaną Piotr zaprowadził na trawnik przy płocie. Utopił ją w ścieku obok ogrodzenia, a ciało przerzucił górą. Potem pobiegł do sklepu całodobowego, pokazał się kasjerce. Wyszedł z terenu osiedla przez furtkę przy południowo-zachodnim krańcu, rozpoczął dzwonienie po znajomych już z bagien, po czym zaciągnął ciało Ireny z dala od granicy, ale znowu na tyle blisko, aby można je było szybko znaleźć. Wrócił do budynku, odwiedził Błażeja, odczekał chwilę i zgłosił zaginięcie panu Henrykowi. Dalszą

historię już znamy.

– Ale co do tego ma guziec? – zapytał zdeorientowany Błażej.

– Trzecie prawo Muldera – odparł detektyw.

Nie czuł potrzeby tłumaczenia. I tak tylko Agnieszka mogła go zrozumieć. Piotr odkrył istnienie wodnika już dawno, ale wiedziony instynktem, nie zgłaszał tego nikomu. Był inteligentnym człowiekiem i kiedy postanowił zabić Irenę, uznał, że obecność czynnika nadprzyrodzonego, hamującego wszelkie śledztwa, zakończy i to dochodzenie. Już w pierwszych zeznaniach zasugerował policjantom niezbadany fenomen, a ci szybko utwierdzili się w podejrzeniach. Świadcstwo pana Henryka ostatecznie odwróciło uwagę służb porządkowych od przestępstwa. Skoro zamordował potwór, a potwory nie istniały, to może i zbrodni nie było. Piotr Waclaw ukryłby swoje grzechy, gdyby nie niewiarygodny pech – sprawą zainteresowali się ludzie potrafiący odróżnić prawdziwe zagrożenie paranormalne od fałszywego.

Samozwańczy śledczy dotarli do ogrodzenia. Deszcz przestał już padać, ale na trawie i ziemi zalegała warstwa wody niemogąca wsiąknąć w twardą glebę. Dla wodnika nadchodziły lepsze dni, gdy mógł zdobyć pożywienie, nie zakradając się do ludzkich siedzib. Gdzieś w oddali wyły policyjne syreny. Zapewne przełożony warty zdecydował się ściągnąć władze.

– No to teraz czekamy – mruknął z zadowoleniem Zygmunt, ale sekundę później warknął przekleństwo. – Mój rower! – krzyknął, pokazując światło reflektora dobiegające z pustej uliczki. – On jedzie do furtki.

Wścikli mściciele ruszyli biegiem wzdłuż ogrodzenia. Trzeba przyznać, że nie dopisała im przenikliwość. Zapomnieli o dyskretnym wyjściu z osiedla, a w dodatku zostawili mordercy środek transportu. Piotr Waclaw musiał tylko wyjechać z „Parkowego”, ominąć zainteresowanie policji i złapać taksówkę na Okęcie. Istniała spora szansa, że zdąży jeszcze tej nocy na niedrogi lot do Niemiec, tam załatwi transfer pieniędzy ze znanych władzom kont, a potem odleci do jednego z krajów bezwizowych, zostawiając Warsa i Sawę w poczuciu niemiłego zawodu. Jednak najpierw musiał pokonać pierwszą część trasy.

Błażej i Zygmunt dotarli do furtki pierwsi, ale spóźnieni. Piotr zgasił lampkę i jechał na ślepo przez łąki. Nie mogli go gonić, a właściwie też nie chcieli. Bieganie po wilanowskich bagnach nie należało do bezpiecznych, zwłaszcza po deszczu. Kiedy usłyszeli odległy krzyk, trzask i plusk, mogli tylko zadzwonić na policję i zasugerować nowy obszar poszukiwań.

Ciało Waclawa znaleziono rano, zanurzone w bagnie. To nie wodnik zemścił się za spowodowane na swój wilgotny kark kłopoty. Bóg postanowił wyręczyć niedofinansowane organy ścigania. Zbieg jechał dość twardą ścieżką, tuż przy chaszczach. W ciemności uderzył czołem w wystającą gałąź i padł twarzą w płytką kałużę. Szczegółami sprawy detektywi już się nie zajmowali. Dokończyli za to inny, równie ważny wątek.

– Wie pan... – powiedział Zygmunt, kiedy Agnieszka prowadziła ich do mieszkania Błażeja i zgrabnie zmyślając, tłumaczyła zagadki tej szalonej nocy. – To, co pan widział, nie było guźcem...

– No, ja myślę, synu! – odparł stójkowy. – Żadna świnia nie chodzi na dwóch nogach, o ile nie liczymy naszych polityków.

– To był wodnik. Taki jak z bajek, trochę inny niż w dobranockach – wyjaśnił detektyw. Jeśli oczekiwał wyrazów niedowierzania ochroniarza, zawiódł się.

– Boże, i ja mam teraz go na karku... – westchnął stójkowy.

– A to źle? – zapytał Zygmunt. – To znaczy, że pan jeszcze na tym dobrze wyjdzie. Na Wilanowie wiele się nie zmieni. Ziemia między świątynią a wami będzie leżała odłogiem jeszcze przez wiele lat. Wodnik nikomu krzywdy nie zrobi, a jak się postaramy, to i pomoże. Musi go pan oswoić. Na początek proponuję dokarmiać go marchewką i arbuzem. Potem wejdziecie w komitywę i będzie strzegł za pana południowego ogrodzenia.

– Czy to legalne? – zapytał Henryk, chyba zbyt zdumiony, aby zadać mądrzejsze pytanie.

– Żaden urząd skarbowy nie oskarży pana o zatrudnianie na czarno wodnika. Nie mają na to odpowiednich formularzy. Trzecie prawo Muldera działa bez wyjątków.

V. SKRZYPIĄCY W CIEMNOŚCI

Szymon Nowak był brygadzystą i zaufanym fachowcem Zarządu Dróg Miejskich. Dlatego bardzo mu się nie podobało podporządkowanie ludziom z Korzo-Bud. Firma, z którą Pani Prezydent podpisała kontrakt na budowę ścieżek rowerowych w Warszawie, wydawała się, delikatnie mówiąc, podejrzana. Otóż prywatny wykonawca budowlany faktycznie pracował. To znaczy robotnicy z Korzo-Bud rwali się do każdej roboty, wręcz nie dając miejskim drogowcom pola do popisu. Być może tak być powinno, ale nigdy tak nie było w polskiej branży budowlanej. Co innego oznaczało porządnie wykończyć robotę, a co innego harować z chorobliwą niecierpliwością i próbować zamknąć inwestycję przed najwcześniejszym terminem. Stachanowski zapał robotników bardzo niepokoił Nowaka. Stary brygadzysta wyczuwał spisek.

Dlatego odesłał swoich ludzi do domu, a sam przygotował się do śledztwa. Dwie godziny do zmroku spędził, spacerując po wiślanym nadbrzeżu, jedząc obiadokolację w Barze pod Hutą oraz kupując wyposażenie na akcję. Tuż przed dwudziestą ruszył z powrotem ku budowanym zjazdom z mostu Północnego. W torbie trzymał pęk kluczy, latarkę oraz opakowanie hermetycznych torebek na żywność. Chciał w nie zapakować ewentualne dowody, choć nie miał pojęcia, jakie *corpus delicti* mógł znaleźć w nocy na budowie.

Wszedł przez furtkę na zachodnim krańcu budowy, do którego dostał się przez chaszczkę na Pstrowskiego. Teren wydawał się opustoszały, a w razie dekonspiracji Nowak znał obu ochroniarzy, czasem zaglądających na składy materiałów. Otworzył kłódkę, po czym przeszedł na drugą stronę. Nie zamykał jej za sobą, wiedząc, że może opuszczać miejsce pracy w pośpiechu. Skradał się między stosami żwiru i koski brukowej, słuchając uważnie. Do jego uszu szybko zaczęły dochodzić dźwięki na budowie niespotykane.

Pogańskie zaśpiewy i blask ognia hipnotyzowały. Nowak wychylił się zza hałdy bruku, aby dostrzec moment ceremonii. Kilkunastu robotników z Korzo-Budu tańczyło wokół ogniska, a nad samymi płomieniami stała dwójka kapłanów. Kobieta była odziana skąpo i tylko pstrokaty diadem na jej głowie zdradzał rolę kultową. Mężczyzna ubrał się porządnie, jak na złowieszczego kapłana przystało, miał błyszczącą w ognistych refleksach maskę i długą szatę, przez co jako jedyny nie przejmował się rojami komarów. To on intonował śpiewy i co chwilę dorzucał do ognia. Wyczulony nos Nowaka sugerował, że kapłan dosypuje kolejne odmiany cementu i zaprawy.

Szymon sięgnął po telefon i włączył nagrywanie. Klął się za brak dobrego sprzętu, ponieważ ani zapis audio, ani wideo nie spełniały standardów materiału dowodowego. Ot, filmik nadawałby się do popularnego, internetowego serwisu

wideo, obok domniemanych sekstaśm celebrytów oraz amatorskich ujęć UFO. Ale cóż, z pensji brygadzysty nie mógł kupić mikrofonu kierunkowego.

Rozneglizowana kobieta podniosła prawą dłoń nad ogień i krzyknęła coś głośno. Odziany w szatę kapłan wyciągnął nóż do papieru i dźgnął ją w nadgarstek. Nowak poczuł rycerski impuls działania. Chciał wyskoczyć z kryjówki i uratować zagrożoną damę, nawet jeśli owa dama sama prosiła się o kłopoty. Na szczęście nie zdążył dokonać demaskacji. Kilka kropel krwi spadło ze skaleczonej ręki w ogień, kapłanka cofnęła się, a jeden z robotników podbiegł z apteczką. Reszta wciąż śpiewała. Szymon wyteżył wzrok, aby dostrzec, co wyciągnął z ognia. Ubrany w kapę kapłan chwycił za grillowe szczypce i sięgnął do żaru. Podniósł tajemniczy przedmiot.

Szymon Nowak nie mógł w pełni wierzyć swoim zmysłom, ale wydawało mu się, że przywódca robotniczego sabatu wyciągnął z ogniska wypaloną na czerwono kostkę brukową.

* * *

Takich telefonów Zygmunt nie lubił. Nie dlatego, że nie darzył sympatią ojca Jana, ale właśnie z powodu tej sympatii i jedwabnych więzów wdzięczności, które kazały mu spełniać każdą prośbę emerytowanego egzorcysty. Siwy jezuita był starszym, wesołym i nadszpiewającym dobrze zachowanym panem, spędzającym spokojniejsze lata posługi w zakonnym domu przy Rakowieckiej. Pełnił funkcję jednego z bibliotekarzy Bobolanum, przez co wiele razy oddawał detektywom agencji „Wars i Sawa” nieocenione usługi. Ale zasługi zakonnika nie ograniczały się do wyszukania i przemycenia za mury zgromadzenia tej czy innej książki. Ojciec Jan uczynił z podopiecznych poszukiwaczy tajemnic.

Trafili do niego na długo przed agencją. Kiedy wiele lat temu na pechowej sesji RPG zdarzył się ten wypadek, który ujawnił talent czującej u Agnieszki, to u niego szukali pomocy i rady. Paranormalni detektywi odebrali pierwsze lekcje o niewidzialnym świecie, wielkiej granicy i zagubionej wiedzy właśnie u duchownego. Potem jezuita spowiadał ich, bo sakrament pokuty wtajemniczonych nie mógł się odbywać tak po prostu, w normalnej parafii. Świeccy księża nie złamaliby tajemnicy spowiedzi, za to mogli wysłać penitentów na obserwację do Tworek, ponieważ nie uwierzyliby w opowieści poszukiwaczy tajemnic. W dodatku styl działalności agencji „Wars i Sawa” wymagał bardzo dobrotliwego spowiednika, który rozgrzesza z koniecznych nagięć ziemskiego prawa. Za tę pomoc, naukę i opiekę ojciec Jan nigdy nie domagał się niczego w zamian, poza tymi nielicznymi przypadkami, kiedy to on wskazywał sprawę do rozwiązania. Tak było i tym razem.

Rok akademicki się jeszcze nie zaczął, więc Zygmunt nie posiadał ważnego biletu miesięcznego. Podróżował po Warszawie samochodem Agnieszki albo rowerem. Dotarcie z Żoliborza do Bobolanum na jednoślądzie było dość męczące, nie tyle fizycznie, co psychicznie. Niedostatek ścieżek rowerowych sprawiał, że zdesperowany cyklista przekraczający centrum miasta musiał łamać przepisy

ruchu drogowego częściej, niż chciał. Mimo wszystko Zygmunt wolał odyseję rowerową od mąk, które przeżywała jego przyjaciółka, przebijając się przez Warszawę samochodem. Był wcześniej od niej, tuż przed osiemnastą. Wszedł do biblioteki, potem, jako znany zakonnikom bywalec, wszedł na zaplecze biblioteki. Ojciec Jan siedział za pulpitem, objaśniając coś drugiemu gościowi.

– Króluj nam Chryste... – powiedział niepewnie detektyw.

– Zawsze i wszędzie – odparł jezuita. – Znasz Jerzego Wawelskiego? O ile pamiętam, spotkaliście się tu już wcześniej.

– Tak, przy kradzieży relikwii świętego Marcina – od razu przypomniał Wawelski. Zygmunt też pamiętał.

Afera, która wybuchła po zniknięciu sprzączki od legionowego płaszcza świętego, dobrze zaległa w pamięci detektywa. Zwłaszcza zakończenie sprawy, znaczone strzałami, eksplozjami i ucieczką z warszawskiego zoo na grzbiecie uprowadzonego żubra. Zygmunt nie potrafiłby zapomnieć potężnego, brodatego pogromcy w nieokreślonym wieku, między trzydziestką a czterdziestką, lubującego się w tropieniu niebezpiecznych czynników nadprzyrodzonych oraz odpalaniu efektownych eksplozji. Obecność samozwańczego obrońcy ludzkości nie wróżyła spokojnego popołudnia.

– Spokojnie, Jurek pomaga nam w poważnej sprawie, ale...

– Gdyby coś się stało, posprzątam po sobie – zapewnił Wawelski.

Wtedy dołączyła do nich Agnieszka. Powitała radośnie ojca Jana, nieco mniej wylewnie Jerzego, pamiętając o wszystkich kłopotach, jakie miała po sprawie relikwii. To ona asystowała Celestynie w szyciu ran Zygmunta, a na dodatek musiała niepostrzeżenie podrzucić do zoo dwa, oszalałe ze strachu, żubry. Rozumiała, że Jerzy „Smok” Wawelski broni mieszkańców Warszawy i wykonuje dobrą robotę, ale wolałaby, aby łowca wykonywał dobrą robotę z dala od niej.

– Doskonale, przejdźmy do rzeczy – polecił ojciec Jan. – Zapewne wiecie, że Jurek po wyprawach do Iraku i Afganistanu ma przyjaciół w wojsku. Dzięki temu został ostrzeżony.

Brodaty łowca sięgnął po plecak, wyjął z niego długi rulon i rozłożył go na pulpicie bibliotecznym. Zapalił lampę nad stołem, zupełnie niepotrzebnie od strony praktycznej (w sali było jasno), ale nadając tym samym spotkaniu charakter sztabowej odprawy. Detektywi skupili wzrok na planie, przez dobre kilkadziesiąt sekund rozmyślając, co mają przed oczami. Przerwała milczenie Agnieszka.

– To Warszawa – powiedziała. – Zdjęcie satelitarne z naniesionymi schematami robót drogowych. Wygląda ładnie, ale niewiele poza tym. Na co patrzymy?

– Na zdjęcie satelitarne z naniesionymi schematami robót drogowych – wyjaśnił sprawy dramatycznym tonem Jerzy. Po kilku sekundach zrozumiał, że nie wyjaśnił dość dobrze. – Spójrzcie na pomarańczowe linie. To istniejące i gotowe do oddania ścieżki rowerowe. Czy ten kształt niczego wam nie przypomina?

– Mało tej pomarańczy – zauważył Zygmunt. – Dlatego trzeba jeździć po chodnikach. – Wawelski westchnął i zaznaczył na planie pięć punktów. – A... no

trzeba było tak od razu. Ale przy takim tempie budowy szlaku, pełny pentagram powstanie w połowie przyszłego stulecia...

– Chciałbym, abyście przejechali się tym szlakiem – powiedział ojciec Jan. – Zawłaszcza Agnieszka. Dziecko, musisz szukać wpływów złego na drodze. Jeśli znajdziesz miejsca przeklęte, dasz nam znać, a my...

Słyszając słowa duchownego, Wawelski odruchowo skurczył palce prawej dłoni, jakby naciskał na detonator – przynajmniej takie wrażenie odniósł Zygmunt. Widać było, że sławny „Smok” najchętniej przejąłby sprawę, a to ojciec Jan usiłuje rozwiązać problem bez użycia materiałów pędnych.

– Jasne, rozumiemy – potwierdził detektyw. – Możemy zacząć i dziś wieczorem, o ile pożyczysz nam ojciec jeden rower.

– Widzę, że zadania zostały przydzielone – odparł Jerzy. – Przygotuję rozwiązanie alternatywne.

* * *

Musieli się śpieszyć, nim Wawelski wyciągnie z piwnicy bomby. Choć łowca miał solidne doświadczenie w niszczeniu własności publicznej i unikaniu konsekwencji, za każdym razem narażał siebie, swojego mistrza i – pośrednio – detektywów. Agnieszka zabrała więc rower brata Grzegorza (ojciec Jan zapewnił, że młody zakonnik nie będzie miał nic przeciwko) i ruszyła za przyjacielem w miasto.

Postanowili rozpocząć od lewobrzeżnej Warszawy, szlaku okrężnego, wzdłuż Trasy W-Z, a potem na północ, przy Trasie A-K, ku Chomiczówce i Młocinom. Słońce już zachodziło, ale wieczorna pora zawsze nadawała się lepiej na podobne poszukiwania. Policja rzadziej łapała przejeżdżających na przejściach dla pieszych rowerzystów, nie prowadzono już robót drogowych, a poza tym ciemność oznaczała tajemnicę i detektywi czuli zawodową predyspozycję do cienia. Nie do końca absolutną oczywiście – oba rowery miały sprawne oświetlenie.

Wehikuł Zygmunta woził go od kilku lat i od tego czasu nie widział fachowego serwisu. Stary góral skrzypiał tak głośno, że dzwonek przy kierownicy zdawał się zbędny. Łańcuch szorował o widełki przerzutek, koła z trudem trzymały okrągły kształt, a rozluźniony amortyzator zapewniał cykliście przeżycia godne kierowcy limuzyny z hiphopowym zawieszeniem. Ale jednośląd służył wiernie detektywowi. Na tle tej ekscentrycznej maszyny rower brata Grzegorza sprawiał nędzne wrażenie. Miejska wyścigówka z obniżoną (dla sukni i sutann) ramą ani nie skrzypiała złowieszczo, ani się nie rozpadała. Krucha studentka radziła sobie z pedałami nadspodziewanie dobrze, nie odstając od nałogowego cyklisty, jakim był Zygmunt.

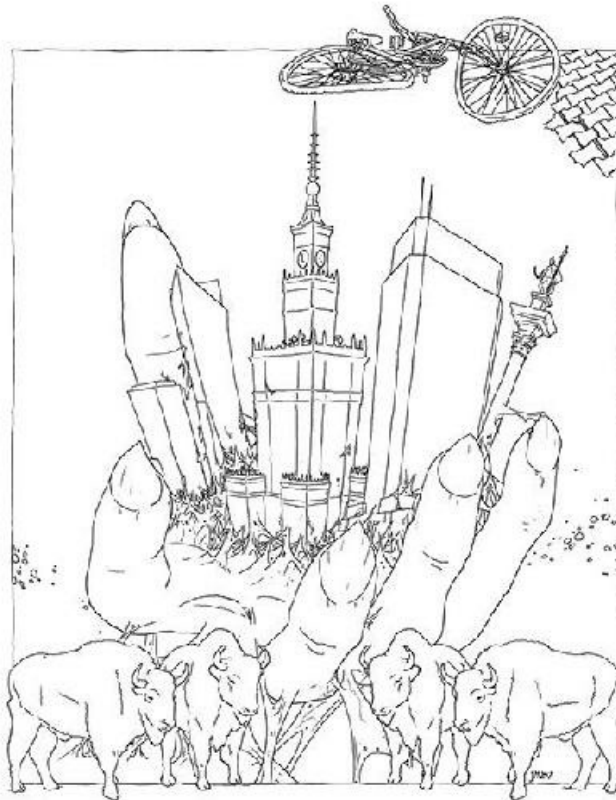
Szybko dotarli do zakrętu trasy przy Dworcu Zachodnim. Tam detektyw przeżył chwile grozy. Usłyszał tuż za sobą jękniecie, a potem huk i grzechot upadającego żelastwa. Zatrzymał się i spojrzał w tył, Agnieszka leżała na brukowej kostce, trzymając się za kolano. Na szczęście było to tylko

powierzchowne otarcie.

– Moja wina – powiedział Zygmunt. – Powinienem był pomyśleć o ochraniaczach.

– To tu... – uznała Czująca. – Ten kamień.

Wstali, Agnieszka usiadła na ławce, a detektyw przystąpił do poszukiwań. W świetle latarki (najbliższa latarnia uliczna nie działała) przeszukiwał kolejne kamienne wielokąty. Wreszcie znalazł jeden, wyróżniający się kolorem. Wyglądał, jakby wypalano go ciut zbyt długo. Chciał wyciągnąć fragment nawierzchni, ale zrezygnował po krótkich próbach.



– Skubańcy – mruknął, wracając do Agnieszki. – W tym miejscu wylali cement. Wiedzieli, że ktoś zechce usunąć węzeł. – Potem spojrział na przyjaciółkę, stwierdzając, że ta wciąż nie wygląda zbyt bojowo. – I jak?

– Zaraz pojedę, nic mi się nie stało – zapewniła. – Straciłam równowagę, jadąc tuż nad węzłem mocy. Następnym razem nie dam się zaskoczyć.

Pamiętając przestrogi Celestyny, Zygmunt chwycił lampkę od roweru i skierował ją w oczy Czującej. Ponoć ludzie ze wstrząśnieniem mózgu kurczyli nienaturalnie źrenice. Zygmunt zobaczył ze przerażeniem, że źrenice Agnieszki były drobniutkie, ale po chwili stwierdził, że tak się zwykle dzieje pod wpływem

strumienia ostrego światła. Może wstrząśnieni mieli właśnie rozszerzone *pupilles*? Nie był pewien.

– Nic mi nie jest – zapewniła detektywka. – Skoro tu nic nie zrobimy, to zadzwońmy do Wawelskiego i jedźmy dalej.

– Pojedźmy do szpitala... albo do Celestyny – zaproponował z nadzieją Zygmunt. – Nie mamy się co śpieszyć... – Ale widząc zdumione spojrzenie przyjaciółki, dodał. – No chyba, że mamy.

Podążył za jej wzrokiem. Na ciemniej latarni tuż nad nimi wisiała samotna kamera. Wyglądała jak tysiące innych kamer drogowych, choć różniła się jednym, bardzo istotnym szczegółem. Obiektyw skierowano nie na ulicę czy przejście dla pieszych, ale dokładnie na przekłete miejsce na szlaku. Zygmunt nie znał się na elektronice, nie mógł na miejscu sprawdzić szalonej teorii, ale intuicja mówiła mu, że urządzenie nie pracowało wyłącznie dla władz miasta. Agnieszka tylko potwierdziła tę teorię.

– Ruszamy – zdecydowała. – Na północ, tak szybko, jak się da. Mam wrażenie, że oni już wiedzą i próbują dokończyć dziś to, co zaczęli.

Pojechali na północ, wzdłuż Prymasa Tysiąclecia. Tym razem Czująca prowadziła, a Zygmunt ostrożnie podążał za nią. Detektyw martwił się o przyjaciółkę, a przy tym z nadzieją powtarzał, że po wykonanej robocie będą mieli powód, by – na wszelki wypadek – odwiedzić Celestynę.

* * *

Drugi kamień znajdował się na wiadukcie Prymasa Tysiąclecia, tuż przy Powązkach Wojskowych. Te dwa punkty wpisywały się w równy pięciobok kultowy, odnaleziony przez Jerzego. To znaczy, gdyby połączyć na mapie podejrzanе miejsca, powstała figura nie przypominająca wielokąta foremnego, jednak Czująca i detektyw znali się na rzeczy. Istotniejszą od geometrii euklidesowej była ta prawdziwa, związana z cyrkulacją prądów ziemi pod Warszawą. W niewidzialnym świecie spalone cegły zamykały pentagram. Należało je usunąć, nim ktoś zrobi użytek z aktywnego okultystycznie systemu komunikacji. Podstawiona kamera przy Dworcu Zachodnim sugerowała, że wróg został ostrzeżony.

Po wykreśleniu wzoru byli niemal pewni, że trzeci kamień znajdą w okolicy wykopów przy moście Północnym, wzdłuż Zgrupowania Kampinos. Zygmunt przeklinał nieuwagę, która zdemaskowała ich w tak trywialny sposób. Przeklinał też swoją głupotę, ponieważ na konfrontację z budowniczym szlaku nie zabrał żadnej broni, prócz ręcznego paralizatora. Niewielki krucyfiks miał zawsze, tak jak miniaturowe kapsułki z wodą święconą, ale o ile demony można było odpędzić pokorną modlitwą i dewocjonaliami, to osobników je przywołujących już niekoniecznie. Czynniki ludzki zawsze mógł spuścić łowcom tajemnic zdrowy łomot.

Minęli stację metra „Młociny” i wjechali na półdziką ulicę Zgrupowania Kampinos. Wyłączyli światła, aby nie zdradzać pozycji, ale niewiele to pomogło.

Amortyzatory w rowerze Zygmunta wciąż skrzypiały w ciemności, nadając tajemniczemu cykliście dodatkowej grozy. Niestety nie pomagały w kamuflażu. Agnieszka zatrzymała się nagle i szepnęła, wyraźnie zirytowana.

– Czeka! – położyła dłoń na ramie górala, zamknęła oczy, a na jej blond włosach na ułamek sekundy rozszalały się magiczne iskry. – Na chwilę wystarczy, ale jutro kup jakiś smar – poleciła.

– Coś ty zrobiła? – zapytał zdumiony detektyw.

– Wygładziłam strugi żywiołu ziemi i wody – wyjaśniła. – Nie będzie słycać tarcia, ale zawias i tak się ściera. Właściwie powinienś odwiedzić serwis.

Zygmunt miał na końcu języka pytanie, dlaczego Agnieszka nie zarabia na życie konserwacją rowerów, skoro talent pozwala jej na tak sprawne naprawy. Byłaby to robota mniej emocjonująca niż rozwiązywanie zagadek paranormalnych, ale dająca solidne utrzymanie i znacznie uczciwsze niż praktyka adwokacka. Jednak nie powiedział nic, tylko wsiadł na swojego stalowego rumaka i ruszył ku placowi budowy.

Poznali, że mają kłopoty, kiedy tylko wyjechali z chaszczy. Światła nad budowę wskazywały, że prace prowadzono i o tej porze. Agnieszka ścisnęła pięść w tajnym znaku, po czym pokazała dwa palce. Mieli do czynienia z co najmniej dwójką czujących, nie mówiąc o głuchych na moc kultystach. Zygmunt wyjął paralizator. Zostawili rowery oparte o drzewa i ruszyli ku budowie.

O dziwo, kłódka na bocznej furtce nie była zamknięta. Detektywa korciło, aby zapytać Agnieszkę, czy otworzyłyby zamek, korzystając z talentu, ale musieli zachować dyskrecję. Weszli na budowę i chowając się za stertami żwiru oraz kostki brukowej, podeszli bliżej ogniska. Obawy Zygmunta potwierdziły się. Obok pary chuderlawych kapłanów, wokół ognia tańczyła dziesiątka zwalistych robotników firmy Korzo-Bud. Po raz pierwszy w życiu detektyw zatęsknił za Wawelskim.

Kapłan i wymalowana kobieta nieśli razem czerwony kamień, przypominający napotkane przez detektywów węzły mocy. Agnieszka wskazała dziurę w ścieżce, gdzie przekłety gład pasował idealnie. Jeśli był to ostatni z pięciu elementów pentagramu, kultysty zdobywali pełną władzę nad centrum figury. Zygmunt nie dokonał obliczeń, ale spodziewał się, że środkiem symbolu stanie się miejski ratusz. Mając kontrolę nad władzami Warszawy, budowniczy mogliby zaordynować dowolne, znacznie silniejsze wzory okultystyczne i zmienić nawierzchnię stołecznych dróg w największy talizman na świecie.

– Użyj dobrych wiatrów! – szepnął Zygmunt do ucha przyjaciółki. – Mój głos musi się im wydać przetworzonym przez policyjny megafon. – Ona skinęła głową, a detektyw wziął głęboki wdech i zawołał.

– Nie ruszać się! Tu policja. Podnieście ręce i rzućcie materiały budowlane! – zabrzmiało to groźnie, ale nie dość realistycznie, aby nie wzbudzić podejrzeń. Kapłan zapewne wyczuł ingerencję Agnieszki.

Człowiek w szacie wskazał w kierunku intruzów i warknął coś w starożytnym dialekcie. Robotnicy patrzyli na niego zdumieni, a ten powtórzył, teraz już po polsku: „Łapać ich!”. I wtedy się zaczęło.

Zygmunt bardzo nie lubił, gdy się zaczynało, ponieważ po wszystkim był zazwyczaj zmęczony, brudny lub obity, a czasem wszystkie te czynniki występowały jednocześnie. Dał znak Agnieszce, że czas najwyższy odskoczyć od wroga, po czym ruszył ku furtce. Puścił przyjaciółkę przodem, a sam szukał solidnego pręta. Zbrojeniowym metalem zablokował przejście, ale sekundę później zrozumiał, że takie zabezpieczenie podziela tylko na bardzo tępą pogoń. Z kłopotu wybawiła go Agnieszka. Czująca chwyciła pręt, podgrzewając go żywiołem ognia. Sztaba stopiła się razem z furtką.

Zygmunt wiedział, że tak nieoczekiwany wysiłek zawsze wysysał z dziewczyny niemal całą energię. Chwycił i podniósł półprzytomną przyjaciółkę i ruszył biegiem do szlaku. Po sekundzie namysłu wybrał rower brata Grzegorza, ponieważ na swoim nie miał bagażnika. Umieścił Agnieszkę z tyłu i ruszył w ciemność.

Pozostawiony rower detektywa przysłużył się sprawie, ponieważ po dwóch minutach, gdy robotnicy wywalili wreszcie furtkę i pobiegli za uciekinierami, kapłan wpadł na stojący pod drzewem pojazd, zaklął – bynajmniej nie w dawnym języku – i runął na bruk. Kiedy odzyskał mowę, rozkazał pracownikom biec po kłady.

Wars i Sawa popełnili błąd, zakładając, że każdy przeciwnik będzie przygotowany równie fatalnie, jak oni. Gdy Zygmunt pedałowal co sił, jadąc z kurczowo wczepioną w jego plecy i ledwo żywą Agnieszką, kultyści wyciągnęli z garażu cztery wózki terenowe, odpalili je i po dwóch weszli na niezawodne ścigacze. Zanim detektywi przejechali połowę drogi do stacji metra, usłyszeli za sobą wycie silników. Skręt w las mijał się z celem. Na nierównej powierzchni, obciążony do granic możliwości rower był wciąż wolniejszy od kłada. Pozostało im szukać pomocy u często kręcącej się przy pętli policji.

– Trzymaj się! – polecił przyjaciółce Zygmunt, choć czuł, że ta nie może ścisnąć go już mocnej.

Bicykl podskoczył na jakiejś nierówności, przejechał jeszcze kilkadziesiąt metrów, a wtedy detektyw usłyszał odgłos tak skomplikowany, że nie sposób go oddać, nie rozbijając narracji. Na ścieżce rowerowej rozległ się krzyk, połączony z piskiem opon, klaksonami, szczękiem uderzających o siebie maszyn i chórem przekleństw. Potem odezwało się kilka jęków i najbardziej nieoczekiwany głos tej nocy.

– Wracać tu! Dobijamy! – rozkazała Celestyna.

Przyszła lekarka biegła między jęczącymi ciałami i podtykała ofiarom szmatkę pod nos. Robotnicy milkli. Zza budki rozdzielczej wyłonił się Wawelski z automatem Kałasznikowa w dłoni.

– Pomóc ci? – zapytał. Gdyby jeszcze jakieś ofiary wypadku były przytomne, zapewne straciłyby zmysły ze strachu.

– Nie, już kończę – zapewniła Celestyna. Unieruchomiła ostatniego wroga, wyprostowała się i spojrzała na spętaną astralnym zmęczeniem siostrę i sparaliżowanego zaskoczeniem detektywa. – A wy, co się tak gapiecie? Wracamy, załatwić ich kumpli.

– Coś ty zrobiła? – jęknął Zygmunt.

– Razem z Jurkiem uratowaliśmy wam życie – odparła dziewczyna. – Podziękujesz mi później. – A widząc przerażone spojrzenie Agnieszki, dodała. – No przecież ich nie zabiliśmy. Żadnych złamań, użyłam chloroformu. Właśnie o to Jurek mnie poprosił, abym zajęła się bandytami w sposób humanitarny.

– Gdybyśmy chcieli ich usunąć na dobre, użyłbym nie siatki do tenisa, ale umieszczonego na wysokości szyi kabla – zapewnił Wawelski.

Dopiero teraz Zygmunt miał szansę przyjrzeć się piekielnemu mechanizmowi pogromcy. Jerzy przywiązał jeden koniec siatki do drzewa, przeciągnął ją przez ścieżkę rowerową, przerzucił linki przez budkę rozdzielczą i przywiązał do zaczepów sztabę zbrojonego cementu. Kiedy detektywi przejechali nad pułapką, Wawelski popchnął ciężar do rowu, w ułamku sekundy naprężając siatkę. Apokaliptyczni budowlańcy zapewne nie zrozumieli, co się stało.

– Pomóż Jurkowi ich wiązać – poleciła Celestyna, wskazując na jeńców – ja obejrzę Agnieszkę.

Pięć minut później detektyw stał nad ośmioma ciałami, skrępowanymi w baleron. Przyszła lekarka zapewniała, że jej siostrze nic nie będzie, Wawelski przeszukiwał kieszenie więźniów, a Zygmunt nie miał pojęcia, co robić dalej. Na szczęście został wybawiony z tego dylematu przez nowe kłopoty.

– Nie ruszać się! – krzyknął głos z ciemności. – Ręce do góry i ustawcie się rzędem na chodniku.

– Dlaczego mielibyśmy się poddawać? – zapytał spokojnie brodaty pogromca.

– Ponieważ nas jest więcej... – głos z ciemności stracił nieco rezonu.

– Więcej niż naboju w magazynku? – zapytał Wawelski, kierując lufę automatu ku przybyszom.

Niepewnie wyszli z krzaków, trzymając ręce w górze. Było ich sześciu, mieli na sobie kombinezony ekipy Zarządu Dróg Miejskich. Ich przywódca przedstawił się jako Nowak, ale odmawiał dalszych wyjaśnień. Zygmunt patrzył na scenę z delikatną obawą. Czwórka obrońców Warszawy stała nad ośmioma jęczącymi ciałami (część kultystów wracała już do świadomości), a jeden z nich mierzył z wysoce nielegalnej broni do pracowników Ratusza. Gdyby w krzaki na Zgrupowania Kampinos zaplątał się patrol policji, to z pewnością... Nie, raczej nie zrobiłby nic, poza ucieczką.

– Niezręcznie się zrobiło – zauważyła Celestyna. – Ale może znajdziemy rozwiązanie pokojowe. – W tej samej chwili Wawelski tak dobitnie spojrzał na biegnący przy ścieżce rów, że przytomni kultysty i ludzie Nowaka zadrżeli. – Panie brygadzisto, po co tu jesteście?

– Aby powstrzymać tych pogan! – powiedział z mocą robotnik.

– Tym to już my się zajęliśmy. – Celestyna spojrzała na Wawelskiego. – Możemy ich puścić? – zapytała po łacinie. Latina przyszłej lekarki różniła się niego od języka znanego archeologowi, ale Jerzy zrozumiał.

– Tak. Niech wszyscy obmacają pistolet, który znalazłem przy kapłanie. Gdyby chcieli na nas donieść, sami będą mieli kłopoty. – Łaciński słownik dziewczyny nie obejmował słów takich jak neologizm „pistolet”, ale pojęła główną myśl.

Podniosła z ziemi klamkę i ruszyła ku Nowakowi.

– Nie, błagam... – szepnął brygadzysta, któremu podobne zachowanie skojarzyło się z westernowymi pojedynkami.

– Cęła, czekaj! – zawołała słabym głosem Agnieszka. – Potrzebujemy ich pomocy, aby zniszczyć węzły. – A przyszła lekarka tylko wskazała na Jerzego. Ten, nie puszczając kałasznikowa, podniósł z ziemi ciężką torbę. Z pokrowca wystawały kable, które nie wróżyły najlepiej systemowi ścieżek rowerowych w Warszawie. – Ale nie możemy po prostu wysadzić drogi – sprzeciwiła się Czujaca. – Oni ją odbudują.

– Co proponujesz? – zapytał Wawelski.

– Gdybyśmy... no nie wiem... w miejscu węzła postawili jakiś obiekt, którego nie można zniszczyć.

– Cokolwiek tam umieścisz, Zarząd Dróg Miejskich przesunie to wraz z nowym planem zagospodarowania przestrzeni. Chyba że... – Brodaty pogromca uśmiechnął się. – Dobrze myślisz, mała. Tak zrobimy!

– To znaczy jak? – Celestyna, Zygmunt i Nowak zapytali jednocześnie.

– Celestyno, umiesz kierować koparką? – zapytał Wawelski. Nie czekając nawet na potwierdzenie, rzucił do detektywa. – Okej, ty dowodzisz akcją na miejscu. Masz sześciu robotników i ośmiu niewolników. Do rana zbudujecie fragment szlaku, omijający przeklęty punkt.

– A wy?

– My skoczmy do Kampinosu po jakiś pomnik przyrody – wyjaśnił Wawelski. – A myślałeś, że objazd na ścieżce rowerowej nie będzie podejrzany? Zwalimy w zakole trzystuletni dąb i się Zarząd Dróg Miejskich odwali. – Do Nowaka zaś rzucił łagodnie: – Pożyczmy na chwilę koparkę i ciężarówkę z dźwigiem technicznym. Ku chwale miasta, obywatelu brygadzisto!

* * *

Popędzili jeńców z powrotem na budowę. Unieszkodliwienie pozostałych kultystów zajęło im ledwie chwilę, ponieważ poddali się, widząc Jerzego z kałasznikowem oraz słysząc przemowę Celestyny na temat dołów z wapnem. Potem studentka medycyny i brodacze odjechali, a im pozostały roboty drogowe. Zygmunt chwycił za automat, wcisnął Agnieszce pistolet, a Nowak zaczął komenderować swoimi ludźmi i poganami z Korzo-Budu.

Kapłan protestował, z początku grożąc im znajomościami w Ratuszu, potem odwołując się do panującej w Polsce wolności wyznania, a na koniec przypomniał o ośmiogodzinnym dniu pracy. Nowak bezlitośnie zdarł z niego szatę, podał kombinezon roboczy i wręczył kilof. Przedsięwzięcie budowlane przebiegało od tego momentu bez zakłóceń.

Wbrew wszelkim pozorom, polskie drogi, przynajmniej rowerowe, mogą powstawać w rozsądnym tempie. Kiedy o trzeciej nad ranem Celestyna i Wawelski wrócili z lasu, wioząc pożyczony pomnik przyrody, ścieżka omijająca węzeł zakole została już wybrukowana. Z pewnym trudem (Agnieszka musiała

zmusić żywioł ziemi do współpracy) osadzili dąb na właściwym miejscu. Jerzy przyczepił do potężnego pnia brzozy krzyż, przypominając, że nic tak nie trzyma diabelstwa w ryzach, jak święty symbol na widoku. Na wszelki wypadek, aby wędrownie lewactwo, które zapuściło się tak daleko na północ, nie postanowiło zdjąć krzyża, wyryli tabliczkę okolicznościową „Polakom poległym męczeńsko z rąk okupantów”. Zygmunt nie sprecyzował, ilu było męczenników ani gdzie wyzionęli ducha, ale nie skłamał – z pewnością istniały jeszcze nieuczczone własną tablicą ofiary wojen. Detektyw spojrzął na swoje dzieło z dumą i wtedy Nowak wytrącił go z samozadowolenia.

– A co z nami? – zapytał. – Moi chłopcy zrobili, co trzeba, ale nasi przełożeni będą pytać.

– Tak, wypadaloby mieć plan b – przytaknął Wawelski. Spojrzął na Agnieszkę. – A może ty, Ateno nasza Bielańska, masz pomysły? – Niestety miała.

Istniała poważna szansa, że Zarząd Dróg Miejskich nie zauważy zmiany planów albo przejdzie nad wyrosłym na trasie trzystuletnim drzewem do porządku dziennego. Jednak w razie wątpliwości czynników oficjalnych, obrońcy Warszawy postanowili przygotować wiarygodną historię. To znaczy, nie była ona wcale prawdopodobna, ale prawdopodobniejsza niż rzeczywistość. Zagonili jeszcze raz robotników do pracy, nałożyli na głowy podkoszulki, wiążąc je na wzór niskobudżetowych wojowników ninja, po czym przystąpili do nagrania. Wawelski trzymał kałasznikowa, Celestyna pistolet, a Zygmunt zadowolili się prętem zbrojeniowym. Jednak cała trójka wyglądała groźnie.

– Obywatele Miasta Stołecznego Warszawy! – mówiła zakamufLOWANA Agnieszka. – Dzisiaj w nocy Tajne Bractwo Cyklistów dokonało pierwszego ataku w walce o stolicę na dwóch kółkach! Zmusiliśmy tych oto sługusów paliwowych koncernów do rzetelnej pracy na rzecz czystego transportu. Oczywiście nasz cel nie przesłania nam zasad moralnych. Podczas akcji nikt nie ucierpiał, uszanowaliśmy też ów piękny pomnik przyrody – Nowak przesunął obiekty komórki w stronę drzewa – uświęcony krwią patriotów. Ale nie boimy się lobby benzynowego ani jego sługusów. Nie poddamy się. I wy się nie poddawajcie. Walczmy o lepsze jutro!

– No... niczego sobie – ocenił Zygmunt, odtwarzając nagranie. – Ale wpuścimy to do internetu dopiero, kiedy zaczną się niewygodne pytania. – Spojrzął na Nowaka. – Może pan już zwolnić swoich ludzi. A ci z Korzo-Budu...

– Raczej nie pisną słowa – ocenił brygadzysta. – Zawstydziliśmy ich i pokonaliśmy. Dam wam znać, jeśli spróbują w przyszłości czegoś podobnego.

A kapłan prywatnej ekipy budowlanej kipiał ze złości, ale rozumiał potrzebę zachowania spokoju. Korzo-Bud był spadkobiercą starożytnej tradycji budowniczych świątyni. Wiernych tradycji, w przeciwieństwie do oficjalnych struktur masonerii i kościelnych cechów budowlanych. Choć plan ze ścieżkami rowerowymi zmarł śmiercią gwałtowną, w Warszawie pozostawało jeszcze tyle do wybudowania... Ich czas jeszcze się nie skończył, on dopiero nadchodził. „Wysoka Rada dowie się o tych bluźniercach i przeznaczy odpowiednie środki zaradcze” – pomyślał Dawid, dostoyny kawaler kostki brukowej.

– A teraz zniszczmy czerwony kamień! – zaproponowała Agnieszka. – Jurku, gdzie masz swoją wybuchową torbę?

– Tu... no tu... TAM!?! – jęknął pogromca, rozglądając się nerwowo.

– Zostawiłeś chyba przy budce rozdzielczej – zauważyła Celestyna. – Masz tam coś cennego?

– Pięć kilogramów wojskowego ce cztery i zapalniki z moimi odciskami palców – wyszeptał Wawelski. – Chryste Panie... O czwartej przyjeżdża MPO, opróżnić śmietniki.

Wawelski spojrział wokoło błędnym wzrokiem, aż ujrzał leżący na trawie rower Zygmunta. Chwycił za kierownicę górala i ruszył pośpiesznie w kierunku budki transformatorowej. Przez chwilę widać było jeszcze jego potężną sylwetkę, ale zaraz zniknął na tle bielańskich chaszczki, ponuro skrzypiąc w ciemnościach.

VI. CZY TE OCZY MOGĄ ZABIĆ?

Oddział komandosów Specjalnej Jednostki Szybkiego Reagowania wcale nie prezentował się okazale. Nic zresztą dziwnego – żołnierze byli ubrani w czarne kostiumy, a wokół panowała ciemność jak w warszawskiej piwnicy. Należy też dodać, że żołnierze faktycznie znajdowali się w warszawskiej piwnicy, dokładniej pisząc, gdzieś w korytarzach, które nie należały już do Muzeum Historycznego Miasta Stołecznego Warszawy, ale wciąż jeszcze nie przynależały gdzie indziej. Gdzieś za ścianami z grubego kamienia gulgotała kanalizacja i odpływy z ulicy Krzywe Koło, a komandosi skradali się w absolutnej ciszy. Jeśli dyskretny obserwator patrzyłby na oddział przez noktowizyjne gogle, zauważyłby niezwykle ekwipunek panów w czerni. Nieśli tłumione pistolety maszynowe, prowadzący trzymał w dłoniach strzelbę do wybicia zamka, a jego towarzysz wyrzucił granatów dymnych. Ale pewne elementy ekwipunku sprawiały wrażenie ekstrawaganckich. Na przykład dziwaczne urządzenia na hełmach, które zdawały się zbyt wielkie, jak na okulary noktowizyjne z filtrem podczerwieni. Co jeszcze ciekawsze, krążki na wysokości oczu żołnierzy błyszczały żywym srebrem, bynajmniej nie podnosząc maskujących walorów stroju. Gdyby nie plakietki świadczące o przynależności żołnierzy do służb Rzeczypospolitej, można byłoby wziąć ich za statystów, grających kosmitów w starym filmie sci-fi. Ich ruchy też zdradzały sztywność i niepewność, jakby nieustraszeni weterani policji, Gromu i „Afgańczyków” bali się zapuszczać w korytarze pod warszawską Starówką. Być może tak było.

Wreszcie dotarli do drzwi, starych i spróchniałych, wskazujących na pamięć nie tyle poprzedniego, co jeszcze dziewiętnastego wieku. Wódz przytknął strzelbę do pięknego zamka, a jego zastępca ustawił ludzi. Nie dano im wyboru – musieli wejść. Wylot gładkolufowej broni dotknął blachy, a sekundę później niemymi podziemiami wstrząsnęła eksplozja. Wrota ustąpiły, a do pomieszczenia wleciały trzy granaty dymne. Kiedy syczące opary napełniły komnatę, żołnierze ruszyli. I niczego nie znaleźli.

Słusznych rozmiarów pomieszczenie nie kryło ani fabryki amfetaminy, ani arsenału Al-Kaidy. Było idealnie puste, jeśli nie liczyć płytkiego jeziora w pęknięciu posadzki oraz niewielkiego stosu kości i śmierdzących gołębim mięsem resztek. Ostatni do komnaty wpadł niski człowiek, a z jego nieprzepisowego munduru można było wywnioskować, że jest specjalistą cywilnym bądź instruktorem z innej agencji. Omiótł ściany i zakamarki komnaty niewielkim urządzeniem, pikającym niczym detektor ruchu z filmu „Obcy”. W dodatku elektroniczny gadżet spełniał podobną funkcję.

– Nie ma go tu – orzekł zawiedziony cywil i ściągnął z głowy lustrzaną maskę.

Żołnierze odetchnęli, a niski doradca podszedł do stosu trofeów. – Ale był niedawno – ocenił, podnosząc do strugi światła z latarki truchło gołębia. Ciało, choć miało pióra, smugi zakrzepłej krwi i nawet dziób, nie śmierdziało. Nic dziwnego – nie było właściwie ciałem, a przypominało w dotyku i masie granitową skałę.

* * *

Zazwyczaj to Zygmunt zdobywał nowych klientów – obsługiwał konto pocztowe firmy, rozmawiał z petentami, a czasem, tak po prostu, ich znajdował. Nic dziwnego, że wysoce nieuporządkowany życiowo detektyw przebywał w środowisku bardziej przyjaznym interesom niż dobrze zapowiadająca się studentka prawa. Jednak pewne kręgi towarzyskie pozostawały zamknięte dla Zygmunta, a otwarte dla Agnieszki, choć ta nie zdawała sobie z tego sprawy. Od czasu, gdy zaczęła chodzić z Błażem, nie uczęszczała już tak często na imprezy ludzi z wydziału. Czasem tylko zaciągała chłopaka siłą, a jeśli ten się nie dawał, brała współpracownika. Wyłączając klasyczne popijawy, Zygmunt nudził się jak mops na czilałtach młodych prawników i innych rodzynek zadufanej w sobie Warszawki. Jednak tamtego wieczoru wyczuł i rozpoczął sprawę dzięki znajomościom Agnieszki.

Ta postawiła sobie za punkt honoru wyswatanie przyjaciela. Zapewne czuła się winna, ponieważ jej starsza siostra rzuciła Zygmunta po niezbyt udanym związku. Ten irracjonalny dług kazał blondynce wodzić detektywa w otoczeniu pięknych i niezbyt pociągających kobiet. On przez grzeczność nie odmawiał.

– To nie jesteś już z Kubą? – zapytała Agnieszka, sondując teren. Chciała zostawić Zygmunta w towarzystwie dwóch koleżanek, z których co najmniej jedna była zarówno w typie detektywa, jak i, jak się okazało, wolna.

– No... tak właściwie... – odparło rudowłose dziewczę, którego imienia Zygmunt jakoś nie zapamiętał.

– Tak, oczywiście, że tak – z mocą uznała jej przyjaciółka, chyba Iwona. Albo Ilona. Z pewnością jej imię rozpoczynało się od litery „I”. Na końcu zapewne stało „a”.

– Ale Kuba... – zaczęła anonima, po czym wybuchnęła płaczem.

Agnieszka odciągnęła byłą dziewczynę Kuby na bok, a Zygmunt został sam z Iloną/Iwoną. Z zawodowego przyzwyczajenia zaczął wywiad, który zaprowadził go do bardzo ciekawych informacji. Dwadzieścia minut i półtora drinka później detektyw wiedział już, że znalazł godną siebie sprawę. Tajemniczego Jakuba dosięgnęła choroba, z którą nie radziła sobie współczesna medycyna.

– Widziałas go tamtego wieczoru? – dociekał detektyw.

– Tak, byłam na tej imprezie, ale przecież nie cały czas. Marta też go zostawiła na dobrą godzinę, zanim zauważyłyśmy, co się stało. – Zygmunt chciał zapytać, kim jest Marta, ale uznał, że to zapewne ta pechowa towarzyszka Kuby. – Poszedł z chłopakami do pokoju, myślałam, że idą coś zapalić. Ale Michał przysięga, że nic się nie stało, tylko oglądali głupie filmiki w internecie. Nie wierzę mu, ponieważ

kiedy przyjechało pogotowie, wyglądał na nieźle upalonego.

– Masz na niego namiary? Na tego Michała?

Miała i z chęcią podzieliła się adresem domniemanego diler. Zygmunt został tylko chwilę, znalazł Agnieszkę i Martę, aby się z nimi pożegnać. Powiedział, jak mu przykro, a w dodatku, że coś go boli, więc pójdzie. Współpracowniczka rzuciła mu wściekłe spojrzenie bazyliszka, ale nic nie powiedziała.

A poszukiwacz tajemnic wyszedł z dusznego klubu i ruszył do metra. Na szczęście złowieszczy Michał mieszkał niedaleko stacji Kabaty, więc podróż nie trwała długo. Tuż po wyjściu ze stacji usłyszał dzwonek telefonu, a potem głos Agnieszki. Bynajmniej nie była już wściekła – sama zwęszyła ciekawy trop.

– Jadę do Instytutu Neurologii – oznajmiła. – Godziny przyjęć już dawno się skończyły, ale Celestyna zna tam stażystę. Przyjedzie na miejsce i wpuści mnie. – Kiedy Zygmunt usłyszał imię byłej dziewczyny, pożałował, że to nie on pojechał do szpitala. – A ty, co robisz?

– Porozmawiam z tym dilerem. Ale dołączę do was za godzinę – zaproponował.

Zdecydowanym ruchem pokonał zamek wejściowy w kabackim tekturowym apartamentowcu, znalazł wskazany adres i zapukał do drzwi. Ku swojemu zdziwieniu, zastał Michała w mieszkaniu, trzeźwego i skorego do rozmowy. W dodatku niewiarygodnie przestraszonego.

– Posłuchaj, stary... Wszystko powiedziałem policji – bełkotał chorowity brunet. Najwidoczniej nie spał dobrze przez ostatnie dwa tygodnie. – To znaczy nie wszystko, ale przecież by mi nie uwierzyli.

– Ja ci uwierzę – zapewnił Zygmunt. – I nie jestem z policji. Badam tę sprawę, ponieważ może wiem, jak pomóc.

– Nie masz pojęcia, jak to się stało! – jęknął Michał.

– Nie, dlatego tu jestem – przyznał detektyw. – Ponoć oglądaliście filmiki...

– Tak, mówiłem lekarzom, a oni powiedzieli, że zbadają, czy to nie atak epilepsji – szlochał domniemany diler. – Policji nie interesowało, pewnie myśleli, że to porno.

– A to przecież było...

– Hm... nie wiem, jak to powiedzieć – zawahał się Michał.

– Szczerze. Wszyscy jesteśmy ludźmi – zachęcił go Zygmunt. – Mów, uwierzę. – Nie uwierzył.

Przez dłuższą chwilę myślał, potem poprosił o powtórzenie opowieści. Następnie uruchomił komputer Michała i wszedł pod podany adres. Natychmiast wyłączył stronę, kiedy z ekranu dobiegły go pierwsze klatki przekazu. Podziękował wymizerowanemu brunetowi i wybiegł z mieszkania. Metrem podjechał tylko do Służewa, tam złapał absurdalnie drogą taksówkę i przed upływem godziny był już w Instytucie Neurologii.

– Gość, czy pacjent? – powitała go czule Celestyna.

Starsza siostra Agnieszki była piękną brunetką o zielonych oczach, ale jej twarz zawsze zdobił zimny wyraz władczości i zdecydowania, który niegdyś zawrócił Zygmuntowi w głowie. Detektyw przyjął pokorną pozę unижonego sługi, wyraził radość z widoku swojej pani, po czym zażądał widzenia z pacjentem. Sprawa

przyciągała go jeszcze silniej do Celestyny. Ta, nieco zdziwiona zachowaniem adoratora, zaprowadziła go na pierwsze piętro, do bloku epileptycznego.

Jakub leżał na łóżku, nieświadomy otoczenia. Fizycznie wydawał się zdrowy, dwanaście dni hospitalizacji nie wycisnęło na nim piętna zabiedzenia, ale i to było na swój sposób dziwne. Celestyna, na zmianę z młodym stażystą, opowiedziała historię tajemniczej choroby pacjenta, a potem opowiedziała raz jeszcze, aby humanista Zygmunt mógł zrozumieć. Jednocześnie Agnieszka zastężyła z dłońmi na czole Jakuba, szukając śladów nadnaturalnej interwencji.

– Poprawcie mnie, jeśli się mylę – poprosił detektyw. – Gość jest sparaliżowany, ale badania nie wykryły żadnego uchwytne uszkodzenia nerwów, w jego systemie nie znaleziono trucizn ani środków psychoaktywnych i byłby zupełnie zdrowy, gdyby nie to, że leży jak kołek?

– Upraszczasz! – sarknęła Celestyna, rytualnie nie zgadzając się z byłym chłopakiem – ale na swój ograniczony sposób masz rację.

Agnieszka otworzyła oczy, spojrzała na siostrę znacząco, a ta odesłała stażystę. Teraz mogli rozmawiać szczerze o duchach, urokach i wampirach. Detektywi bezgranicznie ufali w dyskrecję Celestyny, jako że przyszła lekarka wykazywała się wyostrzonym do granic możliwości sceptycyzmem, a przez to ignorowała nawet podsunięte jej pod nos dowody niewidzialnego świata. Traktowała pracę siostry i Zygmunta jako coś w rodzaju gry fabularnej, wziętej zbyt poważnie. Dlatego nie zareagowała gwałtownie na zgodne orzeczenie paranormalnego konsylium.

– To bazyliszek! – krzyknęła jednocześnie dwójka detektywów.

– A może przyniosę kawę? – zaproponowała Celestyna.

– A skąd ty wiesz, co mu się stało? – zapytała Agnieszka, z godnością ignorując zachowanie siostry.

– Widziałem, co oglądał Kuba przed wypadkiem – wyjaśnił poszukiwacz tajemnic. – To znaczy tylko chwilę, bo ponoć dłuższe seanse zdrowo kopią. A ty wyczułaś paraliż astralny? Ale skąd widziałaś, że to bazyliszek? Jeszcze nie mieliśmy do czynienia z podobnym przypadkiem.

– Tak, to przyniosę tę kawę – zdecydowała Celestyna, wychodząc. – I dodam bromu.

– Kiedy próbowałam się z nim skontaktować... cóż, nie udało mi się, ale dotarłam do ostatniego wspomnienia przed paraliżem. Pokój, ekran wyświetlający jakiś filmik z wielką jaszczurką. Spodziewałam się koguta...

– Kogut, kogut... to tylko legenda – zachnął się Zygmunt. – Namieszał ludziom w głowach Oppman, spisując „Legendy warszawskie”... Ale masz rację. Byłem na tej stronie i...

– Żyjesz? – zapytała zdumiona Agnieszka.

– Tak, raczej tak – zapewnił detektyw. – Otóż oni, Michał, Kuba i pewnie setki innych amatorów taniego melanzu, korzystali z wideocztatu z bazyliszkiem, niczym z narkotyku. Ponoć pośredni kontakt z istotą uspokaja, odpręża i zapewnia głupawkę jak przy skrętach. Jest przy tym znacznie tańszy, bo pięć minut live-feedu kosztuje cztery złote, płatność esemesem, a oglądać może

i dziesięć osób. Tylko Kuba przesadził.

Zygmunt zajrzał do karty pacjenta, próbując zdekodować medyczny żargon.

– Jeśli dobrze rozumiem te zapisy, w dniu wypadku chłopak brał leki przeciwalergiczne oraz trochę wypił. Mieszanka spowodowała niebezpieczną reakcję organizmu, mózg chyba nie przefiltrował należycie obrazu. – Wyciągnął z kieszeni wydruk. Był to zrzut z ekranu komputera, zrobiony u Michała. Przedstawiał jaszczurkę z dziwnym, plamistym grzebieniem na głowie, siedzącą na matowym tle fotograficznym. Mimo że wydruk był monochromatyczny i nie grzeszył wysoką rozdzielczością, oczy stwora emanowały hipnotyczną siłą, wysysającą uwagę i chęć do życia. – Ktokolwiek założył to studio, wpuszcza w sieć nadprzyrodzony materiał cyfrowy. Czy wiesz, co to oznacza?

– Biedaczek – szepnęła Agnieszka. – Trzymają go w zamknięciu i każą patrzeć do kamery. Musimy go uwolnić! – zakończyła z heroicznym zdecydowaniem, a Zygmunt westchnął zrozpaczonym tonem.

– Halo, tu Ziemia do obrońcy zwierząt! – powiedział pozornie spokojnym tonem. – Jakieś głupie dzieciaki weszły w posiadanie potencjalnej broni masowego rażenia, którą zainteresowane są wywiady większej liczby państw, niż wikipedia jest w stanie wymieni. Trzeba zatrzymać apokalipsę.

– No to też – przyznała Agnieszka. – Ale przy okazji musimy uwolnić tego biedaka.

* * *

Szukanie uprowadzonej istoty mitycznej nie jest proste, a jeśli za jedyny trop służy adres szemranego kanału internetowego wideoczatu, może stanowić zadanie beznadziejne. Ale detektywi z agencji „Wars i Sawa” nie poddawali się łatwo. Z samego rana rozpoczęli śledztwo. Zygmunt przeczuwał, jak trudna i niebezpieczna jest to sprawa, dlatego też postanowił rozłożyć sztab kryzysowy na dachu jednego z warszawskich centrów handlowych. Nim uznacie go za szaleńca i orzekniecie, że Celestyna wyspała detektywowi do kawy zbyt mało bromu, zastanówcie się. Wars i Sawa mieli na dachu świątyni mamony dwa czynniki, od których zależał sukces ich misji: darmowy bezprzewodowy internet i nieograniczony zapas gołębi.

Ten pierwszy zasób wydawał się oczywisty. Mimo wszelkich ograniczeń lokacji, trudniej było tajnym agencjom rządowym śledzić ukrytego użytkownika sieci w takim miejscu niż w posiadającym adres i wścibskich sąsiadów biurze na Żoliborzu. Zygmunt pamiętał dobrze o maksymie zwanej w środowisku poszukiwaczy spisków drugim prawem Muldera: „Jeśli ty obserwujesz rząd, rząd z pewnością obserwuje ciebie”. Dlatego też postanowił kupić sobie jak najwięcej czasu przed nieuniknionym popadnięciem w kłopoty. Agnieszka zrozumiała pierwszą potrzebę chwili. Do drugiej wspólnik musiał ją intensywnie przekonywać.

Potrzebowali królików doświadczalnych, a w każdym razie zwierząt przeznaczonych na straty. Detektywka miała zdecydowanie zbyt łagodne serce

do swojej roboty. Wiedziała, że rozsądek nakazywał przetestować właściwości magicznego wideocztu w sposób inny, niż ryzykując własne życie, ale nie przyjmowała do wiadomości potrzeby ofiar. Kupno słodkich myszek ze sklepu zoologicznego nie wchodziło w grę. Za gołębiami Zygmunt lobbował prawie godzinę, a jego przyjaciółka zgodziła się dopiero, gdy zobaczyła, co agresywne bombowce miejskie zrobili w nocy z jej samochodem.

– Ale musimy być humanitarni! – stwierdziła, czyszcząc ptasie guano z niebieskiej karoserii.



Zygmunt był humanitarny do granic bestialstwa. Wysmarował panele linoleum klejem do klepek oraz dżemem wiśniowym. W strategicznym miejscach pułapki powtykał kawałki chleba, a kilkanaście takich matni rozstawił na dachu centrum handlowego. Kiedy gołąb przyklejał się do płyty, Zygmunt zabierał pułapkę i rozkładał nową. Wciąż unieruchomione ptaki czekały na swój los.

Rozstawili komputer w cieniu wentylatorów, dość blisko nadajnika, aby nawet przy silnym wietrze utrzymać trzy kreski sygnału. Osiem gołębi, przyklejonych do linolenowych płytek, gruchało złowieszczo, kiedy Zygmunt szukał zakazanej strony, a Agnieszka wysyłała esemesa. Otrzymany kod wpisali w odpowiednie okienko, po czym aktywowali wideoczt. Wiedzieli już, że tylko przekaz na żywo

jest niebezpieczny. Niestety, właśnie taki zamierzali testować.

Gdyby chat miał kanał zwrotny, uwięziony bazyliszek musiałby przeżyć kryzys samooceny. Otóż przed komputerem odbiorcy postawiono gołębia, który gruchał żałośnie i zdawał się ignorować hipnotyczne oczy mitycznego gada. Jednak po kilkudziesięciu sekundach spojrział wprost w otchłań ekranu i zareagował. Bynajmniej nie zamienił się w kamień, o nie. Był to przecież przekaz filtrowany przez kanał cyfrowy, znacznie słabszy niż bezpośredni. Jednak ptak od razu zaczął przejawiać objawy euforii. Defekował, jakby przelatował właśnie nad morzem przechodniów i gruchał triumfalnie, może marząc o zabrudzonych głowach. Po trzydziestu sekundach kontaktu Agnieszka uznała, że wystarczy. Zygmunt sprawnym ruchem wymienił gołębia, a pierwszy okaz oddał przyjaciółce. Ta przystąpiła do oględzin.

Jeśli detektywka posługiwałaby się w tamtej chwili językiem angielskim, z pewnością użyłaby wyrazu *stoned*, a nie *petrified*. Funkcje życiowe ptaka zwolniły, ale drgania gałek ocznych sugerowały bogate życie wewnętrzne. Sięgając ku stworzeniu talentem, Agnieszka wyczytała wiele o naturze bazyliszkowego efektu. Jednak nie wszystko. Wiedziała, że musi po raz kolejny poprosić siostrę o pomoc.

Poddali próbie wszystkie osiem gołębi, załadowali sztywne ciała do samochodowej lodówki, po czym dyskretnie zeszli z dachu. Ruszyli do mieszkania Celestyny na Wrzecionie, a odsypiająca nocne przygody studentka medycyny powitała ich nawet bez irytacji i okazała sporo zrozumienia. Oczywiście do momentu, kiedy Zygmunt powiedział jej o ważnym dla ludzkości zadaniu.

– Jak to możliwe, że ja z tobą chodziłam? – zapytała przyszła lekarka, pochylając się nad biurkiem, przerobionym na stół operacyjny.

– Widać pociągały cię przymioty mojego umysłu, geniusz analityczny i racjonalny osąd świata.

– Jasne – syknęła Celestyna, przystępując do autopsji gołębia.

* * *

Agnieszka ich uratowała, co Zygmunt musiał przyznać ze wstydem. Po ustaleniu adresu porywaczy, ruszyli na Ochotę. Samochody cebeesiu i furgony Specjalnej Jednostki Szybkiego Reagowania nie rzucały się w oczy na tyle, by detektyw się zaniepokoił. To talent Czującej przestrzegł ich przed niebezpieczeństwem. Kiedy wychodzili zza rogu Banacha, chwyciła przyjaciela za ramię i pociągnęła za winkiel. Przez chwilę rozważała archetypiczny, udawany pocałunek, ale zdecydowała, że nie jest to potrzebne. Rządowi byli zajęci mieszkaniem na pierwszym piętrze i nie zwracali uwagi na przechodniów.

Zygmunt był wściekły, ale nie zawiedziony. Ostatecznie powinien się spodziewać szybkiej reakcji policji jawnych, tajnych i dwupłciowych. Wręcz dziwił się, że z machiną państwową tylko zremisował, zamiast haniebnie przegrać. Do mieszkania wynajmowanego przez Łukasza Maczka i Joannę Inberg dotarli jeszcze tego samego dnia, koło dwudziestej. Sekcje trzech zdechłych

i badanie pięciu żywych gołębi trwały do późnego popołudnia, ale odpowiedzialność za nie spoczywała na Agnieszce i Celestynie. Przyszła lekarka kroila, razila prądem oraz faszerowała lekami biedne ptaki, a Czująca usiłowała opisać nadprzyrodzony aspekt kłątwy bazyliuszka. W tym czasie Zygmunt miał swoje zadanie, to jest ustalenie adresu nowych właścicieli mitycznego jaszczura. Zdołał nagrać przebieg wideocztatu, a w mieszkaniu Celestyny rozpoczął analizę danych. Jako dumny humanista, nie znał się na komputerach na tyle, aby próbować sił w hakerstwie i śledzić transfer danych. A nawet gdyby znał zaufanego komputerowca, wolałby nie ryzykować wykrycia przez służby. Dlatego użył najprostszych detektywistycznych trików.

Wydrukował zrzuty z ekranu w wysokiej rozdzielczości, a potem patrzył na nie, szukając znaczących szczegółów. W słuchawkach dudnił mu zapis dźwiękowy czata, przefiltrowany przez wersje demonstracyjne różnych wymyślnych programów. Dzięki samym dźwiękom odkrył, że szuka budynku w pobliżu linii tramwajowej, niedaleko Okęcia oraz w bezpośrednim sąsiedztwie miłośników muzyki techno. Dokładne godziny przejazdu tramwajów zapisał na kartce, po czym porównał je z rozkładami jazdy. Po kwadransie uznał robotę za beznadziejną, nie tylko z powodu przysłowiowej niepunktualności warszawskiej komunikacji, ale przede wszystkim niewiarygodnej ilości permutacji układu. Test tramwajowy odłożył na koniec. Mógł to być argument rozstrzygający między kilkoma lokacjami.

Obserwował więc zdjęcia i szybko upewnił się, że ma do czynienia z mieszkaniem wynajmowanym przez średniozamożnych studentów, właścicielem jest osoba starsza, a budownictwo sprawia wrażenie przedwojennego. W dodatku lokatorzy żywią się niezdrowo, ponieważ w kącie kadru wprawne oko potrafiło dostrzec pudełko po pizzy. Wprawny program graficzny odczytał logo lokalu, więc Zygmunt zawęził obszar poszukiwań do ledwie czterech kilometrów kwadratowych. Zaryzykował. Zadzwoił do pizzerii, przekonał operatora, że zostawił poprzedniego dnia na imprezie portfel, ale nie pamięta adresu. Pracownik zakładu odniósł się ze zrozumieniem do kłopotów klienta i łamiąc kilka przepisów prawa konsumenckiego, zdradził adres. Zygmunt triumfalnie podziękował i wyłączył komputer.

Przez ten czas Agnieszka i Celestyna ustaliły wiele przydatnych szczegółów. Według ich wiedzy, spoglądanie na cyfrowy obraz bazyliuszka nie zagraża życiu, o ile nie trwa dłużej niż kwadrans. Już minuta wpatrywania się w ekran komputera, więc pośrednio w oczy stwora, powoduje efekty psychotropowe, o których Celestyna mówiła oględnie. Agnieszka, porównując dane z sekcji gołębi oraz policyjne bazy środków szkodliwych, uznała, że trzy minuty wideocztatu z bazyliuszkiem odpowiadają wypaleniu grama suszonej konopi indyjskiej. Ponadto wyraziła nadzieję, że kiedy zdobędą już jaszczura, znajdą sposób, aby pomóc Kubie. Zostawili wciąż sceptyczną Celestynę i pojechali do centrum handlowego (na wszelki wypadek innego niż rano) i kupili podręczny zestaw antybazyliuszkowy, to jest dwie pary gogli narciarskich, które oblepili dodatkowo srebrną folią. Przez urządzenie nie było wiele widać, ale przecież o to chodziło.

Potem ruszyli na Grójecką i prawie wpadli w ręce władz.

– I co teraz? – zapytała Agnieszka.

– Teraz sprawdzimy, w jakich kłopotach się znaleźliśmy – zdecydował Zygmunt.

Kiedy Agnieszka spostrzegła, co robi jej przyjaciel, zaprotestowała, jak zwykle na próżno. Detektyw wyciągnął zza pazuchy uniwersalną antenę na dziesięciometrowym kablu i rzucił ją zręcznie ku gałęziom topoli. Następnie spojrzął na Czującą błagalnie. Ona nie lubiła tego robić. Choć wiedza prawnicza podpowiadała jej, że nawet w przypadku ataku na funkcjonariusza magię trudno jest udowodnić, nie lubiła w jakikolwiek sposób dotykać ludzkich umysłów. Jednak zamknęła oczy i musnęła świadomość siedzącego w czarnym furgonie operatora. Sekundę później dyktowała już Zygmuntowi częstotliwość transmisji. Detektyw włamał się na pasmo tajniaków.

Dwójka, oboje podejrzanych w środku. Mówił operator. Nie możemy zlokalizować obiektu X. Uważajcie.

Jedynka, wchodzimy! Meldował dowódca oddziału.

I weszli. Detektywi słyszeli odgłos wykopywanych drzwi, potem gwałtowne rozkazy i groźby wobec mieszkańców. Wściekły Zygmunt nie mógł nic zrobić – oto polskie służby miały położyć łapę na bazyliisku. „Choć może to i lepiej, że polskie niż obce” – pomyślał, choć był niemal pewien, że „obiekt X” szybko opuści kraj nad Wisłą, w ramach unijnej solidarności bądź współpracy z którymś ze strategicznych partnerów. Dlatego nie mógł powstrzymać uśmiechu, kiedy usłyszał przekleństwa tajniaków.

Nie ma go! Powtarzam: nie ma! Meldował dowódca drużyny. *Inberg i Maczek twierdzą, że uciekł dziś, około południa.*

– Spadamy! – szepnął Zygmunt do Agnieszki. Mocnym ruchem ścignął z drzewa antenę i ruszył ku samochodowi.

– Co się stało? On uciekł? – pytała Czująca. – Ale to dobrze, nie dostaną go.

– Bazyliisek na wolności stanowi niebezpieczeństwo – oznajmił Zygmunt, otwierając przyjaciółce drzwi i czekając, aż ta zasiądzie za kierownicą. On nie miał cierpliwości do ruchu miejskiego, a poza tym wóz należał do rodziców Agnieszki. – Musimy go znaleźć przed służbami. Wyśledzisz go?

– Tak, to nietrudne – odparła dziewczyna. – Ale przecież wiemy, dokąd poszedł. – Zygmunt spojrzął na nią zdumiony. – Na Stare Miasto! Tak jak było u Oppmana – wyjaśniła, uznając literacką przeróbkę starej legendy za wiarygodne źródło. Detektyw nie mógł z taką logiką dyskutować, ponieważ sam przyjmował na poważnie mniej poważne przekazy.

– Musimy ustalić plan – uznał Zygmunt. – Jedźmy do domu.

* * *

Detektywi założyli rozsądnie, że mają dobieć. Na Stare Miasto ekipa w srebrnych maskach nie mogła jechać od razu i to z wielu względów. Po pierwsze, winni przesłuchać biednych studentów i wyciągnąć z nich każdy nieistotny szczegół

odnalezienia oraz wykorzystania mitycznego gada. Po drugie, służby specjalne pracujące nad tak absurdalnymi zadaniami, działały na granicy swoich uprawnień, więc kolejne akcje uzgadniano z politycznymi protektorami dowództwa. Co jednak było najgorsze dla facetów w czerni, a najlepsze dla detektywów i bazyliuszka, to festiwal szopenowski. W piątek całe Stare Miasto blokowała impreza plenerowa. Co prawda w sobotę miał się odbyć jakiś inny iwent, ale przez dwadzieścia cztery godziny tajniacy potrafilo przygotować dyskretne wejście.

Wars i Sawa dostali niezасłużony dzień zwłoki. Mieli nad konkurencją niezaprzeczalną przewagę – talent Agnieszki. Gdzie komandosi biegali z elektronicznymi czujnikami, sprawdzającymi się jeszcze gorzej niż sprzęt z „Obcych”, Czująca polegała na szóstym zmyśle. Dlatego termin operacji na wczesne sobotnie popołudnie.

Rankiem skoczyli jeszcze do biblioteki uniwersyteckiej, aby stwierdzić, że w księgach nie znajdą nic mądrzejszego na temat bazyliuszków, niż mogliby wygrzebać z sieci. Jednak Zygmunt nalegał, aby przeczytać bzdury pisane, a nie wyświetlane, ponieważ papier i farba drukarska nadawały każdemu absurdowi znacznej powagi.

– To ciekawe – mruzczał detektyw nad księgą, wyniesioną nielegalnie z Pracowni Starodruków. – Ta kronika opisuje faktyczne łowy na bazyliuszka we wrześniu tysiąc sześćset pięćdziesiątego piątego roku, podczas oblężenia szwedzkiego. Pięciu śmiałków nie wróciło z podziemi, ale plotka krążyła, że nie chcieli gada ubić, a jedynie uciec ze stolicy. Co najmniej jeden z nich przeżył, bo zaciągnął się do piechoty Stenbocka rok później i poddał się z garnizonem szwedzkim pierwszego lipca pięćdziesiątego szóstego. Warszawiacy powiesili go na rynku. Albo to prawda, że nigdy nie łowił bazyliuszka, albo nasz jaszczur taki groźny nie jest i pozwala się pętać przybłędom w piwnicach Starówki.

– To na pewno bardzo miły zwierz – zapewniła Agnieszka. – Dobrze mu z oczu patrzy.

– Czyli o samym bazyliuszku niczego nie znaleźliśmy – podsumował Zygmunt. – Jeśli wierzyć teoriom ojca Jana, stwory mityczne nie mają bytów jednostkowych, ale tylko jedną formę substancjalną na cały rodzaj. Czyli kiedy nasz bazyliuszek zginie, zaraz odrodzi się gdzieś w podziemiach Starego Miasta. Musimy go znaleźć i bezpiecznie wy dostać się z obszaru poszukiwań.

Z BUW-u ruszyli na Stare Miasto. Właściwie podjechali tylko do Mariensztatu, aby tam szukać przez dwadzieścia minut miejsca do parkowania, ale w sumie nie stało się źle. Kiedy Zygmunt ruszał ku Traktowi Królewskiemu, Agnieszka zatrzymała go i pociągnęła za sobą. Z powodu wiecznego remontu ogrody Pałacu Królewskiego były otwarte. Co więcej, nikt nie zamknął drogi do piwnic kompleksu, które ginęły gdzieś pod Skarpą Wiślaną. Czująca wiedziała dokąd iść i pewnie prowadziła przyjaciela. Wąska strużka światła lizała ściany korytarzy, ale poszukiwaczka tajemnic nie potrzebowała wzroku, by poznać drogę. Szybko – przynajmniej szybko, jak na drogę pod ziemią – weszli pod Rynek. Zygmunt słyszał z góry ludzki gwar i dźwięki osobliwej muzyki. Skuszeni honorariami

z kasy miasta, awangardowi artyści udawali, że grają Chopina. Nawet miejskie szczury piszczały, udręczone przez tę agresywną sztukę. Ale im bliżej Krzywego Koła podchodzili, tym mniej w piwnicach było gryzoni. Widać, że ktoś na szkodniki polował.

– Czuję kieszeń energii. Pewnie tu narodził się nasz bazyliszek – powiedziała Agnieszka. Właściwie nie musiała tłumaczyć, ponieważ Zygmunt widział delikatne iskry mocy na jej złotych włosach. Wyglądało to ze wszech miar fachowo i tajemniczo, ale nie ułatwiało im kamuflażu. – Źródło nie jest silne, ale zdolne utrzymać dziesięciokilogramową jaszczurkę przez stulecia. Nasz przyjaciel musiałby od czasu do czasu przekąsić szczura czy gołębia i przez lata żyć z potencjału astralnego. Nie wierzę, że polował na ludzi. Pewnie znajdziemy tu szkielety z poskręcanyimi karkami. Tak się czasem zdarza, że pijany menel wpadnie w jakąś dziurę. A wszystko zwalają na naszego Bazyla...

– Kogo? – zapytał Zygmunt.

– No tak go nazwałam. Bazyli. To dobre imię – zapewniła Czująca. – O, uważaj, szkielet przed nami. Brak urazów zewnętrznych, to był chyba zawał serca.

– Mimo wszystko należałoby przenieść Bazylego w jakieś inne miejsce – zasugerował detektyw. – Lepiej, aby nie wpadł w niepowołane ręce. – Nie dodał, że wcale nie uważa Agnieszki za ręce powołane. Do trzymania bazyliszka w biurze stosunek miał wysoce sceptyczny, nie tylko ze względu na zagrożenie wobec ludzkości, ale i kwestie higieniczne.

Na komnatę Bazyla wpadli niespodziewanie. To znaczy detektyw był zaskoczony, ponieważ Czująca maszerowała prosto do celu. Kiedy Zygmunt spostrzegł hałdę kości i szmat, a także dziwny jasnoszary kształt w kącie, krzyknął i sięgnął po maskę niepatrzałkę. Założył jedną i chciał wcisnąć drugą Agnieszce, ale z powodu zakłóceń w percepcji nie mógł jej znaleźć.

– Zygi, nie bój się! – zawołała Czująca, głaszcząc mitycznego gada.

Bazyl zapiszczał, a jeśli mierzymy słodkość w skali od jednego do dziesięciu (gdzie jeden odpowiada urokowi kłosa drewna, a dziesięć kwilenie miesięcznego szczeniaka), Agnieszka przyznałaby mu dwanaście punktów. Stwór mocno zaciskał powieki, aby nie zrobić krzywdy nowym przyjacielom. W dodatku Czująca dość dobrze rozumiała emocje jaszczura.

– Nie robi nam krzywdy – zapewniła. – Weźmiemy go ze sobą, to znaczy... – Uśmiechnęła się promiennie do przyjaciela i choć on tego nie widział (z powodu maski nie mógł), wyczuł w powietrzu ciężar prośby. – Możesz go ponieść? Ja chyba nie dam rady.

Detektyw zbliżył się niepewnie do Bazyla. Poszukiwacz tajemnic nie należał do strachliwych, ale podnosząc potwora, szeptał modlitwy. A jaszczur sam niemal wszedł po plecach nosiciela, przyjmując optymalne ułożenie. Owinął ogon wokół lewej ręki Zygmunta i delikatnie chwycił prawą łapą szyję opiekuna. Następnie zastygł, jakby udawał, że jest znacznie lżejszy niż w rzeczywistości. Detektyw stawał niepewne kroki, ponieważ wciąż niewiele widział, a jaszczur ważył chyba z dwadzieścia kilogramów. Zapewne wyglądał trochę jak roczny krokodyl, ale detektyw wolał się nowemu przyjacielowi nie przyglądać. W dotyku przypominał

wielkiego warana. Tylko chropowaty grzebień na głowie sugerował, że gad nie należy do królestwa zwierząt. Zygmunt ruszył ku wyjściu.

Agnieszka szła przodem, świeciła latarką (zupełnie niepotrzebnie) i otwierała im drzwi. Zygmunt był bliski kłopotliwego pytania, czemu bazyliszek nie idzie piechotą, skoro przez noc przelazł na Stare Miasto z Ochoty, ale zadyszka skutecznie go powstrzymała. Poczł ulgę, kiedy jego twarz pogłaskało światło słoneczne. Wyszli na powierzchnię. Tam Agnieszka zaklęła – po raz czwarty w swoim dwudziestojednoletnim życiu. Zygmunt chciał zdjąć maskę, ale mu zabroniono.

– Nie ruszać się. Ręce do góry! – rozkazał władczy głos.

– Na pewno chcecie, abym go puścił? – zapytał detektyw. Udawał rozbawienie, ale właśnie zrozumiał, że tkwi w nielichym bagnie. Długie ramię państwa znalazło ich szybciej, niż poszukiwacze tajemnic myśleli.

– Owszem, ty nie – powtórzył urzędnik, którego Zygmunt wciąż nie mógł dostrzec przez zaciemniane okulary. – Zaraz przybędzie ekipa i przeprowadzi kwarantannę.

– Bazyl, nie! – krzyknęła Agnieszka, a detektyw zrozumiał, że Bazyliszek wziął sprawy w swoje łapy. A dokładniej pisząc, oczy. Otworzył je.

Nie nastąpił żaden wybuch, Starówką nie wstrząsnął huk, dźwięki bluźnierczej trawestacji Szopena wciąż drażniły uszy uciekinierów. Ale żołnierze z łapanki zastygli. Zygmunt wciąż słyszał ich oddechy, ale nie wyczuwał ruchu. Ostrożnie podniósł lustrzane gogle i zobaczył pięciu komandosów w czarnych mundurach i jednego agenta w garniturze i ze skórzaną teczką. Wyglądał groźnie, ale przy takiej pogodzie był godny współczucia. Wrogowie patrzyli w oczy bazyliszka, jakby czekając na dalsze instrukcje. Być może właśnie tak było.

– Teraz wypełnicie moje rozkazy – oznajmiła drżącym głosem Agnieszka.

– Teraz wypełnimy twoje rozkazy – potwierdzili komandosi i agent.

– Zameldujecie w bazie, że stwora nie znaleziono. Ty... – podeszła do garnitura i szturchnęła go w ramię. – Zasugerujesz przełożonym, że cała sprawa jest żartem. Zostaliście oszukani. Nie było żadnego bazyliszka.

– Nie było żadnego bazyliszka – powtórzył zahipnotyzowany agent.

– Zapomnicie o tym wszystkim.

– O czym? – spytało sześć głosów.

– Wracajcie do bazy – poleciła na koniec Czująca.

Wrócili. Po prostu odwrócili się w miejscu i ruszyli ku rynkowi. Tam zniknęli w tłumie festiwalowiczów. Jaszczur mruknął z ulgą i rozluźnił chwyt na szyi nosiciela. Odwrócił łeb i polizał rozdwojonym językiem Zygmunta, a ten w ostatniej chwili zdążył nasunąć na oczy maskę zaciemniającą.

– Widzisz, lubi nas – potwierdziła Agnieszka. – Jesteśmy bezpieczni. A teraz wracamy do samochodu. Szybko, trzeba go zawieźć do instytutu i uleczyć Kubę.

Zaczęli przeciskać się ku Trasie W-Z. Nie było to takie łatwe, ponieważ nawet niecodzienny strój detektywów i wielki gad na ramieniu Zygmunta nie zapewniał szacunku gapiów. Jakaś staruszka przeżegnała się na widok bazyliszka, właściciel budki z kebabami spojrział pożądliwie na egzotyczne mięso, siwiejący człowiek

w szarej koszuli chwycił go za ramię.

– Panie, EuroPride to już się skończyło! – rzucił w tonie wyrzutu.

Zygmunt ruszył dalej, ale zdjął lustrzaną maskę z twarzy. Jednocześnie Agnieszka dzwoniła po Celestynę. Umówili się w Instytucie Neurologii na dziewiętnastą. A oddział komandosów pod dowództwem agenta specjalnego Kumiołka właśnie dotarł do czarnego furgonu. Na ponagląjące pytania operatora funkcjonariusz odpowiedział tylko stekiem przekleństw.

– Dzieciaki! Zrobili nas w konia! A szefostwo uwierzyło, że bazyliszek istnieje.

Agnieszkę i Zygmunta zatrzymała jeszcze jedna władza, tym razem czwarta. Ekipa filmowa pewnej znanej stacji telewizyjnej otoczyła uciekinierów, nie zostawiając im możliwości wyboru. Musieli coś powiedzieć. Mikrofon przysunięto detektywowi (i Bazylowi) pod sam nos. Na niego też skierowano kadr kamery, tak że ślepia mitycznego stwora patrzyły wprost w obiektyw.

– Niech pan powie coś naszej telewizji... – zagadnął reporter.

– Telewizja kłamie. Nie oglądajcie jej – polecił Zygmunt, a bazyliszek potwierdził chrząknięciem.

Wszyscy członkowie przeprowadzającej wywiad ekipy terenowej w najbliższy poniedziałek odeszli z pracy, a media donosiły o masowych przypadkach wyrzucania telewizorów za okno, które zdarzyły się tego dnia wieczorem. Większość widzów zignorowała jednak hipnozę magicznego jaszczura, co dowodzi tezy, że manipulacja klasyczna jest silniejsza od tej nadprzyrodzonej.

Detektywom udało się dotrzeć do samochodu i dość szybko dojechać na Sobieskiego. Zygmunt obawiał się, jak personel szpitala zareaguje na ponad metrowej długości jaszczura wnoszonego na oddział. Na szczęście Celestyna zeszła po nich do bramy i uspokoiła ochronę. Weszli do sali, wygonili stażystę i zamknęli drzwi. Świadkiem uleczenia mogła być sceptyczna studentka medycyny, ale nie postronni obserwatorzy. Zygmunt nie chciał po raz kolejny wykorzystywać zdolności bazyliszka.

– Reptilioterapia? – zapytała Celestyna.

– Nie jest prawdziwym gadem. To bazyliszek – wyjaśniła detektywka, tak jakby jej siostrze można było cokolwiek wyjaśnić.

Położyli jaszczura na łóżku, obok sparaliżowanego chłopaka i czekali. Bazyli obwąchał swoją ofiarę, spojrzął na Agnieszkę (oczywiście zamykając oczy), a gdy ona skinęła głową, zabrał się do dzieła. Wszedł na nieruchome ciało i polizał rozdwojonym językiem zamknięte powieki pacjenta i nie minęła minuta, gdy Jakub zakaszłał.

– Ja pier.... – jęknął pacjent. – Ale tripa miałem...

Otworzył oczy i zauważył wielkiego jaszczura, stoicko leżącego na łóżku. Wrzasnął na całe gardło i stracił przytomność, ale tym razem już ze zrozumiałych medycznie powodów. Celestyna sprawdziła puls podopiecznego i zameldowała.

– No tak, niewyjaśniona remisja stanu katatonii. Prawdopodobna przyczyna to autosugestia, związana z kojącym oddziaływaniem jaszczurki na psychikę chorego.

– Uff, to koniec – powiedziała Agnieszka, z trudem biorąc na kolana Bazyla.

– Nie, niestety, nie koniec – zauważył ponuro Zygmunt. – To dopiero początek. – I musiał wyjaśnić. – Przecież widzieliśmy, do czego on jest zdolny. Pał sześć zamianę w kamień, ale masowa telehipnoza to święty Graal wszystkich rządzących na świecie. Każda władza chciałaby mieć takie narzędzie kontroli obywateli.

– Ale zajęliśmy się naszymi...

– Przyjdą inni – zauważył Zygmunt.

– Aha... – odpowiedziała Czująca. Myślała chwilę, po czym znów obdarzyła detektywa i jaszczura promiennym uśmiechem. – No to go wykorzystajmy dla ogólnego dobra. Urządźmy transmisję telewizyjną, w której każemy ludziom nie kraść, nie kłamać i nie słuchać telewizji... – Sama odkryła pewne sprzeczności w rozumowaniu. – Okej, może nie powinniśmy o tym decydować. Pojedziemy z Bazylem do Watykanu, a Ojciec Święty wykorzysta go do ewangelizacji.

– Nie sądzę, aby papież chciał wyzyskać taką przewagę. To wbrew regułom – powiedział detektyw.

– Więc uważasz, że może zostać z nami? – zapytała Agnieszka. Trochę żal jej było nieudanego pomysłu naprawienia świata, ale perspektywa zatrzymania jaszczura też miała swoje zalety.

– Nie może zostać z nami! – westchnął Zygmunt. – Rozumiesz, że nasz rząd odgoniliśmy tylko na chwilę. Kiedyś wrócą do sprawy, a być może już śledzą nas i obce wywiady. Bazyl jest niebezpieczny dla ludzkości...

– Nie chcesz chyba... – jęknęła dziewczyna, osłaniając ramieniem jaszczurkę. Bazyliszek pisał żalostnie.

– Nie. To i tak nie ma sensu. On by się odrodził w podziemiach Starówki, na nowo rozpoczynając zabawę... Nie wiem...

– Uważam, że zdrowo wam odbiło – wtrąciła się Celestyna, wciąż odmawiająca uznania dla istnienia gada. – Ale jeśli macie do dyspozycji czynnik X, którego nie chcecie użyć, ale nie zamierzacie dopuścić, aby używali go inni, musicie pomyśleć nad trwałym unieszkodliwieniem tegoż. Zygmunt, twój wujek jest glaciologiem. – Detektyw skinął głową. – Obecnie pracuje na wyspie Jana Mayena, tak? – Chłopak skinął głową po raz wtóry. – To gdzieś na północy i mają tam pewnie elegancki lodowiec. Pojedziesz w odwiedziny do wuja i wrzucisz tego warana do szczeliny w lodzie. Nie umrze, ale będzie bezpieczny.

– Nie! – krzyknęła Agnieszka.

– Nie... – mruknął detektyw. – Nie przemycimy Bazyla przez granicę.

– Może lodowce alpejskie albo Finlandia? Są w strefie Schengen.

– Musi być inny sposób – zdecydowanym tonem powiedziała Czująca – musi. – I był.

Wiele jaszczurek w stanie zagrożenia potrafi odrzucić ogon. Bazyliszek zrozumiał, że grożą mu nieliczne kłopoty i całą swoją siłą, gadzim instynktem i magiczną naturą postanowił temu przeciwdziałać. Może nawet nie tyle bał się Celestyny, co nie chciał nigdy skrzywdzić Agnieszki. Nadał się jak agama, po czym zrobił coś niebywałego.

– O! – skomentowała ów akt studentka medycyny.

– Pomóżcie mu! – jęknęła Czująca. Ale było już za późno.

Bazyliśzek po prostu odrzucił oczy. Z przyprawiającym o mdłości puknięciem, obie gałki wyskoczyły z oczodołów i spadły na szpitalną pościel. Gad zamknął powieki i zamiast wyrazu bólu, zamruczał uspokajająco. Chyba chciał powiedzieć: „Nic się nie stało, będzie dobrze”.

– Bazyli! – szepnęła Agnieszka. – To było takie szlachetne... Teraz ludzkość jest bezpieczna. – Po czym dodała radosnym tonem. – A my możemy go zabrać do domu!

– Chwila, moment! – powstrzymała ją Celestyna. – Nie w takim stanie. Zdezynfekuję oczodoły i założę jakiś opatrunek. A tak przy okazji, mogłabym chirurgicznie usunąć ten kretyński koguci grzebień z głowy. Wtedy będzie wyglądał jak waran. Ani zoo, ani sanepid nie powinny się przyczepić...

– Zrobisz to? – zapytała z wdzięczną radością Agnieszka.

– Jasne. Każdy chirurg marzy o treningu na pacjencie, którego nie można zabić. – Widząc przestrach w oczach siostry dodała: – Żartowałam, uda mi się za pierwszym razem. – Potem spojrzała na Zygmunta. – Nie mieszajmy do tego moich kolegów. Ty będziesz pielęgniarką. Przygotuj stół operacyjny w szóstce.

– Nie wiem, czy wiesz, ale nigdy nie operowałem – zauważył detektyw. Przyszła lekarka szepnęła mu do ucha.

– Nie mów Agnieszce, ale ja też nie. Kiedyś trzeba zacząć. A jesteś pewien... tak hipotetycznie pytam... że jak nam się nie uda, to ten krokodyl odrodzi się na Starym Mieście?

– Chodźmy po narzędzia – westchnął samozwańczy asystent chirurgiczny.

I tak zostawili szczęśliwą Czującą i magicznego jaszczura, siedzących na fotelu i cieszących się z niezasłużenie szczęśliwego końca historii. Zwłaszcza, że jaszczurkom ogony odrastały, więc czy łagodne oczy bazyliśzka nie mogły wyrosnąć po raz drugi?

VII. BŁOTO RENU

27 marca 1945, Dolina Renu, 12 kilometrów na południe od Bonn

Wiosna w Dolinie Renu byłaby zaiste olśniewająca, gdyby nie jeszcze bardziej olśniewające wybuchy artylerii. Święta rzeka Germanii płynęła spokojnie, tylko czasem marszczyła się, wzburzona niecelnym granatem czy pociskiem. Za to wschodni brzeg przypominał piekło. Dwunasta Armia szła z północy, Dwudziesta Pierwsza z południa, a w sztabie Sprzymierzonych ktoś wymyślił, aby cały ostrzał artyleryjski skierować na winnice w połowie drogi między przeprawami w Nierstein i w Rheinberg. Być może i był w tym jakiś zamysł – Koalicja Antyhitlerowska wypalała stalowym ogniem magiczną krainę Nibelungów, Wagnera i Rieslienga. Utrata narodowych czarów bolała nie mniej niż nalot tysiąca Liberatorów.

Hauptscharführer Hans Essen, potomek świetnego rodu i dobry dowódca plutonu, był zrozpaczony. Brudna wojna, w której jego Vaterland nie miał słuszności i ewidentnie nie miał szczęścia, nie licytowała się dawnymi laurami wojennymi rodu Essen und Trinken znad Renu. W dodatku dowódca kompanii miał jedynie niedobitki drużyny, która rozpaczliwie usiłowała ratować sprzęt ze zbombardowanego przyczółka. Dziesięciu ludzi niosło cztery erkaemy czterdziestki dwójki, pięć schmeisserów i kilka panzerfaustów, a przy tym tyle amunicji, aby bronić się do skończenia świata lub jeszcze dłużej. Aby bronić się przed atakiem piechoty, a nie stalowym ogniem lecącym z nieba, Essen biegł z granatnikiem przeciwpancernym i ciągnącą go ku ziemi taśmą do erkaemu przez nadreńską winnicę. Zielone krzewy nie zapewniały nawet najłżejszej ochrony przed odłamkami, więc dowódca prowadził swoich ludzi ku lasom i skałom pod Drachenfelsen, gdzie mogli zatrzymać się choć na trochę.

Hans myślał o odwadze przodków, szarżach kawalerii przeciw grenadierom Napoleona i pościgu za rozbitymi armiami Benedeka. W dzisiejszej wojnie nie było ani chwały, ani honoru dawniejszych zmagania. Jakże wykazać dzielność i odwagę, kiedy zamiast stawać naprzeciw wroga, trzeba chować się po jamach przed artyleryjskimi pociskami i bombowcami? Gdzieś tam duchy Nibelungów musiały odwracać pełne wstydu twarze od barbarzyństwa plebejskiej rzeźni wieku dwudziestego. To nie była wojna godna hrabiego von Essen Und Trinken.

– Do środka – rozkazał Hans, kiedy znaleźli jaskinię pod zamkowym wzgórzem.
– Nie przebijemy się do naszych z tym całym żelastwem, a nie zostawimy dobrej, niemieckiej broni wrogowi. – W rzeczywistości Hauptscharführer nie chciał walczyć, myślał już o poddaniu się Amerykanom, ale przed podwładnymi udawał nieugiętego wojownika. – Smok Zygfyryda przypilnuje naszego oręża.

Dawny pluton Essena sprawnie ukrył arsenał w jaskini, maskując starannie

wejście. Potem artyleria wroga wznowiła ostrzał i musieli biec dalej. Nie bez żalu Hauptscharführer zostawił dobre erkaemy, zapas amunicji i resztki szacunku do siebie w pięknej grocie, której kiedyś szukał Zygryd, a potem ruszył do ucieczki przez aliancką nawałę. Dalszy los amerykańskiego natarcia nie ma właściwie wpływu na naszą historię, ale pamiętajmy, gdzie młody hrabia Hans Ulryk von Essen Und Trinken ukrył swój Skarb Renu.

27 maja 2017, Dolina Renu, 12 kilometrów na południe od Bonn
(15 według GPS-u Agnieszki)

Jechali pociesznym niebieskim samochodem ponoć najromantyczniejszą drogą w całych Niemczech. Zygmunt nie zwracał uwagi na piękno wschodniego brzegu Renu, ponieważ usiłował rozpoznać swoje dokładne położenie i zgadnąć, czy do Königswinter dojadą, czy rozłożą się na drodze z braku benzyny. Agnieszka robiła zdjęcia i nie patrzyła na mapę, a jej GPS sprawiał wrażenie jeszcze mniej zainteresowanego topografią niż właścicielka. Na szczęście byli tam, gdzie zamierzali. Benzyny zabrakło dosłownie sto metrów przed stacją benzynową przy wjeździe do Königswinter i Zygmunt doturlał ich pokraczny wehikuł w zasięg dystrybutora.

– Mamy jeszcze jakieś euro? – zapytał detektyw.

– Zostało mi osiemdziesiąt centów, po lodach w Moguncji. Trochę chyba zatankujemy, nie? – wyraziła nadzieję jego piękna i niezbyt przejęta powagą sytuacji asystentka.

Na szczęście Zygmunt Wietrzyk uciułał trzy euro, dzięki której to sumie przedłużyli swoją podróż o kilka kilometrów. Właściwie starczyłoby niecałe euro. Brunhilda czekała na nich na parkingu przy przeprawie promowej w Königswinter. Szybko rozpoznali sieciową przyjaciółkę i jedyną klientkę agencji detektywistycznej paranormalnej „Warsa i Sawa” na zachód od Odry. Była to potężnie, acz zgrabnie zbudowana niewiasta w wieku lat dwudziestu kilku, o złotoblond włosach i dumnym spojrzeniu walkirii. To skojarzenie nasunęło się Zygmuntovi samo i nieproszone, ale powstrzymać się nie mógł. Ćwicząca nad rzeką orkiestra napełniała dolinę dźwiękami opery Wagnera.

– Dzień dobry. Przepraszamy za spóźnienie, ale dolina tłumy odczyt nawigacji – powiedział detektyw po niemiecku, wymawiając zdania tak starannie, aby w każdym rzeczowniku znać było wielką literę. Mowa Goethego w jego wykonaniu była poprawna gramatycznie i bardzo rozrywkowa pod względem akcentu. Może dlatego Brunhilda kontynuowała rozmowę po angielsku.

– Ważne, że jesteście. I że was wreszcie widzę na własne oczy.

Przez mijający rok Brunhilda śledziła domową stronę Warsa i Sawy, a przynajmniej anglojęzyczne raporty z działalności spółki. Jako jedyna z kilku setek fanów bloga uwierzyła, że nie jest to cyberzart, a zapis prawdziwej praktyki detektywów paranormalnych. Nalegała na spotkanie od miesiąca. Ponoć znalazła sprawę odpowiednią dla poszukiwaczy tajemnic. Wstała z ławki i wskazała na niewielki pensjonat.

– Wasz pokój jest gotowy. Odświeżcie się i porozmawiamy przy obiedzie?

– Jeden pokój? – zapytała podejrzliwie Agnieszka.

– Co na obiad? – zapytał jeszcze podejrzliwiej Zygmunt.

Godzinę później siedzieli na tarasie Jesuiter Hof, próbując nadreńskiej kuchni. Agnieszka chyba smakowała pieczeń wołowa na dziko, ale jej współpracownik

z lokalnego menu doceniał tylko wino. Pozostał więc przy taniej pizzy. Tymczasem Brunhilda usiłowała przekrzyczeć orkiestrę, ćwiczącą z zapalem godnym lepszej sprawy.

– Właściwie napisałam wszystko, co istotne. Jestem pewna, że na terenie Zakładów Ceramicznych EUT dzieje się coś niedobrego. Widzieliście zdjęcia...

– Owszem – potwierdził Zygmunt. – Ale to tylko kilka kadrów kopalni gliny i obrazki krasnali ogrodowych. Co w nich takiego groźnego?

Bez słowa Brunhilda sięgnęła do torby, z której sprawnym ruchem wyciągnęła głowę ceramicznego gнома. Czerep brzdęknął o stół, przekonując małżeństwo z sąsiedniego stolika do zmiany lokalu. Krasnal wyglądał jak krasnal – nie wyróżniał się niczym szczególnym, prócz znanej niekompletności. Niemka utkwiała spojrzenie swoich niebieskich oczu w Zygmuncie, a ten pomyślał, że choć nadal uważa sprawę za dętą, przyjazd do Königswinter mógł mieć swoje zalety. Widząc to, Agnieszka – jeszcze chwilę wcześniej zupełnie usatysfakcjonowana szczęśliwym związkiem z Błażem i oburzona koniecznością noclegu w jednym pokoju z Zygmuntem – poczuła się mocno niedoceniona.

– Pozwól, proszę... – mruknęła nerwowo i położyła dłonie na odrąbanej głowie krasnala. Ten widok odstraszył kelnerkę chcącą zaproponować gościom deser.

Przez dłuższą chwilę Agnieszka milczała, trzymając dłonie na ceramice. Jej oddech przyśpieszył, a krew zdawała się odpływać z twarzy. Gdyby nie słoneczna, wiosenna pogoda, cudowny widok na winnice oraz dochodzące z rzeki klątwy dyrygenta, scena wyglądałaby groźnie. Brunhilda nawet oderwała spojrzenie od Zygmunta, zaciekawiona transem Czującej. Dobrze, że kelnerka już poszła, bo na jasnych włosach detektywki wezbrały iskry. Warszawianka coś znalazła.

– Faktycznie – powiedziała – żywił ziemi, ale jakiś zanieczyszczony. Nie mogę rozpoznać, bo kojarzy mi się... – W tym momencie Brunhilda wyciągnęła z torby kolejny dramatyczny rekwizyt. Do koszyczka z chlebem wrzuciła nazistowskiego orła, owiniętego czerwoną wstęgą z sanskryckimi literami. – O właśnie, coś takiego. – Niezrażona sytuacją Agnieszka kiwnęła głową. – Aktywna glina, w której ktoś rzeźbi staroaryjskie symbole krwi i pioruna. Pasztet z miodem. Amatorski eklektyzm.

– Nie aż taki amatorski – zaprzeczyła Brunhilda. – Pozostałość wojenna. Instytut Ahnenerbe zbierał w latach trzydziestych zakazaną wiedzę z całego świata. A oni nie przepadli po czterdziestym piątym. Nie wszyscy.

– Fascynujące... – zgodził się Zygmunt, zainteresowany raczej złotymi lokami Niemki. – Ale co do tego ma ten krasnal?

Kolejny rekwizyt wyciągnęła z kieszeni. Była to stara zapalniczka benzynowa, pachnąca lepszym paliwem, niż detektyw wlał do baku. Brunhilda zaczęła ostrożnie opalać czoło glinianej głowy. Już po kilkunastu sekundach czarna kratka – logo Keramikwerke EUT – zaczęła odkrywać tajemnice gнома. To, co jeszcze niedawno przypominało złączone bokami kwadraty, zmieniło się. Cztery kreski, po jednym w każdym czworoboku, zbladły, zmieniając niewinną figurę w swastykę. Różowe policzki gнома stały się wściekle purpurowe, a pękająca

przy ustach glina rozciągnęła uśmiech tandetnej figurki w wyraz drapieżnej *der Wille zur Macht*.

– Okej... – Zygmunt wypuścił powietrze po długim bezdechu. To, co widział, wyglądało dość farsownie, ale z pewnością skrywało trudną zagadkę. – A może po prostu zakładami kieruje jakiś sentymentalny dziadek wspominający złote lata?

– Aha, nie bierzemy żadnej sprawy mającej wymiar polityczny – wtrąciła nadal mocno zirytowana zachowaniem Niemki Agnieszka. – Jak dla mnie, to te wasze swastyki...

Głowa, puszczona przez Brunhildę, uderzyła o stół. Dziewczyna odparła ze złością: – Nie moje! Pochodzę ze szlchetnego rodu von Essen Und Trinken, rodziny wojskowych, odkrywców i reńskich patriotów, za nic mającej te prusko-plebejskie awantury. Moi przodkowie walczyli z narodowym socjalizmem, często oddając najwyższą cenę z niezależności od brunatnej rewolucji. Pradziadka zastrzelili po dwudziestym lipca, ale przynajmniej zabrał kilku ze sobą. Oczywiście w każdej rodzinie zdarzały się czarne owce, ale...

– Przepraszam – przerwała jej Agnieszka – chciałam tylko powiedzieć, że zajmujemy się sprawą, o ile faktycznie dotyczy socynów.

Musiła wytłumaczyć tworzony przez Zygmunta akronim. Kategoria szkodliwych czynników nadprzyrodzonych oznaczała wszelkie zjawiska nadnaturalne, które zagrażały ludziom, a ich usuwanie nie należało do bezpośredniej jurysdykcji kościelnych egzorcystów. Sprawa aktywnego astralnie krasnala ogrodowego właśnie pod tę etykietę podpadała, ponieważ ciężko było sobie wyobrazić księdza egzorcyzmującego ceramikę.

– Dobrze, czyli podejrzewasz, że dyrekcja fabryki produkuje krasnale z aktywnej żywiolowo gliny, a na dodatek wypala na niej symbole okultystyczne? – podsumował problem Zygmunt. Brunhilda skinęła głową. – Tylko, że do niczego nie dojdziemy, bez zwiadu w fabryce...

– O to się nie martwcie. Znam kompleks wytwórni. Udziałowcem jest mój stryjeczny dziad. Kiedy byłam mała, bawiłam się często w gliniankach.

– O! – Detektyw uśmiechnął się. – Czyli nie włamujemy się? Agnes, to chyba pierwsza nasza sprawa w tym roku, podczas której nie łamiemy prawa. – Jego entuzjazm był przedwczesny, zwłaszcza że mówił tak samo przed poprzednią akcją.

– No nie do końca – wyjaśniła Brunhilda. – Moja rodzina nie żyje ze stryjem Hansem w najlepszych stosunkach. Ale nie martwcie się, uwięzę psy i wpuszczę was boczną furtką. Czy chcecie wiedzieć coś jeszcze?

Chcieli. Popołudnie spędzili na obserwacji obiektu. Kupili bilety na rejs wycieczkowy po Renie, a kiedy turystyczna krypa podpłynęła pod Drachenfels, cała trójka wyciągnęła sprzęt fotograficzny i zaczęła uwieczniać podejrzaną fabrykę. Przez te kilka minut wreszcie wtopili się w tłum pstrykających aparatami turystów. Potem jednak, dla rozrywki i kamuflażu, znieśli dzielnie resztę rejsu aż do Kolonii. Zirytowana umizgami nadreńskiej walkirii do Zygmunta, Agnieszka stwierdziła, że chce wysiąść pod katedrą i jeszcze tego wieczoru obejrzeć klejnot europejskiego gotyku. Niechętnie poszli za nią.

Wrócili do gospody około dwudziestej, ze zdumieniem obserwując absolutne wyludnienie uliczek Königswinter. Miasteczko sprawiało wrażenie dotkniętego kataklizmem, a gdyby na chodnikach walały się, poskręcane z bólu, martwe ciała, Zygmunt uwierzyłby w epidemię wirusa ebola. Brunhilda studiowała w Bonn, ale mieszkała wciąż w urokliwym Königswinter i czuła się w obowiązku bronić rodzinnej miejscowości.

– Zazwyczaj tu się więcej dzieje – zapewniła, prowadząc gości między niskimi domami o sterylnie białych ścianach. – Ale to pewnie przez krasnale. Ludzie czują, że nadchodzi coś niedobrego, dlatego siedzą w domach.

Wieczór spędzili na tarasie pensjonatu, wreszcie degustując skarby z pobliskich winnic. Po drugiej butelce rieslinga potrzeba posiadania planu działania przestała być palącą, a tajemnicze niebezpieczeństwo, czające się w glinkach, mocno straciło na zadziorności. W końcu były to tylko krasnale. Ani Agnieszka, ani Zygmunt nie zwracali już uwagi na samotną głowę leżącą pod stolikiem. Gnom uśmiechał się złowieszczo, łypał wypaloną na czole swastyką i czekał.

* * *

Rozpoczęcie akcji ustalili na siedemnastą. O tej porze robotnicy mieli opuścić już Keramikwerke EUT, a koncert wagnerowski odciągnąć uwagę mieszkańców od zboczy Góry Zygfyryda. Choć był to jedynie pogłębiony rekonesans, Wars i Sawa przygotowali się starannie. Mimo nieco głośniego poranka, Agnieszka dostroiła się do miejscowej ziemi, a Zygmunt zapakował arsenał pogromców. W plecaku niósł latarki, liny, sznurową drabinkę, a nawet uprzążę wspinaczkową. Do samoobrony zabrał wygodne, bo plastikowe, kapsułki z wodą święconą, rozsądnych rozmiarów srebrny krucyfiks i kuszę z osikowymi bełtami. Detektyw czuł się nieco nieswojo, zabierając taki asortyment przeciw krasnalom ogrodowym, ale według przysłowia „Moce piekielne trzymają się z dala od serc czystych i ostrzy błyszczących”.

Ruszyli szlakiem turystycznym na Drachenfels. Brunhilda o siedemnastej zamierzała otworzyć boczne wejście na teren firmy. Festiwal wagnerowski ściągnął na malownicze wzgórza tabun turystów, ale dzięki temu Wars i Sawa nie wyróżniali się. Mijali ciekawskich ze wszystkich stron świata, w tym rodaków.

– Mamo, a w tej jaskini będzie smok? – pytał dziesięcioletni amator gadów.

– Tak, chyba tak. Ten z legendy o Zygfyrydzie – odpowiedziała zmęczona marszem pod górę rodzicielka.

– Jak to? A czy Zygfyryd nie zabił smoka?

– To inny, brat – wyjaśniła kobieta. – To znaczy brat pierwszego smoka, nie Zygfyryda. Siedzi pewnie w tej jamie.

– Kicha. Wawel jest większy, to i pewnie nasz smok lepszy – wywnioskował dzieciak.

– Wiesz, że on ma rację? – zagadnęła Zygmunta Agnieszka. – On tu jest. Smok.

– Zwariowałaś? – skrzywił się detektyw. – Smok, pięć metrów od szlaku

turystycznego? I nikt nie zauważył?

– Przecież wiesz, jak jest. Hibernuje... albo... – Podeszła do skały i dotknęła kamienia. Jej uśmiech zamarł. – Tu był smok, ale nie żyje. Nie, to nie ten od Zygryda. Jaszczur umarł niecały wiek temu.

Zeszli z drogi i zajrzeli do szczeliny. Jaskinia okazała się obszerna i przyjemnie chłodna. Zygmunt zapalił latarkę, a potem zaklął szpetnie, co nie zdarzało mu się często. Tuż na progu skalnej komnaty leżała kość udowa, o długości prawie dwóch metrów. Agnieszka wsłuchiwała się w martwe pole jaskini, po czym wskazała towarzyszowi resztę pechowego mieszkańca.

– Coś takiego! – wykrzyknął detektyw, podbiegając do zdekompletowanego szkieletu. Choć bardzo to kłóciło się z utrzymywanym przez detektywa imidzu zawodowca, wyciągnął z torby aparat i zamienił się w japońskiego turystę. – Patrz! Tutaj... Czaszka odpadła na trzy metry. Możesz zrobić mi z nią zdjęcie.

– Zygi! – jęknęła Agnieszka. – To okropne. Tego smoka ktoś zmasakrował, a ty się bawisz.

– Ktoś? – mruknął amator grot. Schylił się i podniósł niewielki metalowy przedmiot. Był to nieśmiertelnik amerykańskiej armii. – Johary B. Daves, grupa krwi A, przeczytał. – Upolowali go Usańcy w czterdziestym piątym. Zapewne ostrzał artyleryjski naruszył ścianę groty, a oddział wszedł tu przypadkiem. Dorwał co najmniej dwóch. – Zygmunt wskazał na kości, które z pewnością pochodziły z ludzkiego szkieletu. Nagle przeszła mu ochota do robienia zdjęć. – Ale, nieszczęśliwie dla smoka, trzeci miał bazookę.

Być może wczesne alianckie granaty przeciwpancerne potrafiły przebić ledwo dziesięciocentymetrowy pancerz, ale smocza łuska z pewnością nie była wytrzymała od burty czołgu. Smoki miały ciężko i to w każdej epoce historycznej. Kiedyś rycerze rzucali się na nie z relikwiami, potem współcześni wojacy z ładunkami kumulacyjnymi. A wszystko to przez zły pijar, który wielkim gadom zrobił szatan, wcielając się w jaszczura w Objawieniu Świętego Jana. Ale cóż, wojny bywają okrutne i trudno jest uniknąć towarzyszących im zniszczeń.

– Chodźmy stąd – zaproponowała Agnieszka, a Zygmunt nie protestował. Wyszli.

Ruszyli znów pod górę, szlakiem turystycznym. Turystów ubywało, zapewne festiwal wagnerowski ściągał ciekawskich, także tych zupełnie nieobeznanych w muzyce. Dotarli do urwiska tuż przed siedemnastą. Szlak turystyczny prowadził do ruin zamku, ale oni zeszli w dół, ścieżką ku zagrodzonemu terenowi zakładów. Bez problemu znaleźli furtkę, a za nią ubraną w zbroję i rogaty hełm Brunhildę.

– O... cześć – powiedział zaskoczony Zygmunt. – Bardzo dostojnie wyglądasz w tych ragnarockich klimatach. – Dziewczyna nosiła coś, co w mniemaniu autorów filmów fantasy oraz artystów inspirowanych się mitologią spełniało kiedyś rolę kobiecej zbroi. Detektywa ciekawiło zawsze, dlaczego w zbiorowej wyobraźni ubiór ochronny wojowniczkki nie musi wcale osłaniać ciała, ale koniecznie winien podkreślać linię piersi. Jednak w tamtej chwili rozważania teoretyczne ustąpiły przed zwykłą fascynacją krągłościami pancerza. Zdziwienie

wyraziła za to Agnieszka.

– Co to ma być? – zapytała surowym głosem.

– No... jestem walkirią na festiwalu wagnerowskim. To znaczy nie tą główną, tylko jedną z hostess. To był najłatwiejszy sposób, aby dostać się bezpiecznie do winnic, a stamtąd na teren zakładów.

– Dobrze, nieważne. Wpuść nas – pogoniła ją detektywka.

Po drugiej stronie płotu las na zboczu stawał się dzikszyszy i ciemniejszy. Słońce zachodziło, wciąż nadając magicznego uroku dolinie Renu, ale coraz gorzej oświetlając zakątki wschodniego stoku. Na szczęście Brunhilda знаła dobrze drogę. Niestety o pewnych aspektach okolicy nie wspomniała wcześniej.

– Nie schodźcie ze ścieżki – ostrzegła. – W czterdziestym piątym Amerykanie intensywnie bombardowali zbocze. Tak, z czysto statystycznego punktu widzenia, trzeba się spodziewać niewybuchów.

Agnieszka nie zwróciła uwagi na tę nową atrakcję turystyczną, ponieważ zapadła już w trans. Prowadził ją Zygmunt, ufając całkowicie instynktowi przyjaciółki. Dziewczyna czytała prądy pod górą, szukając źródła żywiołu. Szybko pojęła, że praktycznie cały masyw Drachenfels był naładowany energią elementu ziemi. Wydobywana glina zachowywała niezwykle właściwości i ktoś, kto był obyty w sztuce, mógł – z pomocą zaklęć lub run – wyposażyć każdy z ceramicznych wyrobów w potencjalnie śmiertelną moc. Ponoć na każdego Niemca przypadał co najmniej jeden krasnal ogrodowy. Oczywiście Keramikwerke EUT wyprodukował jedynie ułamek tej liczby, gnomy nie były rozmieszczone w populacji równomiernie i zazwyczaj nie sąsiadowały z obiektami o strategicznym znaczeniu. Jednak jednoczesna detonacja wszystkich zaklętych ozdób ogrodowych spowodowałaby kataklizm na niewyobrażalną skalę. A przecież figurki nie musiały służyć jedynie do prostej destrukcji...

– To tu – powiedziała Brunhilda, wskazując na blaszaną halę, zbudowaną w skalnym wąwozie. Po deszczach woda zbierała się w zagłębieniu i odsłaniała kolejne pokłady gliny. Elementu ziemi było tak dużo, że nawet Zygmunt czuł iskrzenie we włosach. – Uśpiłam wszystkie psy, ale terenu pilnuje dwóch ochroniarzy.

– Nie wykrywam żadnych pułapek magicznych. Właściciele czują się pewnie – oceniła Agnieszka. Jednak Zygmunt na wszelki wypadek wyciągnął kuszę. Ruszyli w dół.

Kompleks wydawał się opuszczony. Wrota hali były uchylone, ale tylko ten element wskazywał na jakąkolwiek obecność człowieka. W obejściu panował przerażający porządek, który ochładzał atmosferę doliny o dobre dziesięć stopni, a wyposażonemu w pewną dozę wyobraźni obserwatorowi przypominał o stałym wzroście entropii i nieuchronnej śmierci cieplnej wszechświata. Zbliżając się do fabrycznej hali, Zygmunt dostrzegał również liczne symbole, od zdegenerowanych rytów wedyjskich po ikonografię narodowosocjalistyczną. Rozerwany granatem przeciwpancernym szkielec smoka wcale nie stanowił najbardziej przerażającej atrakcji Drachenfels.

Brunhilda podniosła palec do ust, nakazując milczenie. Potem wskazała na

utwardzoną drogę prowadzącą w dół, do miasteczka. Na asfalcie wydać było mokry ślad wąskich kół, a rozstaw tropu sugerował wózek inwalidzki. Niemka wyciągnęła z pochwy atrapę miecza i ruszyła ku hali fabrycznej. Zygmunt szedł tuż za nią, nerwowo ściskając kuszę.

Weszli do budynku, a ich oczy uderzyła ciemność, rozjaśniana tylko odległym blaskiem pochodni. Długa na dobre trzydzieści i szeroka na dwadzieścia metrów hala kryła kadzie, betoniarki i inne mieszarki, dla których detektyw nie potrafił przywołać odpowiednich nazw, nie tylko po niemiecku czy angielsku, ale nawet po polsku. Jednak środek pomieszczenia pozostał wolny i to nie dla hecy. W jego centrum stał głaz, przystrojony niczym pogański ołtarz. Zygmunt przyjął hipotezę roboczą. To był pogański ołtarz, a przypuszczenie popierała obecność kilku młodych ludzi płci obojga, śpiewających przekłętą inkantację. Detektyw rozpoznał „Horst Wiesel Lied”, choć z trudem. Muzyka była w porządku, głosy kultystów także, ale już aparycja sabatników niekoniecznie. Dwóch ogolonych na łyso młodzieńców przebrało się w repliki esesmańskich mundurów, ale tuż obok nich stała dziewczyna w szacie stylizowanej na indyjską, a jeszcze dalej para odzianych w skóry barbarzyńców teutońskich. Reprezentowany był również okres wojen napoleońskich, choć Zygmunta mocno zastanawiało, dlaczego w mundur grenadiera – ozdobionego, ku ogólnemu chaosowi, czapką „napoleonką” – wcisnęła się okazała kobieta. Z pewnością ruch narodowosocjalistyczny od śmierci wodza stracił wiele polotu stylistycznego. Za obrzędowym kamieniem znajdował się właściciel inwalidzkiego wózka – starszy człowiek w bawarsko-alpejskim wdzianku. Trzymał w dłoni róg, którym machał w takt pieśni. Zygmunt przez długie sekundy rozważał możliwość omyłki zmysłów. W końcu wypił poprzedniego wieczoru słuszną ilość reńskiego wina. Ale śpiewacy byli prawdziwi. Dla urojonych koszmarów detektywa Brunhilda nie wyciągnęłaby z torby lugera.

– Co to ma znaczyć!? – jęknęła walkiria.

– O, Bruni... – odpowiedział pseudobawarczyk na wózku inwalidzkim. – Nie spodziewałem się twojej wizyty, ale cieszę się, że wreszcie dołączyłaś.

– Stryj Hans!? – zapytała dziewczyna, celując w krewnego.

Dalszą część rozmowy Zygmunt rekonstruował w pamięci z pewną dozą nieufności. Po pierwsze mogła go zawieść znajomość języka. O ile filolog kochał niemiecką mowę, nienawidził Niemców, to znaczy chciałby, aby twarde ‘s’, ‘tch’ i inne umlauty istniały tylko na papierze, niewypowiedane nigdy przez nikogo. Właściwie Niemcy byli do zaakceptowania, o ile mówili w innym języku. Ale drugą, może ważniejszą przyczyną konfuzji warszawiaka, była nieprawdopodobna zawartość absurdu w rodzinnej kłótni. Zygmunt odbywał na każde zdanie aż trzy procesy myślowe. Najpierw zastanawiał się, czy dobrze usłyszał, potem, czy zrozumiał, a na koniec, czy zasłyszane i przetłumaczone słowa niosą w sobie choć odrobinę sensu.

– To ty... kalasz naszą rodzinę – powiedziała Brunhilda patetycznym tonem. Nikt oprócz stryja Hansa na ów patos uwagi nie zwrócił, ponieważ pangermańscy przebierańcy siłowali się właśnie z otwarciem pięciolitrowego bukłaka wina.

Udało im się to, a pierwszy łyk pociągnęła nieślubna córka Fryderyka Wielkiego i Napoleona. – Co to za maskarada?

– To nasz mały sekrecik – wyjaśnił Hans. W głosie starca brzmiało coś dziwnego, jakaś świszcząca nuta, jakby słowa nie wydobywały się z prawdziwego gardła, a glinianego gwizdka. – Umilamy sobie czas w oczekiwaniu na *Endsieg*.

– Zygmunt! – Agnieszka podbiegła do przyjaciela i wyszeptała mu na ucho – ten na wózku nie jest, technicznie rzecz biorąc, człowiekiem. Cały spływa żywiołem ziemi, a prawie nie ma w sobie wody. Trzyma go przy życiu tylko magia góry.

– Możesz go unieszkodliwić? – zapytał detektyw.

– Jest silny. Ale na pewno go zajmę – zapewniła Czująca. A rodzina hrabiów von Essen Und Trinken nadal prowadziła gwałtowny spór.

– Spójrz prawdzie w oczy, moja droga. Trzecia Rzesza wróci i to niedługo, dzięki naszym staraniom. Ja tylko zacząłem Wielki Plan, a mój czas się zbliża. Zastąp mnie i doprowadź do ostatecznego zwycięstwa.

– Chyba masz już odpowiednich pomagierów – prychnęła Brunhilda, wskazując na przyssanych do buklaka przebierańców.

– Rodzino. Chcę, aby chwałę Niemcom przywrócił nasz ród. Jestem stary, zmęczony i nie mogę już żyć normalnie poza górą. Cała władza przejdzie w twoje ręce. Zarząd firmy nic nie wie i tłuką hurtowo te krasnale, myśląc, że to niegroźne ozdoby ogrodowe. Masz sprawnych księgowych, unikających podatków, i górników wydobywających pieczołowicie błoto Renu. Tylko ty będziesz pilnować dystrybucji figurek na przyszłej, niemieckiej przestrzeni życiowej, a kiedy zdobędziemy bezwzględną przewagę liczebną, wydasz rozkaz. Narodowosocjalistyczne krasnale ogrodowe ruszą do walki z sojuszem judeobolszewii i kapitalistyczno-reakcyjnych dekadentów. Wojna będzie ciężka, ale zwyciężymy! – Amatorzy wina wyłowili z rozmowy akurat to zdanie i trzykrotnie zakrzyknęli *Sieg heil!*, aż zatrzęsły się ściany z blachy falistej.

– Jesteś szalony, stryju – stwierdziła oczywistość walkiria. – Gliniane ozdoby wywalczą powrót Trzeciej Rzeszy?

– To magiczne krasnale, z najlepszymi runami walki – wyjaśnił Essen świszczącym głosem. – W Niemczech jest ich niemal trzydzieści milionów, w Polsce będzie niebawem jeszcze więcej. Moje figurki to – jak na dziś – ułamek wszystkich, ale już niebawem... Zdominowałem rynek. Kiedy nowy Wehrmacht będzie się składał z dziesięciu milionów moich produktów, powstałych z magicznej gliny Doliny Renu i pragermańskiej magii, ruszymy na wschód. Tym razem najpierw podbijemy Słowiańszczyznę aż po Ural, a potem wrócimy na zachód. Francuzi i tak nie zdążą się przez ten czas nawet zirytować. Nasze wojsko desantowe przybędzie do Anglii na towarowych paletach, a niebawem gliniane stopy naszych niezwyciężonych, narodowosocjalistycznych krasnali będą deptać brytyjskie trawniki. Europa będzie nasza. Poniekąd już jest nasza. Unia Europejska zatwierdziła krasnale Keramikwerke EUT jako wzór niemieckiego dziedzictwa narodowego. A teraz... weź...

Nie planowali żadnego agresywnego posunięcia, ale wyszło samo. W ferworze mowy Hans Essen podniósł się na wózku i stracił równowagę. Spadł na ziemię

i stłukł się. „Zaraz!” – zakrzykniecie. „Ludzie nie tłuką się tak po prostu!”. Poniekąd macie rację, ale dyrektor Keramikwerke EUT nie był już w pełni człowiekiem. Agnieszka wytłumaczyła im szczegóły już po wszystkim. Starzec przeczuwał zbliżającą się śmierć i postanowił ją oszukać. Martwiejące tkanki zastępował esencją żywiołu ziemi, tak że od kilku lat składał się już w dużej mierze z gliny i piasku. Dzięki temu dysponował poważną mocą, ale tracił elastyczność i wytrzymałość. Póki jeździł na wózku i nie oddalał się więcej niż na pięć kilometrów od Renu, organiczno-mineralne ciało trzymało formę. Jednak było ono kruche, jak każde naczynie.

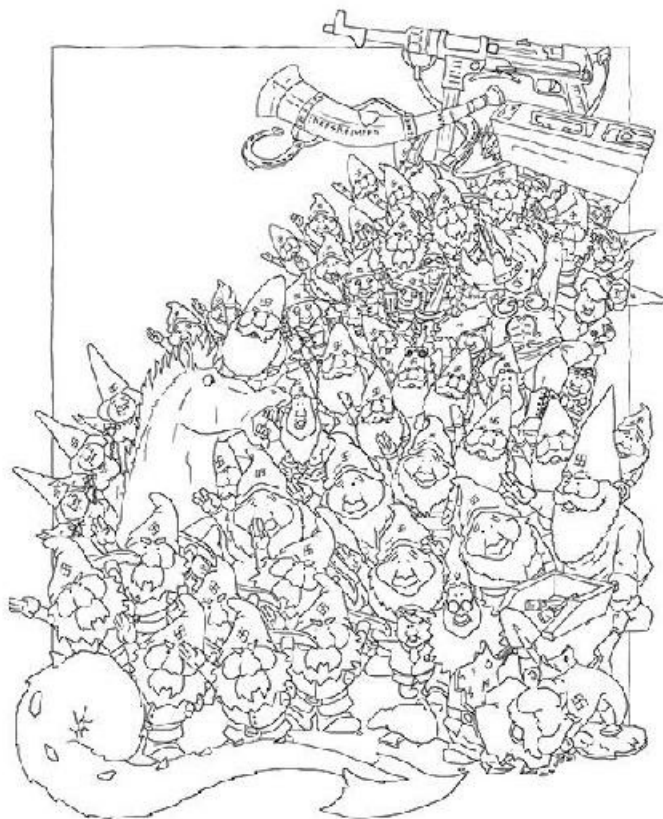
Hans Essen (któremu ani Bruhilda, ani narrator niniejszej opowieści nie przyznaje prawa do arystokratycznego przedrostka „von”) rozsypał się na drobne kawałeczki. Przebierańcy odrzucili bukłak wina i zlustrowali szczątki zdumionymi spojrzeniami. Najszybciej ów widok zracjonalizował wyższy kultysta w mundurze Standartenführera. Spojrzał na Brunhildę i wzniósł rękę w geście zamawiania piwa.

– Teraz frau Essen prowadzi naszą walkę. Heil Führerin!

– Heil Führerin! – wrzasnęli pozostali przebierańcy, salutując walkirii z lugerem w dłoni. – Prowadź nas do zwycięstwa!

– Zbyt dużo wina... – szepnęła Brunhilda, która najwidoczniej również nie była pewna realności nowych doświadczeń. – Zygmuncie, co robimy?

– Nie wiem, to twoja rzesza... – odparł detektyw. – A jeśli im powiesz, aby poszli do domu, to posłuchają?



Nie słuchali. Wrócili do bukłaka z winem, wznosząc nowe toasty za zdrowie wodzy (mianownik: wodza; dopełniacz: wodzy; celownik: wodzy; biernik: wodza; narzędnik: wodzą; miejscownik: wodzą; wołacz: Heil Führerin!, ponieważ tego przetłumaczyć nie zdołamy. Przyznajmy, że język niemiecki jest nieskończenie łaskawszy dla narodowych socjalistów i feministek niż polski). Trójka intruzów stała nieco speszona. Delikatne chrząknięcia Brunhildy nie zdobyły zainteresowania *Volku*. Ot, wodza musiała jeszcze poćwiczyć ludowy mesmeryzm. W końcu, zirytowana do granic możliwości, podbiegła do obrzędowego kamienia i złapała przedmiot, który leżał na magicznych runach. Był to róg blaszany, wygięty i ozdobiony tajemnymi rytami, ale pod każdym innym względem przypominający stadionową piszczalkę. Wzięła głęboki oddech w swoje potężne, germańsko-romatyczne płuca i zadęła. Jak się okazało, aryjski instrument również brzmiał jak wuwuzela. Świdrujący dźwięk natychmiast skupił uwagę *Volku*. Przebierańcy spojrzeli na wodzę, a ich wzrok wskazywał na szybkie przejście od bezgranicznego uwielbienia do paniki.

– Oj, wodzo... – jęknął przyszczaty Standartenführer. – To mądre nie było.

– Franz, co robimy? – zapytała Fryderyka-Napoleona. Odpowiedź zrozumiała nawet niezająca niemieckiego Agnieszka.

Przebierańcy – w istnym *Blitzkriegu* – ruszyli do wyjścia, a potem zniknęli na ścieżce schodzącej ku Königswinter. Przez dobre trzy minuty trójka odkrywców patrzyła po sobie niepewnie. Dopiero Agnieszka przewyciężyła szok, podeszła do głazu oraz resztek Essena, po czym dotknęła kamienia. Przez chwilę kontemplowała wielkogermańskie wibracje, po czym orzekła.

– Tośmy, z przeproszeniem, w dupie. – A Brunhilda nie musiała znać polskiego, aby zrozumieć detektywkę. – Cokolwiek zamierzał zrobić pan Essen, zrobiła to Brunhilda, dując w nasz róg Nibelungów.

– Ale co zamierzał? – zapytał Zygmunt. – Przecież nie wezwaliśmy krasnali ogrodowych do podboju świata, prawda? – Agnieszka milczała. – PRAWDA? – rozpaczliwie powtórzył pytanie.

– Przepraszam... – szepnęła Brunhilda. – Ale posprzątam...

Wtedy do ich uszu dotarł dźwięk, który w normalnych warunkach byłby dziwny, ale wtedy wydał się przerażający. Cała góra drżała, ale to nie wulkan obudził się w środku Europy, ani z tajnej bazy rządowej nie startował statek kosmiczny. Grunt drżał setkami drobnych uderzeń. Zapewne cała trójka pomyślałaby o tym samym, gdyby nie absurdalność podobnej wizji.

– Brunhildo, kamień! – krzyknęła Agnieszka, wskazując na ołtarz. Jak już wspomnieliśmy, był on pokryty różnymi rytami, ale jeden z nich – wielka swastyka – zaczął błyszczeć niezdrowym światłem. – Musimy go zniszczyć!

Podbiegli do kamulca. Granit zdawał się być mocny i niechętny mazaniu. Detektywi paranormalni wiedzieli, że każdy symbol odciska się głęboko, w samą formę substancjalną bytu. Aby zatrzymać działanie gammadionu, musieli albo wytrzeć go doszczętnie, albo przerobić na inny, również aktywny, nadprzyrodzeni ryt. Logo Keramikwerke EUT samo dostarczało odpowiedzi. Cztery dwudziestocentymetrowe kreski zmieniałyby swastykę w niegroźną kratkę. Ale jak mogli rzeźbić w granicie?

– Łom albo młot pneumatyczny... – szeptał Zygmunt.

– Nie! – krzyknęły obie dziewczyny, a Polka wyjaśniła. – Nie możemy rozłupać głazu. Aby odwołać efekt, nowy ryt musi powstać na tym samym materiale.

Brunhilda podbiegła do maszyn pod ścianą hali. Obok linii przesyłowej świeżej gliny, w przeznaczonych do tego kontenerach, leżały, starannie ułożone, zapasy potrzebnych w procesie czyszczenia chemikaliów. Niemka podniosła jeden z worków i choć Agnieszka nie potrafiła przeczytać absurdalnie długiej nazwy, rozpoznała trupa czaszkę oraz symbol kwasu.

– To chwilę potrwa, ale wypalę potrzebne kreski. Agnes, to bezpieczny sposób? – Czująca uniosła w górę kciuk. – Dobrze, poradzę sobie. Stójcie na czatach.

– A co nam może zagrażać? – zapytał zdziwiony Zygmunt. – Ci esemesmani zwiali.

– Chodź ze mną – powiedziała Agnieszka i ruszyła biegiem ku wyjściu. Poszedł.

Na Dolinę Renu padały ostatnie promienie słońca. Wbiegli do ciemniejącego lasu, a potem ruszyli ścieżką w kierunku szlaku turystycznego. Zygmunt nie zadawał zbędnych pytań. Wiedział, że jego przyjaciółka zna cel i drogę. Uznawał swoją zupełną niewrażliwość na czynniki nadprzyrodzone, a jeśli widział

pewność w ruchach Czującej, po prostu szedł za nią. Podobnie było i tym razem. Agnieszka nagle zeszła ze ścieżki i skierowała się ku skalnej rozpadlinie. Gdyby detektyw wiedział, że sześćdziesiąt pięć lat wcześniej właśnie tam swój arsenał ukrył były Hauptscharführer, były dziedzic rodu von Essen Und Trinken i były dyrektor Keramikwerke EUT, świętej pamięci Hans Essen, pojąłby od razu. Ale zrozumiał dopiero, kiedy jego oczy przyzwyczaiły się do ciemności. Widział przed sobą Agnieszkę (jej włosy skrzyły się od energii żywiołu), trzymającą w dłoniach MG-42.

– Pamiętka? – zapytał z nadzieją warszawiak.

– Zadziała?

Zabrali, ile mogli – dwa schmeissery, po kilka magazynków, erkaem i pięć pudeł nabojów. Gdyby Zygmunt dbał bardziej o muskulaturę niż umysł, mógłby podnieść i pozostałe trzy skrzynki. Wiedział jednak, że po nagłym wystrzeleniu tysiąca pocisków lufa erkaemu będzie się nadawać tylko na złom. Niestety drugiego karabinu by nie przenieśli, zresztą pozostałe giwery nie budziły wyglądem zaufania.

Tak szybko, jak na to pozwalała masa ładunku, opuścili grotę. Wrócili na ścieżkę, a stamtąd na szlak turystyczny. Zakręcił drogi, na którym oddzielała się dzika ścieżka, z jakiegoś powodu spodobał się Agnieszce. Był to szczęśliwy instynkt militarny, który u dobrze wychowanych dziewcząt zdarza się rzadko, a budzi się tylko pod wpływem bojowego samca. Z tego tarasu mieli doskonały widok na szlak pod nimi, a z turystycznych ławek i wiaty można było wykonać coś na kształt szanca. Tego Czująca nie była świadoma, ale może podpowiedziały jej pokutujące duchy towarzyszy Essena, przynajmniej te, które nie podzielały szalonych wizji Hauptscharführera.

– Okop się tu – rozkazała detektywka nieznoszącym sprzeciwu tonem. Zygmunt musiał przyznać, że było to najseksowniejsze zdanie, które kiedykolwiek padło z jej ust.

Ziemia nadal drżała, a oni zwalili turystyczną wiatę i ławy z ciosanych pniaków. Następnie warszawiak zaczął rozmontowywać ogrodzenie szlaku i ściągać deski do barykady. W tym samym czasie Agnieszka zaczęła rozkładać, a potem metodycznie przygotowywać erkaem do strzału. Cierpiące czyścicową pokutę dusze nieszczęsnych żołnierzy musiały być blisko, ponieważ dziewczyna ruszała się jak w transie, z chirurgiczną precyzją. Gdy szaniec przybrał pozory solidności, Zygmunt spojrzął na karabin. A ten czekał już, rozłożony na drewnianym stole. Byli gotowi.

Ciężkich hełmów z groty nie zabrali, ale jacyś roztrzepani turyści zostawili na szlaku dwa kaski rowerowe. Agnieszka założyła jeden z nich, a drugi zapięła na głowie przyjaciela. W tym momencie Zygmunt zrozumiał, że grozi im nieliche niebezpieczeństwo, choć nadal nie pojmował, jak chiński plastik miałby ich przed nim uratować. Nie zadawał jednak pytań. Kiedy Agnieszka stanęła za spustem erkaemu, on podał jej dwornie taśmę amunicyjną, gotowy do posługi ładowniczego. Wtedy nadeszli ONI.

Albo ONE lub ONY. Keramikwerke EUT produkowało krasnale ogrodowe

wszelkich płci i odmian.

Szeroki na trzy metry szlak turystyczny był czerwony od maszerujących glinianych figurek. Gnomy szły, trzymając wyciągnięte ręce w narodowosocjalistycznym salucie, co odruchowo kojarzyło się wychowanemu na horrorach Zygmuntovi z połowicznymi zombie. Krasnale wznosiły tylko po jednej, sztywnej kończynie, były znacznie niższe niż ludzie lub ożywieńcy. Nie jęczały też potępieńczo, tylko stukały ceramicznymi nóżkami o żwir szlaku. Ten dźwięk zresztą skutecznie zagłuszyły pierwsze takty „Cwałowania Walkirii”. Festiwal wagnerowski zaczął się, choć ziemia drżała, a agresywne ozdoby ogrodowe szturmowały Górę Zygfyryda.

– Napierdalamy! – Zygmunt po raz pierwszy w życiu usłyszał przekleństwo w ustach Agnieszki. A potem, cóż... zaczęli napierdalać.

W teorii strzelanie z karabinu maszynowego, kiedy się siedzi na odpowiednim stanowisku i operuje dobrze zamontowaną bronią, słuchając muzyki Wagnera, może wydać się proste – acz nie jest. Nie sztuka wystrzelić sto pocisków, trudniej sprawić, aby ta seria dosięgnęła choćby pięciu wrogów. Ale duchy żołnierzy były z Agnieszką. Czująca strzelała delikatnie, z rozmysłem, posyłając w ceramiczny tłum przeciwników krótkie, pieszczotliwe i niskie serie. A było to mrowie nieprzebrane. Dziewczyna oceniała, że zew aryjskiej wuwuzeli usłyszały wszystkie skrzaty w promieniu pięciu kilometrów. Figurki wznosiły groźnie dłonie ku niebu i ruszały z Königswinter, Bad Honnef, a nawet przedmieść Bonn. Magiczne krasnale musiały się przemieszczać błyskawicznie po płaskich powierzchniach, ale już marsz pod górę stanowił dla nich problem. Warszawianka czuła, że u podnóża góry, przy wejściu na szlak, tłoczyło się stado dobrych kilku tysięcy skrzatów, a ciągnęły ku nim nowe. Z tego zbiorowiska karne szeregi po dziesięć ober-szturm-ceramików ruszały pod górę. Tam, na pierwszym zakręcie wpadały pod ogień kaemu. Nieprowadzone, idące jedynie za nieodpartym zewem, nie unikały marnego końca pod ciężkimi pociskami mausera. Ich krótkie nóżki nie mogły pokonać zbyt wielkiej pochyłości, dlatego tylko ta jedna droga pozostawała im dostępna. Hajlujące gnomy maszerowały i ginęły, rozrywane na tysiące fragmentów przez kule Agnieszki. Ale obrońcy góry mieli, o dobry rząd wielkości, mniej amunicji niż celów. W dodatku lufa erkaemu grzała się szybko, a nawet krótkie i zręczne serie nie mogły trwać w nieskończoność. Czekali na cud, a dokładniej pisząc, na skutki działań Brunhildy.

Ołtarz łączył się bezpośrednio z każdą z figurek. Nim pociski rozrywały ceramiczne głowy, Agnieszka i Zygmunt widzieli symbol swastyki, coraz bardziej przypominający niegroźną kratkę. Ale Brunhilda nie mogła przyspieszyć procesu. Musieli wytrzymać dość długo, nie wpuszczając krasnali do fabryki.

– Będziemy się cofać – szepnął przyjaciółce Zygmunt – na ścieżkę. Tam zmieszczą się najwyżej trzy krasnale obok siebie.

– Nie! – syknęła Agnieszka i ruchem głowy wskazała na północ.

Od głównego szlaku odłączała i druga ścieżka, szersza, utwardzana, po której agresywne skrzaty mogły przejść bez problemu. Prowadziła do Ogrodu

Wagnerowskiego, gdzie liczna orkiestra i kilka setek słuchaczy siedziało bezbronnym i absolutnie nieświadomym niebezpieczeństwa. Krok obrońców w tył oznaczałby masakrę. Musieli wytrzymać.

Kolejne głowy pękały, a na zakręcie szlaku rosła szybko hałda resztek i ułamków. Ale skrzaty nacierały dalej. W końcu znad kupy gruzu widać było tylko zamawiające piwo gliniane dłonie napastników, ale fala szybko znalazła inną drogę. Z początku pojedyncze figurki, potem całe grupy zaczęły przeciskać się między szlakiem a urwiskiem. Wagner i terkotanie karabinu huczało w uszach obrońcom. Jednak zrozumieli – sprawa była przegrana. I wtedy spadła na nich walkiria.

Brunhilda cwałowała szlakiem od Drachenfelsu, ze wzniesionym ku niebu mieczem. To nic, że broń pochodziła z e-baya, cóż że seksowną zbroję wykonano głównie z plastiku, a kudłata szkapa jeszcze godzinę wcześniej ciągnęła wycieczkową dorożkę – szarża blondynki zdała się zasiać popłoch w glinianych głowach ozdób ogrodowych. Brunhilda przeskoczyła przez wał krasnali szczątków, uderzyła w najbliższe figurki, rozbijając w pył kilkanaście głów. A potem dokonała czynu ze wszech miar heroicznego i nierozsądnego.

Podniosła do ust zamazany runami róg i zadęła, wpadając w takt orkiestrze. Gnomy stanęły w oczekiwaniu, a ona przeskakiwała nad ogrodowymi wojownikami, wciąż dmąc w instrument. Fala ceramiki ruszyła ku zewowi. Nagle krasnale zapomniali o fabryce i ruszyły ku walkirii. Brunhilda balansowała między czerwonymi figurami, a jej, coraz bardziej przerażony rumak nie wytrzymał i w biegu zabrudził szlak. Razem skakali jeszcze nad wzburzoną morzem napastników, ale turystyczna szkapina nie wytrzymała napięcia i runęła na bok, zapadając się w masie krwistych czapeczek z pomponikami.

– *Voran!* – krzyknęła Agnieszka i wyskoczyła zza barykady, a Zygmunt pobiegł za nią.

Dwójka dopadła do żywego dywanu figurek. Pruli z peemów, aż do bezsilnego chrzęstu pustych magazynków. Potem zmienili magazynki i strzelali dalej. Była to praca beznadziejna, ponieważ nie widzieli pod czerwoną masą krasnali porwanych siłą magicznej fali. Ale musieli choć spróbować. Ostatecznie ratunek zawdzięczali nie swojemu męstwu ani przypadkowi, ale doskonałemu planowi, który wprowadzili w życie pół godziny wcześniej i zdążyli już o nim zapomnieć. Trzysta metrów dalej, w samotnej hali produkcyjnej, kwas wyżarł odpowiedniej głębokości wzór i swastyki na czołach narodowosocjalistycznych krasnali ogrodowych zmieniły się w niegroźne kratki. Czerwone morze zamarło.

– Bruni! – krzyknął Zygmunt i ruszył po martwych rzeźbach w dół szlaku.

Walkiria przeżyła. Odrapana i niemal zaduszona, z trudem podniosła się z ziemi i stanęła o własnych siłach. Polak dopadł do niej i choć widział, że żyje, nie przepuścił okazji uścisku, a potem dramatycznego pocałunku. Zaraz dołączyła do nich Agnieszka.

– Ekhem... – mruknęła warszawianka. – Brunhildo, chyba odpadła ci zbroja – powiedziała i na okrycie piersi dzielnej wojowniczką podała jej zabrane z jaskini mundur z insygniami Hauptscharführera.

– Tak... dziękuję – powiedziała, założyła koszulę i spojrzała na Zygmunta. – A teraz zabierz mnie na dół.

I poszli, żegnani dostojnymi taktami opery, zostawiając po sobie kilka tysięcy krasnali ogrodowych, kupę gruzu oraz dymiący karabin maszynowy. Szczęśliwie Agnieszka przypomniała sobie o niesionych schmeisserach, które wrzucili do Renu przed napotkaniem pierwszego patrolu policji.

Spędzili jeszcze kilka cudownych dni w tym urokliwym miasteczku i pobliskich lasach, a potem ruszyli samochodem na południe, zabierając oczywiście Brunhildę. Niemka chciała im pokazać cudowności Doliny, a przy okazji oddalić się na pewien czas z Königswinter, po tym, jak miejscowe służby wszczęły jednak śledztwo w sprawie zniknięcia Hansa Essena, odnalezionego bezpańskiego erkaemu oraz próby kradzieży trzydziestu pięciu tysięcy i sześciuset dwóch krasnali ogrodowych z posesji okolicznych mieszkańców. Oraz po co i jakim cudem niedoszli złodzieje wygięli trzydzieści pięć tysięcy i sześćset dwie gliniane ręce w hitlerowskim salucie. Po tygodniu pożegnali Brunhildę, odebrali Błażeja ze szkolenia we Frankfurcie i ruszyli do Polski. Przy odrobinie dobrej woli, sprawę można było uznać za zamkniętą.

22 grudnia 2017, Bruksela, siedziba Urzędu ds. Własności
Intelektualnej, Patentów, Praw Autorskich i Wzorów Przemysłowych

Franz Weslt stał w gabinecie dyrektora Arviniego i uważnie śledził ruchy zwierzchnika. Czekał na decyzję mogącą jeszcze uratować Wielką Sprawę. Od czasu fiaska w Königswinter, Franz zmodyfikował taktykę. Na dobre zmienił zakurzony mundur Standartenführera na wygodniejszy, sportowy, dwurzędowy garnitur, a przy tym awansował. Był dokładnie tam, gdzie być powinien.

– Tak, to da się załatwić – orzekł w końcu dyrektor Arvini, odkładając papiery.
– Uznamy krasnala Keramikwerke EUT za chroniony wzór przemysłowy. Skoro macierzysta firma już nie istnieje, rozpiszemy przetarg na produkcję tego symbolu Reńskiego Euroregionu.

Weslt uśmiechnął się. Oto od teraz cała Unia Europejska pracowała na Endsieg. Mieli finansować produkcję krasnali, dokładnie według zaleceń wodza Essena i pilnować, by na rynek nie wszedł niepowołany konkurent. A figurki, z wypaloną na czole kratką Essena, miały już niebawem zalać cały kontynent. I z każdym dniem pobytu w ogródku, grzejąc się na słońcu czy stojąc zbyt blisko grilla, krasnale zmieniały się stopniowo w wojowników o lepsze jutro. Franz wierzył, że za kilka lat gliniana armia ruszy do boju po ostateczne zwycięstwo.

Voran!

VIII. SZAŁ

13 października 1885, Wieża Spiska, posiadłość Hrabiego von
Guschwika

Z ołowianych chmur padał tak ciężki deszcz, że Maćko słyszał jego szum całym ciałem. Krople uderzały o płócienną plandekę wozu i leniwie spływały bokami. Powinni się śpieszyć, aby nie zamoczyć ładunku. Skrzynie musiały dotrzeć do Pana Hrabiego suche. Mojsze sprawdzał pakunek – ładnie by wyglądali, gdyby ów skarb spadł na kamienistą drogę. Zapewne nie przeżyliby tej porażki.

Potężny woźnica siedział cicho, jego towarzysz również nie mówił wiele. Nie mieli o czym rozmawiać. Gospodarz i karczmarz już znacznie wcześniej omówili najdrobniejszy element planu. To Maćko wkradł się w łaski piekielnego władcy i zdobył pretekst do wizyty. Mojsze kupił ładunek, wydając niemal wszystkie oszczędności, jakie zostały mu po spaleniu Mysłowicy. Oddałby wszystkie, a potem dodał jeszcze swoją brodę i duszę, aby zemścić się na von Guschwiku. Tak jak jego towarzysz, stracił wiele w Mysłowicy i wyruszając do Wieży Spiskiej, nie ryzykował niemal niczym. Ludzie ograbieni z bogactwa, godności i dawnego życia bywają najgroźniejsi.

Wóz toczył się powoli stromą ścieżką tatrzańską, z trudem zbliżając się do spiskiej twierdzy. Woźnica widział już koniec szlaku i bramę siedziby hrabiego. Dał znak Mojszemu, a ten sprawdził coś ostrożnie w skórzanym mieszku. On też nie mógł zamoknąć, inaczej mściciele zginęliby na próżno. Ale stary Żyd uśmiechnął się tylko złośliwie, a Maćko wiedział, co ten grymas oznacza. Hrabia miał zapłacić za grzechy.

– Kogo piekło nadało? – zapytał hajduk arystokraty. W niewielkim judaszu ukazała się ponura gęba służącego. Guschwik werbował czeladź niemal na pewno spośród ludzi, ale Maćko uważał, że sługusi szybko przejmowali odrażającą aparycję piekielnego pana. Odźwierny krzywił się na nieoczekiwanych gości, prezentując garnitur szerniałych zębów. – Dziewki macie?

– Ale, ale... Hrabia pan kazał z Sącza ładunek przywieźć – odparł Maćko. – Jak chcecie, to pod bramą zostawimy i pojedziemy... – Jego głos drżał, a woźnica strachu wcale nie musiał udawać. Chciał się dostać do środka, choć każdy mięsień jego ciała wrywał się w doliny. Wiedział, że z ponurej warowni już nie wyjdzie.

– Wjeżdżajcie – syknął hajduk. – Ale żwawo. Wyjedziecie, zanim się hrabia pan obudzi.

– Tak, z pewnością wszystko załatwimy przed zmrokiem – zapewnił Mojsze.

Wóz wtoczył się na ciasny dziedziniec twierdzy. Prócz dwóch gości, tłoczyło się tam pięciu sługusów hrabiego, śledzących każdy ruch przyjezdnych. Nad nimi

wisiała wieża, wybudowana wieki wcześniej, a wyglądająca na iście starożytną. Jej czubek nikał w ołowianych chmurach, ale zdawało się, że wierzchołek wystaje ponad szary sufit i grzeje się w odległym słońcu. „W takim razie hrabia jest w podziemiach. Jak najdalej od światła” – pomyślał gospodarz. „Przynajmniej na to liczymy”.

– Rozładować, zwawo! – polecił szczekliwym głosem wysoki jak śmierć lokaj. – Podjedźcie pod stajnie. – Zmierzył świdrującym wzrokiem Mojszego i zapytał groźnie. – Czy mam wam coś zapłacić? – Ton pytania wyraźnie sugerował odpowiedź przeczącą.

– Nie, my tylko oddajemy hrabiemu panu stary dług – odparł Żyd, z ledwością powstrzymując drżenie rąk. – To zajmie tylko chwilę.

I zanim hajducy zdążyli się zdziwić, odsunął plandekę, ukazując kilkanaście skrzyń, opatrzonych dziwaczными napisami w obcym języku. Potem sięgnął do mieszka, z którego wyciągnął hubkę. Maćko wylał flaszkę nafty na najbliższe sobie pudło, a Mojsze upuścił rozżarzone węgle.

– W imię Boże, giń pomocie szatana! – zdolał jeszcze krzyknąć gospodarz.

Hajducy – nawet gdyby wiedzieli, czym jest dynamit – nie zdołaliby pojąć zagrożenia. Kula ognia objęła ich sekundę później, a kruszący mury huk wystraszył nawet burzę.

13 października 2012, okolice ruin Wieży Spiskiej

Z ołowianych chmur padał tak ciężki deszcz, że doktor Piotrowski słyszał jego szum całym ciałem. Krople uderzały o szyby minibusa i leniwie spływały bokami. Silnik pojazdu rzeźił przeraźliwie i kierownik ekipy nie musiał czekać na meldunek kierowcy – musieli się zatrzymać i resztę drogi przejść pieszo. To znaczy, mogli jeszcze kawałek podjechać na traktorze albo przyczepie ze sprzętem. Ale i tak nie mogli uniknąć deszczu. Ołowiany prysznic czekał niecierpliwie na dziesięciu miastowych.

Piotrowski prowadził czwórkę swoich ludzi i pięciu mózgów z politechniki. Grupa miała jedynie ocenić, czy roboty w Wieży Spiskiej mają sens. Dziekan Ambroziak zasugerował, że mają. Jeśli nie uda się odsłonić zawałonych w dziewiętnastym wieku lochów, to przynajmniej wyda się unijny grant celowy. Ci z polibudy też przebierali łapami do tak oryginalnej pracy. Inżynier Nowak cieszył się na myśl o robotach, nawet w takim deszczu.

– Koniec trasy – oznajmił kierowca. – Może traktor z przyczepą przejedzie, ale ja nie dam rady. – Piotrowski skinął głową. – Wracam do Białki. Jakby co, pan zadzwoni.

Szofer był niezwykle zadowolony z końca kursu. Z satysfakcją patrzył na dziesiątkę wykształciuchów, wysypującą się z pojazdu na zabłoconą drogę. Zanim dziewczyny zdołały zrozumieć, jak mokry i zimny jest świat wokół nich, kierowca zatrzasnął drzwi i wykręcił. Po chwili ruszył w dół, ku Białce. Żegnały go zduszone przekleństwa Bernarda i Darka. Reszta stała i mokła, patrząc na odjeżdżającą placówkę cywilizacji. Za kilka godzin miał dotrzeć traktor, a z nim przyczepa, dwa kontenery mieszkalne i zapasy. Ale do tego czasu musieli moknąć.

– Głupi buc! – warknął Dariusz Perczek, doktorant z Politechniki Warszawskiej.

– Buc? A co to znaczy? – zapytał Ahmed, zabawnie akcentując końcówki nowo poznanego języka.

– To żeśmy w du... – odruchowo odparł Darek, ale zamilkł, przypominając sobie o obecności dwóch dam.

– Ale wciąż jesteśmy w Tatry? – upewnił się stypendysta z Politechniki w Damaszku.

Wyładowali bagaż podręczny i ukryli go w samotnej wiacie turystycznej przy parkingu. Potem ruszyli na zwiady. To znaczy Nowak i Anna nie chcieli się ruszać, ale Kasia zaproponowała spacer do gruzowiska, a Bernard poparł ten pomysł. Z każdą chwilą, która dzieliła go od opuszczenia bogatego w kobiety Krakowa, patrzył na wysoką blondynkę coraz bardziej rozmarzonym wzrokiem. Przy tym nie bał się deszczu ani błota, logicznie rozumując, że był już dość mokry i brudny. Zapewnił Nowaka i Piotrowskiego, że warto zwiedzić trasę i wybrać miejsce postoju dla kontenerów. Do grupy dołączył też Ahmed oraz Jacek Perz, zazdrosny kolega Kasi.

– Byłam harcerką – oznajmiła doktorantka archeologii. – Powinnam odświeżyć zdolności orientacji w lesie.

Zmierzchało już, więc wzięli latarki, mapę i kompas, choć zagubienie raczej im nie groziło. Droga prowadziła niemal prosto pod górę, przez sosnowy las. Zboczenie ze szlaku oznaczało ryzyko złamania kilku kości, ale po czterech godzinach jazdy dusznym busem zwiadowcy chcieli koniecznie się przejść. Ruszyli błotnistą rzeką, która w łaskawszych czasach przypominała drogę. Bernard wyćwiczonym okiem inżyniera próbował ocenić, jak daleko przejedzie obciążony traktor, zanim zaryje w tym bagnie.

– Zacnie to wygląda – ocenił. – Zmrok, a my sami w górach, u podnóża tajemniczego zamczyska. Deszcz i pioruny. Szukamy wampira? – Widząc kątem oka otwarte usta Ahmeda, dodał: – Żartowałem. Nie pytaj o słówka. Wampir to wampir. Vampire, Dracula.

– Tak, wiem. Wampiry i dupy – odparł Arab. – Dup białej damy.

Szybko dotarli do przyszłego obozowiska. Droga utwardzona zmieniała się tam w gruntową i żadna siła na niebie ni ziemi nie zdołałaby przepchnąć przyczepy dalej. Perz chciał zadzwonić do Nowaka, ale jego komórka nie łapała zasięgu. Kasia przytomnie zauważyła, że kierowca ciągnika na pewno zauważy koniec traktu. Ruszyli więc wąską ścieżynką ku ruinom. Dotarli tam, kiedy ostatnie blaski dnia zniknęły z zachmurzonego nieba.

Sama wieża robiła złowieszcze i romantyczne wrażenie, wspierane przez ciemności i deszcz. Zapewne w świetle pogodnego dnia nie wyglądałaby nawet w połowie tak strasznie. Perz zapalił latarkę, ale nikła struga światła z ledwością przebijała się przez wilgotne powietrze. Powoli spod kamieni wznosiła się mgła. Dup Białej Damy miałby do dyspozycji odpowiednią scenerię. Ale to nie czynniki nadprzyrodzone zatrzymały zwiadowców.

– Ajć! – pisnęła Kasia i zniknęła.

Upadła, na szczęście tylko w płytkie zagłębienie. Zdziwiona, nie krzyknęła, ale jej towarzysze usłyszeli chrzęst kamieni i chrupnięcie. A skoro wyłowili je z szumu deszczu, nie znaczyło to nic dobrego dla nogi doktorantki. Bernard zapalił swoją latarkę kieszonkową i skierował ją w dół. Natychmiast potem zeskoczył w szczelinę.

– Trzymaj się, już idziemy! – zawołał Perz, choć nieco za późno. Bernard już wyciągał pechową blondynkę z pułapki.

– Niedobrze? – zapytał domyślnie Ahmed.

Kasia miała złamaną nogę, a dokładniej pisząc, kość strzałkową. Goleń była czerwona od krwi, ale to nie gnat uszkodził kończynę. Dziewczyna po prostu zadrapała się niemożliwie w dodatku do urazu. Rozcięczona deszczówką krew spływała między kamienie, w czeluście zasypanych podziemi. Mężczyźni patrzyli dość bezradnie na z ledwością powstrzymującą łyzy Kasię.

– Nic mi nie jest... dam radę. Byłam harcerką – zapewniała, ale nawet najzdolniejsza harcerka nie potrafiłaby nastawić sobie złamanej kości.

– Ahmed, Jacek... pędźcie na parking! Kasia musi pojechać traktorem. Jeśli pan Janusz pojedzie w doliny, nie zwieziemy jej. – Jednocześnie wybierał leszczynową

gałąź na prymitywny łupek.

– Nie, pomogę ci ją nieść... – zaczął Perz.

– Biegnij! – syknął inżynier. – Musisz złapać traktor. My sobie poradzimy.

Niechętny archeolog skinął na Ahmeda i ruszyli w dół rumowiska, zabierając dwie latarki. Kasia i Bernard zostali sami i dopiero wtedy dziewczyna pozwoliła sobie na bolesne jęknięcie. Chłopak sięgnął do kieszeni i wyciągnął piersiówkę.



– Brandy. Chyba dwuletnia. Nic lepszego nie mam – powiedział, podsuwając butelkę do ust towarzyszki. Łyknęła nieco, ale to nie poprawiło jej humoru, a tym bardziej nie zaleczyło nogi. – Teraz muszę cię zanieść na dół. Wejdiesz mi na plecy i ruszymy „na barana”. Tylko trzymaj się mocno. No chyba, że i ja się poślizgnę.

– Przepraszam... – szepnęła, łapiąc go delikatnie za ramiona.

– Nic się nie stało – odparł Bernard. – Na szczęście nie ma tu ani Drakuli, ani Dupa Białej Damy.

Oczywiście nie zdążyli na traktor. Nawet gdyby Jacek Perz i Ahmed Shiram nie zgubili się w lesie, zapewne nie zatrzymaliby pana Janusza, który zostawił przyczepę i kontenery na parkingu, po czym żwawo ruszył w dół. Cały zwiad dotarł do prowizorycznego obozu dobre dwie godziny po wyładowaniu zapasów.

Na szczęście mieli sprawny generator i lampy. Żona Piotrowskiego była lekarką i to powinowactwo upoważniło doktora nauk humanistycznych do wydania fachowej opinii. Oceniał, że trzeba zjechać z Kasią na dół, i to do prawdziwego szpitala w Zakopanem. Usztywnił złamanie i zabezpieczył je dobrze. Ale doktorantka nie mogła chodzić. Wzywianie karetki wydawało się ponurym żartem – po deszczu nawet busik bucowetego kierowcy nie mógłby już bezpiecznie podjechać pod górę. Liczyli na traktor, ale do pana Janusza nie mogli się dodzwonić.

– Nie ma zasięgu. I tyle – stwierdził inżynier Nowak. – Nie oszukamy gór. Ale spokojnie, Janusz przywiezie kolejną porcję kłopotów w środę...

– Na studentów mówi się „kłamoty”? – zapytał nieśmiało Ahmed.

– Mamy czekać trzy dni? – jęknął wzburzony Perz.

– Dwie i pół doby – sprostował, jak zawsze ścisły, Nowak. – Ale nie panikujcie. Jutro ktoś zejdzie w dolinę, aby złapać komórką zasięg. Tak wezwiemy pana Janusza. Dziś już nic nie wymyślimy. Wyśpijmy się.

A cóż innego mieli zrobić? Kadra i doktoranci rozłożyli się w dwóch kontenerach mieszkalnych, niedbale zsuniętych na ściółkę parkingu. Do rana dotrwali, stłoczeni razem z bagażami, namiotami i pracującym w drzwiach generatorem. Aby poprawić nieco humory, otworzyli kilka butelek i nabili fajkę Ahmeda samosiejkami z ogródka babci Bernarda. Mimo piętrzących się trudności, odzyskali pogodę ducha – nawet obandażowana Kasia wykrzesiała z siebie niepewny uśmiech.

Ranek powitał ich kolejną falą deszczu. Po śpiesznym śniadaniu zdecydowali się wykonać ustalony plan. Darek Perczek i jego niemy przyjaciel Michał zgłosili się na ochotników. Wyruszyli przed południem w dolinę, zapewniając, że do wieczora wrócą z traktorem. Pozostali członkowie ekipy postanowili zacząć pomiary i zwiad. Bernard sporządził z tyczek namiotowych, krzesel turystycznych i kilkunastu metrów taśmy klejącej coś w rodzaju lektyki dla Kasi, ponieważ ta koniecznie chciała obejrzeć zamek za dnia. Piotrowski z początku się sprzeciwiał, ale około drugiej słońce wyjrzało zza chmur, więc rozpoczęli przenosiny.

Kontenerów pilnowała tylko Anna, a reszta sformowała karawanę, idącą do odległego o pół kilometra zamku. Bernard, Perz, Piotrowski, inżynier Nowak i jego dwóch doktorantów przeniosło najpierw Kasię, potem namioty i kilka skrzynek. Za dnia Wieża Spiska nie wyglądała tak majestatycznie, ale wyrwa w bocznym murze stanowiła niezłe zabezpieczenie przed deszczem. To tam Piotrowski rozłożył „drugi obóz” i tam Kasia zapisywała pierwsze wyniki pomiarów. Reszta ekipy biegła po dziedzińcu z tyczkami mierniczymi.

– Hej! – Bernard zatrzymał Jacka Perza i Ahmeda, którzy rozkładali znaczniki. – Czy to tutaj wpadła Kasia? – Wskazał głęboką wyrwę na środku dziedzińca.

– No... chyba – odparł niepewnie Jacek.

– Ale przecież ta dziura była płytsza. Ona by się zabiła, wpadając w coś takiego.

– Może deszcz spowodował dalsze obsuwę? – zaproponował Perz.

Faktycznie szczelina w świetle latarki wyglądała na znacznie szerszą i ponad

dwukrotnie głębszą niż dwadzieścia godzin wcześniej. W dodatku pewne ślady, czytelne zarówno dla inżyniera, jak i archeologa wskazywały, że kamienie nie stoczyły się w dół szczeliny, ale je z poważną siłą odrzucono. Ponieważ zbliżał się wieczór, wychowany na tanich horrorach i grach fabularnych Jacek poczuł się nieswojo.

– Ktoś to...

– Dup Białej Damy? – zapytał rozbawiony Bernard.

– Niedźwiedź – rzucił Perz, próbując ratować swój honor i maskę racjonalisty.

– Jak nie niedźwiedź, to co? – zapytał Ahmed.

– Tia... – mruknął Bernard, ale sam poczuł ukłucie niepokoju. Spotkanie z niedźwiedziem brunatnym było w tym miejscu dość nieprawdopodobne, ale przecież możliwe. Ciężko orzec, czego bestia szukałaby w rumowisku, ale ślady na drewnianej belce mogły pochodzić od potężnych pazurów. – Tak na wszelki wypadek, odnieśmy Kasię do kontenerów.

Nie było czasu do namysłu. Szybko zwołali resztę ekipy i podzielili role. Bernard, Nowak i Ahmed postanowili spać w nowym obozie i pilnować sprzętu. Trzymanie ognia do rana wydawało się łatwe, a żaden niedźwiedź nie zaatakowałby takiego stanowiska. Kasia zgodziła się, aby odniesiono ją na parking. Jacek bardzo się z tego powodu ucieszył, ponieważ to jemu przypadłaby nocna warta przy koleżance.

– Dobra, idziemy – mruknął Bernard, szykując lekturę. – Pomogę wam, a potem tu wrócę. Zanieśmy Kasię, póki mamy choć trochę dziennego światła. A na parkingu czeka już pewnie pan Janusz...

Wtedy usłyszeli rumor spadających kamieni. Cała szóstka zastygła na dobrą minutę. Pierwszy odzyskał władzę nad nerwami Bernard, pośpiesznie wyciągając z lekturki maszt namiotowy. Wydobył z kieszeni nóż myśliwski i z pomocą taśmy stworzył prymitywną włócznię. W tym czasie Ahmed i Nowak zaczęli rozpalać ogień.

– O kurwa! – jęknął Piotrowski. Nie przeklinał często, więc jego komentarz wzbudził jeszcze czarniejsze myśli w uczestnikach wyprawy. Już ciemno. Nie pójdziemy przez las, jeśli tam...

– Zbierajcie kamienie – zdecydował Nowak. Odstraszymy tego Puchatka...

– Szefie, ci turyści dostali dwa lata w zawiasach za rzucanie w niedźwiedzia – zauważyła żartem Kasia, ale jej głos drżał. Wolałaby już jechać traktorem do Zakopanego.

– Niedobrze – ocenił Bernard. – Chyba przeczekamy przy ognisku. Przynajmniej Anna siedzi w kontenerach, zapewne z Darkiem i panem Januszem. Znając ich lenistwo, nie zaczną nas szukać.

Ściemniło się błyskawicznie. Deszcz wciąż padał, ale spośród szumu kropel do skulonych w niszy pod murami dochodziły dziwaczne i niepokojące dźwięki. Ktoś odrzucał kamienie, metodycznie i szybko. Zdecydowanie zbyt sprawnie, jak na szalonego niedźwiedzia.

– Jest tam kto? – zawołał w ciemność Nowak. Ktokolwiek przewalał głazy, zignorował wezwanie.

– Cholera... – mruknął Bernard. – Gdyby ta ścieżka nie była taka kręta, to bym pobiegł na parking. Ale to ryzyko...

– Poczekamy do rana – zdecydował Piotrowski. – Wezmę pierwszą wartę. Grunt, aby trzymać ogień.

I trzymali. Deszcz wciąż smagał tatrzańskie skały, a kolejni podopieczni Piotrowskiego walczyli z sennością. Bernard miał czuwać od czwartej, ale obudził się o wpół do piątej. Nie ze swojej winy – czuwający przed nim Jacek po prostu zasnął. Ogień wciąż płonął, choć z braku paliwa płomień skurczył się do białego duszka między kamieniami. Wściekły doktorant chciał wstać i dorzucić do płomieni, ale zmarł. Naraz zauważył dwa paraliżujące szczegóły. Perz nie przysnął – archeologa nie było. Zniknęła jego latarka, peleryna i jedna z przygotowanych pochodni. Ale, co gorsze, Bernard zauważył na murach cień. Ktoś skradał się bezgłośnie ku ognisku i z pewnością nie był to Jacek. Technik postanowił działać szybko, ale rozsądnie. Sięgnął dłonią ku plecakom, ale nie znalazł tam włóczni. Może rzucił ją dalej? Może broń zabrał Perz. Bernard musiał się zadowolić szpadlem. Delikatnie chwycił narzędzie i – wkładając w to wszystkie siły – zaczął je dyskretnie przyciągać. Obserwował wciąż cień na ścianie.

To nie był Jacek, również nie tajemniczy niedźwiedź. Wyobraźnia doktoranta podsuwała mu najdziwsze przypuszczenia, ale analityczny umysł filtrował nieprawdopodobne teorie. Cień należał do istoty humanoidalnej, ubranej w powłóczyście szaty. Jednak koszmarny garb na plecach nie sugerował bliskiego pokrewieństwa ze śpiącymi przy ognisku. Z głowy napastnika zwisało coś, co mogło być zmoczonymi kłębami włosów i długą brodą. Intruz był przerażająco cichy, wręcz nierzeczywisty. „Jeśli to Dup Białej Damy, mamy pozamiatane” – pomyślał Bernard. „Ale jeśli istota z krwi i kości, to zapoznam ją z moim szpadlem”.

Uderzył dokładnie w sekundzie, kiedy potwór wyłaniał się zza rogu. Potężny intruz nie wydał żadnego dźwięku, ale z nadludzką prędkością podniósł rękę, osłaniając się przed ciosem. Bernard z upajającą satysfakcją poczuł miażdżone kosteczki dłoni. Duch, dup czy inny wampir był podatny na ciosy. W dodatku czuł ból.

– Kurwa... – jęknął grobowym głosem olbrzym i zwałił się na kamienie.

14 października 2012, okolice ruin Wieży Spiskiej

– Kurwa... – sapnąłem, czując lodowy uścisk w prawej dłoni. „Jak głupio” – pomyślałem jeszcze, ale wtedy straciłem równowagę i padłem na plecy. Na szczęście wypchany plecak zamortyzował uderzenie. Przez dobrą minutę nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Dopiero orzeźwiająca pieszczota kabla zasilającego na moich nadgarstkach przywróciła mi coś na kształt świadomości. Wiązali mnie. Jeśli miałbym oceniać głupotę tego kroku w skali od jednego do dziesięciu, dałbym jej dwanaście.

– Zostaw... – wyjąkałem. Wysoki spryciarz wciąż mnie krępował przewodem. – On tam jest.

Ale wciąż mnie krępował, aż do chwili, gdy usłyszeli hrabiego. To znaczy zapewne wciąż nie wiedzieli, co się stało. Jednak huk odwalanych z nieludzką siłą głazów musiał go nieco zdeprymować. Zrozumiał, że to nie mnie ani urojonego niedźwiedzia powinien się bać. Boże! Gdybym teraz miał w ręku „Bliźniaczki” albo chociaż kuszę, to bym załatwił hrabiego. Aha, no tak – gdybym miał broń i wciąż mógłbym poruszać prawą dłonią. Ale ten cwaniak wybił mi co najmniej dwa stawy i zapewne coś złamał.

– Kto ty jesteś? – Usłyszałem z dala pytanie.

Z dala, bo ból z ręki paraliżował wszystkie zmysły. Nagle znaleźliśmy się wszyscy w niezłym bagnie. Potrzebowałem eliksiru, ale władający łopatą chojrak rozbił wszystkie trzy fiołki. A ja leżałem bezwładnie na kamieniach i umierałem z bólu zmasakrowanej i w dodatku ściśniętej kablem dłoni. Nie spali już, cała piątka stała przy ognisku, patrząc to na mnie, to w ciemność, ku źródłu tajemniczych dźwięków. O! jedna była ranna. Nasze szanse na przeżycie przypominały grę w totka. Hrabia mógł się wydostać w każdej chwili.

– On was zabije... – jęczałem. – Wampir. Krew waszej koleżanki go obudziła. Ściągnął do dziury waszego kumpla...

– Gdzie jest Jacek? – zapytał lodowatym głosem właściciel szpadla i jakby to miało wzbogacić moją wiedzę, machnął narzędziem tuż obok mojej głowy.

– Pewnie tam. On go wezwał – odparłem, usiłując skupić wzrok na prześladowcy.

– Bernard... Boże, musimy go znaleźć – jęknęła blondynka z usztywnioną nogą. – Czy on wpadł do dziury?

– Jeszcze nie rozumiecie? – mamrotałem, próbując oswobodzić skołaciały język. – Podszedł zbyt blisko dziury i hrabia go posiadł. Teraz jego krew wzmacnia Guschwika.

Nie rozumieli, ale chcieli zrozumieć. Powoli odkrywali, że to nie ja jestem zagrożeniem. Mam niemal dwa metry wzrostu, długie włosy w kolorze ognia i brodę jak Rasputin, a w pelerynie wyglądam dość groźnie. Z pewnością noszony pod pałatką plecak dodał mi kilka punktów potworności. Ale jestem człowiekiem. Pojęli, że to, co wygrzebywało się z rumowiska, nie jest istotą ludzką. Jeden ze

starszych ukląkł przy mnie i spojrzał na dłoń. Była związana z tyłu, więc wiele dostrzec nie mogłem i nie żałowałem. Może już pojęli, że prawie zabili jedyne obrońcę. Właściciel szpadla musiał się poczuć jak ktoś, kto w wigilijny wieczór zastrzelił świętego Mikołaja, myśląc, że to włamywacz.

– Co tu się, do diabła, dzieje... – wyjęczał Nowak, wpatrzony w huczącą ciemność.

– Nie wychodźcie poza krąg ognia – powiedziałem. – Musicie utrzymać ognisko za wszelką cenę. I dajcie mi pomysłu.

Sięgnąłem zdrową ręką do plecaka, ale cwaniak zwany Bernardem kopnął mnie. Zazwyczaj nie odpuszczam takich zniewag, ale zazwyczaj nie mam strzaskanej dłoni. Syknąłem i cofnąłem się. Młodzik bał się nie mniej niż inni, ale udawał odważnego przywódcę. Może to i dobrze – czuli jeszcze nadzieję.

– Powoli. Wytłumacz nam wszystko. Co to jest? – zapytał, wskazując ku centrum dziedzińca.

– Hrabia Gunther Francis von Guschwik, od tysiąc osiemset czterdziestego ósmego roku pan na Spiszu. Wampir. – Prawdę mówiąc, cesarski graf był wampirem tylko w najszerszej definicji tego słowa, ale nie chciałem zamęczać laików subtelnymi rozróżnieniami. Musiałem im tylko uzmysłwić, że Guschwik pił krew i po stu trzydziestu latach postu był głodny. Nie miałem planów na potem. Nie liczyłem, aby ktokolwiek z ekipy badawczej potrafił się posłużyć moim sprzętem. – Podaj mi plecak. – Spojrzałem na Bernarda z taką dozą zdecydowania, na jaką mogłem sobie pozwolić.

Ale moim bagażem zaopiekowali się sami. Starszy jegomość, zwany Nowakiem, zaczął metodycznie wyrzucać moje kłamoty. Póki jeszcze wyciągał latarkę, linkę czy uprząż wspinaczkową, nie komentował. Ale kiedy trafił na Bliźniaczki, zaklął szpetnie i odrzucił broń. Bliźniaczkami nazwałem mój pistolet, stworzony z łożyska wyrzutni rakiet sygnałowych i dwóch stalowych luf. Na szczęście oba granaty były wykonane porządnie i nie wybuchły, kiedy inżynier nieświadomie cisnął je na kamienie. A potem odkryli kuszę, bełty z częstochowskiego dębu oraz kapsułki z wodą świeconą.

– Kim ty jesteś... – wybełkotał Nowak.

– Jerzy Wawelski, pogromca – odparłem. Stojący obok chłopak o bliskowschodnich rysach zapytał łamaną polszczyzną.

– „Pogromca”? A pogromy to są tylko Żydów, czy Arabów też?

– Pogromca pomiotu diabelskiego – wyjaśniłem. – Łowca agresywnych czynników nadprzyrodzonych. Dałbym wam wizytówkę, ale związaście mi ręce.

– Stary... ty nie żartujesz... – odkrył smutną prawdę Bernard. – To naprawdę jest wampir?

Jakby w odpowiedzi odgłosy przerzucanych kamieni jeszcze się wzmogły. Hrabia musiał odzyskać już sporo sił po wypiciu krwi tego wartującego idioty. Ale śmierć chłopaka była po części moją winą – nie ostrzegłem go, sądząc że zdarzę się podkraść i wykończyć grafa po bożemu. Nie wziąłem pod uwagę, że nawet osłabiony starokrwesty zachowuje pewne zdolności telepatyczne. Musiał tego studencika zwabić do dziury, a potem jakoś poszło.

– Rozwiążcie mnie – warknąłem. Piotrowski schylił się i niezgrabnie zaczął luzować więzy. – Szybko, zanim stracę czucie w drugiej dłoni. A przy tym przygotujcie ładunki wybuchowe.

– Nie mamy... – jęknął Nowak. – To znaczy są w kontenerach, ale..

– Ja mam – przerwałem i wskazałem nogą plecak. – A tak przy okazji... Bernardzie, gdybyś mnie zdzielił tym żelastwem w plecy, nie w rękę, zapewne obaj byśmy już nie żyli – kłamałem, bo szansa na zdetonowanie luźnego semtexu nawet przy silnym uderzeniu jest niewielka. Ale musiałem ich na tyle przestraszyć, aby byli mi posłuszni. Jeszcze nie zginęliśmy i istniała szansa na pozbycie się zdegenerowanego arystokraty. – Będziesz musiał złożyć detonator...

Wtedy Guschwik się wy dostał. Usłyszeliśmy głośniejszy chrzęst kamieni, a potem odgłos skoków na dziedzińcu. Bernard chwycił szpadel, a ta blondynka podniosła Bliźniaczki. Zapewne nie byłyby w stanie utrzymać odrzutu mojego granatnika, ale przynajmniej wyglądała groźnie. Na jej miejscu też byłbym zdesperowany – uraz nogi uniemożliwiał jej ucieczkę. Piotrowski i Nowak chwycili tylko kamienie, gotowi ciskać w niewidzialnego wroga. Wreszcie Bernard przysunął do mnie plecak. Z trudem wyciągnąłem kuszę i zacząłem się zastanawiać, jak miałbym naciągnąć jedną ręką łuk z resoru piórowego. Inżynierowie zauważyli mój kłopot, bo wspólnymi siłami przygotowali broń. Cóż, bełty z częstochowskiego dębu były skuteczne, niczym wepchnięta w gardziel ampułka wody święconej. Ale trafienie w biegnącego starokrwistego przekraczało moje skromne kompetencje jako pogromcy.

Przez chwilę widziałem nawet sylwetkę grafa. Nie był to widok przyjemny, ale budzący nadzieję. Dostojny wampir stracił swoją szlacheckość i rozum przez dekady żywcempogrzebania. Kulił się w mroku jak opętane głodem zwierzę. I w tym tkwiła nasza szansa – wróg nie myślał, my wciąż mogliśmy. Bał się ognia oraz moich relikwii, ale rozumiałem, że to obawa tymczasowa. Za kilka godzin, może minut, głód miał przemóc instynkty starokrwistego. Do tego czasu musiałem coś wymyślić.

– Założyłeś te detonatory? – zapytałem Bernarda. – Po prostu wetknij miedziane przewody w szare ciasto. To takie trudne? – Mój wzrok szukał jakiejś przynęty. Nie byłem jeszcze na tyle zdesperowany, aby proponować któremuś z badaczy bohaterską śmierć wabia. Jeszcze nie. Wskazałem torbę z jedzeniem. – Mięso! Dajcie mi wszystkie wędliny, jakie macie. Im świeższe i mniej spieczone, tym lepiej.

Niegdyś kanadyjscy traperzy zabijali wilki bardzo podłą i prosta metodą. Ponieważ wiele zwierząt wyczuwało trutkę, myśliwi jej nie używali. Po prostu faszerowali mięso drutami, sprężynami czy nawet zgiętymi i zamrożonymi fiszbinami wielorybimi, które w żołądku drapieznika prostowały się, zadając boleśnie malowniczą śmierć. Hrabia był takim głodnym wilkiem do sześcianu, zdolnym wyczuć nawet dobrze zamaskowaną wodę święconą, ale czy potężniejsze zmysły wampierza wyczuwały dwudziestowieczne materiały wybuchowe?

Szybko sporządziliśmy prymitywną trutkę. W skurzaną torbę po wasserwadze

wcisnąłem dwie kostki semtexu i zapalnik wstrząsowy. Całość wysmarowaliśmy pasztetem z tubki, obłożyliśmy plastrami wyrobu szynkopodobnego i zawiązaliśmy sznurkiem. Miałem nadzieję, że hrabia jest bardzo zamroczony głodem. Na wszelki wypadek postanowiłem przynęte jeszcze uatrakcyjnić. Delikatnie odwinąłem chustkę na dłoni i spuściłem kilka kropel krwi. Domyślna blondyna zdarła swój opatrunek i także podlała nasz pasztet.

– Okej... chyba już rozumiecie, co zrobimy – mruknąłem. – Teraz musicie to delikatnie położyć jak najdalej od ogniska...

– Kusza... nie możesz go zastrzelić? – zapytał Bernard. Podniosłem zakrwawioną dłoń.

– Teraz wy jesteście bohaterami.

Technik i ten Arab szybko przywiązali pakunek do długiej tyczki namiotowej. Właściwie mogli to zrobić przed założeniem detonatora, ale nie narzekałem. Potem obaj, bardzo ostrożnie, zaczęli wysuwać pułapkę w noc. Pręt miał niecałe dwa metry, dlatego odsunąłem się tak daleko w głąb rozpadliny, jak mogłem. Reszcie dałem znak, aby zrobiła to samo.

– Kiedy tylko chwyci, „puszczajcie”! – chciałem dodać, ale nie zdążyłem.

Hrabia szarpnął tyczką nagle, nawet go nie dostrzeżliśmy. Bernard nie tyle puścił maszt, co nie zdołał go utrzymać. Ahmed zdołał – na swoje nieszczęście. Siła starokrwistego była ogromna. Arab poleciał w noc i mimo szumu deszczu słyszeliśmy, jak boleśnie pada na kamienie. Graf natychmiast puścił przynętę, widząc smaczniejszy kąsek.

– Strzelaj! – krzyknął Nowak, licząc, że wceluję w pradawnego potwora mimo ciemności i bólu w dłoni.

– Ciągnij! – wrzasnąłem w ciemność. Chłopak był już stracony, ale wciąż mógł nas uratować. Wierzę, że tak właśnie się stało.

– Allahu ak... – usłyszeliśmy głos, ucięty zaraz jękiem i odgłosem rwanego mięsa. Ale Ahmed pociągnął tyczkę, może zrobił to hrabia w szale głodu.

Na ułamek sekundy dziedziniec zamku rozświetliła eksplozja. Stojącego najbliżej Bernarda niemal cisnęło w ognisko. Tylko cudem uniknęliśmy skalnych odłamków. Niebo jakby przestraszyło się naszych piorunów, bo deszcz ustał. Siedzieliśmy w ciszy, słuchając tylko coraz radszych kropel i trzasków ognia. Atmosfera zrobiła się niezręczna, tym bardziej, że Bernard miał na twarzy trochę Ahmeda. Niestety, nie mieliśmy czasu na *laudatio funebris*.

– Bierzcie pochodnie i dobijcie gada, zanim się zregeneruje – zaproponowałem rozsądnie.

– Zabiłeś go! – jęknęła Kasia.

– Jeśli już, to wasz lewentyjski kolega. A i tego nie można być pewnym – odparłem, ale wyczułem, że nie o wampierza pytała blondyna.

– Zabiłeś Ahmeda! – sprecyzowała. Wybuchła płaczem, ale i podniosła leżący na ziemi kamień w geście groźby.

– Spokój! Dobijcie go, póki jeszcze jest zamroczony wybuchem...

Nie byliśmy dość szybcy. Guschwik (nie)żył, a w dodatku wstawał niezgrabnie. Ból, wściekłość, a może i rany z pewnością zmniejszyły jego strach przed ogniem.

Sytuacja stała się dość smutna. Chciałem uratować tych biedaków, ale nie za każdą cenę. Przede wszystkim liczyłem na to, że sami będą chcieli przeżyć.

– Do podziemi – rozkazałem. Spojrzeli na mnie zdumieni. – W wąskim korytarzu mamy szansę go trafić. Na otwartej przestrzeni jesteśmy zwierzyną łowną.

Nie czekając na reakcję badaczy, chwyciłem ampułkę z wodą święconą i dokonałem dość podłej sztuczki. Mieszając *Aqua Benedicta* z deszczówką bynajmniej nie zwiększałem ilości świętej substancji, ale optymalnie rozprowadzałem aktywne partykuły. Ojciec Jan zawsze mnie za to ganił, ale byłem w Tatrach. Bóg wysoko, papież daleko, a hrabia tuż obok. Położyłem się na ziemi i wtoczyłem w kałużę. Pobłogosławiona wilgoć wsiąkła w sweter i spodnie, zapewniając choć tymczasową ochronę.

– Kto idzie ze mną? – zapytałem. – Musicie wbiec do korytarza jako pierwsi, ja stanę na drodze i spróbuję zastrzelić drania. Wy... – wskazałem na starszych naukowców – ...niesiecie blondi. Bernard, bierz mój plecak.

Mówiłem za szybko, aby protestowali. Ponieważ nikt inny się do tej roli nie prosił, podniosłem moje „Blizniaczki”, z trudem trzymając je w prawej dłoni. Złamałem jedną z flar i rzuciłem, na oko, w kierunku rozpadliny. Upadła dość blisko, aby oświetlać rozgrzebane wejście do podziemi. Być może światło w jakiś sposób docierało do oszalałych zmysłów hrabiego, ale z pewnością nie tak skutecznie, jak zapach świeżej krwi. Musieliśmy zaryzykować.

– Już! – krzyknąłem.

Archeolog i inżynier podnieśli Kasię, ja pokuśtykałem za nimi. Bernard szedł z tyłu, machając dość bezradnie płonąca głównią. Ogień tak mały i delikatny z pewnością nie zatrzymałby grafa. Choć, skacząc niezgrabnie ku dziurze, nie wiedziałem, jak bardzo Ahmed zranił przeciwnika. Oczywiście szybko się przekonałem – nie dość, by unieruchomić, ale wystarczająco, aby zdrowo rozsierdzić.

Kiedy cień sunął w naszą stronę, zaryzykowałem strzał z raketnicy. Odrzut, zaaplikowany rannej dłoni, prawie pozbawił mnie przytomności. Granat uderzył o kamienie i wybuchł. Krzywdy wielkiej nie zrobił ani nam, ani grafowi, ale z pewnością odstraszył bestię na kilkadziesiąt sekund. Kasia i jej tragarze dotarli już do dziury. Ja czekałem, co natychmiast zauważył Bernard.

– Ty draniu! – jęknął, widząc moją pozycję strzelecką.

Żywa przynęta – nie miałem wyjścia. Jako pogromca, który ubił już niejedną kreaturę piekielną, cenilem przede wszystkim skuteczność i nauczyłem się płacić uczciwą cenę za sukcesy. Ktoś z nich mógł zginąć, ale tylko tak miałem szansę trafić hrabiego. Jedynie w wąskim wejściu do jamy potrafiłem trafić nieuchwytnego wroga. Wymoczony w wodzie święconej, stanowiłem mało atrakcyjny cel dla wampierza. Trójka ludzi w śmiertelnej pułapce – znacznie lepszy. Śmierć jednego, a nawet wszystkich członków ekipy był zapłatą umiarkowaną za uбиć potwora. Starokrwisty zabił ponad setkę ludzi, spalił Mysłowicę, a gdyby nie tajemniczy wypadek w 1885 roku, mordowałby nadal. Musiałem go złović. Biedacy! Gdyby Kasia nie obudziła Guschwika, obyłoby się

bez ofiar. Tylko odkopałbym ciało potwora i spalił je. Ale teraz...

– Biegnij – warknąłem do Bernarda. – Zginiesz ty albo ich troje. A może ubiję go za pierwszym strzałem i wszyscy...

– Niech cię diabli... – szepnął doktorant i ruszył ku szczelinie.

Dąb częstochowski to drzewo nieliczne, a jeden bełt zazwyczaj unieszkodliwiał ożywieńca albo paraliżował na długie godziny potężnego starokrwistego. Tak było w Prusach i w Afganistanie. Ale nie przewidziałem jednego – wampierz wyglądał raczej jak żywy szkielet niż prawdziwy starokrwisty. Pocisk wbił się w plecy zmory, kiedy ta chwytła już Bernarda. Strzaskany o kości bełt niemal w całości wyszedł z potępionego ciała, tylko drobniutkie drzazgi zostały w środku. Przynajmniej tak sobie tłumaczę to, co potem zaszło. Graf urwał doktorantowi głowę i choć wył z bólu, ssał krew ofiary. Nie miałem wyjścia, musiałem użyć Bliźniaczek.

Opróżniłem drugą lufę, strzelając z lewej dłoni. Celność w podobnych sytuacjach nie była moją mocną stroną, ale przy zabawie granatami celność nie jest niezbędna. Ładunek eksplodował, zasypując tunel. Gdyby mi ręką drgnęła, zabiłbym też Kasię, Nowaka i Piotrowskiego. Tak tylko unieruchomiłem ich w jednym gruzowisku z pradawnym upiorem. Na brak atrakcji narzekać nie mogli.

– Jezu! – słyszałem głosy spod kamieni. – Katarzyno... żyje pani?

Żyła. Niestety hrabia również nie dawał za wygraną. Natychmiast zaczął odwalać otaczający go gruz. Nie miałem wiele czasu. Ruszyłem do zasypanej szczeliny. Z Bernarda nie zostało wiele, na szczęście plecaka wampierz nie ruszył. Wyciągnąłem ampułki z wodą święconą, po czym przekląłem własną głupotę. Tylko cztery. Jedną zgniotłem od razu nad zbyt żwawym arystokratą, resztę oszczędzałem. Wylałem je do pobliskiej kałuży i gorączkowo czerpałem miksturę za pomocą najpierw bardzo niewydolnej manierki, a potem buta Bernarda. Do Guschwika zaczęły docierać pierwsze cząstki *Aqua Benedicta*, co powitał jeszcze dzikszymi rykami. Wołanie spod kamieni o pomoc nie pomagało mi w robocie.

– Wawelski, pomóż nam! – jęczał Piotrowski.

– Cichaj! – odparłem z ledwo utrzymanym spokojem. – Jeśli się wydostanie, to po nas.

Zatęskniłem za Afganistanem. Tam ożywieńcy byli równie groźni, ale zawsze mogłem pożyczyć od naszych chłopców granatnik albo miotacz ognia. W Polsce byłem zdany na klasyczne metody i boskie zmiłowanie. Nie zawsze go wystarczało.

Starokrwisty był słaby, ale na te ostatnie chwile wykrzesał z siebie niewiarygodną moc. Poczulem, jak lecę w górę, wyrzucony razem z kamieniami. Spadając, musiałem się podeprzeć też prawą ręką, co wysłało mnie na pogranicze włości Morfeusza. Widząc skaczącą ku mnie bestię, dźgnąłem na oślep dębowym bełtem. Odturlałem się, a po kilku sekundach zrozumiałem, że żyję. Dobra nasza.

Kasia wrzeszczała, ja usiłowałem odzyskać zmysły, a ten cholernik wciąż szedł, mimo wbitego w bok drzewa. Poruszał się wolno, jak ukraińscy ożywieńcy, ale twardo szedł do celu. Nie było sensu walczyć. Kiedy Nowak odwalił fragment

stropowej belki i podciągnął się, aby wyjść na zewnątrz, kopnąłem go w głowę i sam skoczyłem w głąb rumowiska. Na szczęście na dole było dość miejsca, aby się schować. Szanse dźgnięcia kopiącego wampiera były nikłe, ale wciąż większe niż ucieczka przed nim w doliny.

Guschwik, czy raczej to, co z Guschwika zostało po ponad wieku od żywcem pogrzebania, w głodowym szale odrzucało kamienie nad naszymi głowami. Nowak był nieprzytomny, Piotrowski trzymał Kasię, ona wrzeszczała. Ja zaciskałem lewą dłoń na dębowym belcie i czekałem na ostatnią szansę rozstrzygnięcia pojedynku. Nie liczyłem na cud, więc takowy nadszedł.

Słońce wyjrzało zza horyzontu i przebiło się przez deszczowe chmury. Nocny wiatr rozwiał ołowianą kapę nad Tatrami, czego w nocy nie dostrzegłem ani ja, ani też wampierz. Starokrwisty – tak silny jak hrabia – powinien wytrzymać długie minuty, potrzebne na ucieczkę i znalezienie kryjówki. Ale Guschwik był tylko ożywionym zwierzęciem. Miotał się w panice po dziedzińcu, na oślep szukając schronu. Z nagłej ciszy wywnioskowałem, że wampierz wpadł w jedną ze święconych kałuż. Choć na to nie zasłużyłem, pokonałem potwora.

Nie miałem siły pomóc naukowcom. Dobrze, że na czas nadeszła reszta, ludzie z kontenerów. Nie spotkali wampiera, ale to, co słyszeli, zniechęciło ich do zadawania pytań. Bez słowa studenci i miejscowy góral zaczęli nas odkopywać. Po dwudziestu minutach leżeliśmy już na bagażach, przy wygasłym ognisku. Chłodny ranek lśnił spokojem. Nic nie przypominało o koszmarze nocy – to znaczy nic na niebie. Kamienie dziedzińca były pokryte krwią, a w jednej z kałuż drgał jeszcze potępiony szkielet.

– Hej, gazdo... – zagadnąłem kierowcę. – Macie tu dyskretnego księdza? Trzeba ten diabelski pomiot jakoś... zutylizować. – On pokręcił głową, patrząc na makabryczne widowisko. – W takim razie skocz do doliny po wapno. Nikomu nic nie mów, ale potrzebujemy ze sto kilogramów.

– Ty... – jęknęła blondyna, wskazując mnie palcem. – Zabiłeś ich. Jacka, Ahmeda, Bernarda...

– Uratowałem was – zauważyłem. – I nie rzucaj głupich oskarżeń. Gdyby twoja krew go nie obudziła, załatwiłbym gada, nie robiąc takiego bałaganu.

– Byliśmy przynętą! Odpowie pan za śmierć naszych ludzi – Kasię poparł Piotrowski.

– Doprawdy? – zapytałem. – Ktoś wam uwierzy? A przynętą nie byliście. Ruszyłem załatwić hrabiego, kiedy tylko dowiedziałem się, że Jagiellonka i Politechnika Krakowska przysłała ekipę. Wiedziałem, że stanie się coś złego, ale nabroiliście zbyt szybko, aby was zatrzymać. Trzech ludzi to rozsądna cena za pozbycie się starokrwistego... – Widząc ich wykrzywione wściekłością twarze, dodałem: – A teraz jestem waszym najlepszym, bo jedynym przyjacielem. Musimy zatuszować sprawę. Wytłumaczyć śmierć trzech ludzi, tak aby nie było dochodzenia.

– Kim ty jesteś? – zapytał cicho Nowak, chyba po raz drugi w ciągu ostatnich dwunastu godzin.

– Jerzy „Smok” Wawelski – odparłem. – Magister archeologii, prywatny

detektyw, korepetytor języka arabskiego. No i pogromca, ale to w wolnym czasie. Wizytówki wam nie zostawię, ale można mnie znaleźć w internecie. – Zapadło niezręczne milczenie. Chyba oczekiwali, że coś jeszcze dodam, więc dodałem. – Przez was wpadłem w nieliczne tarapaty. Mieliśmy szczęście, że starokrwisty był w takim stanie. Dobrze odżywiony wyssałby was natychmiast...

– Skąd pan wiedział...

– Potrafię czytać – wyjaśniłem. – O Wieży Spiskiej wiem już od wielu lat, jakiś czas temu zbierałem materiały na temat von Guschwika. Acz póki świętej pamięci graf leżał pod gruzami, to nie warto było się martwić. Miałem inne cele. Ale znajomi z Krakowa ostrzegli mnie przed wyprawą. Niestety, nie dość wcześnie. Ale dość gadania. Macie sporo roboty. – Usiadłem na plecaku, z ledwością powstrzymując senność. – Hej, czy ktoś może przyprowadzić mojego kłada? Zaparkowałem go przy czerwonym szlaku. – Nie ruszyli się. – No, ruchy, ruchy. Nic nie zrobię z kaszą zamiast dłoni, a trzeba posprzątać, zanim ktoś tu zajrzy. Policją się zajmę, ale miejscowi mogą być ciekawi. Nie zostawcie po sobie śladów.

– A co powiemy na uczelni? – zapytał Piotrowski, rozumiejąc już wymogi sytuacji.

– Myślę. Zaraz wam powiem – odparłem.

I myślałem. Miałem już spore doświadczenie w myleniu służb porządkowych, administracji muzeów, bibliotek i uczelni. Pięć lat w zawodzie pogromcy uczy przydatnych rzeczy. Ale potrzebowałem też chwili odpoczynku. Dłoń mnie bolała, planowałem już wizytę u mało wścibskiego chirurga, a potem kurację w źródle Licheńskim. Ratowanie świata przed zalewem zła było pracą bardzo trudną i męczącą. Ale satysfakcjonującą. Łowy na grubego zwierza lubiłem najbardziej. Żałowałem tych trzech chłopaków, którzy dali się wyssać, ale cóż mogłem zrobić – żaden z nich nie nadawał się na pogromcę.

Tak bywa.

IX. ZABÓJCZA PROMOCJA

Gmach hipermarketu „Kerszoł” nie wyglądał nocą przyjemnie.

Aha, abyśmy się dobrze zrozumieli – nie twierdzę, że za dnia wyglądał dużo lepiej, ale z pewnością nie budził takiej grozy, jak kilka minut po północy. Przyszłe serce budowanego centrum handlowego w Sadach Żoliborskich było – póki co – organem bardzo samotnym i wciąż niewyrośłym. Blaszana hala sklepu stała otoczona wykopami innych hal oraz składów, owinięta skórą blaszanego ogrodzenia i ozdobiona oczami ćmiących żółte światło reflektorów. Kierownik hipermarketu, dumny pan Starski, skąpił nawet na oświetlenie. Dlatego w głównej hali paliły się tylko światła ewakuacyjne, a resztę blasku zapewniała żółta poświata z zewnątrz. Kemar Akyüz uważał ową zgniłą barwę za diabelską i żałował, że islam nie przewidywał znaku krzyża. Bardzo chciał się przeżegnać bądź uczynić inny, odganiający złe moce gest. Nie mógł jednak, nie tyle ze względu na przykazy swojej wiary, ale i przepisy BHP. Kierował wózkiem widłowym w wąskiej alejce między półkami. Szerokość sklepowej doliny była znacznie mniejsza, niż zakładały unijne normy, a przewrócenie jednego stojaka spowodowałoby lawinę. W wyniku takiego wypadku, naklejający ceny w alei z makaronami Bartosz postradałby życie, a Kemar – pracę. Pan Starski nie wybaczal błędów.

„Byłe zdążyć do rana...” – powtarzał Turek, walcząc ze strachem i sennością. Pracował szybko, bardzo szybko i wręcz dziwił się, że po czterech godzinach ciągłej roboty wciąż jest w stanie operować podnośnikiem, a przy tym nie zrzucił z półek ani jednej paczki towaru. Z drugiej strony, prawdziwym mistrzem okazał się Bartosz Mazda, drugi z pechowców odpracowujących nieudany strajk. On już od samego zamknięcia sklepu wspinał się na rusztowania i poprawiał magnetycznym stemplem ceny. Nie spadł ani razu i...

„Allahu” – jęknął w duszy Kemar. „W złą godzinę to rzekłem”.

Łomot wypełnił halę. Turek nie myślał, ale działał, pozwalając mięśniom przejąć kontrolę nad umysłem. Dłonie chwyciły pewniej kierownicę, a noga wcisnęła pedał gazu. Jeśli Bartosz przewrócił półkę z makaronami na prawą stronę, piekielne domino sklepowe musiało pokonać tylko pięć alejek. Kemar miał może dziesięć sekund, aby opuścić śmiertelną pułapkę. Wózek widłowy wyskoczył do przodu, a beczynny umysł pracownika analizował piękno rychłej śmierci. Po jego lewicy, ku blaszanemu sklepieniu wznosiła się przegroda, obwieszona sprzętem ogrodniczym. Kosy, sekatory oraz inne narzędzia (których Turek nie był nawet w stanie nazwać po polsku) czekały tylko na lekkie popchniecie, aby zwalić się na kierowcę pojazdu. Przecinająca halę na pół aleja zbliżała się wolno, zbyt wolno. Gdyby półki leciały w stronę Kemara, ten nie

zdążyłby.

Akyüz zatrzymał wózek i wsłuchał się w ciszę hipermarketu. Odetchnął głośno, kontemplując wciąż nieruchome stojaki z bronią ogrodniczą. Już chciał roześmiać się beztrosko, kiedy zrozumiał, że katastrofa ominęła tylko jego. Coś upadło pod północną ścianą sklepu. Czy Mazda miał tyle samo szczęścia co jego przyjaciel?

Kemar wyskoczył z pojazdu i ruszył biegiem w ciemności hali. Nie zabrał latarki i zdążył się za to skłąć, zanim minął przybory szkolne. Ale musiał sprawdzić, co się stało z długowłosym współpracownikiem. Dopadł do rumowiska, po czym zrozumiał, że półka z makaronami upadła sama, przygniatając tylko lodówki i stoisko rybne. Jeśli naklejający ceny pracownik dobrze wylądował, mógł się wykić kilkoma guzami.

– Bartosz? – zawołał Akyüz w ciemność. Zrobił krok w przód, ale potem zmartwiał.

Zrozumiał, że po drugiej stronie półki z makaronami wisiały piekielnie ciężkie konserwy. Dlatego też właściciel nóg wystających spod pogiętej metalowej ramy nie miał wielkich szans na przeżycie.

* * *

Tragedii, która dotknęła moich dawnych parafian, nie dało się opisać jednym zdaniem. Śmierć dziecka zawsze sprawia ból, ale nawet najbliżsi mogą odchodzić lepiej lub gorzej. Bartosz zostawił matkę w zły sposób. Od czasu przeprowadzki do Warszawy niewiele z nią rozmawiał, bywał w Bylicach tylko na święta, a to też nie zawsze. Miasto zmieniło tego grzecznego chłopca w chłopaka zagubionego, który usiłował odnaleźć siebie, rozpaczliwie i bezmyślnie kopiując wzorce zepsutego miasta. Nie chcę pisać źle o Bartoszu, ale nie sądzę, aby posiadał prawdziwy talent. Dostał się na ASP i nawet odnosił lokalne sukcesy, ale był przecież malarzem awangardowym, a nie prawdziwym artystą. W dodatku nie zarabiał na swoich pracach prawie nic, a żył ponad stan. Wydawał wszystkie pieniądze, które matka przysyłała z domu, a na dodatek pracował dorywczo, ostatnio w owym feralnym sklepie.

O wypadku dowiedziałem się z mediów i tylko przez przypadek skojarzyłem nazwisko biedaka z moją dawną parafianką. Sam ustaliłem (internet to dzieło szatana, ale czasem się przydaje), że Bartosz Mazda to syn pani Pelagii z Bylic. Zadzzwoniłem, aby się upewnić, a zrozpaczona matka potwierdziła straszną nowinę. Przejęty, zająłem się przygotowaniem do pogrzebu. Ciało Bartosza odesłano na Podhale, ale czuwałem na katafalku, zanim po biedaka przyjechali. Wtedy, podczas modlitwy, poczułem, że śmierć młodzika kryje w sobie tajemnicę. Dotknięcie macek Złego bywa subtelne i trudne do wykrycia. Ale – Michale Archaniele! – przez lata mojej posługi jako egzorcysta nauczyłem się wyczuwać takie ślady. Wiedziałem, że tragedia młodego Mazdy może nie być ostatnią. Otworzyłem więc mój zeszyt i rozpocząłem sprawę. Nie sam, rzecz jasna, zwerbowałem pomoc.

W Warszawie miałem trzech uczniów, a dokładniej pisząc, dwa zespoły. Kandydaturę Jerzego Wawelskiego (zwanego „Smokiem”) odrzuciłem dość szybko. Jurek był złotym chłopakiem, mądrym i zaradnym, a w konfrontacji z niebezpiecznymi gośćmi z niewidzialnego świata wręcz niezastąpionym. I właśnie dlatego nie zadzwoniłem do niego. Smok otrzymał od Boga ciut zbyt wiele animuszu i zdolności do dewastacji otoczenia. Jego znajomości z wojska i niebezpieczne (przy tym nielegalne) wyposażenie zazwyczaj oznaczały straty w ludziach i sprzęcie, a przecież nie spodziewałem się aż tak trudnej przeprawy w przeklętym sklepie. Dlatego zadzwoniłem do Warsa i Sawy.

– Agencja detektywistyczna „Wars i Sawa”, zlecenia specjalne – powitał mnie żeński głos. To Agnieszka, złote dziewczę i utalentowana Czująca. – Czym mogę służyć?

– Tu ojciec Jan, moje dziecko – powiedziałem i zapytałem, nieco zdziwiony. – A gdzie Zygmunt? Coś się stało? – Zazwyczaj to Zygmunt Wietrzyk odbierał zgłoszenia i negocjował z klientami.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus... Nic się nie stało, ale odsypia nocną zasadzkę.

– Ech... to właściwie nic ważnego – powiedziałem, bardzo żałując obrotu sytuacji. Praca z Jurkiem nie uśmiechała mi się zbyt.

– Ojciec potrzebuje pomocy? Już skończyliśmy sprawę niewidzialnego dobermana. Kiedy tylko Zygi się obudzi, będziemy gotowi do pracy na większą chwałę Bożą.

Tak nie mogli mi odmówić. Czuję się wręcz winny, ponieważ kilka lat temu Agnieszka zaciągnęła wobec mnie poważny dług, a ja nie dałem okazji do spłaty. Kiedy talent Czującej objawił się w zaskakujący sposób, pilnowałem jej i nauczyłem panować nad niechcianym darem. Potem objąłem też cichy patronat nad ich działalnością detektywistyczną. Zrozumcie, pogromcy niebezpiecznych zjawisk paranormalnych potrzebują osobistych spowiedników. Oczywiście żaden prawdziwy duchowny nie zdradziłby tajemnicy spowiedzi, nawet gdyby usłyszał, że penitent wbił ubranemu na czarno jegomościowi drewniany kołek między żebra, spalił chronioną przez UNESCO świątynię pogańską albo ukradł z zoo żubra (w zbożnym celu; jednak to zbyt długa historia, aby ją tu streszczać). Jednak niejedni natychmiast zadzwoniłby do Tworek po panów w bieli i tak skończyłaby się krucjata detektywów paranormalnych. Ja byłem dyskretny, rozgrzeszałem z dziwacznych przewin (o ile były niezbędne w pracy), a przy tym przejmowałem sprawy, które wykraczały poza zakres niewidzialnego świata.

To, czego nie pojmują zmysły, można podzielić na dwie kategorie – sprawy Boskie, świat dusz, ale i demonów oraz niewidzialny świat, czyli osobliwą sferę pogranicza między rzeczywistością a wiecznością, dziwaczna pozostałość po epoce sprzed przyścia Naszego Pana. Wampiry, pogańskie zjawy i magia żywiołów należały do tej drugiej kategorii. Jeśli zaś niebezpieczny czynnik paranormalny okazywał się demonem lub potępieńcem, sprawę przejmowałem ja, korzystając z wciąż ważnego upoważnienia do egzorcyzmu. Ale tym razem miało być na odwrót – to nie moi uczniowie biegli po pomoc do nauczyciela, ale

asysty potrzebowałem ja. Demony, prorocstwa, kary czyścicowe, wszystko, co chcecie – pomogę wam. Ale żmudne śledztwo, mające na celu wykluczyć naturalne zejście Bartosza, przekraczało możliwości starego mnicha. Poprosiłem Agnieszkę o telefon, kiedy Zygmunt wstanie.

* * *

Mój uczeń również potraktował prośbę poważnie. Około czternastej był już gotów do myślenia i to właśnie zaczął robić. Zebrał potrzebne informacje, po czym pojechał z przyjaciółką do Sadów Żoliborskich. Spotkaliśmy się przed wejściem na plac budowy. Ogrodzony teren przy Towińskiego miał stać się w przyszłości pełnoprawnym centrum handlowym, jednak do końca kwietnia inwestor ukończył i otworzył jedynie hipermarket. Był to sklep międzynarodowej sieci Kerszoł, ponoć tureckiej, choć kiedy widziałem młodego Hansa Kerszoła w telewizji, niebieskooki blondyn nie sprawił na mnie zbyt osmańskiego wrażenia. Być może do Polski posłali najbardziej zasymilowanego członka rodu, kto wie.

Oczywiście sam dyrektor nie zaszczycił nas obecnością. Musieliśmy się zadowolić panem Wawrzyńcem Starskim, kierownikiem sklepu. Gdy brat Grzegorz wysadził mnie na Towińskiego, ujrzałem, jak moi detektywi słuchają wysokiego mężczyzny w pasiastej marynarce. Potem dowiedziałem się, że Agnieszka pokazała kierownikowi fałszywą legitymację zakładu ubezpieczeniowego, dlatego przerażony Starski wręcz ociekał uprzejmością wobec domniemanych kontrolerów. Na szczęście Czująca zdołała go zmusić do rzeczowego zrelacjonowania sprawy i wpuszczenia „ubezpiezczyeli” na teren sklepu. Poczekałem, aż kierownik odjedzie, o ile obecność agentów firmy „G. Naufrage i synowie” można było logicznie uzasadnić, to odwiedziny emerytowanego jezuita na miejscu wypadku już niekoniecznie. Kiedy wreszcie wszedłem do sklepu, zastałem moich podopiecznych przy pracy.

Część sklepu została ogrodzona, choć klientom nie zdradzono prawdziwych przyczyn „remanentu”. Agnieszka i Zygmunt ubrali się w białe kitle sprzedawców działu rybnego, więc i ja taki ubiór narzuciłem na habit. Czującą zastałem za plandeką, wciąż odgradzającą feralny sektor. Stała oparta o filar i szukała śladów interwencji astralnej. Minąłem ją, nie przeszkadzając, po czym znalazłem Zygmunta przesłuchującego personel. Co chwilę głośniki wzywały następnego pracownika, ale detektyw sprawnie selekcjonował świadków. Ostatecznie zatrzymał tylko nadzorcę zmiany technicznej oraz operatora wózka widłowego. Zdał mi krótki raport, aż poczułem się niezręcznie. Nie byłem zwierzchnikiem Warsa i Sawy, a jedynie prosiłem ich o przyjacielską przysługę. Ba, nawet zapłaciłbym im za śledztwo, ale jak podobne zlecenie ująć w fakturze VAT?: „Eksperytaż ws. aktywności astralnej?”, „Kontrola śladów interwencji w niewidzialnym świecie?”. Dzięki Bogu – a także znajomości pewnego afrykańskiego biskupa – mogłem im się odwdziżyć odpustami.

– Mam kopie dokumentacji za ostatni miesiąc – streścił swoje osiągnięcia

detektyw. – Dużo się w tym sklepie zdarzyło rzeczy dziwnych, ale powinny one zainteresować raczej inspekcję pracy niż egzorcystę. Skandal wywołany próbą założenia związku zawodowego i ogłoszenia strajku, szalone nadgodziny, niewiarygodna wydajność personelu... Jeśli wierzyć tym liczbom, należy założyć, że Starski zatrudnia jeszcze kilkanaście osób na czarno. To niemożliwe, aby wyczyścić trzy hektary podłogi w pięć godzin, nawet z wózkiem elektrycznym.

– Może w tym tkwi zagadka? – zapytałem. – Pracownicy korzystali nie tylko z przyrodzonych im sił.

– Sądzi ksiądz, że Starski zawarł pakt z diabłem, aby jego podwładni szybciej machali mopami? – mruknął, nie kryjąc ironii w głosie. Jednak sekundę później wręcz zachwyił się pomysłem. – Bez sensu, ale jakie epickie!

– Zygi... ojczy Janie! – Agnieszka skończyła swoje oględziny i przybiegła do nas, zarumieniona z podniecenia. – Mam! Mam! Silne zaklęcia w całej hali!

Byłem już zupełnie zagubiony. Widziałem jednego trupa, dotkniętego siłą nieczystą, a Agnieszka mówiła o starszej magii niewidzialnego świata. Ponoć niemal cały sklep skrzył wolną mocą, a wedle zapewnień Czującej w pobliżu nie było żadnego węzła, z której mag mógłby pobrać swoją siłę. Zacząłem dopuszczać najgorszy wariant – pakt demoniczny, w celu uzyskania energii. Rzecz rzadka, bo bardzo nieopłacalna. O pracownikach wielkich koncernów mówiono często, że zaprzędali dusze firmie, ale czy ktokolwiek traktował te słowa poważnie? Zresztą szybsze sprzątanie oraz nocne dyżury można było zapewnić łatwiej, niż ryzykując wieczne potępienie. Na przykład zatrudniając na czarno nielegalnych imigrantów, którzy harowali za dwóch, a z przyczyn oczywistych nigdy nie donosili na pracodawców. Jeszcze bardziej skonfundował mnie Zygmunt, proponując własną teorię.

– Jaki pakt? Jaka magia? Myślałem, że to przez tego Błaszczyka...

Świętej pamięci Józef Błaszczyk był poprzednikiem Starskiego. Kierował sklepem od otwarcia aż do połowy lutego, kiedy to zakończył żywot w wypadku samochodowym pod Mławą. Według detektywa, to on był przyczyną wszystkich wypadków, które zaszły w Kerszoł. Jak wynikało z akt i wywiadów, kierownik oraz magazynier nie byli jedynymi ofiarami sklepu. W marcu i kwietniu zmarły jeszcze dwie osoby, o których policji nie powiedziano. Nic dziwnego – byli to pracownicy nielegalni, w oczach Państwa Polskiego nieistniejący. Rodziny zatroszczyły się o ciała, a Starski zapłacił głodowe odszkodowania. Sprawa ucichła i nikt nie skojarzył nieszczęśliwych wypadków z klątwą Błaszczyka, aż do poprzedniego tygodnia. Kiedy ducha wyzionął Bartosz Mazda, niemal wszyscy pracownicy szeptali o zemście z za grobu, którą przeprowadzał poprzedni kierownik. Zygmunt spisał zarys miejskiej legendy, a do dalszego badania zatrzymał tylko nadzorcę Mikoczkę oraz magazyniera Akyüza.

Usiedliśmy w kawiarni na handlowej galerii. Pracownicy sklepu pili niepewnie mrożoną kawę, a moi uczniowie prowadzili poważne przesłuchanie. Wciąż udawali radców z kompanii ubezpieczeniowej, a widok mojego habitu sugerował dwóm biedakom, że nie mają do czynienia z prawnikami. Oczywiście przyjęli to odkrycie z ulgą. Zygmunt odgrywał złego policjanta, a Agnieszka anioła

miłosierdzia oddelegowanego do pomocy zagubionym ofiarom kapitalizmu postkomunistycznego.



– Ale niech panowie się nie denerwują. Nie zrobiliście nic złego... – zapewniała, kiedy jej partner rył ołówkiem w notesie. Wbrew pozorom, nie sporządzał kompromitujących notatek, a jedynie rysował wilki, czołgi oraz wieloryby, czego jednak przesłuchiwanie nie wiedzieli. Co chwilę mierzył wzrokiem starszego Polaka oraz młodego Turka i z jeszcze złośliwszą miną wykańczał cieniowanie kaszalota. Tylko od czasu do czasu rzucał złośliwe pytanie.

– Albo pan, Mikoczko, fałszuje te dane, albo tutejszy personel pracuje zbyt szybko. Jak dwóch ludzi zmyło całą podłogę?

– Nie jesteśmy z urzędu imigracyjnego – wtrąciła Agnieszka. – Ani nie szukamy narkotyków – dodała, myśląc o jedynej w pełni racjonalnej odpowiedzi na niezwykle wyczyny konserwatorów powierzchni płaskich.

– Albo trzynasty kwietnia... Ponoć dwójka dyżurnych wniosła do magazynu łącznie cztery tony detergentów.

– Krzepę mają, chłopaki... – nieśmiało mruknął Mikoczko.

– To były kobiety, w tym jedna z trzecią grupą inwalidztwa!

– To Starski! – jęknął nadzorca. – Ja chciałem zatrudnić tych chłopaków

z Białorusi, ale nie dostalibyśmy zwrotów z Ministerstwa Zdrowia.

– Panie Szefie... – szepnął Kemar ponuro – i tak się dowiedzą. Ten zakonnik jest hiszpańskim inkwizytorem.

– *No! No! Eso no es verdad!* – odparłem dobrodusznie, czym omal nie wywołałem u zdrowego dwudziestolatka zawału serca.

– Czego się dowiemy? – zapytał groźnie Zygmunt.

– Jak możemy wam pomóc? – dodała Agnieszka.

Dwaj pracownicy zaczęli mówić jeden przez drugiego, patrząc na Czującą, unikając spojrzenia detektywa i udając, że siedzący z nimi zakonnik nie istnieje. Zygmunt przestał rysować wilki i wieloryby, ale nie rozpoczął notatek – włączył jedynie dyktafon. Och, lenistwo było poważną wadą mojego podopiecznego, wystawiającą go na pokuszenie wielu grzechów. Na szczęście umysł detektywa nie próżnował.

– Chwileczkę... – przerwał chaotyczne wyznania. – To znaczy, że wiedzieliście, że wasz szef używa magii do wzmacniania pracowników. I nikt przeciwko temu nie protestował?

– Ależ protestował! – zauważył Akyüz. – Pan Cezary to nawet chciał założyć związek zawodny... to jest zawodowy, ale go Błaszczyk wyrzucił.

– To czary zaczęły się za poprzedniego kierownika?

– No... tak. On to był magik i bluźnierca – zapewnił Mikoczko. – Ja nie chciałem mieć z tym nic wspólnego, tylko zatrudnić kogoś na czarno – dodał na usprawiedliwienie.

– Ale Błaszczyk zginął, a wy nadal wyrabiacie po trzysta procent normy, jak przodownicy pracy – zauważył Zygmunt. – Czy pan Starski odprawia plugawe obrzędy? Widzieliście go z księgami czarów?

W tym momencie musiałem przerwać wywiad, obawiając się rezultatów. Mój widok wyraźnie dekoncentrował pracowników, zwłaszcza Turka. Młodzik miał głowę wypchaną różnymi niesprawiedliwymi osądami na temat katolicyzmu, zakonów i inkwizycji w szczególności i choć – z przyczyn czysto technicznych – do Świętego Oficjum przynależeć nie mogłem, postanowiłem zachowywać się jak doświadczony inkwizytor. W tym przypadku – opuścić przesłuchanie, ponieważ pracownicy Kerszoł byli w stanie zeznać wszystko (włącznie z tym, że ich pryncypał oddaje się na zapleczu diabolicom), byle tylko uwolnić się od mojej obecności. Pobłogosławiłem biedaków i ruszyłem na przechadzkę po terenie budowy. Odkryłem tam kilka niepokojących znaków, ale nie uprzedzajmy faktów.

Moi podopieczni zakończyli badanie przed siódmą. Odwieźli mnie na Rakowiecką, streszczając nowo zdobyte informacje. Dokładniej pisząc, mówił Zygmunt, a Agnieszka kierowała. Gdyby było na odwrót, mógłbym nie dojechać żywy do domu zakonnego. Detektyw wlepił wzrok w ozdobione rysunkami notatki i z podnieceniem tłumaczył.

– Wiemy już niemal wszystko, proszę ojca. Błaszczyk był magiem, a w każdym razie eksperymentował z Mocą na własną rękę. Jutro przeszukamy jego mieszkanie, to znaczy zrobimy to, jeśli da nam ojciec dyspensę. A potem

poszukamy zaklęć w hali sklepowej. Te wypadki to smutna sprawa, ale nie doszukiwałbym się wpływów Złego. Kierownik po prostu poutykał w hipermarkecie czary, które ułatwiały podwładnym pracę, po czym zszedł, nie informując nikogo o tym przedsięwzięciu. Starski jest niewinny, przynajmniej w tej sprawie. Choć, kiedy afera przycichnie, możemy na niego donieść do inspekcji pracy. Gdyby Bartosz Mazda został wyposażony w kask i uprząż wspinaczkową, miałby szanse przeżyć wypadek. Poza tym dyrekcja sklepu przestrzega prawa pracy, jak... nie przymierzając, Agnes przepisów ruchu drogowego.

– Wypraszam sobie! – jęknęła mistrzyni kierownicy, wymuszając pierwszeństwo na straży pożarnej. Na szczęście wóz nie jechał na sygnale.

Zygmunt był z przekonania wolnorynkowcem, więc jeśli on pochylał się nad dolą pracowników, oznaczało to, że Starski terroryzuje podwładnych do granic podłości. Jednak naprawianie niesprawiedliwości tego świata nie było naszym celem – mieliśmy rozwiązać zagadkę. Szybko ustaliliśmy zadania na następny dzień. Agnieszka miała skatalogować i w miarę możliwości rozbroić zaklęcia w sklepie Kerszoł, a Zygmunt wybierał się na włam do mieszkania świętej pamięci Błaszczyka. Ja postanowiłem się za nich modlić. W intencji odkrycia prawdy, rzecz jasna, ponieważ *prawda was wyzwoli*. Nie zamierzałem bezpośrednio błogosławić włamania dokonanego przez mojego ucznia, ale cieszyłem się ze spodziewanych rezultatów. Tak, jak mówi Pismo: *gdzie jednak wzmógł się grzech, tam jeszcze obficiej rozlała się łaska*.

* * *

Ja swoje zadanie spełniłem na medal, zanosząc modły do Pana o pomyślność dla moich przyjaciół, to oni pokpili sprawę. Pierwszy zadzwonił Zygmunt. Mówił szybko, niewyraźnie, a gdzieś w tle wyły syreny policyjne. Na szczęście niejechały po niego, choć mogły. Detektyw dostał się do mieszkania Błaszczyka, przegrał zawartość dysku nieboszczyka, a na dodatek obfotografował zapieczętowany przez policję (i wciąż niezagospodarowany przez daleką rodzinę) pokój. Kiedy tylko zrozumiał, co znalazł, opuścił przekłete progi. Dokładniej pisząc, przekłete parapety, bo Zygmunt rzucił się szczupakiem z okna, przeleciał dwie kondygnacje w dół i wylądował na klombie. Przy okazji moja rada na dziś: uczcie się dzieci biologii, ponieważ to, co mój podopieczny wziął za młody bez, było krzakiem róży.

Obolały i przerażony, złożył mi raport. Wysłuchałem go spokojnie, gasząc zbędny ogień. Zygmunt nie musiał uciekać, a nawet jeśli wyjście z mieszkania było wskazane, mógł użyć drzwi. O ile dobrze odczytałem przesłane internetem zdjęcia (jak mówiłem, wymysł szatana, za to piekielnie przydatny), Błaszczyk zgromadził odpisy z *Necronomiconu*, *Liber Demonorum* oraz *Servae Invisibiles* oraz źródła internetowe, plugawe i bluźniercze przez samą swoją nieskładność gramatyczną. Rytuał przekazania rozpoznałem z widocznych na zdjęciach fragmentów. Cóż, sprawa okazała się trudniejsza, niż myślałem. Przykazałem

Zygmuntowi znaleźć Agnieszkę, zakazać jej samodzielnego działania. Potem oboje mieli na mnie czekać w sklepie. Ja poprosiłem brata Grzegorza o kurs na Marymont.

Historię ostatniego skandalu inkwizycyjnego Pierwszej Rzeczypospolitej zapamiętałem przez przypadek. Musiałem jednak odświeżyć informację oraz przyrzeć się dokumentom. Pisać do Rzymu nie było czasu, rozpocząć oficjalnej procedury egzorcystrycznej też nie, więc pokornie przyjąłem krzyż obowiązku na barki (swoje i Grzegorza). Szybko dotarliśmy do parafii Matki Boskiej Królowej Polski, a tam wywarliśmy na dyżurującej na plebanii gospodyni takie wrażenie, że dopuściła nas do archiwum bez dzwonięcia po księdza proboszcza. Właśnie o to mi chodziło: załatwienie dyskretnej sprawy szybko i bez rozgłosu.

Odpowiednie zapiski z 1694 roku znaleźliśmy szybko, w najstarszej skrzyni. Skandal, o którym szukałem wiedzy, zdarzył się na długo przed przybyciem tu marianów. Latem dziewięćdziesiątego czwartego wciąż trwały prace przy pałacyku Sobieskich. Król, już poważnie schorowany, przebywał głównie w Wilanowie, ale królowa oraz księżniczka Teresa często nocowały w nowo zakupionym folwarku. Był to zupełnie dziki i odległy od miasta kawałek ziemi, bardzo ukochany przez kobiety z rodu Sobieskich. Sam skandal wiązał się z dochodzeniem inkwizycyjnym, na którym miała (ponoć) złożyć zeznania sama księżniczka Teresa, będąca świadkiem kilku gorszących scen. Oczywiście ojciec, słysząc niestworzone historie, zmusił miejscowego proboszcza do odesłania przysłanych z Gniezna inkwizytorów (faktycznie tylko wyznaczonych przez prymasa legatów; formalnie w Koronie inkwizycji nie było od końca szesnastego wieku) i wymusił przerwanie dochodzenia. Dlatego nigdy nie ustalono, na ile pogłoski o kulcie szatana w lasach między Olszyną a Pólkowem (obecnie Park Olszyna i Sady Żoliborskie) były prawdziwe. Naniósłem lokację z dawnej mapy na współczesny plan – jeśli nie pomyliłem się w obsłudze piekielnego laptopa, opisane w dokumentach parafialnych uroczysko znajdowało się w bezpośredniej okolicy placu budowy na Towińskiego.

Podziękowaliśmy serdecznie gospodyni i taktownie opuściliśmy parafię przed powrotem proboszcza. Poprosiłem Grzegorza o jeszcze jedną przysługę – zabrał mnie do hipermarketu. Chciałem tylko rozejrzeć się, przekonać dyrekcję o potrzebie zamknięcia obiektu i przygotowania go do egzorcyzmu. Jednak, jak się okazało, działałem zbyt wolno. Gdy dotarłem na miejsce o dziewiętnastej, katastrofa paliła się już jasnym płomieniem. Zobaczyliśmy tłumy ludzi wybiegające z hali i przerażonych ochroniarzy, którzy ni to kierowali uciekinierów, ni to sami chcieli jak najszybciej opuścić przeklętą halę. Zachodzące słońce zasłoniły chmury, wiał zimny wiatr wznoszący w powietrze piach i pyły z budowy. Ale natura okazywała tylko zaniepokojenie chaosem wewnątrz hipermarketu.

– Uwaga! Uwaga! Serdecznie prosimy wszystkich klientów o opuszczenie naszego sklepu – wołał przez megafon Starski. – W wyniku awarii układu elektrycznego, hala stała się niebezpieczna dla życia i zdrowia.

Cóż, awarii elektryki też się doczekali, była to tylko wisienka na torcie

zniszczenia. Szyby i pleksiglasowe ściany przy wejściu były stłuczone albo popękane, a ostatni klienci opuszczali budynek z krzykiem. Co gorsza – wrzeszczeli i uchodzili także szabrownicy, których zwabił komunikat o ewakuacji sklepu, a przeraził widok samego zdarzenia. Gdzieś ze środka dobiegały nagrania chórów gregoriańskich, z ledwością przebijające się przez wycie samochodowych alarmów. Widząc to, Grzegorz zrozumiał, że żarty się skończyły. Podał mi kropidło i krucyfiks. Wkroczyliśmy i z trudem zachowaliśmy zdrowe zmysły. To, co działo się w środku hali, nie miało najmniejszego sensu.

* * *

Aby zaoszczędzić wam długich chwil zagubienia, streszczę tu opowieść Agnieszki i Zygmunta. Sam w pierwsze relacje moich podopiecznych nie uwierzyłem i musiałem obejrzeć nagrania kamer przemysłowych. Ale nie dziwcie się – zastany przeze mnie widok był dość nietypowy i niełatwy do logicznego uzasadnienia. Czująca przybyła do hipermarketu wczesnym popołudniem, zupełnie nieświadoma zagrożeń. Przebrała się w czerwony fartuch obsługi sklepu i chwyciła za magnetyczny znacznik cen. Zamaskowana w ten sposób zaczęła metodycznie przeszukiwać astralne podłoże hali. Bez trudu znalazła kilkanaście śladów silnych zaklęć – pozostałości po niedozwolonym dopingowaniu pracowników. Jednak żadna z resztek nie była na tyle silna, aby grozić wypadkiem. Ot, były to niedopalone szczapy po ognisku, nie dość wielkie do zaprószenia kolejnego ognia. Kemar Akyüz asystował Czującej, podnosił ją na ramieniu wózka, przesuwiał drabinę oraz rytualnie zawodził ze strachu, dzięki czemu dziewczyna czuła się znacznie odważniejsza niż w rzeczywistości. Niestety, tę sielankę zepsuł Zygmunt.

Zzajany detektyw wpadł do sklepu tuż po osiemnastej. Był już przeze mnie ostrzeżony, a po niedawnym spotkaniu z kilkoma zakazanymi książkami balansował na krawędzi paniki. Widząc kilkuset ludzi beztrąsko buszujących między półkami oraz przyjaciółkę, mimo kłątwy wchodzącą na wysoką drabinę, tę granicę przekroczył.

– Agnes, złaż! – zawołał, po czym rzucił się w poszukiwaniu Starskiego. – Musi pan ewakuować sklep! Ma pan w hali demona!

– Synu, poczekaj chwilę, o dwudziestej pierwszej zamykamy – odpadł niewzruszony menedżer. Po czym dodał podejrzliwie. – Jakiego demona? Mam nadzieję, że od nich też jestem ubezpieczony.

Zygmunt chciał dobrze, ale wyszło jak zwykle. Postanowił działać na własną rękę, w najprostszy z możliwych sposobów. Pobiegł do stoiska ze sprzętem audio i terroryzując obsługę fałszywym patentem prawniczym, zmusił ich do podłączenia jednego z odtwarzaczy do systemu głośników. Potem wybrał z szerokiego repertuaru stoiska jedyną pozycję mogącą zadziałać na diabła – francuskie wykonanie chorałów gregoriańskich. Kiedy pobożne dźwięki popłynęły w powietrze sklepu, rozpętało się piekło.

Zrozumcie mnie dobrze – modlitwa, zwłaszcza śpiewana, ma potężną moc, ale

ważna jest wiara śpiewającego, a nie walory artystyczne pieśni (choć z powodu ich braku Pan też potrafi się zdenerwować). Puszczony z płyty chorał nie był dość silny, aby zaszkodzić demonowi, ale wystarczył, aby doprowadzić go do skrajnej paniki. Zły duch, przekonany, że zaraz wyegzorcyzmuje go dwunastu mnichów z Cluny, zaatakował z furją. Na pierwszy (piekielny!) ogień poszła instalacja elektryczna – nagle niemal wszystkie żarówki, świetlówki i diody w hipermarkecie wybuchły w efektownym spięciu. Dodajmy, że odtwarzacz Zygmunta był podłączony do drugiej, awaryjnej linii, więc prócz fontann iskier, szklanych odłamków oraz paniki zły duch nie osiągnął wiele. Ale z samej paniki już mógłby być dumny.

– Co tam się dzieje, do diabła!? – ryczał Starski do krótkofalówki.

– Właśnie, do diabła! – odparł Zygmunt. – Niech pan ewakuuje...

Akurat dodatkowe zachęty nie były już konieczne. Tłum klientów ruszył na wszystkie strony – nie tylko do wyjść, ale i w miejsca, które wskazały im irracjonalne odruchy. Detektyw chwycił z działu z książkami Biblię (jak się okazało ilustrowaną, dla dzieci) i zaczął się przedzierać przez spanikowaną żywą masę, ku Agnieszce. Po drodze natknął się na Kemara, kurczowo wczepionego w kierownicę wózka widłowego. „Jedź!” – wrzasnął Zygmunt. „Ludzie!” – odparł Turek, na co detektyw krzyknął na całe gardło: „Pomocy!”, zakłęcie, które potrafi odstraszyć każdego. Ruszyli wzdłuż głównej alejki, po chwili wyjeżdżając z tłumu. Hala sklepu była zbyt wielka, aby doszło do prawdziwego tratowania. Klienci wydostawali się przez wyjścia ewakuacyjne, kasy oraz inne przejścia (jak ustaliła później policja, dwanaście osób zatrzasnęło się w chłodni, ale uwolniono ich na czas), więc samozwańczy egzorcyci jechali niemal pustą drogą. Kilka wciąż działających żarówek mrugało we wszystkich kolorach tęczy, wypełniając wewnątrz blaskiem trupiej dyskoteki. Cyfrowi mnisi śpiewali, a Agnieszka krzyczała.

Wokół Czującej owinął się splot drutów i siatek, pozostałości z rozbitych półek. Choć Zygmunt nie miał za grosz zdolności magicznych, czuł, że jego przyjaciółka ze wszelkich sił powstrzymuje niewidoczną siłę, ale jest zbyt słaba, aby zatrzymać aluminiową klatkę. Detektyw niemal wjechał w iskrzący wrak, blokując część prętów nośnymi widłami wózka. Zeskoczył z pojazdu i krzyknął do Kemara.

– Podnoś! Przyniosę dźwignię!

I ruszył w kierunku działu motoryzacyjnego, rozpaczliwie szukając odpowiedniego przedmiotu. Podbiegł wpierw do stalowej kolumny podtrzymującej sufit, ale szybko zrozumiał, że ludzkimi siłami jej nie ruszy. Potem pojął, że może liczyć nie tylko na moc własnych mięśni. Odpalił kłada, spinając go na krótko (z zastanawiającą sprawnością; przy najbliższej spowiedzi muszę się go wypytać o tę niezwykłą umiejętność) i ruszył turystycznym pojazdem wprost na metalową podporę. Oczywiście metal, z którego zrobiona była kolumna, wytrzymał uderzenie, ale mocowanie do podłogi i sufitu już nie. Siedmiometrowa rura upadła na ziemię, wzbudzając kolejną dawkę piekielnego huk, po czym została zaprzęgnięta do kłada. Zygmunt doholował filar do

uwięzionej przyjaciółki, po czym dość rozpaczliwie zaczął go podkładać pod kurczącą się klatkę. Kemar opuścił widły wózka (splątane nad Agnieszką druty zacisnęły się jeszcze bardziej, ale nie mieli wyjścia), potem podniósł rurę. W ten sposób ramię zyskiwało punkt oparcia.

– Agnes! Dźwignia! – krzyknął Zygmunt.

Chwycił kłada, aby jeszcze obciążyć przeciwwagę, a Czująca skupiła całą moc na maszynie i człowieku. Pojazd podniósł się na kilka metrów wzwyż, po czym opadł na kraniec kolumny. Filar zatrzeszczał, ale spełnił swoją rolę – przeciwległy koniec odgiął gąszcz prętów, otwierając drogę Agnieszce. Ale demon nie dał za wygraną – nacisnął mocniej, choć sekundę zbyt późno. Czująca przecisnęła się przez kraty pułapki, za to uniku nie wykonał filar. Jeden koniec kolumny został wciśnięty w podłogę, a drugi wyskoczył w górę – razem z kładem i Zygmuntem. Cóż, warto pamiętać, że nawet w niewidzialnym świecie obowiązują podstawowe prawa fizyki. Mój podopieczny wystrzelił jak z katapulty ku sufitowi. Na wysokości pięciu metrów opuścił kadr kamer przemysłowych, ale śledziłem jego podróż dzięki uprzejmości pewnego odważnego klienta, który nie uciekł, ale nagrywał dramat za pomocą kamery w telefonie.

Machając wszystkimi kończynami jak bezbronny kociak, Zygmunt doleciał pod powałę, gdzie odruch bezwarunkowy nakazał mu znaleźć oparcie. Detektyw przywarł do poprzecznej belki na suficie i zawisł jak leniwiec. Z perspektywy czasu oceniłem, że zrobił mądrze – inaczej czekałaby go siedmiometrowa droga w dół.

– Zysi! Trzymaj się – słusznie (acz niezbyt odkrywczco) poradziła mu Agnieszka.

– W samochodzie... w bagażniku... mam wodę święconą! – krzyknął z sufitu detektyw.

– Kemar, biegnij. – Czująca rzuciła Turkowi klucz. – Ja zajmę demona.

Była to deklaracja bardzo odważna i wygłoszona na wyrost. Zły duch bez problemu zajął się jednoczesnym polowaniem na Agnieszkę oraz rzucaniem ciężkich obiektów w górę, z zamiarem strącenia Zygmunta. Moc demona nie może się równać z siłą żadnego czującego. Oczywiście złego ducha można łatwo spętać i odegnąć egzorcyzmem, ale jeśli ktoś chciałby się siłować z diabłem według jego zasad, a nie korzystając z Boskiej pomocy, z pewnością przegra. Jednak przegrywać można szybko i powoli. Agnieszce się nie spieszyło. W hali hipermakeru stało jeszcze wiele prostych półek, leżały setki niestłuczonych słoików i ogólnie – sporo pozostało do zniszczenia. W dodatku chorał gregoriański nie ułatwiał złemu działania. Demon wciąż wierzył, że w każdej sekundzie grozi mu klasyczny egzorcyzm. Czująca dziwiła się, czemu czort nie uciekał. Może nie mógł, był związany z miejscem?

– Agnes, uciekaj! Sprowadź ojca Jana! – krzyczał z sufitu Zygmunt.

Detektyw musiał czuć się wyjątkowo podle, jako że w żaden sposób nie mógł pomóc przyjaciółce. Wszystkie siły przeznaczał na utrzymanie chwytu, a bez swojej torby z zestawem „detektyw-okultysta” pozostawał bezbronny. Co chwilę tylko jęczał, kiedy ciężka puszka uderzała go w plecy. Wreszcie dołączył do chóru mnichów. To zdecydowanie zmieniło sytuację nadprzyrodzonego pola bitwy.

Słyszając żywą i szczerą modlitwę, czort nie tylko się bał – on cierpiał. Dlatego skupił swoje niszczycielskie moce na uwieszonym pod powalą natręcie.

– *Miserere nobis...* – śpiewał detektyw, wtedy zauważył kątem oka nowe poruszenie w pandemonium na dole. – Agnes! uciekaAAAAAJ! – jęknął, kiedy w belkę tuż obok jego dłoni wbił się sekator. Narzędzie zostało pchnięte z taką mocą, że zagłębiło się w metal na dwa centymetry. Tuż za nożycami leciał ku jego palcom zaostrzony szpadel...

Nigdy nie miałem specjalnego wyczucia heroizmu, przybywanie z odsieczą w ostatniej chwili przychodziło mi samo. Właśnie wtedy wkroczyłem do hali, prawą dłonią sięgając po krucyfiks, a lewą łapiąc portfel, wyciągany przez przestraszonego, ale wciąż sumiennego kieszonkowca.

– *Vade retro satana!* – krzyknąłem, zatrzymując pędzącą łopatę dwa metry od Zygmunta. – Stań do walki z mężem bożym! – rozkazałem demonowi i pożałowałem tego sekundę później.

W wieku lat osiemdziesięciu pięciu ciężko zachować młodzieńczą kondycję, więc nie uniknąłem lecącej ku mnie kasy fiskalnej. Jęknąłem, odbijając maszynę szatana lewą ręką (kątem oka zauważyłem, że powaliła ona pechowego kieszonkowca), a prawą wznosząc krzyż. Agnieszka działała szybciej, niż ja myślałem. Chwyciła mocą pleksiglasową osłonę do prysznicza i osłoniła mnie przed gradem ostrych pocisków. A ja ruszyłem przez halę, wprost ku jądro ciemności. Mimo deszczu towarów, dotarłem do strzaskanych lodówek na ryby. To tam, gdzieś niżej leżał zasypany, bluźnierczy symbol. Rozpocząłem modlitwy, a chwilę później dołączyli do mnie Grzegorz oraz Kemar – młodzieńcy przynieśli kropielnicę, księgi i inne niezbędne akcesoria. Turek wyczuł, że nie przyda się na wiele przy katolickim obrzędzie, ale bynajmniej nie zamierzał uciekać. Ruszył ku galerijce, a dokładniej pisząc, ku fast-foodowej kebabiarni. Zza lady wyciągnął dwa wielki noże rzeźnicze i tak uzbrojony wrócił, aby nas osłaniać. A było od czego.

Grzegorz wyrysował na podłodze krąg ochronny, ale temu zabezpieczeniu nie mogliśmy ufać. Po pierwsze, szkic powstał przy użyciu zabranej z działu kosmetycznego szminki. Po drugie, demon przyzwał już piekielnych pomocników. Byli to magiczni słudzy czorta. Infernalne istoty mogły na krótki czas animować każdy obiekt, który był choć w zarysach antropomorficzny. Z tekturową panienką promocyjną poradziła sobie Agnieszka, ale kolejne golemy stanowiły już poważniejszy problem. Nie śmieście się – poruszana siłą piekielną kukła jest śmiertelnie niebezpieczna, nawet jeśli wygląda jak wielki pluszowy miś. Ze stosika z zabawkami człapały ku nam cztery ponadmetrowe pluszaki. Nad ich głowami unosił się siarkowy dym, a oczka z guzików świeciły nieludzkim blaskiem. Na szczęście Kemar dotarł na czas. Błyskawicznie dwa noże do kebabu (potem wspierane również siekierą Agnieszki) poszatkowały przekłute golemy. W ostatniego Czująca cisnęła butelkę rozpałki do grilla, a potem przywołała żywioł ognia.

– Agnes! Więcej! – wrzasnął z sufitu Zygmunt. Z początku myślałem, że odstawiony na boczny tor młodzian domaga się atrakcji, ale szybko zrozumiałem

jego genialny pomysł. – Ogień! Wywołaj alarm przeciwpożarowy.

Resztką sił Czująca wyrzuciła w powietrze odciętą łapkę misia oraz drugą butelkę rozpałki. Wystarczyła iskra, aby pod samym sufitem (na szczęście w pewnej odległości od detektywa) zapłonęła kula ognia. Systemy awaryjne budynku nie mogły zignorować takiej prowokacji. Nagle z blaszanego nieba spłynął deszcz. Zraszacze wypłuły legion kropeł, a ja właśnie na to czekałem.

– *Wszechmogący wieczny Boże, wszystko co istnieje pochodzi od Ciebie. Pobłogosław tę wodę, którą będziemy pokropieni jako znak nowego życia i oczyszczenia z grzechów. Ufni w Twoje miłosierdzie, błagamy Cię: odpuść nam nasze grzechy, abyśmy z czystym sercem mogli Ci służyć. A gdy choroba lub inne niebezpieczeństwa i zakusy złego ducha będą nam zagrażać, niech nas chroni Twoja opieka. Prosimy Cię o to, przez Chrystusa Pana naszego. Amen* – wyszeptalem tak prędko i niewyraźnie, że gdyby nie wyjątkowe okoliczności, sam bym zaproponował biskupowi, aby mnie suspensował. Ale Bóg nie opuścił swoich sług w potrzebie. W ułamku sekundy woda z systemu przeciwpożarowego stała się wodą święconą. Jak zapewne się domyślicie, demon nie był zachwycony.

W akompaniamencie piekielnego wycia razem z Grzegorzem spokojnie dokończyłem ryt egzorcyzmu. Podłoga pod lodówką rybną zapadła się i zanim zraszacze wypuściły ostatnią kroplę, czort został odesłany w piekielną czeluść. A potem nastąpiły syreny straży pożarnej, nieludzkie lamenty kierownika Starskiego oraz uprzejme, ale natarczywe prośby Zygmunta, aby ktoś zdjął go z sufitu.

* * *

W kwadrans nie zdołałem nawrócić Kemara na Świętą Wiarę, ale chłopak dobrze rokuje na przyszłość. Siedzieliśmy przed halą hipermarketu, patrząc na strażaków oraz policjantów wbiegających i wybiegających ze zdemolowanego wnętrza. Po chwili dotarli do nas detektywi, już przebrani i opatrzeni. Agnieszka z dumą nosiła wielki plaster na czole (pamiątka po puszcze konserw), a Zygmunt wciąż nie mógł zgiąć zastygłych w skurczu rąk. Jednak oboje byli żywi i podnieceni, na raz tłumacząc zawiłości śledztwa.

– Proszę ojca! My już wiemy! – gorączkowo mówiła Czująca. – To wszystko ceny... no i Błaszczyk. To znaczy...

– Może ja streszczę? – zaproponował Zygmunt, a detektywka skinęła głową. – Poprzedni kierownik sklepu dobił targu z demonem. Ale – skubaniec – nie obiecał swojej duszy, a jedynie sianie diabelskiego spustoszenia wśród klientów. Na losowo wybranych produktach odciskał nową cenę, zazwyczaj sześćdziesiąt sześć złotych i sześć groszy, czasem sześć złotych, sześćdziesiąt sześć groszy lub inne, zawierające liczbę bestii. Zdarzało mu się też własnoręcznie malować satanistyczne loga na opakowaniach. Wpuszczał do magazynów szczury z cementarza, a wędliny zraszał krwią miesięczną... dalsze śledztwo wykaże, skąd brał ów towar. W zamian za te bluźniercze praktyki, czort wspierał jego nieświadomych niczego podwładnych i pozwalał im wypracowywać bez

znużenia takie nadgodziny, o jakich się nie śniło twórcom kodeksu pracy. Tyle, że Błaszczuk po pijaku rozbił samochód i zginął.

– Ale układ był wciąż ważny! – dodała Agnieszka. – Czort uznał, że Starski kontynuuje pakt, więc wciąż pomagał pracownikom sklepu. Jednak, gdy znudziło mu się oczekiwanie na wypłatę, sam przystąpił do windykacji... Zaczął wywoływać wypadki, które pochłonęły łącznie trzy ofiary śmiertelne, włącznie z biednym Bartoszem. A Zygi odkrył, że demon już raz zawarł pakt w tej okolicy...

– W roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym czwartym. Ze służką księżniczki Teresy Sobieskiej – odparłem. – Dzieci, ja też umiem czytać książki. Owa biedna czarownica została tutaj pochowana, oczywiście bez chrześcijańskiego pogrzebu. Dlatego czort był uwiązany do jednego miejsca, pech chciał, że od czasu wybudowania hipermarketu, dość ucieszczanego. Ale nie martwcie się, zły został już odpędzony.

– Tak. – Czująca uśmiechnęła się promiennie. – Dobrze, że ojciec wygonił starego demona, tak wspaniale przeprowadzonym egzorcyzmem.

– Rozumiesz, Kemar? – zapytałem Turka. Miałem nadzieję, że bisurman, widząc Moc Pana, nawróci się na ścieżkę Prawdziwej Wiary. – Jaki z dzisiejszych wydarzeń morał płynie?

– Trzeba uważać na promocje, efendi.

X. PANI PUSTYNI

3 września, Muzeum Archeologiczne w Mosulu

Firas Makshi był dobrym człowiekiem i sumiennym strażnikiem muzealnym. To znaczy w okropnych czasach Inwazji sprzedał wojskom sprzymierzonym kilka eksponatów z wykopalisk Niniwy, ale nie czuł z tego powodu wyrzutów sumienia. Gdyby nie oddał tych zwojów w dobre ręce paserów, bezcenne zabytki zwierzałyby i zmarniały w opuszczonych stacjach wydobywczych. Potem, kiedy życie w Iraku wróciło do normy, on dostał na powrót stałą pracę w muzeum, zaprzestał szabrownictwa i stał się pilnym strażnikiem narodowego bogactwa – tak jak wielu dawnych złodziei. A jeżeli już musimy szukać w charakterze Firasa wad, za taką może posłużyć jego niezmierna miłość do hokeja. Jako że uprawianie najszlachetniejszego ze sportów zimowych nie należy w Iraku do łatwych, stójkowy nie przepuszczał żadnej okazji, aby obejrzyć zmagania amerykańskiej NHL. Tak było i tej nocy, gdy podczas nudnej służby usiadł z przenośnym telewizorem i dekoderm satelitarnym przy sarkofagu Burmsztupa Wielkiego i podziwiał kunszt drużyny Canucks. Niestety jedenaście godzin różnicy między Irakiem a Vancouver zmuszało strażnika do przeżywania swojego hobby podczas warty. Dlatego Firas nie zauważył pierwszych oznak napadu.

Kiedy strażnik obserwował lodowe boisko na siedmiocalowym tablecie, system alarmowy północnego skrzydła muzeum odmówił posłuszeństwa. Kontrolki zgasły, a gdyby stójkowy spojrzął na ekran komputera sterującego, ze zdziwieniem dostrzegłby, że użytkownik sieci, podający się za gubernatora prowincji, zarządził przeniesienie jednego z bezcennych obiektów. Przez okno, w ciemność korytarza wślizgnęły się trzy ciemne postaci, odziane w luźne, zrobione srebrnym haftem szaty. Można by wziąć ich za starożytnych, babilońskich magów, gdyby nie nałożone na głowy gogle noktowizyjne oraz trzymane w dłoniach tłumione pistolety maszynowe. Poruszali się bezgłośnie, gestykułując w tajnym systemie. Ruszyli ku sali okresu przedasyryjskiego, gdzie spoczywały pamiątki po ostatnich władcach niezależnego Międzyrzecza.

Jeden z napastników zatrzymał się przed ekspozycją Burmsztupa, schował automat i wyciągnął z torby pistolet pneumatyczny. Cicho podszedł do pogrążonego w marzeniach o Kanadzie strażnika i wycelował w niego broń usypiającą. Firas nie był człowiekiem zbyt spostrzegawczym. Tylko przez przypadek wybrał tę chwilę, aby spojrzeć w bok.

Jęknął i próbował zejść z linii ognia, ale strzałka pognała w kierunku jego piersi. Stójkowy jęknął i osunął się na posadzkę, upuszczając przenośny tablet telewizyjny. Gdy znieruchomiał, czarny napastnik schował pistolet i ruszył ku

towarzyszom. Nowocześnie uzbrojony mag też nie należał do osób bardzo spostrzegawczych albo noktowizyjne gogle nie pozwoliły mu dostrzec wszystkich szczegółów. Otóż strzałka z usypiaczem nie wbiła się w ramię Firasa, ale w obudowę wyświetlacza. Strażnik padł na ziemię, po części sparaliżowany strachem, po części kierowany instynktem. Oddychał płytko około minuty, po czym sięgnął do kieszeni. Alarm wypełnił przestrzeń sali.

Trzej intruzi nie spanikowali, a jedynie przyspieszyli działanie. Widząc, że kamuflaż jest już zbędny, jeden z nich przesunął serią strzałów po wiszącej na ścianie gablocie. Ciężkie szkło wytrzymało pociski, ale popękało i rozpadło się na części po ciosie zamaskowanej pięści. Strzelec chwycił eksponat, dał sygnał kamratom i już kilka sekund później cała trójka biegła ku wyważonemu oknu. Na swoje nieszczęście Firas odzyskał panowanie nad sobą, a zawodowa duma pchała go do działania. Podniósł berrettę ku uciekającym sylwetkom i osiem razy nacisnął na spust. Wypaliły wszystkie pociski, ale przedtem sam poczuł trafienie w ramię – tym razem zwykłą kulą.

Drugi z zamaskowanych napastników strzelił tylko raz, ale trafił dokładnie tam, gdzie zamierzał. Nabój unieruchomił rękę strażnika, a jego samego posłał znów na podłogę. A trzech magów biegło ku wyłomowi w oknie. Nawet otwarte drzwi na hol i widok pięciu amerykańskich marines nie zwolnił ich. Żołnierze otworzyli ogień, a trzech czarnych złodziejasków rozpoczęło tajemny taniec. Postronny obserwator uznałby, że szaleńcy unikają kul. To nie była prawda – napastnicy ruszali się szybko, ale nie tak szybko, aby przekroczyć granice ludzkiego organizmu. Za to wciąż biegli, myśląc przeciwnika i w każdej sekundzie wystawiając na ostrzał jak najmniejszy zarys ciała. Analiza taśm bezpieczeństwa wykazała wręcz, że magowie dokładnie wiedzieli kiedy i gdzie marines zamierzali strzelać. Zupełnie jakby czytali w ich myślach. A potem zniknęli.

Skoczyli z pierwszego piętra na dziedziniec, ale gdy amerykańscy żołnierze dotarli do okna, na dole nie było już widać nikogo. Tylko irackie niebo jaśniało bladym przedświtem, a miasto wokół budziło się do życia. Mimo braku zwierzyny, amerykańscy łowczy rozpoczęli pościg.

Wyskoczyli za intruzami. W całym muzeum trwał już alarm, a oni szukali na dziedzińcu śladów przestępców. Kapral Hocieros usłyszał jako pierwszy odgłos odpalanej ciężarówki. Nie myśląc długo, wystrzelił ślepą i niecelną serią ku ruszającemu pojazdowi. Ale gdy miał już nacisnąć spust po raz wtóry i celniejszą salwą zalać kabinę wozu, poczuł jak niewidzialna siła podbija lufę M4. Dziesięć pocisków pomknęło w niebo, ciężarówka sforsowała żywopłot i ruszyła po ulicy ku północnym zaułkom miasta. Do tego Jerzy „Smok” Wawelski dopuścić nie zamierzał.

Pułapka była nieprzygotowana. Pogromca nie spodziewał się, że magowie zaatakują muzeum tak szybko. Dlatego nie przeszkodził im, ani nie dobrał odpowiedniej kryjówki. Leżał na dachu piekarni i czekał na rozwój wydarzeń. Gdy jednak ciężarówka z włamywaczami rozpędzała się, aby zniknąć w zaułkach miasta, postanowił działać. Strzelił tylko raz, ale celnie, rozrywając przednią oponę pojazdu. Wóz nagle skręcił i wjechał w rząd ulicznych śmietników.

Jerzy wstał, zarzucił karabin na ramię i ruszył ku włamywaczom. Niemal spadał, schodząc pośpiesznie po drabinach pożarowych. Kiedy stanął na ulicy, z płonącego wozu wyrzła już pierwsza sylwetka maga. Nie czekając na oficjalne przedstawienie, pogromca strzelił włamywaczowi w udo.

– Ty... – rozległo się przekleństwo, a w każdym razie Jerzy tak sądził. Języka nie znał, a w każdym razie nigdy go nie słyszał.

Nie czekając na rozwiązanie tej zagadki, doskoczył do krwawiącego maga, wyciągnął mu z kabury pistolet pneumatyczny i skierował go ku furgonowi. Nie przewidział, że ocaleni z wypadku włamywacze będą w tak bojowym nastroju. W ostatniej sekundzie zablokował cios czarnego maga, ale i poleciał bezwładnie na chodnik. Zdążył jeszcze odturlać się w bok, gdy seria z tłumionego peemu przeorała kamienie tuż obok. Podczas gdy jeden z włamywaczy strzelał, ten ranny, oraz trzeci mag, trzymający w dłoni cenny artefakt, właśnie odpalali szary wóz właściciela piekarni.

Smok wtoczył się za śmietnik, chwycił ciężką butelkę po oliwie, odczekał kilka sekund, wychylił się i cisnął szkłem w prześladowcę. Mag miał zajęte dłonie i pocisku nie odbił. Naczynie rozbiło się na jego goglach, jednocześnie zniechęcając do działań ofensywnych. Posłał wrogowi kilka kul („Ugh!” – jęknął Wawelski; trafił go jeden z rykoszetów), po czym wskoczył do ruszającego samochodu. Jerzy wstał, a sekundę później stwierdził, że zrobił błąd.

Humvee Amerykanów jechał z wyciem silnika, a kilku żołnierzy na pace już strzelało. Ciemny strój Smoka nie różnił się zbyt od kostiumów włamywaczy, a Polak miał w dłoni broń przestępcy. Nie wyglądało to zbyt dobrze. Niewiele myśląc, Jerzy nacisnął spust, trafiając jednego ze strzelców, po czym ruszył w gąszcz uliczek Mosulu. Kuśtykał, ale robił to bardzo szybko. Słyszał za sobą pisk opon hamującego pojazdu, a potem komendy goniących go marines.

Nie znał miasta zbyt dobrze. Dziesięć lat wcześniej kręcił się raczej w okolicach wykopalisk Niniwy niż po nowoczesnej metropolii. Dlatego postanowił znaleźć kryjówkę jak najszybciej. Noga krwawiła, ale nie mógł pójść do żadnego szpitala rządowego, bądź armijnego. Dzikich lekarzy nie znał. Sięgnął ku krwawiącemu udu i stwierdził z przerażeniem, że ma wbita w bok strzałkę. Nie poczuł pierwszego i bardziej złośliwego trafienia, ale teraz znajdował się już pod wpływem toksyny.

Widząc studzienkę ściekową, otworzył pokrywę i wrzucił pistolet pneumatyczny. Ku uldze uciekiniera, w dole rozległ się plusk, a nie trzask, istniała więc szansa, że przedmiot zostanie zniesiony śmierzącym nurtem kanałów. Jerzy wstał już z wyraźnym trudem i ruszył, opierając się dłonią o ściany budynków. Zanim zawiodły go oczy, wybrał cel swojej wędrówki – niewielki kościół obrządku chaldejskiego. Jerzy napadł na drzwi, a te puściły. Mężczyzna wpadł do chłodnego wnętrza świątyni. Odruchowo zacisnął dłonie na ranie, aby nie kalać kościoła krwią.

Potem poczuł ręce, słabe, ale troskliwe – jednego starca i dwóch młodszych kobiet. Zabrano go do domu mieszkalnego, ale tego się tylko domyślał. Nie widział, czuł jakby zza ciężkiej zasłony i z ledwością rozumiał głosy. Dlatego

szeptał wciąż po arabsku.

– Jestem chrześcijaninem, szuka mnie armia. Nie popełniłem zbrodni, pomóżcie. – Poczul delikatny palec na swoich ustach i uspokoił się. A właściwie nie tyle przestał się denerwować, co jego ciało już nie okazywało objawów strachu. Sekundy przed tym, jak stracił ostatecznie przytomność, zdołał jeszcze wyszeptać – mają Diadem Husn.

* * *

Major Christopher McNeil rozesłał już ludzi i czekał na dyrektywy z dowództwa. Był zwierzchnikiem żandarmerii w Mosulu i wina za blamaż marines spadała pośrednio na niego. Dlatego natychmiast przejął sprawę od władz lokalnych. Irakijczycy nie protestowali – wiedzieli, że kradzież zazwyczaj wiąże się z próbą przemytu i sprzedaży, a im dalej od granic Iraku, tym mniej władzy i wiedzy miała policja.

Zaspany, umundurowany nad wyraz niekompletnie, stał przed piekarnią przy muzeum i słuchał meldunków swoich ludzi. Nic się w tej sprawie nie zgadzało, począwszy od samego włamania, a na dziwnym wypadku skończywszy. Sierżant żandarmerii podał mu właśnie łuskę, którą tajemniczy strzelec pozostawił na dachu.

– A żadnego świadka? – zapytał żałośnie McNeil.

– Nie, sir – odparł podoficer o azjatyckich rysach – ale wyślę gilzę do analizy balistycznej. Za kilka godzin coś będziemy wiedzieli.

– Wykonać! – warknął major.

A starszy sierżant Amur Chi zasalutował i szybko odszedł, aby ukryć promienny uśmiech. Nie dość, że Bractwo zdobyło naszyjnik, to jeszcze niebawem pozna tożsamość swojego prześladowcy. I wtedy będzie można bezpiecznie rozpocząć koniec świata.

Bezpieczeństwo liczyło się przede wszystkim.

8 września, Port Lotniczy im. Fryderyka Chopina w Warszawie

Sekmet została przepuszczona bramką strefy Schengen, po czym zwrócono jej portfel, telefon, tablet, naszyjnik i jeszcze kilka innych przedmiotów, co do których kontrolerzy mieli zastrzeżenia. Zmuszoną ją, aby sztylet ojca wiozła w bagażu, z czym zgodziła się niechętnie, ale cóż mogła poradzić wobec personelu lotniska Heathrow? Księżniczka żyła dość długo, aby rozumieć zupełną bezcelowość tej ostrożności. „Tradycyjne uprowadzenia samolotów są przeszłością” – myślała. „Przy współczesnych systemach bezpieczeństwa, terroryści muszą być samobójcami, aby dokonać ataku. A jeśli są samobójcami, to nic ich nie powstrzyma”. Wyobraziła sobie kilkanaście sposobów, w których wyszkolony i przygotowany bojownik o tę czy inną sprawę jest w stanie skonstruować śmiertelną broń z wyposażenia pokładowego, nawet tak biednej linii jak LOT. A rozbicie samolotu nie nastęczyłoby problemu pojedynczemu, zdrowemu mężczyźnie, który poświęciłby pięć minut na przeczytanie instrukcji. Wystarczyłoby poczekać, aż maszyna wzniesie się na wysokość...

– Tutaj! Bagaże z A-trzysta szesnaście! – uprzejmie informował polski urzędnik. Cóż, mógł sobie pozwolić na dobrą wolę w pracy. Do Warszawy przylatywało z Londynu więcej osób niż z Warszawy do Londynu, a ci nieliczni wieźli ze sobą mniej pakunków – praca kontrolera nie była tak stresująca.

Sekmet czekała dwa obroty karuzeli, zanim złapała swoją walizkę. Następnie ruszyła ku głównemu wyjściu. Odruchowo pomachała na taksówkę, ale zaraz potem podziękowała kierowcy. Powinna złapać autobus i przyzwyczajając się do życia ubogiej, angielskiej studentki na wymianie naukowej. Po kilku minutach zmusiła automat do wydania biletów, co – przyznawała – przyszło jej z trudem. Rozumiała polski, wiele się w tej mowie nie zmieniło od czasów ostatniej wizyty dziewczyny w kraju nad Wisłą. Za to zmienił się sam kraj, poczawszy od istnienia autobusów, biletów oraz automatów. Niby w dwudziestym pierwszym wieku na całym świecie jest tak samo, ale na ścisk w autobusie 175 nie mógł jej przygotować żaden podręcznik na temat globalizacji.

Do pojazdu, który – według specyfikacji technicznej – zabierał osiemdziesiąt osób, weszło około stu pięćdziesięciu. Wrześniowy upał uczynił wóz jeszcze mniej wygodnym, choć Sekmet akurat do upałów była przyzwyczajona. W dodatku pasażerowie nie pomagali w podróży. Składali się oni ze zboczeńców miejscowych oraz importowanych. Ci pierwsi po prostu tłoczyli się w kierunku atrakcyjnej brunetki o egzotycznej, południowej urodzie, a weekendowi Anglicy, przybyli do Warszawy, aby skorzystać z niskich cen wódki i dam lekkich obyczajów, usiłowali wmówić Sekmet, że znają się z lotu i siedzieli rząd za nią. No nie wszyscy – próbowało tylko trzech. Egipcjanka miała nieodparte wrażenie, że przybywa do jakiegoś dekadentckiego kraju postkolonialnego, uznawanego zarówno przez tubylców, jak i przyjezdnych za ziemię dziką. Na szczęście wysiadła obok akademików przy Banacha. Miała zarezerwowany pojedynczy

pokój w domu studenckim i znacznie przesadzone oczekiwania, co do standardu mieszkaniowego. Zameldowała się w recepcji, symulując fatalną znajomość polskiego. Usiłowała nie używać przypadków poza mianownikiem i czasów poza teraźniejszym. Ostatnie cztery lata spędziła w Anglii, więc akcent londyński wyszedł jej bardzo przekonująco. Ale na dobrą sprawę mogła mówić i w literackiej polszczyźnie – woźnemu było wszystko jedno. W południe wciąż był ospały po nocnym dyżurze, kłótniach z głośnymi studentami oraz policją. Wydał klucze niemal bez słowa. Oczywiście nie zaproponował poniesienia bagażu. Sekmet nie była zła czy też zawiedziona – tylko zmartwiona. Miejscowy naród upadł tak nisko, że nie potrafił rozpoznać szlachetnej krwi i zachować się stosownie.

Na szczęście winda działała. Księżniczka uważała dźwigi osobowe za jeden z bardziej doniosłych wynalazków współczesności. Oczywiście za jej czasów również stosowano windy, ale zasilane siłą mięśni wołów lub niewolników, nie były godne zaufania. Sekmet otworzyła drzwi do pokoju, po czym wyszła na korytarz, aby sprawdzić numer. Nie, nie pomyliła się – szesnastometrowa kłitka (zawierająca jeden pokój, wyrób łazienkopodobny oraz aneks kuchenny) była jej nowym domem. W pierwszym odruchu chciała zadzwonić po ekipę sprzątającą, oczywiście prywatną, jednak zrezygnowała. Udawała ubogą studentkę, a nagle wyciągnięcie pieniędzy na zbytki mogło zainteresować niepowołane oczy.

Weszła do łazienki i spojrzała w lustro. Zobaczyła tam piękną kobietę, wyglądającą może na dwadzieścia pięć, może dwadzieścia osiem lat. Jej zgrabna figura, szlachetna twarz i kruczoczarne, ścięte na wysokości ramion włosy, w jakiś sposób nie pasowały do młodzieżowego ubrania. W takim, niemal egipskim upale, księżniczka wolałaby założyć luźne szaty, dostosowane do klimatu. Ale nie chciała... nie mogła się wyróżniać. Zdemaskowanie na tak wczesnym etapie poszukiwań oznaczałoby nieliczne kłopoty. Właściwie zdemaskowanie kiedykolwiek, w jakiegokolwiek epoce historycznej nie należało do przyjemności. Ale księżniczka Krwi Górnego i Dolnego Egiptu, Pani Pustyni, regentka Królestwa, Sekmet Meni Dorota Ungern von Sternberg nie była skazana na wieczną tajemnicę. Przecież po to przybyła do Polski, aby znaleźć naszyjnik, uratować ten pokraczny świat od starodawnego niebezpieczeństwa, a potem umrzeć. Wreszcie, po pięciu tysiącach i dwustu trzydziestu latach życia.

* * *

Agnieszka niemal zawsze budziła się skoro świt, dlatego zdumiała się, wyrwana ze snu. Skoro ktoś dzwonił, znaczyło to, że wstał jeszcze wcześniej. Sięgnęła po słuchawkę, powiedziała rytualne „halo” i mimo przerwane snu, ucieszyła się. Dzwoniła Celestyna, jej ukochana starsza siostrzyczka. Niestety Cela nie miała ochoty na rodzinne czułości.

– Słuchaj uważnie, bo to jest zbyt głupie, abym powtórzyła – oznajmiła studentka medycyny. – Masz coś do pisania? – Łaskawie podarowała siostrze siedem sekund na przygotowanie. – Dobrze, teraz zapisz numer. Nie pytaj, skąd

tyle cyfr, to zagranica. – Dalej nastąpiła liczbowa lawina. Agnieszka myślała, że 96 z początku oznacza kierunkowy do Idzikowic, ale potem spojrzała jeszcze raz na zapis, podliczyła znaczki i stwierdziła, że prefiksem kierunkowym jest 964. Nie wyglądało to dobrze.

– To rozmowa zamiejscowa? – zapytała.

– Irak – odparła Celestyna. – Dzwonił do mnie Jurek i mówił, że ma kłopoty. Natychmiast obudź tego twojego łowcę duchów i połączcie się z tym numerem. Powtarzam, natychmiast. Jurek jest ranny i jest pod wpływem znieczulenia. Za kwadrans już nie będzie taki rozmowny.

Obudzenie Zygmunta trwało zwykle dłużej niż kwadrans, ale Czująca miała szczęście. Detektyw odebrał telefon ledwie po minucie dzwonienia i poznał przyjaciółkę już po trzecim zdaniu. Po piątym rozumiał, co powtarzała. Postanowił zadzwonić z biura, ale podzielił kanał głosowy tak, że Agnieszka słyszała rozmowę. Następnie wybrali dwunastocyfrowy kod. Chyba wszystkie centrale po drodze były zdumione połączeniem między Warszawą a budką telefoniczną w Mosulu, ale niebawem w słuchawce odezwał się senny głos Jerzego „Smoka” Wawelskiego.

– Zygmunt? – zapytał pogromca. – Doskonale... to znaczy źle. Mam kłopoty. Nie zadawaj pytań, ponieważ i tak nie odpowiem. Jestem w Mosulu, ścigają mnie władze i amerykańska żandarmeria wojskowa, podejrzewając o włamanie do muzeum.

– Którego nie popełniłeś... – wtrącił detektyw tak uprzejmie, jak umiał.

Prawdę pisząc, zamieszczenie Wawelskiego w rabunek zabytków nie było nieprawdopodobne. Czternaście lat wcześniej, kiedy wybuchła wojna w Afganistanie, młody archeolog jakimś cudem zabrał się z polskimi saperami jako Niezależny Ekspert do spraw Zabezpieczenia Miejscowego Dziedzictwa Kulturowego. Od tego czasu widywano go w Azji Środkowej, Iraku i Libanie, zawsze w towarzystwie armii i zawsze doskonale wyposażonego w sprzęt i środki. Na polskim rynku pojawiały się rzadkie znaleziska z tych obszarów, sugerując że Smok pilnował tego, o czym pilnujące go instytucje wiedziały oraz sprzedawał to, o czym nie wiedziały. Dotychczas poruszał się na grząskim moralnie gruncie dzikiej archeologii, nigdy wprost nie łamiąc prawa, ale dbając o własny portfel nie mniej niż o kulturowe dziedzictwo odwiedzanych krajów. Oczywiście robił to dla sprawy. Ojciec Jan zapewnił, że Wawelski w ten sposób zdobywa środki na swoją krucjatę przeciw niebezpiecznym czynnikom nadprzyrodzonym, ale Zygmunt uważał, że można być policjantem w jednym, a złodziejem w innym rewirze. Dlatego poważnie rozważał uczestnictwo Jerzego we włamaniu.

– Bracie, ja tylko patrzyłem! – krzyknął do słuchawki Smok, chyba wyczuwając myśli detektywa. – Obserwowałem typów, którzy to zrobili. Chciałem ich powstrzymać, ale doszło do strzelaniny... no nieważne. Słuchaj! Złodzieje ukradli tylko jedną rzecz, złoty diadem Husn. Wyszukasz sobie w sieci, co to takiego. Ja tylko dodam, że zabawka jest aktywna astralnie i stanowi niebezpieczny artefakt. Musisz ją znaleźć i zabezpieczyć. Ojciec Jan wie jak. Domyślam się w jaki sposób

przemycą ją do Polski.

– A w każdym razie, jak ty byś to zrobił – odruchowo dodał Zygmunt.

– Właśnie... Nie mogą przewieźć towaru przez granicę, więc wykorzystają najprostszy kanał, nieobjęty kontrolą. Podrzucają artefakt do zabytków legalnie opuszczających Irak. Dziś przyjeżdża do Warszawy, do Narodowego... ekspozycja muzeum w Tikricie. Ciekawe, ale nas nie interesuje. Sarkofagi, gliniane tablice, kilka ładnych rzeźb. Założę się, że któraś z figur będzie miała na głowie nasz skarb. Zdobądź diadem i przekaz go ojcu Janowi.

– Jak niby mam zdobyć przedmiot? Włamać się do Muzeum Narodowego? – zapytał wściekle Zygmunt, po czym zrozumiał, że właśnie tego od niego się oczekuje.

– Żandarmi idą, odezwę się jeszcze. Zdobądź diadem – rzucił Wawelski i przerwał połączenie.

– Halo? – zapytał zszokowany detektyw. Odczekał chwilę, po czym zapytał Agnieszki. – Słyszałaś? Słyszałaś, czego od nas chce? To przekracza ludzkie pojęcie. Chce, abyśmy złamali prawo!

– Nie pierwszy raz by się nam zdarzyło – zauważyła przyszła prawniczka. – Wynosimy książki z Gabinetu Starodruków BUW. W Zamku Królewskim to kiedyś wysadziliśmy nawet podłogę...

– Nie kradliśmy!

– A kiedy porwałeś z zoo te żubry... – przypomniała bezlitośnie Agnieszka.

– To był Wawelski...

– Nie do nas należy decyzja – orzekła detektywka. – Jeśli ojciec Jan popiera pomysły Jurka, kim jesteśmy my, aby się sprzeciwiać?

– Tymi, którzy w razie porażki pójdą do więzienia – ponuro zauważył Zygmunt. Ale zaraz zadzwonił do duchownego.

Niestety jezuita potwierdził najgorsze przeczucia detektywa. Zaprosił swoich podopiecznych na Rakowiecką i przedstawił im krótką historię diadem. Wygonił z bibliotecznego lektorium innych zakonników, po czym uruchomił ścienny rzutnik. Na płóciennym ekranie pokazało się zdjęcie złotego, acz niepozornie zdobionego przedmiotu. O ile ojciec Jan nauczył się obsługiwać komputer i rzutnik multimedialny, władza nad laserowym wskaźnikiem pozostawała wciąż poza możliwościami starca. Dlatego poklepał obraz artefaktu końcem bambusowego kija.

– Nie wiadomo, kiedy ów diadem został sporządzony – tłumaczył. – Z wielu powodów eksponat nigdy nie został poddany badaniom radiograficznym. Zdobienia wskazują na proveniencję bardzo odległą, staroegipską. Są nawet badacze, którzy widzieliby wyjaśnienie tych symboli w kulturze predynastycznej...

– Przepraszam... – wtrąciła Agnieszka, która znaczą cześć swoich możliwości intelektualnych marnowała na naukę prawnych paragrafów, zamiast przyswajać, jakże potrzebną w życiu historię starożytną. – O ile pamiętam z geografii, Mosul znajduje się w Iraku. – Zakonnik skinął głową. – To dlaczego mówimy o Egipcie?

– Zaraz do tego dojdziemy – odparł dobrotliwie duchowny. – Teorie

o powstaniu diademem są niesprawdzalne. Pierwszym uchwytnym historycznie momentem kariery klejnotu jest rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty przed Chrystusem, kiedy doszło do niezwykle ważnego wydarzenia dla antycznego świata – ślubu kuzynki faraona z babilońskim księciem krwi. Husn, bo tak nazywała się szlachetna Egipcjanka, przybyła do Międzyrzecza, nosząc tę ozdobę. Niestety legendy mówią, że księżniczka nie była szczęśliwa w małżeństwie, nie mogła doczekać się dziecka i po pięciu latach wyszła na pustynię, szukać rady u zapomnianych bogów. Nigdy z piasków Pustyni Syryjskiej nie wróciła. Diadem pojawia się w źródłach nieoczekiwanie około siedemsetnego roku przed Chrystusem, kiedy Państwo Babilońskie chwiało się w posadach. Powstała nawet legenda o Husn wracającej z pustyni, aby poprowadzić żołnierzy swojej przybranej ojczyzny przeciw Asyryjczykom, ale jak wiecie z lekcji historii, nie wyszło jej to zbyt dobrze. Artefakt dostał się do Niniwy, potem zaginął ze skarbca i przez wieki nikt o nim nie słyszał, aż do wykopalisk sir Georgisa. Jakimś cudem uniknął... to znaczy diadem, nie sir Georgis, zrabowania podczas wojny i do minionego tygodnia pozostawał eksponatem muzeum w Mosulu. Jerzy zbierał informacje o tajemniczych kupcach, którzy chcą za wszelką cenę dostać diadem. Niestety spotkał się z nimi w niesprzyjających okolicznościach. Póki nie wyjaśni spraw z miejscowymi władzami, nie może kontynuować poszukiwań. Dlatego poprosiłem was.

– Ale dlaczego ten diadem jest taki ważny? – zapytała Agnieszka.

– Legenda o odrodzonej Husn to bajka dla dzieci – odparł ojciec Jan. – Ale zawiera w sobie pewien rdzeń prawdy. Obawiamy się, że dzierżyciel artefaktu jest w praktyce nieśmiertelny, a w dodatku posiada znaczną władzę nad piaskiem. Nie należy tego rozumieć metaforycznie. Chodzi o zakotwiczone w ozdobie węzeł żywiołu ziemi i powietrza, szczególnie silnie rządzący substancjami syrkami. Ale bardziej niepokoi mnie nieśmiertelność właściciela. Istnieje kilka starożytnych kultów, które chciałyby zdobyć tę ozdobę. Dzięki internetowi oraz otwartym ekspozycjom muzealnym mają niezwykle ułatwione zadanie. Sądzę, że sekta, o której wspominał Jurek, będzie chciała wskrzesić któregoś z mniej przyjemnych władców Międzyrzecza i zdobyć władzę nad światem. Ta druga część planu jest, jak zwykle, bardzo mętna, ale, próbując, nasi magowie z Mosulu mogą narobić nielicznego zamieszania.

– Czyli chcą wskrzesić jakiegoś Hammurabiego... – podsumowała Agnieszka. – Ale dlaczego w Polsce? I dlaczego nie zaczęli od zdobycia ciała?

– Jurek przypuszcza, że zaczną od prób na innych, młodszych ciałach – kontynuował jezuita. – Nasz kraj ma pewne zalety, kwalifikujące go jako poligon doświadczalny. Z powodu naszego zaangażowania militarnego, wiele ładunków – dla wojska, firm budowlanych, placówek naukowych – jest przewożonych w praktyce bez nadzoru. Według Jurka, kultysty mają kontakty w Polsce, a na dodatek wiedzą o kilku otwartych źródłach mocy w okolicy Warszawy. Mają wykorzystać wymianę ekspozycji Muzeum Narodowego i placówki w Tikricie, aby bezpiecznie wyprawić artefakt za granicę. Dlatego proszę was o radykalne działanie.

– To nie takie łatwe, proszę ojca – odparł Zygmunt. – Nie jesteśmy włamywaczami.

– Człowiek uczy się przez całe życie. – Duchowny uśmiechnął się i wyciągnął spod habitu pęk kluczy.

* * *

Sekmet dość szybko odizolowała się od życia studenckiego w akademiku (wciąż uciążliwego, mimo sesji poprawkowej), po czym zaczęła szukać alibi. Nie było to takie proste. Jako cudzoziemka nie mogła oficjalnie pracować, jako potomkini faraonów nie mogła pracować w ogóle. Oczywiście udzielała lekcji koptyjskiego, arabskiego, angielskiego, francuskiego, hiszpańskiego, niemieckiego, norweskiego, polskiego (tylko w tych językach nowożytnych osiągnęła biegłość literacką), a półoficjalnie staroegipskiego, sumeryjskiego oraz innych mów starożytnych przy odczytywaniu dawnych zapisów, ale traktowała te korepetycje jako część kamuflażu. Zarobione pieniądze oddawała na cele dobroczynne, a utrzymywała się z transmutacji metali, obrotem kamieniami szlachetnymi (był to jedyny rodzaj kupiectwa godny królewskiej krwi) oraz odbieranymi od poddanych daninami. Wielu poddanych nie miała, ponieważ nie zdradzała światu swoich praw do władzy nad Egiptem i co najmniej regencji w Międzyrzeczu, ale pozwalała się utrzymywać nawiedzonym monarchistom z całego świata (którzy jednak widzieli w niej „jedynie” potomkinię starego rodu koptyjskiego). Kiedyś, w lepszych i normalniejszych czasach, utrzymywali ją mężowie, ale zrażona dramatycznym przebiegiem ostatniego małżeństwa, od niemal dziewięćdziesięciu lat nie związała się poważnie z żadnym mężczyzną. Tęskniła do facetów, którzy byli rycerscy, silni i władczy, a także mówili po egipsku, a jeśli nie, to choć po grecku lub w łacinie.

Westchnęła, odrzuciła przyjemne wspomnienia i wróciła myślami do teraźniejszości. Musiał przygotować włamanie do muzeum. Przez wieki była zmuszona do różnorodnych kradzieży, zwiadu wojskowego i innych działań skrytych. Niestety dwudziestopięciowieczna technika dezaktualizowała większość tych umiejętności. Księżniczka wzięła więc, z pewną obawą i odrazą do stanu łazienki, prysznic, po czym złapała tablet i ruszyła zapytać o drogę współczesną Pytię.

Do internetu podłączyła się w kawiarni, oczywiście bezprzewodowo. W Anglii powzięła solidną szkołę nowoczesności i zachowania dyskrecji w otaczającym ją świecie. Dlatego nigdy nie surfowała z miejsca pobytu, a także nie pozostawała w sieci dłużej niż pół godziny. Tym razem wystarczył kwadrans, aby znalazła odpowiednią imprezę. Kilka telefonów umożliwiło jej wejście na nagranie popularnego programu. Zamierzała użyć kryształ obrazu i utkać swoją iluzję. Dzięki temu tysiące ludzi będą już widzieć na ekranach telewizorów, kiedy ona przystąpi do dzieła.

* * *

Niestety klucze dane przez ojca Jana nie otwierały muzeum. Byłoby to rozwiązanie zbyt eleganckie i zbyt proste, nie dające szans na napisanie dobrej opowieści. Detektywi zostali jedynie wpuszczeni do mieszkania Jerzego Wawelskiego. Smocza Jama (znajdująca się w nowo wybudowanym bloku Piasków) zawierała wiele tajemnic, z których część mogła pomóc Agnieszce i Zygmuntowi w przygotowaniu włamania. Niestety chory i ścigany właściciel rupieciarni nie był w stanie pomóc detektywom.

– Boże... – szepnęła Agnieszka. – Co on tu trzyma...

W szafie znajdował się arsenał, pozwalający wyposażyć drużynę piechoty. Co prawda, arsenał dość niecodzienny, ale wciąż groźny. Trzy automaty Kałasznikowa, jeden stary FN-Fal i pistolety kilku kalibrów stanowiły tę mniej zaskakującą część składu. Obok wisiały kusze, granatnik, wymalowany normańskimi runami miecz, pas granatów oraz ułożone równo na podłodze paczki z ce cztery. Zygmunt szczerze współczuł sąsiadom Smoka, zwłaszcza jeśli ci kiedyś zaproszyliby w bloku ogień.

W drugiej szafie pogromca trzymał znacznie przydatniejsze akcesoria – liny wspinaczkowe, wyrzutnie haków, pistolety pneumatyczne ze środkiem usypiającym (w te Jerzy zaopatrzył się po przykrew przygodzie z żubrami), noże do cięcia szkła i przenośne łamacze kodów. W szafie trzeciej wisiały szaty kapłańskie pięciu kultów, gogle noktowizyjne oraz wojskowe kombinezony maskujące. Detektyw wybrał czarne *jump-suits*.

Ponoć na komputerze archeologa znajdowały się programy pozwalające dezaktywować alarmy muzealne, ale nie zaryzykowali włamania do tajemniczego peceta. Wyglądał normalnie, ale Zygmunt nie zdziwiłby się, gdyby wpisanie złego hasła detonowało zasoby pierwszej szafy. Kiedy zapakowali ciężkie walizy sprzętu, ruszyli ku windzie, na szczęście nie spotykając sąsiadów pogromcy. Z Piasków ruszyli do biura pożyczonym od Wawelskiego samochodem – starą Nysą, pomalowaną na szary kolor. Według wiedzy psychologicznej właściciela, był to idealny kompromis między użytecznością a niepozornością pojazdu.

Opracowali prosty plan – jak zawsze opierał się on na talencie Agnieszki. Czująca miała wyłączyć zasilanie alarmów, a Zygmunt wywieźć odpowiednią gablotę na składanym wózku technicznym. Może nie było to bardzo estetyczne włamanie, ale Wars i Sawa nie mieli doświadczenia. Również dlatego, nie pomyśleli o wielu konsekwencjach swojego bardzo głupiego planu.

* * *

Sekmet bez trudu podrzuciła do studia jeden z kryształów. Drugi trzymała w torbie, na wypadek dekonspiracji. Żadna iluzja nie była idealna – zaalarmowany strażnik dostrzegłby cień ukrytej urokiem klejnotu kobiety, ale częściowa niewidzialność i tak zapewniała księżniczce przewagę. Ostatni fragment trasy przed muzeum postanowiła przejść pieszo. Nie miała dotychczas czasu pomyśleć i wdychając powietrze późnego warszawskiego lata powoli

uświadamiała sobie, co oznacza sukces włamania. Od czasu pierwszej śmierci wiedziała, jak potężny jest jej diadem i jak niebezpieczną magię zawiera. Nigdy nie usiłowała się zabić, celowo skrócić życia. Jednak w czasie wieków doszła do niezwyklej mądrości na temat niewidzialnego świata i węzłów jego mocy. Po dwunastu wiekach poszukiwań dotarła do wniosku, który czeka na największych mędrców – rozwiązania najprostsze są prawdziwe. Jej dusza była na stałe związana z diademem, dzięki temu nie starzała się, a po każdym uszkodzeniu jej ciała odradzała się w sferze działania klejnotu. Nie istniał sposób na okiełznanie tej mocy – póki diadem istniał, mógł dostać się w niepowołane ręce i przywołać do życia istoty zbyt niebezpieczne dla naszego świata. Dlatego postanowiła poświęcić swoje nie-życie obronie złotego artefaktu. Używając magii najwymyślniejszych kryształów, wykopała dobrze zabezpieczony grobowiec na Pustyni Syryjskiej (nazywanej w tych czasach po prostu: Martwymi Piaskami) i legła w nim, narzucając na siebie zaklęcie wiecznego snu. Nie chciała od świata więcej niż inni i czuła wyrzuty sumienia z powodu swojego zbyt długiego życia. Uznała, że chowając się przed ludzkim okiem i zasypiając, oddaje w ręce Stwórcy los swój i potężnego diademu. Nie przewidziała jednak ludzkiej pomysłowości i determinacji. Grupa babilońskich patriotów obudziła ją w czasach upadku. Wychowani na legendach o tajemniczej Pani Pustyni, żołnierze Sumeru ruszyli na poszukiwanie antycznej obrończyni ich ojczyzny. Sekmet nie miała wyboru. Przyjęła hołd odważnych wojowników i ruszyła przeciwko Asyryjczykom. Kolejne dwa wieki brutalnie pokazały, że magia może odnowić wiele rzeczy, nawet, w pewnych okolicznościach, ożywić człowieka, ale nie wskrzesi upadającego państwa, które straciło chwałę, siłę i wolę do istnienia. Od tej pory księżniczka błąkała się po świecie, patrząc na ludzkie narodziny, sławę i śmierć, obserwując upadek kolejnych królestw. Chyba tylko dwa razy w pełni odzyskała radość życia – raz, przyjmując chrzest w Egipcie i przez kilka dziesięcioleci licząc na rychły powrót Chrystusa i szczęśliwe zakończenie dramatu pod tytułem „Świat”. Potem podczas najazdu arabskiego, gdy próbowała użyć swojej wiedzy dla obrony świętego Nilu. Niestety po raz kolejny okazało się, że państwa, tak jak ludzie, starzeją się i od pewnego wieku nie pomoże im nawet sprawny lekarz. Więc żyła od tej pory, tak jak umiała. Przez kilkadziesiąt lat szukała diademem, który zaginął przy zdobyciu Aleksandrii, ale potem porzuciła i to staranie. Ot, odkryje kiedyś swój klejnot, gdy jej ciało umrze i odrodzi się przy złotej ozdobie. Z czasem zapomniała nawet o artefakcie, aż pewnego lipcowego dnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego (po Chrystusie) na wykładzie w kalkuckim uniwersytecie dowiedziała się o lokalizacji diademem, a przez przypadek dwa miesiące później odkryła sposób ostatecznego zniszczenia artefaktu. Od tej pory szukała go, aby umrzeć.

Zniszczenie złotego łańcucha zabezpieczało świat przed innym właścicielem skarbu. Sekmet nie planowała podboju Ziemi ani innych podobnych atrakcji, ale jeśli obiekt dostałby się w niepowołane ręce, nic nie było pewne. Dlatego diadem powinien zostać zniszczony. Księżniczka dobrze знаła zaklęcie odnowy i wiedziała, że tuż po roztopieniu artefaktu sama rozpadnie się w proch. Ale

musiała zabezpieczyć potężną moc, chociażby w podziękowanie Stwórcy za setki ludzkich żywotów. Miała kilkanaście lat, ponieważ tyle zajęły poszukiwania artefaktu, próby zaklęcia zniszczenia oraz nauka potrzebnej we współczesności wiedzy – mogła przyzwyczać się do wizji rychłej śmierci. Nie każdy człowiek dostawał aż tyle czasu na przygotowanie. Dlatego nie było jej żal – odchodziła pogodzona z Bogiem (a przynajmniej miała taką nadzieję) i niezwiązana z ludźmi, którzy mogliby za nią tęsknić. Po zdobyciu diademenu potrzebowała tylko trzech dni spokoju na utknięcie zaklęcia (dlatego tak dbała o kamuflaż. Nie chciała, aby wszystkie służby porządkowe szukały jej w tym najtrudniejszym momencie), a potem...



„Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Ważne, aby potrafić odejść z klasą” – pomyślała, ściskając w dłoni niewielką ramkę z podobizną poważnego mężczyzny w carskim mundurze. „Niebawem się spotkamy, Romanie” – pomyślała, wspominając ostatniego męża. Trochę obawiała się chwili przejścia, ponieważ w zaświatach czekało na nią siedemnastu małżonków i drugie tyle mężczyzn, z którymi związała się w grzeszniejszych stosunkach, ale na to już niewiele mogła poradzić. Baron Roman Fiodorowicz Ungern von Sternberg patrzył na nią niemo, ale i z dumą. Ona też wypełniała obowiązek. Wyciągnęła

z torby pistolet Mausera (prezent zaręczynowy od Romana) i schowała go za pasek. Oczywiście nie chciała nikogo zabijać – z pewnym trudem zdobyła gumowe kule kalibru 7.63 i zainstalowała je we własnej amunicji. Woląla jednak mieć w ręku zabytkową broń – dodawała jej otuchy.

Do muzeum weszła bramą towarową, którą niekompetentni strażnicy zostawili uchyloną. Narzuciła iluzję kryształu i ruszyła ciemnymi korytarzami. Oświetlała sobie drogę natartym w żywiole powietrza ametrynem, który prócz posiadania właściwości świetlistych zakłócał też działanie urządzeń elektronicznych. Musiała wyważyć tylko jedne drzwi, a zrobiła to cicho, z pomocą stalowej łapki. Reszta wrót stała otworem lub miała zamknięcia kodowe (w świetle kryształu Sekmet widziała na klawiszach odciski palców). Zazwyczaj muzeum zabezpieczano lepiej, ale przyjęcie eksponatów z Iraku wywołało nieliczne zamieszanie. Zresztą dyrekcja uznała, że żaden złodziej nie byłby tak głupi, aby włamywać się pierwszego dnia wystawy.

W sali ekspozycyjnej nie rozłożono jeszcze obiektów. Większość stała w skrzyniach, złożonych pod ścianami. Na szczęście glinianą figurę Husn (ta była naturalnej wielkości, ale alter ego Sekmet w porównaniu z oryginałem wyglądało dość blado) już wystawiono. Na szyi rzeźby widać było diadem – i to nie metalową kopię, ale podrzucony przez pomysłówych przemytników oryginał. Egipcjanka poznawałaby wszędzie dobrze znany kształt. Od złotej ozdoby emanowała magia i arystokratyczna powaga. Z żalem Sekmet przepaliła zamek w gablocie, wyjęła figurę i z dziewczęcą radością założyła ozdobę. Musiała zniszczyć artefakt i jego magiczną moc, ale nie mogła zapomnieć, że był to prezent od jej pierwszego męża. Od dobrego człowieka, wielkiego mędrca, którego miłość i wiedza sprowadziły na ludzkość niebezpieczeństwo...

Księżniczka działała szybciej, niż myślała. Słyszac kroki na korytarzu, wślizgnęła się do szklanej gabloty i zamknęła drzwiczki. Przybrała pozę śpiącej, aby jak najbardziej upodobnić się do posągu. Miała doświadczenie w pozostawaniu w jednej pozycji. Po którejś śmierci odrodziła się dwadzieścia metrów pod powierzchnią pustyni i czekała sześć dni, nim jej żołnierze wykopią odpowiednio głęboki dół... Powstrzymała nieproszone wspomnienia i zwołnęła oddech. Wyglądała tak jak figura, lepiej oczywiście, ale w ogólnych zarysach podobnie. Na jej głowie spoczywał diadem. Nawet ciemny kostium od biedy mógł uchodzić za średniobabiloński. Tylko pistolet Mausera za pasem psuł starożytny imidż Egipcjanki. Miała nadzieję, że strażnik tylko zajrzy do sali, nie zwróci uwagi na zaskakujące szczegóły, takie jak rozlutowany zamek gabloty, broń oraz druga Hasn na podłodze. Ale gdy otworzyła na ułamek sekundy oczy, zrozumiała, że to nie strażnik muzealny ją odwiedzał.

– To ona – orzekła szczupła blondynka o anielskim spojrzeniu. Wyglądała na wcielenie łagodności i nawet przecinak do metalu, który dzierżyła w prawicy, nie psuł tego wrażenia. – Ma na głowie diadem. – Wyciągnęła z kieszeni zdjęcie i zaczęła się przyglądać domniemanej figurze. – Ona jest piękna... i niezłe zachowana. Wszystko się zgadza, prócz tego pistoletu. Zygi, to jakiś żart, czy Daniken miał rację?

Wezwany mężczyzna był jednak zbyt zajęty, aby odpowiedzieć. Traktował właśnie paralizatorem kamery strażnicze, notabene zupełnie niepotrzebnie, ponieważ kryształ Sekmet uszkodził przekaz. Wreszcie skończył, podszedł do gabloty i zdjął maskę. Był krótko ostrzyżonym brunetem o bystrym i nerwowym spojrzeniu. W tej sekundzie przede wszystkim nerwowym. Przyglądał się uważnie Husn w gablocie, potem spojrzał w bok i zobaczył glinianą Husn na podłodze.

– Okej... tego nie rozumiem. – Przyznał. – Ale przyszliśmy po diadem.

Sekmet chciała chwycić za mausera i wpakować kilka kul intruzom, ale coś w aurach przybyszów powstrzymało ją. „Są dobrzy...” – myślała księżniczka. „A na pewno nie chcą zagarnąć artefaktu dla siebie. W takim razie... O, Anubisie!”. To ostatnie, pogańskie przekleństwo przemknęło jej przez głowę, kiedy mężczyzna podstawił niewielki techniczny wózek i zaczął przechylać gablotę. Księżniczka wciąż nie reagowała, ale myślała intensywnie. Postanowiła dać się wyprowadzić z gmachu i uciec przy pierwszej sposobności. A dwójka włamywaczy załadowała cenny łup na ramę wózka i ruszyła ku drzwiom wyjściowym

Zjechali windą na parter, dość bezczelnie wyłamali drzwi do piwnic i ruszyli długimi korytarzami, najpierw pod Muzeum Narodowym, potem pod bliźniaczym gmachem Muzeum Wojska Polskiego. Znali drogę i przygotowali włamanie dużo lepiej od Egipcjanki (choć pomysł zabrania całej szafy nie był najszcześniejszy). Sekmet ze zdumieniem rozpoznała w kobiecie Czującą, gdy ta oświetlała drogę prostym zakłębieniem i stopiła zamek w drzwiach wezwaniem żywiołu ognia. Słuchała też rozmów dziwnego duetu.

– Przygotuj całun ciszy – polecił mężczyzna. – Nie mogą nas słyszeć.

– To nie jest całun ciszy, Zygi – odparła dziewczyna. – Tylko zwykła bańka powietrza, którą otoczę kłada. Ty wszystko komplikujesz...

– Ja? – zachnął się złodziej. – To był twój pomysł, aby brać całą gablotę! Rany... Może Bóg i ojciec Jan nam darują, ale ja tego włamu sobie nie wybaczę...

– Trzeba sprawę doprowadzić do końca – oznajmiła Czująca. – Jerzy omal nie zginął, aby uratować ten artefakt przed złymi ludźmi.

– Nie udało mu się i my za to płacimy... – mruknął Zygi.

Sekmet odłożyła plany ucieczki. Jeśli dobrze rozumiała słowa porywaczy, byli oni szlachetnymi ludźmi i potencjalnymi sojusznikami. Nie mieli doświadczenia w przestępczej robocie, ale to egipskiej księżniczki nie martwiło. Zainteresowało ją wymienione imię. Czy ów Jerzy był tajemniczym „Georgiem”, o którym mówili jej przyjaciele z Mosulu? Jeśli tak, miała wyjątkowe szczęście. Wszyscy dobrzy ludzie spotkali się razem, robiąc coś nielegalnego, ale nie czepiajmy się szczegółów.

Złodzieje wytoczyli wózek z tunelu tuż przed Kruczkowskiego. Maszerowali dalej, przemykając z ładunkiem przez przejścia dla pieszych. Wreszcie, na wysokości Solca, zwolnili i skręcili pod most. Tam mężczyzna podniósł brezentową płachtę i odsłonił turystycznego kłada. Przytoczył wózek do pojazdu i odpalił silnik. Maszyna nie była jego, właściwie skonfiskował ją pewnej groźnej

sekcje, budującej w Warszawie ścieżki rowerowe, ale Sekmet o tym nie wiedziała. Za to doskonale wyczuła zakłęcie, jakim otoczyła pojazdy blondynka. Był to faktycznie prosty zabieg w żywiole powietrza, który redukował emisję dźwięku niemal do zera. Następnie Czująca trąciła w ramie siadającego za kierownicą towarzysza.

– Na tył! Ja prowadzę!

– Nie umiesz jeździć kładem... – zauważył przytomnie mężczyzna.

– To nie może być trudne. Poza tym, widzę gdzie jadę.

Miała rację. Ponieważ nie zapalali świateł, to Czująca miała lepsze predyspozycje szofera. Brunet niechętnie usiadł z tyłu i pozwolił ruszyć przyjaciółce. A ona faktycznie nie potrafiła jeździć. Po otarciu o mostowe przesło, odwiedzinach w parkowych krzakach oraz przestraszeniu pijaka, wreszcie wyjechali na ścieżkę rowerową i ruszyli ku Wiśle. Na szczęście policja nie czuwała na Powiślu, minęli BUW i Centrum Kopernika nie niepokojeni. Dalej czekała ich prosta droga.

– Gotowy? – zapytała retorycznie blondynka i przesunęła manetkę gazu.

Maszyna przyśpieszyła. Może nie z rykiem, a z pewnością skutecznie. Szeroki kład zajmował niemal całą szerokość ścieżki i biada rowerzyście, który by nadjechał z naprzeciwka! Chwile strachu przeżywał też siedzący z tyłu pasażer, nie mówić już o ładunku. Sekmet uważała motocykle – i ogólnie szybkie pojazdy – za jedną z niewielu jednoznacznie pozytywnych zdobyczy współczesności, ale czym innym było kierowanie maszyną, czym innym jazda w zamknięciu i pozycji poziomej. Księżniczka patrzyła na gwiazdy, z trudem powstrzymywała nudności i snuła ponure myśli o upadku. Była nieśmiertelna, trzymała diadem na głowie, a w ekstremalnym przypadku jej ciało dokonałoby odnowy w ledwie kwadrans. Ale kraksa, pokruszone szkło w plecach, nie mówiąc już o śmierci, nie należały do przyjemnych. Związany czarem odnowy poniekąd bardziej boi się zgonu, jako że doświadczył co najmniej raz tej przygody. Sekmet wiedziała więc, że jazda skończy się wypadkiem. Nie miała za to pojęcia jakim.

Fiodor Urbanow zadawał kolejne ciosy Markowskiemu bez przekonania. Dłużnik nie posiadał ukrytych zasobów i torturowanie go nie przynosiło mafiosie przyjemności. Za to należało do obowiązków. „Niedoczekanie” – myślał Fiodor. „Jeśli każdemu będziemy odraczali termin spłaty ze względu na chorobę matki, cały biznes nielegalnych kredytów krótkoterminowych zejdzie na psy”. Podniósł rękę, chrząknął znacząco na pomocników, aby ci nadstawili trzewia dłużnika i już chciał uderzyć raz jeszcze, kiedy cały świat zawirował. Fiodor nie poczuł bólu, ale usłyszał dźwięk łamanych kości. Stracił przytomność i nie zobaczył reszty spektaklu.

Agnieszka w ostatniej chwili objęła związanego mężczyznę kokonem ochrony i biedak odskoczył na trawnik przed mostem Gdańskim. Urbanow nie miał takiego szczęścia, ponieważ Czująca już nie zdążyła utkać nowego zakłęcia, a dwaj pozostali mafiosi wykonali uniki bez pomocy czynników nadnaturalnych. Winę za wypadek ponosiły obie strony. Kład jechał bez reflektorów, ale i torturujący dłużnika bandyci nie rozstawili świateł pozycyjnych. Zresztą

wszyscy ucierpieli. Pojazd przewrócił się na bok, gablota stłukła. Dwójka włamywaczy wstała niepewnie, wpatrzona w zaskoczonych bandytów. Ale to mafiosi piersi odzyskali inicjatywę. Obaj wyciągnęli pistolety.

– Ręce do góry! – krzyknął niższy z nich, po czym odwrócił się ku trawie. – Szefie, nic ci nie jest? – Odpowiedziały mu bolesne jęki. Bandyta spojrzął na towarzysza, a ten kiwnął głową. – Masz rację, zaraz pozbędziemy się ciała, tylko przesłuchamy tych tutaj. Coście za jedni? – zapytał cichociemnych piratów chodnikowych.

– Jesteśmy... Chryste Panie! – jęknął Zygmunt. Podnosił właśnie ręce, ale opuścił je, widząc rzeźbę Husn wstającą i zdecydowanym ruchem wyciągającą pistolet z za paska.

– Na modlitwy damy wam czas przed egzekucją – powiedział niski cyngiel. – Lepiej mówcie...

– Kurwa! – wrzasnął wyższy z przestępców, udowadniając, że jednak potrafi mówić.

– Rzućcie broń, kmioty! – poleciła Sekmet.

Zazwyczaj głos prawdziwej księżniczki starczył, aby sparaliżować wolę plebejuszy. Ale jednym z uroków demokratycznej ery był zupełny zanik naturalnego wyczucia prawdziwej władzy u nowych ludzi. Mafiosi byli też nieco pijani, akustyka pod mostem Gdańskim również zawodziła, a w dodatku górą przejeżdżał pociąg. Dlatego niższy z cyngli odwrócił się, strzelił i dopiero potem puścił pistolet pod wpływem rozkazu. Trafił Sekmet w wątrobę. Jak już wspominaliśmy, i taka rana nie była dla Egipcjanki groźna, ale do przyjemnych nie należała.

– Poddajemy się! – krzyknął cichy bandyta, widząc broń w dłoni pięknej mścicielki. Rozumiał, że głos otrzymał towarzysz Mauser i nie należało mu się sprzeciwiać. Dlatego też Sekmet strzeliła w niskiego cyngla.

Ćwiczyła władanie bronią palną praktycznie od czasu jej wynalezienia, dlatego umieszczenie gumowej kuli w kolanie wroga nie było dla niej problemem – nawet z przestrzeloną wątrobą. Gdyby huk pociągu już ucichł, zebrani mogliby usłyszeć trzask pękającej torebki stawowej. Niestety do ich uszu dotarł tylko przerażający ryk trafionego cyngla. Ten padł na ziemię i chwycił zdruzgotane kolano. Drugiego powalił brunet, uderzając go w tył głowy przecinakiem do metalu. Pod mostem zapadła niezręczna cisza, przerywana tylko chlapaniem Małego i Urbanowa.

– Ty żyjesz... – powiedziała ostrożnie blondynka.

– Tak, uciekajmy! – odparła Egipcjanka.

Podbiegła najpierw do leżącego na asfalcie dłużnika, wyciągnęła z torby dwie sztabki złota i wcisnęła mu w dłonie, mówiąc: – W cokolwiek wpadłeś, wygrzeb się. I zwiewaj, natychmiast. – Cherlawemu mężczyźnie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać, bo ruszył do razu w kierunku schodów na most. Następnie podeszła do Małego i kopnęła go w drugą nogę.

– Jeśli komukolwiek powiesz, następnym razem kula będzie ołowiana – powiedziała.

– Policja zaraz tu będzie – zawołała blondynka. – Pani Hammurabi, proszę z nami.

– Dobrze, ci trzej zajmą służby miejskie – przytaknęła księżniczka.

Brunet właśnie na dobre ogłuszył Urbanowa i wrzucił resztki gabloty do Wisły. Potem wrócił biegiem do ruszających kobiet. Nie zmieścił się już na siodełku, więc legł na przytroczonym wózku. Po chwili czuł już wszystkie katusze, znane Sekmet. Na szczęście, „całun ciszy” stłumił jego skargi.

Z kronikarskiego obowiązku dodał, że Cichy ocknął się chwilę później, a widząc szefa i współpracownika leżących w męczarniach na trawie, a także usłyszał dalekie syreny policyjne, postanowił działać. Dwóch mafiosów wsadził w rozbitą klatkę po gablocie, związał łańcuchem i wrzucił do Wisły. Potem chciał zbiec z miejsca, ale został zastrzelony przez warszawską policję. Co komu pisane...

* * *

A Agnieszka nie zwalniała. Skręciła ze ścieżki w ulicę (nauczona doświadczeniem włączyła już reflektory), pojechała Krasińskiego ku placowi Wilsona, a stamtąd ku alei Wojska Polskiego, do biura. Tymczasem Zygmunt leżał na przyczepie i ze zdumieniem obserwował coraz to nowe czerwone plamy, pojawiające się na ramie wózka. Po chwili zrozumiał, że źródłem lepkiej cieczy jest bok tajemniczej pasażerki. To otrzeźwiło detektywa. Dotychczas traktował piękną brunetkę jako coś w rodzaju iluzji, a w najgorszym razie mumię. Ale owa „mumia” krwawiła i to mocno. Kiedy zatrzymali się przed domem, zeskoczył z przyczepy i podbiegł do nieznamymej.

– Pani krwawi! – szepnął spostrzegawczy detektyw.

– To nic... muszę się przespać – odparła Egipcjanka. – Broń Boże nie wzywajcie pogotowia!

– Celestyna... – mruknął Zygmunt, ale przypomniał sobie, że jego była dziewczyna nie wróciła jeszcze z konferencji. – Jakiś lekarz musi...

– Pomóżcie mi iść – poleciła księżniczka głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Agnieszka opanowała strach i atak hemofobii, po czym złapała ramię Egipcjanki. Zygmunt chwycił z drugiej strony i ruszyli ku wejściu. Dochodziła druga w nocy, na szczęście o tej porze wścibscy sąsiedzi detektywa już spali. Wjechali starą windą na trzecie piętro i weszli od strony mieszkania. Trzypokojowe lokum detektyw podzielił na część mieszkalną oraz biurową, dzięki czemu do minimum ograniczył spóźnienia do pracy. Gdy nieudolnie włamywacze wchodzili do mieszkania, powitało ich mruczenie ślepego bazyliuszka oraz piszczenie magicznego alarmu. Pod pewnymi względami lokum w alei kryło nie mniej tajemnic niż ranna księżniczka.

Wprawnym ruchem dłoni Zygmunt sprzątnął stół, po czym rozłożył sterylne prześcieradło szpitalne. Miał ich pokaźny zapas (pamiątka po praktykach Celestyny), a wiedział jak ważne jest zachowanie czystości. Wyciągnął z szafy apteczkę oraz zestaw chirurgiczny, po czym zadrżał. Miał nadzieję, że do tej chwili wymyśli jakiś plan działania, ale nie udało mu się. Zaczął więc ostrożnie

rozcinać ubranie Egipcjanki.

– Możesz po prostu podciągnąć koszulę – zauważyła ranna.

– Pani, czy nie powinnaś być nieprzytomna? – zapytał podejrzliwie Zygmunt. – A zaraz nie będzie nam do śmiechu. Dla mnie to będzie pierwsza w życiu operacja, dla pani być może ostatnia... – Ona zaśmiała się, a krew ściekła jej z ust i buchnęła z rany. – Pani... leż spokojnie!

– Nie umrę – zapewniła. – A nawet, jak umrę, to za kilka godzin przywróci mnie zakłęcie. Wyciągnij kulę, oczyść ranę, zszyj i zobaczymy – poleciła, a Zygmunt nie mógł odgonić myśli, że Celestyna oddałaby wiele za takiego pacjenta.

Ale Celestyny nie było z nimi. Drżącymi dłońmi detektyw chwycił za chirurgiczne szczypce. Spojrzał błagalnie na Agnieszkę, ale ona pokręciła głową. Czasami Czująca potrafiła poprosić o pomoc duszę czyścową, szukającą ulgi w pomocy żyjącym. Ojciec Jan zwykle ganił takie próby, bo z duchami to różnie bywało i domniemany pokutnik mógł się okazać demonem. Jednak, na szczęście dla Agnieszki, pechowo dla Zygmunta, w pobliżu nie było żadnego nieboszczyka, a w każdym razie nikogo znajdującego się na chirurgii. Więc to detektyw zanurzył narzędzie w opuchłą ranę. Trafił na pocisk już za pierwszym razem, za trzecim podejściem wyciągnął ołów. Krwi wyciekło niewiele, ale i tak więcej, niż Zygmunt kiedykolwiek oddał PCK. Agnieszka zaczęła czyścić ranę, a samozwańczy chirurg przystąpił do najtrudniejszej czynności – szycia.

– Halo, wasza wysokość... – zagadnęła rozciętą pacjentkę. – Jeśli dobrze widzę, to wątroba została uszkodzona. Nie potrafię zszyć, gdyż to jest takie... galaretowate. – Była to idealna scena do horroru o polskiej służbie zdrowia, ale nikt detektywów nie filmował. Za to operowana wciąż udzielała medykom instrukcji.

– Zostaw wątrobę. Jeśli zerwane są naczynia krwionośne, które możesz złapać, zszyj krawędzie. Może przeciekać, ważne, aby leżało obok siebie.

Zygmunt mało co nie zwymiotował i zaraz pomyślał z podziwem o Agnieszce. Przystąpili do szycia płata mięśni i skóry. Egipcjanka znosiła operację nadspodziewanie dobrze, mimo braku jakiegokolwiek znieczulenia. Zygmunt miał nadzieję, że zaaplikowała sobie jakiś nadprzyrodzoną anestezję. Kilka razy przerywał pracę, widząc, jak zamyka oczy – sprawdzał puls i mówił coś do pacjentki. Ona się tylko uśmiechała. Kiedy skończył, powiedziała cicho.

– Zaraz zacznę się regenerować. Mogę nie okazywać znaków życia przez kilka godzin... może dobę. Nie grzebcie mnie, nie zawiadamiajcie policji ani pogotowia. Pilnujcie mnie, bo oni mogą nas znaleźć. – Nie udzieliła już dokładniejszych instrukcji na temat swoich prześladowców, ale odpłynęła do krainy Morfeusza, zostawiając detektywów z pytaniami, wyciągniętą kulą oraz niewiarygodnie zakrwawioną podłogą.

A kilka kilometrów od nich, na parkingu przed Muzeum Narodowym, stało kilkanaście wozów policyjnych w akompaniamencie syren, oświetlając na jasnoniebiesko szary budynek. Krawężnicy, detektywi i członkowie ekipy śledczej wciąż szukali drogi ucieczki włamywaczy. Dlatego sam parking, błyskający

kogutami, był pusty. Zapewne policjantom umknął też widok samotnej furgonetki, stojącej przy parkometrze. Niepozorny starszy człowiek w garniturze podszedł do samochodu i zapukał w zaciemnioną szybę.

– Szilem, bracia – powiedział przybysz. – Operacja odwołana. Diademu nie ma na terenie muzeum.

– Znajdziemy go sami, profesorze – odpowiedział spokojnie kierowca. – Bractwo jest ci wdzięczne. Wracaj do domu, unikaj uwagi. Wezwiemy cię, gdy przyjedzie pora.

– Tak, bracie – powiedział docent Juszczyk, skłonił się ogorzałemu człowiekowi w furgonie i ruszył w kierunku przystanku autobusowego.

* * *

Jerzy Wawelski biegł ostrożnie. W tym samym stopniu dbał o ciszę, jak obawiał się o nogę. Kończyny nie wykurował do końca, a operacja przeprowadzona przez półślepego księdza nie mogła wiele pomóc. Dlatego skradał się, niemal pijany od środków znieczulających, w dodatku niosąc ciężki plecak z zapasami. Nie wiedział, jak długo potrwa jego podróż i czy ze swojego nietypowego wehikułu wysiadzie w Warszawie, Orzyszu czy też Guantanamo. Jednak musiał spróbować.

Ludzie McNeila byli sprawni, ale nie wszechmocni. Do bazy przedostał się z transportem krów, zczekał do zmroku, po czym wyszedł z przyczepy i ruszył wzdłuż blaszanych ścian baraku. Na szczęście nie spotkał ani amerykańskiego żandarma, ani polskiego żołnierza. Gdyby wpadł na strażnika, doszłoby do walki. Po takich szamotaninach na terenie baz wojskowych często zostawały trupy, a Smok nie chciał ani zabijać, ani – tym bardziej – być zabitym.

Niespostrzeżony kuśtykał do garażu. Podbiegł do serwisowanego Rosomaka, otworzył go zabranym ze stróżówki kluczem. Wrzucił do środka plecak, a potem zaczął szukać potrzebnych zapasów. Szybko znalazł stertę baniaków z wodą i pożyczył trzy pięciogalonowe baryły. Powinien był się tym zadowolić, ale nie udało mu się – złapał za skrzynię pocisków i zaczął załadowywać transporter. Kiedy nasycił już atawistyczną amunicyjną żądzę, powiesił na burcie wyjęty z kieszeni kwit.

[Pojazd bojowy 12/AA475. Do transportu, kraj. Cel. Przez.: Baza Techniczna. Cytadela Warszawska]. Oznajmiał papier ciemnościom garażu.

* * *

Gdyby Egipcjanka spała kilka godzin, Zygmunt nie martwiłby się. Gdyby jej stan utrzymał się jedynie do rana, również wytrzymałby to w spokoju. Ale Sekmet otworzyła oczy po ponad trzydziestu godzinach regeneracji. Detektyw zdążył przez ten czas posprzątać, przespać się, łącznie dziesięć godzin, oraz wpaść w szał. Zygmunt nie lubił nie wiedzieć, a nie miał pojęcia, co robi na jego kanapie podziurawiona ogniem broni samopowtarzalnej piękność sprzed pięćdziesięciu wieków, ani kto zamierza ją znaleźć. Toteż gdy wreszcie zauważył u Egipcjanki

pierwsze oznaki świadomości, fuknął z irytacją, która nigdy nie powinna dotrzeć do uszu koronowanej głowy.

– Dzień dobry – powiedziała Sekmet. Słowa wypowiedziała w staroegipsku, więc Zygmunt nie zareagował z należytym taktem. – Przepraszam, dzień dobry – powtórzyła, tym razem mową Mickiewicza. – Bardzo mi przykro z powodu tej całej maskarady, ale jeśli odnowiłabym całe ciało, oni by mnie znaleźli.

Ostrożnie podniosła się i spuściła nogi na podłogę. Zygmunt odzyskał panowanie nad sobą i aby nadrobić jakobiński nietakt, przykląkł przed Sekmet, skłonił głowę i powiedział ostrożnie.

– Witaj, Pani. To nam wybacz tę karygodną porażkę sprzed dwóch dni. Nigdy nie mieliśmy zamiaru budzić cię... – Przerwał mu śmiech Egipcjanki. – Pani?

– Boże, chyba nie zrozumieliście zbyt wiele – oceniła księżniczka. – A ale zacznijmy od podstaw. Nazywam się Sekmet Meni Dorota Ungern von Sternberg i jestem regentką Górnego i Dolnego Egiptu, księżną Babilonu oraz generałem Armii Abisyńskiej i... – Tu przerwała, ponieważ wymienienie wszystkich przysługujących jej tytułów byłoby nie tyle nużące, co wręcz odwlekłoby znacznie śniadanie. Dzień wstawał powoli, znacznie chłodniejszy niż poprzednie. Sekmet podała dłoń wciąż klęczącemu Zygmuntowi, a ten pocałował ją delikatnie. – Powstań, szlachetny wojowniku i marny włamywaczu – poleciła. – Dziękuję za pamięć o moich godnościach, ale do czasu wykonania zadania tytułuj mnie tylko Sekmet, a przed władzami Doroto Meni. Gdzie twoja towarzyszka?

– Śpi, Pani – odparł Zygmunt, wstając ostrożnie. – Czuwała nad tobą.

– Jestem wdzięczna i jej, i tobie... jak ci na imię?

– Zygmunt Wietrzyk, Pani – powiedział detektyw, ale w tej samej sekundzie zadzwonił telefon komórkowy, leżący na stoliku. – Pani, to magiczny...

– To twoja komórka – przerwała mu księżniczka. – Lepiej odbierz, może to ważna sprawa. – Regentka Górnego i Dolnego Egiptu miała rację. Gdy Zygmunt podniósł telefon i wcisnął przycisk, usłyszał dobrze sobie znany i zniechęcający głos.

– Zygmunt? Kaca masz, że nie odbierasz? – zapytał Jerzy Wawelski.

– Jest piąta nad ranem – odburknął detektyw. – A skąd dzwonisz? Miałaś się ukrywać przed Irakijczykami i Amerykanami?

– To przeszłość. Wracam do kraju – odparł pogromca. Ze słuchawki wydobywał się łomot, jakby rozmówca leciał samolotem, a w dodatku objął się w blaszanym pudle po ładowni pojazdu. Później Zygmunt ocenił, że to wrażenie nie odbiegało daleko od rzeczywistości. – Trochę mi to zajmie, ale musimy pogadać. Ten diadem...

– Za późno, obudziliśmy ją! – szepnął po starogrecku detektyw, nie wiedząc, że w ten sposób niewiele ukryje przed Sekmet.

– Kogo? – zapytał w tej samej mowie Smok.

– No... ją! Ma diadem.

– Mówisz o ostrzyżonej na Kleopatrze lasce z zielonymi oczami? – upewnił się Wawelski.

– Cichaj, profanie, to regentka Górnego i Dolnego Egiptu! – zawył Zygmunt.

– Tia... daj mi ją do telefonu – polecił Jerzy.

Warszawski monarchista był tak zdumiony bezczelnością prośby, że ją spełnił. Podszedł do Egipcjanki, podał jej telefon, skłonił się i cofnął. A oni rozmawiali przez chwilę po polsku i arabsku, acz nie z obawy przed słuchaczem, a z elegancji. Arabskie nazwy własne brzmiały fatalnie po polsku, więc księżniczka otaczała je odpowiednim kontekstem filologicznym. W końcu roześmiała się i przerwała połączenie.

– Proszę – podała Zygmuntowi telefon. – Twój przyjaciel zaryglował się w kołowym transporterze opancerzonym i leci do polskiego serwisu. Nic mu nie będzie, o ile Rosomak nie pójdzie bezpośrednio na przemiał. Z pewnością nie złapią go celnicy. Poza tym powiedział mi dość zabawną rzecz. Ty chyba wciąż nie rozumiesz, co się stało...

– Pani, ja jestem winien! Nie chciałem przerywać twojego snu! – Zygmunt znów padł na kolana, ale Sekmet położyła mu dłoń na ramieniu i delikatnym gestem podniosła.

– Żyjemy w przeklętych czasach, gdzie szlachetna krew nie może i nie powinna liczyć na specjalne względy. Poza tym jesteśmy teraz wojownikami jednej sprawy. Mów mi Sekmet, proszę – poleciła księżniczka. – Aha, i gdybyś o tym nie wiedział, wcale mnie nie obudziliście. Z pewnymi przerwami żyję już pięć tysięcy dwieście trzydzieści lat. Włamywałam się po diadem, kiedy mnie nakryliście. – Zygmunt wyraził mimiką swoją bezradność intelektualną. – Ale nic się nie stało. Jerzy Wawelski zwany „Smokiem” powiedział, że działacie z upoważnienia ojca Jana Krendowskiego i... cóż, ponoć wiecie, co robicie. A teraz obudź swoją przyjaciółkę. Mam wam wiele do powiedzenia.

Pół godziny później siedzieli już przy wczesnym śniadaniu (lub – dla niektórych – spóźnionej kolacji). W biurze nocowała też Celestyna, wezwana od razu po przyjeździe do Warszawy. Studentka medycyny z początku skłęła Zygmunta do żywego, ale potem z zainteresowaniem przejęła przypadek kuloodpornej pacjentki w wieku piramid. Oczywiście nie wierzyła, że Sekmet jest naprawdę egipsko-babilońską księżniczką, ale obserwowała zrośnięcie wątroby. Uznała nową przyjaciółkę Zygmunta za niezwykle, choć możliwy do wytłumaczenia fenomen medyczny. Dlatego też przy śniadaniu ciekawie obserwowała bok Sekmet. Wpatrywała się w świeży opatrunek bez krępacji i niemal ciągle. Dla porównania – Zygmunt pozwalał sobie na bluźniercze podziwianie dekoltu Egipcjanki znacznie rzadziej (i czując z tego powodu gorące wyrzuty sumienia). A Celestyna tylko podawała kawę, bułeczki i masło, po czym robiła notatki, nieco tylko zirytowana, że Zygmunt nie wpatruje się w jej dekolt, kiedy wreszcie (po raz pierwszy od dwóch lat) ma ochotę mu na to pozwolić.

– Jak tylko coś cię zaboli, mów. Zrobię zdjęcie skanerem Jurka – powiedziała przyszła lekarka, marząc nieśmiało o operacji zwiadowczej.

– Oczywiście, moja droga – zgodziła się księżniczka, nie mając za złe demokratycznego spoufalenia. Potem zaś wróciła do przerwanej opowieści. – Podsumowując, kiedy znalazłam sposób na zniszczenie diadem, zaczęłam go szukać. Przez ostatnie lata lokalizowałam artefakt i uczyłam się poruszania

w waszym świecie. I wreszcie mi się udało... z waszą pomocą. Teraz, jak Bóg da, odpocznę kilka dni, znajdę odpowiedni węzeł mocy i wreszcie zniszczę zaklęcie. Wy musicie mnie pilnować do tego czasu.

– Ale... co się z tobą stanie, kiedy przerwiesz urok? – zapytała Agnieszka. – Bardzo możliwe, że znikną wszystkie efekty pierwotne i zaczniesz się starzeć.

– Nie, tak się raczej nie stanie – odparła Sekmet, a Zygmunt odruchowo uśmiechnął się. Szkoda by było. – Sądzę, że umrę w kilka godzin po rozproszeniu zaklęcia.

– Co takiego? – jęknął detektyw. – Pani... to jest Sekmet, tak być nie musi. Był tu ojciec Jan, który orzekł, że czar nie ma żadnego znamienia demonicznego. Jeśli myślisz, że twoje życie to grzech wobec kosmicznej równowagi, sprawiedliwości świata...

– Wyrosłam z tego – przerwała mu Egipcjanka. – I nauczyłam się zwracać losowi z nawiązką za wszystkie łaski, które mnie spotkały. Chciałabym żyć, ale nie za wszelką cenę. Wiem, jakie niebezpieczeństwo przynosi do współczesnego świata to istnienie mojego diademu. Można z jego pomocą ożywić niemal każdego, w tym wojowników Zachodu... – Widząc, że rozmówcy odmawiają przyjęcia zbyt wielkiej ilości detali, zrezygnowała z kolejnego wątku. – Nieważne. Ważniejsze jest, abyście nie dopuścili do przejęcia diademu. Tylko zniszczenie artefaktu i złamanie zaklęcia gwarantuje ten skutek. Pogodziłam się z tym już dawno. Przeżyłam aktywnie prawie cztery tysiące lat i jestem z tych wieków bardzo zadowolona. Ale też zmęczona. Widziałam zbyt wiele, aby spać spokojnie co noc.

– Tak technicznie zapytam. Jesteś egipską księżniczką, która żyła pięćdziesiąt trzy lub trzydzieści siedem wieków, zależy, czy liczyć uśpienie pod piaskiem... – Sekmet skinęła głową. – I umiesz korzystać z komórki? – Egipcjanka znów potwierdziła. – A ilu miałaś mężów?

– Cela, to niegrzeczne pytanie... – skarciła siostrę Agnieszka.

– Siedemnastu – odparła spokojnie krewna faraonów. – I żadnego się nie wstydzę, choć o moim Romanie napisano wiele bzdur.

– To jakiś rzymski cesarz? – drążyła temat przyszła lekarka.

– Mówię o baronie Ungern von Sternberg, moim ostatnim mężu – odparła Sekmet. – Był rosyjskim generałem, białym dowódcą w wojnie domowej i Wielkim Chanem, który zwołał buddyjską krucjatę przeciwko rewolucjonistom. – Po czym dodała ciszej. – Ale wierzę, że się nawrócił, zanim go rozstrzelali.

– A, Krwawy Baron! – Celestyna kiedyś czytała Ossendowskiego. – Agnes, to dopiero dobre. Ożeńmy naszego Zygusia z faraonką i będzie powinowatym swojego idola... A na dodatek dostanie do domu prawdziwą księżniczkę.

– Wybacz jej te brednie – Zygmunt szepnął Sekmet do ucha. – Ona myśli, że nie istniejesz... To znaczy uważa, że zmyślasz, a wątroba ci się zrosła przypadkiem. – Egipcjanka skinęła głową.

– Dobrze, poczekamy z godzinę, kiedy układ pokarmowy będzie najbardziej obciążony, a wtedy przeprowadzę badania – zapowiedziała Celestyna. – Ale teraz, robaczki, muszę się pouczyć i to bynajmniej nie o Gilgameszu. Ciao! – Była bardzo

zdeenerwowana, że Zygmunt nie pożegnał jej tęsknym wzrokiem. „Niedoczekanie!” – pomyślała. „Jakaś zdzira z rozdwojeniem jaźni będzie podrywać mojego byłego”.

* * *

Choć nie wygląda to dostojnie, członkowie starożytnych bractw też korzystali z komunikatorów internetowych. Obecni w Polsce trzech obywatele zapomnianego Kraju Zachodu oraz pięciu znaczniejszych braci służebnych rozpoczęło wideokonferencję. Zwołał ją Beryl, po sugestii Juszczyka. Historyk z Muzeum Narodowego już od dawna pracował z dostojnym obywatelem i choć sam nie posiadał za grosz talentu, rozumiał myślenie magiczne i okazywał się wielce użyteczny.

– Bracia, Siostry... – powitał zgromadzonych przed komputerami spiskowców Beryl. Siostrę mieli tylko jedną, za to starożytną obywatelkę Niobe. Beryl nie znosił współczesnych języków, a polski wydawał mu się szczególnie obmierzły. Nie lubił wymawiania dawnych pseudonimów obywateli wedle nowego stylu, tłumacząc starożytne nazwy pierwiastków na angielski lub polski. – Musiałem porozmawiać z wami w ten barbarzyński sposób, ale nasze starania się... skomplikowały. Diadem jest w Warszawie, wódz dotrze lada dzień. Jednak nie udało nam się przejąć kontroli nad klejnotem. Niobe, Irydzie – musicie czuwać. Jeśli ta przekłeta Mani użyje zaklęcia odnowienia, zlokalizujecie diadem. A wy, bracia służebni, musicie szukać Egipcjanki tradycyjnymi sposobami. Jeśli ma przy sobie obiekt, odbierzcie. Jeśli nie ma... uszkodźcie jej ciało, a wtedy magia powie nam, gdzie szukać.

Następnie rozdzielili szczegółowe zadania. Wbrew wszelkim pozorom uczestniczenie w starożytnym, tajnym sprzysiężeniu jest jako takie niezwykle nudne. Tylko czasem nadciągają wydarzenia ważne. Gwiazdy osiągają właściwy układ, nadchodzi równa data jakiegoś strasznego wydarzenia lub – tak jak owego września – ostatni obywatele zapomnianego państwa byli o krok od ożywienia swojego przywódcy i przywrócenia chwały sprzed Potopu. Beryl czekał na ten moment dłużej, niż pamiętał. Urodził się stulecia po upadku, ale rodzice przekazali mu wszystko, to wiedzieć musiał o antycznym domu. Tułał się po świecie od kilku wieków, ale i on się starzał, gdy zawodziła magia i technologia Zachodu. Bardzo chciał widzieć powrót wodza, a i wiecznym życiem w odnowionych miastach by nie pogardził. Beryl czuł, że obywatele wyrwali Bogu drugą szansę i tym razem nie dadzą się zbyć byle potopem.

* * *

Na drugi dzień po wybudzeniu Sekmet, Celestyna mogła wydać ostateczną opinię: domniemana Egipcjanka była zdrowa. Oczywiście niedawna rana na boku osłabiała ją, ale nie groziła nagłym otwarciem czy zapaleniem. Zygmunt na tyle starannie zszyl postrzał, że choć nie potrafił tego ocenić, wykonał dobrą robotę.

Pacjentkę oglądał też inny lekarz, ten duchowy. Ojciec Jan odebrał spowiedź księżniczki, odegnał jej wątpliwości, a także polecił czekać. Zdobycie potrzebnych w rytuale przełamania zaklęcia składników wymagało czasu, a także dyspensy, którą jezuita musiał wyprosić w Watykanie, bardzo krętymi ścieżkami. Niewidzialny świat znajdował się z boku boskiej drabiny bytów. Detektywi paranormalni zajmowali się magią świata, swego rodzaju „technicznymi furtkami beta testerów”, jak o mocy mówił zakonnik. Ojciec Jan swego czasu jasno określił zadania i pole działania podopiecznych. Mieli łapać pogańskie bożki poza rezerwatami bytów niezrzeszonych, tropić wampiry i przeszkadzać ludziom w robieniu krzywdy bliźnim istniejącymi jeszcze artefaktami i zaklęciami. W sprawach potępienia oraz zbawienia, wszelkiej działalności demonicznej i profetycznej detektywi ustępowali pola konsekrowanym zawodowcom. Ale często poszukiwacze tajemnic działali na szarym pograniczu. Jak traktować odwiedziny dusz czyścowych, czasem dopuszczanych do niewidzialnego świata? Albo sytuację taką jak ta – zapomnianą zagadkę starożytnego Egiptu, przez przypadek wciśniętą w dłoń dwudziestopierszowiecznych amatorów? Ojciec Jan zdecydował, aby Wars i Sawa pomogli Sekmet, jak mogą. On zajmie się przygotowaniem rytuału i modlitwą za powodzenie przedsięwzięcia. Zygmunt odciągnął nauczyciela na bok i delikatnie zapytał o konsekwencje zdjęcia zaklęcia.

– Cóż, ona umrze, to raczej oczywiste – odparł duchowny. – Tylko magia dawnego Egiptu utrzymuje ją przy życiu. Od czasu Pana Naszego znacznie skurczyła się lista dozwolonych węzłów niewidzialnego świata. Gdyby można było założyć nowe zaklęcie, to... cóż, znalazł byś sposób na zapewnienie nieśmiertelności całej ludzkości. Ale na szczęście to niemożliwe. Zaklęcie odnowienia to jak produkt z bardzo długą gwarancją. Po upadku producenta jego spółka-matka przejęła zobowiązania serwisowe. Jednak złamanie warunków pierwotnej umowy natychmiast ją rozwiązuje. W teorii istnieje możliwość, że Sekmet przeżyje jeszcze kilkadziesiąt lat, pozostałych jej z ludzkiego życia, ale niezwykle mało prawdopodobne. Nawet ona sama na to nie liczy. Pięćdziesiąt wieków to dość dla każdego. – Widząc smutek na twarzy ucznia, ojciec Jan dodał. – Ale póki co, ona żyje. I jako żywą należy ją traktować.

Następnym problemem do rozwiązania było złożenie diademem w kryjówce. Agnieszka zaproponowała sejf zagranicznego banku, ale wycofała się z pomysłu, słysząc o zastrzeżeniach Sekmet. Gdyby księżniczkę spotkała nieszczęśliwa przygoda i zaklęcie musiałoby zadziałać, dziewczyna zostałaby przywrócona do życia w szwajcarskim sejfie. Egipcjanka raz przećwiczyła żywcem pogrzebanie i choć przerwała je w dobrym zdrowiu oraz w pełni władz umysłowych, nie chciała powtarzać doświadczenia. Bank był też kryjówką oczywistą, znajdującą się zapewne wysoko na liście priorytetów tajemniczych „magów”, o których wspominał Wawelski. Ostatecznie postanowiono nie ukrywać diademem, ale zostawić go na głowie Sekmet. To księżniczka miała się zbyt nie eksponować.

– Dwa dni jeszcze poleżysz w łóżku – zdecydowała Celestyna. – Potem rób, co chcesz, choć nie polecam strzelanin.

* * *

W sesji wrześnieowej Zygmunt zaliczał tylko jeden egzamin – gramatykę historyczną średniej greki. Sekmet była dla niego darem niebios. Księżniczka mieszkała w Konstantynopolu Komennów, póki nie ruszyła do Ziemi Świętej z pierwszą krucjatą. Filolog powstrzymywał jednak ciekawość i przede wszystkim uczył się języka. Dzięki jedynemu w Warszawie native speakerowi martwego języka zaliczył na piątkę i rozpoczął wakacje. Wolny czas wykorzystał na zaznajamianie Sekmet ze współczesnym światem.

No dobrze – bądźmy szczerzy, tak tylko mówił Agnieszce. W rzeczywistości detektyw ze współczesnymi formami rozrywki był raczej na bakier. Egipska księżniczka umiała posługiwać się komputerem, strzelać z broni palnej i dokonywać przelewów bankowych, a resztą wynalazków dwudziestego pierwszego wieku raczej gardziła, w czym bardzo przypominała Zygmunta. Dwójka nieprzystosowanych mieszkała w domobiuurze w alei Wojska Polskiego, gdzie księżniczka rozstawiła swoje laboratorium. Detektyw przyglądał się jej pracom z ciekawością, ponieważ dowiedział się, że krystomancja nie wymaga magicznego talentu.

– Struktura krystaliczna oznacza stały układ, porządek i niezmienność. W kryształach zastygają prawa wszechświata – tłumaczyła Sekmet, rozpuszczając sól w słoiku. – Oczywiście lepiej i godniej byłoby użyć kamieni szlachetnych, ale ponieważ nie mamy wiele czasu i oszczędzacie pieniądze, zadowolimy się chlorkiem sodu. Kryształ to kryształ. Dziś sporządzimy kilka tarcz i całun niewidzialności. Zapewne znasz działanie tych zaklęć, widziałeś, jak je tka Agnieszka. Ale ona korzysta z mocy żywiołów, co ma swoje zalety, ale i wady. Moja magia jest może bardziej pracochłonna, ale technicznie łatwiejsza i bardziej elegancka.

Zygmunt miał nadzieję, że czar odpychający pociski i zatrzymujący fale uderzeniową eksplozji mu się nie przyda, ale nie pogardził niewidzialnością. Oczyma duszy widział siebie, wymykającego się do ksero z Gabinetu Starodruków, oczywiście z cennym woluminem pod pachą. Kryształy detektywa wyrosły szybko i były nie najgorsze, choć – nawet jak na kruche solanki – bardzo nietrwałe. Dwa pierwsze zjadł im bazylierek, od razu zniknął i szukali go całe popołudnie.

Wieczorem poszli do klubu, a właściwie zostali tam zaprowadzeni przez Agnieszkę. Ta zabrała Błażeja, Celestynę oraz kazała przyjść detektywowi i Egipcjance. Był to modny lokal przy modnej ulicy w centrum Warszawy. Zapłacili za wejście, ale Sekmet nie pozwoliła, aby ochroniarz odcisnął jej stempelek na przedramieniu. W środku zastali już czekających przyjaciół. Księżniczka nie lubiła miejsc zabaw plebsu, przynajmniej z perspektywy innej niż oficjalna trybuna, więc mimo starań Agnieszki, trzymała się blisko Zygmunta. Nieziemsko irytowało to Celestynę. W dodatku przyszła lekarka wręcz kopnęła pod stołem siostrę, kiedy ta oznajmiła Błażejowi, że tajemnicza studentka z Egiptu jest dziewczyną Zygmunta. W rezultacie trójka z piątki naszych znajomych

przeżywała na wieczornym spotkaniu katusze, typowe dla miejsca masowej rozrywki.

W pewnym momencie Sekmet zaproponowała Agnieszce założenie sfery ciszy nad ich stolikiem. Na szczęście muzyka na tyle zagłuszyła jej słowa, że Błażej nie zrozumiał pytania. Widząc brak zaangażowania przyjaciół, Czująca chciała zmusić ich do tańca. Na szczęście nie musiała. Zadzwoił Jerzy i wybawił ich wszystkich z kłopotów.

– Co mówiłeś? Nie słyszę! – Zygmunt przekrzykiwał się z szumem klubu. – Czekaj, wyjdę na zewnątrz i porozmawiamy.

– Mówiłem, abyś był cicho! – szeptał Wawelski. – Siedzę okrążony w bazie remontowej i boję się dekonspiracji. – Skoro pogromca kontynuował rozmowę, znaczyło to, że nikt jeszcze nie zainteresował się rykami i synkopową muzyką dochodzącą z zamkniętego Rosomaka. – Teraz słuchaj uważnie, bo kończy mi się bateria i pieniądze na koncie. Jestem zamknięty w wozie bojowym. Nie otworzę go ze środka, nie uruchamiając alarmu. Musicie mnie wyprowadzić z Cytadeli.

– To nie może poczekać? – zapytał Zygmunt. – Jesteśmy na mieście...

– Nie może! – odparł zimnym głosem Jerzy. – Nie wychodziłem z tego wraku od trzech dób, a kończą mi się już foliowe woreczki na... no, nieważne. Zabierz Agnieszkę i włamcie się do koszar. – Detektyw nie uważał, aby zadzieranie z armią było najlepszym sposobem na spędzenie sobotniego wieczoru, ale oceniał tę rozrywkę o stopień wyżej od przesiadywania w klubie „Lansik”.

– To klient – oznajmił przyjacielom Zygmunt. – Błażeju, odprowadzisz do domu Celestynę? Musimy się zająć pracą. Pozwolisz, że pożyczę od ciebie Agnieszkę... – Ten spojrział podejrzliwie na detektywa, ale wtedy przypomniał sobie, że Sekmet jest dziewczyną Zygmunta, więc uśmiechnął się i nie zgłaszał sprzeciwu. – Dobrze, możemy ruszać?

Nie mogli, ale ruszyli. Do klubu poszli w strojach mało bojowych, dobrze chociaż, że w miarę ciemnych. Agnieszka i Sekmet sprawiły sobie bynajmniej niebojowy makijaż, założyły obcisłe i niepomagające w gwałtownych ruchach sukienki, a na okrasę wybrały się na miasto w szpilkach. Czoło księżniczki ozdobił piękny i błyszczący (przez co nieułatwiający kamuflażu) diadem. Sportowa marynarka Zygmunta wyglądała w tych okolicznościach na idealnie dobrany mundur polowy. Już jadąc tramwajem, detektyw z przerażeniem zauważył, że w torebce Egipcjanki błyska lufa pistoletu.

– Masz broń? – wyjęczał.

– Tak. Mój nierejestrowany mauser – odparła. – Wiem, że nie zamierzamy strzelać, ale wychodzę z założenia, że jeśli żołnierze nas złapią, nie będą szanować więźnia, któremu nie odebrali broni.

– Jak wniosłaś to do klubu!?

– Myślisz, że pozwoliłam tym kmiotom grzebać w mojej torebce? – obruszyła się egipska księżniczka.

Wysiedli przy Zajęczka i ostatni fragment trasy przeszli między budynkami Starego Żoliborza. Nie mieli planu (jak zwykle), nie wiedzieli nawet czego Jerzy od nich oczekuje. Wawelski zadzwonił dopiero po północy. Jego żądania były

jasne i niepokojące. Zygmunt zmienił zdanie – wolałby już siedzieć w klubie, zamiast dokonywać tak nieprzemyślanego włamania.

– Dobrze... – powiedział niepewnie. – Jerzy chce, abyśmy otworzyli mu bramę główną, a potem, jak najszybciej, znaleźli się przy garażach, gdzie Agnieszka rzuci na Rosomaka strefę ciszy. Nie wiem, po co mu otwarte wrota, ale mniemam, że chce wyważyć drzwiczki transportera siłą i stąd oczekuje tłumienia dźwięków. Wydaje mi się, że powinniśmy przejść po tym akwedukcie...

Obiekt zwany dumnie „akweduktem” faktycznie osłaniał rury ciepłownicze, ale spełniał swoją rolę – wznosił się nad fosą i prowadził na blanki murów. Chodzenie po wąskim mostku nie było bezpieczne nawet za dnia, w nocy nabierało posmaku głupoty, a marsz w szpilkach mógłby zostać uznany za próbę samobójczą. Dlatego Zygmunt wziął w ramiona Sekmet i przeniósł ją nad fosą, myśląc jednocześnie, że prawdziwy gentleman raczej wynosi damy z opałów, a nie wnosi je w niebezpieczne miejsca. Księżniczka podziękowała, a detektyw wrócił po Agnieszkę. Kiedy już cała trójka stała na murach, Egipcjanka skończyła wyginać pręty ogrodzenia. Nie sposób było orzec, czy użyła krystamancji, czy też korbowego rozwieracza, który nosiła w torebce.

W ciepłą sobotnią noc strażę wykazywały się lenistwem, w czasach wojny godnym batalionu karnego. Tylko psy przykładały się do warty, ale Sekmet szybko uspokoiła trzy dobermanów. Nie użyła magii, po prostu zdarzyło się jej w życiu wiele razy obchodzić z psami. Na dodatek w torebce miała kilka kabanosów.

– Pistolet, lewarek, kiełbasa – wyliczyła Agnieszka. – Zawsze chodzisz na imprezy wyposażona w ten sposób?

– Długie życie nauczyło mnie ostrożności – powiedziała Egipcjanka. – Zawsze mam przy sobie broń, kompas, zapalniczki oraz żywność na kilka dób. Tak na wszelki wypadek, gdybym musiała nagle uciekać.

– To dlaczego nie zabrałaś wygodniejszych butów? – przytomnie zapytała detektywka.

– Te szpilki można zmienić w znośne papucze, jeśli oderwie się obcas – odparła Sekmet. – Ale ponieważ są prezentem od ciebie, wolałabym ich nie niszczyć.

Dotarli do garaży. Wbudowane w ziemny wał hale nie były zamknięte, ale strzegł ich pojedynczy strażnik. Z westchnieniem Sekmet sięgnęła do torebki, wyciągając kryształ niewidzialności. Chwyciła Agnieszkę i Zygmunta, przysunęła ich do siebie i zgmiotła solny wisiołek. Powietrze zafalowało i cała trójka stała się niemal niewidoczna w ciemnościach. Potem ruszyli ku bramie, bardzo powoli. Właściwie nie skradali się, ale dziewczyny wolno chodziły na szpilkach. Minęli strażnika, weszli do środka. W garażu technicznym stało kilkanaście wozów, ale tylko jeden transporter opancerzony. Agnieszka natychmiast przystąpiła do dzieła. Jej włosy zaiskrzyły, a usta zaczęły poruszać się w cichych inkantacjach. Włamywaczy owionął zimny powiew, ale szybko skierował się ku Rosomakowi. Sfera ciszy została rzucona. I chyba dlatego żadne z nich w porę nie dostrzegło niebezpieczeństwa.

– No, ciekawe, jak to Smoku zrobi... – szepnęła Zygmunt. – Może... o kur... –

jęknął i uskoczył w bok.

Po drodze popchnął Agnieszkę i Sekmet, przesuwając je na bezpieczną odległość. A rozpędzony transporter przeskoczył tuż obok nich.

Wawelski wcale nie chciał rozłupać wjazdu do wozu, a wyjechać transporterem i dokonać dzieła zniszczenia w bezpiecznym miejscu. Zresztą kto wie, może spodobał mu się pojazd? Czując, że jest objęty zaklęciem ciszy, uruchomił silnik i wyjechał z hali. Brama do garażu (tak samo jak brama główna) była zamknięta. Jerzy uznał, że jego przyjaciele otworzyli wrota, a na miejscu postawili maskującą iluzję. Kiedy uderzył w przeszkodę, gwizdnął pod nosem z podziwu – Agnieszka nauczyła się stawiać niezwykle realistyczne złudy. Rosomak – w wymuszonej magią absolutnej ciszy – popędził ku wyjazdowi z bazy, staranował wrota przed mostem i zniknął ze sceny. A Agnieszka, Sekmet i Zygmunt zostali na miejscu, z dwiema rozbitymi bramami i zaspanym, ale już zdrowo wściekłym strażnikiem.

– Ja pier... – jęknął szeregowy Palach. – Ktoś mi tu jest krewny drzwi.

Żołnierz nie zauważył, ani nie usłyszał zniknięcia Rosomaka, widział za to smętnego mężczyznę i dwie atrakcyjne dziewczyny na wysokich szpilkach stojących obok zwalonej bramy. Wysnuł z tego obrazu jedyny z możliwych wniosków. Wyciągnął pistolet i krzyknął.

– Ręce do góry! Na ziemię! – potem jednak dodał. – To znaczy, jeśli się kładziecie, nie musicie już trzymać rąk w górze. – Jednak mówił do pustego garażu. Pogromcy bram ruszyli do ucieczki.

Działali rutynowo – Wars i Sawa mieli znaczne doświadczenie w uciekaniu z zamkniętych obiektów. Zygmunt krzyknął na Sekmet, po czym podniósł Agnieszkę i ruszył w głąb garażu. Czująca zaś znieruchomiała, tkając skomplikowane zaklęcie. Pytała żywioł ziemi, z którego zbudowana była twierdza, gdzie iść, którądy uciekać. Do uzyskania dokładnej mapy potrzebowała pełnego skupienia.

– Za mną! – krzyczał detektyw. – Muszę ją osłaniać.

Egipcjanka zgniotła kolejny kryształ niewidzialności. Rychło w czas. Zygmunt trzymał w ramionach Agnieszkę i szukał kryjówki za stojącymi pod ścianą wozami. Tymczasem strażnik stracił cierpliwość. Nie zamierzał zabijać intruzów, ale przestraszenie pijanych gości (za takich uznawał włamywaczy) uznał za dobry pomysł. Zdjął z ramienia pistolet maszynowy i wycelował w sufit nad uciekinierami. Sekundę później zrozumiał, że leży na ziemi.

W ciągu swojego długiego życia Sekmet poznała tajniki wielu sztuk walki. Jednak tego wieczora niewidzialna, ale w obcisłej mini oraz szpilkach, użyła łatwiejszego sposobu. Zdzieliła wojaka łyżką do opon w brzuch – na tyle zręcznie, aby nie uszkodzić go na stałe i na tyle mocno, by posłać na ziemię. Złapała jego broń i ruszyła biegiem ku ścianie. Oczywiście nawet starożytna magia nie była w stanie okiełznać grawitacji – jej podwyższone na obcasach nogi straciły przyczepność, a Egipcjanka runęła jak długa. Po kilku sekundach poczuła, że podnosi ją Zygmunt i razem gdzieś biegną.

– Agnes, prowadź! – rozkazał detektyw.

Od tego momentu ucieczka stała się prostą formalnością. Czująca miała

w głowie dokładny plan kompleksu Cytadeli i biegła, nawet nie myśląc o trasie. Tuż za nią pędził niosący zakrwawioną Sekmet Zygmunt. Zeszli schodami na pierwszy poziom piwnic, po czym rozplłynęli się w labiryncie dziewiętnastowiecznych korytarzy. Skręcali, wchodzili i schodzili pozornie bez celu, ale w tym szaleństwie tkwiła metoda. Zakłęcie drogi działa znacznie lepiej od nawigacji satelitarnej i nigdy nie doradzało przejścia nieistniejącymi drzwiami lub przeskoczenie trzymetrowego muru. Na powierzchni koszar wybuchł już alarm, ale żołnierze biegali w wojskowym chaosie, a uciekinierzy uchodzili w paniczno-magicznym zapamiętaniu. Po kwadransie znaleźli się już w otwartej dla zwiedzających części dla turystów. Tam mogli przystanąć.

– Nic ci nie jest? – spytał Zygmunt, patrząc na zakrwawioną twarz Egipcjanki.

– Złamany nos, ale przeżyję. Nawet nie uruchomię zakłęcia, jeśli ktoś mi go nastawi – odparła. – Ruszamy?

Wyszli bramą dziesiątą, uprzednio podgrzewając zamek. Potem ruszyli na północ, wzdłuż Wisłostrady. Sekmet szła już sama, choć niepewnie i Zygmunt prowadził ją pod ramieniem. O dziwo, najbardziej ociągała się Agnieszka.

– Agnes, trafili cię? – zapytał z troską detektyw.

– Nie, nie... tylko but zgubiłam. Możemy złapać taksówkę? – Nie mogli, ale ona się uparła. Do biura wrócili taryfą.

A w Cytadeli wciąż panował rejdach. Do służb wartowniczych dołączył kontyngent żandarmerii, właśnie przybyły z Iraku. Dwóch mężczyzn w nietypowych, polowych mundurach zaczęło majora Kiryla, próbującego opanować chaos. Pierwszy z „Irakijczyków” był sierżantem polskiej żandarmerii. Drugi – obcokrajowcem o azjatyckich rysach, w mundurze amerykańskim. Zasalutowali gospodarzowi, ale zaraz przeszli do rzeczy.

– Panie majorze, jesteśmy tu gośćmi, ale mojego towarzysza i mnie wyszkolono w technikach śledczych. Byłoby wskazane, abyśmy pomogli...

– Pan tu rządzi – przerwał mu oficer, rad zważyć odpowiedzialność na kogoś innego. – Powiem sierżantowi Kulickiemu, aby słuchał pańskich rozkazów.

– O tak, dziękuję, sir – powiedział Amerykanin łamaną polszczyzną. – Zaraz my sprawę rozwiążemy – zapewnił i zasalutował.

Dwaj „Irakijczycy” podeszli do ekipy Kulickiego i ocenili dotychczasowe ustalenia. Trójka pijanych intruzów dostała się do garażu, po drodze wysadzając dwie bramy. Żołnierze nie wiedzieli o zniknięciu transportera. Wawelski postarał się o nierejestrowanie nietypowej przesyłki, a uciekającego pojazdu nikt nie zauważył. Nie spostrzeżono go, ponieważ Jerzy jechał szybko, a przy tym nie wydawał najmniejszego dźwięku. Szczęśliwym (dla Smoka) zbiegiem okoliczności Rosomak nie zostawił na strzaskanej bramie odprysków lakieru ani fragmentów karoserii. Gdzieś pod Mosulem pułkownik Sił Stabilizacyjnych pocił się, wypełniając fałszywy raport o zniszczeniu pojazdu, ale nad Wisłą nikt o tym nie wiedział. Śledczy mieli przed sobą zagadkę irracjonalnego sabotażu i bardzo niewiele śladów. Choć braciom służebnym, znanym jako starszy sierżant USMC Amur Chi oraz sierżant Wojska Polskiego Robert Masłowski, wystarczył ten jeden.

– Co o tym sądzisz, bracie? – zapytał Amur, w języku którego otaczający ich

żołnierze nie mogli znać.

– Wystarczy. Zrobimy test DNA i znajdziemy Kopciuszka – potwierdził Masłowski, patrząc na porzucony w garażu pantofelek.

* * *

Do rana zostali w biurze. Ryzykowali wspólną wpadkę, ale musieli się zastanowić. Po kwadransie polskich, koptyjskich, sumeryjskich oraz staroegipskich klątw skierowanych wobec Wawelskiego, doszli do zaskakujących wniosków – to ich ścigano, a nie amatora sprzętu wojskowego. W dodatku Agnieszka zostawiła za sobą ważny ślad.

– Jerzy nie odbiera – stwierdził Zygmunt, odczekawszy osiem sygnałów. – I ma rację, buc niemożliwy! Na jego miejscu nie pokazywałbym się na ulicach przez następny wiek. – Wtedy dostrzegł, że Agnieszka wciąż płacze. Usiadł obok i przytulił przyjaciółkę. – No już dobrze, nic się nie stało.

– Zostawiłam... – chlipała Czująca. – Nie chciałam, ale zostawiłam. Ale jestem głupia...

– A Wawelski zawinął armii kołowy transporter opancerzony – zauważył rozsądnie detektyw. – W kategorii „wpadka wieczoru” należą mu się wszystkie medale, plus nagroda publiczności. Już dobrze, coś wymyślimy.

– Oczywiście Agnieszka nie jest winna – potwierdziła Sekmet, wciąż trzymając przy twarzy mokry ręcznik. – Ale bucik może nam przysporzyć kłopotów. Nie boję się armii, bo znam takie instytucje. Ich porażka jest tak kompromitująca, że wszystkie szczeble hierarchii będą zgodnie pracować nad zatuszowaniem incydentu. Ale pamiętajcie, że nie jesteśmy tu sami. Ludzie, o których mówiłam, śledzą mnie i szukają diademu. Jeśli jakimś cudem przejmą pantofel, mogą zamówić badania DNA i odkryć tożsamość Agnieszki. A potem... – Spojrzała na Czującą i westchnęła. Po tym odsunęła delikatnie Zygmunta, sama przytuliła się do dziewczyny, policzyła do dwudziestu i stwierdziła władczym tonem. – Dobrze, koniec z mazganiem. Mamy robotę do wykonania. – Efekt reprimendy był natychmiastowy. Łzy Agnieszki wyschły szybciej, niż dopuszczały to prawa fizyki, ale Zygmunt uznał, że to zwykła właściwość kobiecych łez. – Zastanówmy się na spokojnie. Ile czasu zajmie im dyskretne zdobycie ekspertyzy? Nie oficjalne, przez kanały policyjne, ale boczną furtką. Jeśli nie wiesz, zadzwoń do Celestyny... Aha, dobrze byłoby objąć jakąś ochroną Celestynę, Błażeja i wasze rodziny.

– Moi rodzice mieszkają w Sierakowie. A co ważniejsze, nie ma ich w Polsce do czwartku. Starzy Agnieszki będą problemem. Mają mieszkanie na Kabatach...

– Spokojnie, wszyscy są bezpieczni, dopóki Bractwo nie odkryje waszych tożsamości. Załóżmy, że już mają pantofelek i właśnie wiozą go do laboratorium... Polska nie jest jeszcze państwem tak totalitarnym, aby trzymać pełną bazę biometryczną... Musieliby szukać po szpitalach. To nam daje co najmniej trzy dni na działanie. Zadzwoń do Celestyny, może wie, gdzie istnieją zatne do przeprowadzenia testów laboratorium.

Zadzwonili, budząc przyszłą medyczkę. Siostra Agnieszki spędziła resztę

wieczoru z Błażem. Z jej półpłynnego głosu Czująca sądziła, że był to wieczór przyjemny. Przez ułamek sekundy, detektywka chciała nawet rzucić zaklęcie prawdy, przypuszczając, że Celestyna mogła zbałamucić Błażeja dla powetowania sobie braku hołdów od Zygmunta. Ale zrezygnowała – ufała siostrze, poza tym trudno jest utkać zaklęcie przez telefon. Z pewnością przyszła medyczka była pijana, dość by jej mowa wymagała uważniejszego niż zwykle słuchania, ale nie na tyle, by nie pamiętała adresów wszystkich laboratoriów współpracujących z policją.

– Jeśli chcieli to złobić dyskle... dysz... no, po cichu, na pewno uderzyli do Fukiera – zapewniła. – Mam tam znajomego. Jutro się dowiem, czy doszła próbka. Ale jutro! Póki co, życzę dobrej nocy. Całuski dla Zygusia i jego Isztar. Szalom! – Przerwała połączenie.

A im zostało tylko czekanie. Położyli się spać około czwartej, a z rana ruszyli na Pieszą na mszę. Było kilka rzeczy, za które Boga powinni przeprosić, nieco więcej, za które mogli podziękować oraz zatrząsienie tych, o które wypadało błagać. Bóg już z góry założył pokorne prośby poszukiwaczy tajemnic, ponieważ nie dopuścił na nich klątwy policji.

* * *

Około drugiej po południu dostali cynk. Mimo bitewnego szumu w głowie, Celestyna wykonała sprawny risercz, z którego dowiedziała się o nowej próbce w laboratorium doktora G. Fukiera na Górczewskiej. Prywatna klinika przeprowadzała testy ojcostwa i choćby z tego powodu była dyskretna. Jednakże samego Fukiera nie było w Polsce. Miał wrócić w poniedziałek lub wtorek, a tajemniczy informator Celestyny nie mógł sam wykonać wszystkich procedur. Dostali więc od losu niespodziewane dwadzieścia godzin na odzyskanie pantofelka.

– Uprzedzając dociekliwe pytania... – powiedziała Agnieszka. – Cela nie ma aż takich znajomości, aby legalnie dostać się do magazynu. Ale zapewnia, że system alarmowy w laboratorium pamięta jeszcze czasy przed reformą służby zdrowia, a ona zna kod uniwersalny. Może wybierzemy się dziś wieczorem? – zapytała, licząc na szybkie odzyskanie honoru sprawnej włamywaczki.

Egipcjanka i Zygmunt poparli ją. Tym razem przyjaciele dobrze przygotowali się do zadania – założyli kominiarsko-wojskowe kostiumy, na które narzucili jednak odzież cywilną. Uzbroili się w latarki, noktowizory, przecinaki do metalu, rękawiczki i detergenty do zmywania linii papilarnych oraz dużo nadziei. Około dwudziestej dotarli do laboratorium. Zaparkowali po drugiej stronie Górczewskiej i ruszyli ku gabinetowi, starając się na tyle nie rzucać w oczy, na ile mogli. Niestety ich sumienia wpływały na nerwową sztywność ruchów. Kiedy upewnili się, że nie patrzą na nich ciekawe oczy przechodniów, Sekmet rozłamała trzy kryształy niewidzialności. Częściowa przezroczystość ulżyła sumieniom włamywaczy, ale tylko trochę.

Agnieszka z łatwością otworzyła boczne drzwi do kamiennicy, używając

magnetyzmu ziemi. Uszkodzenia zamka przy tej czynności nie różniły się zbyt od nadmiernych wysiłków pijanego lokatora, otwierającego mieszkanie w stanie ograniczonych zdolności manualnych. Weszli do ciemnego korytarza na zapleczu kliniki. Prowadził Zygmunt, trzymający w lewej dłoni szkic Celestyny z zaznaczonym pomieszczeniem magazynowym, a w prawej klucz francuski – pogromcę słabych zamków. Przejście do magazynu prowadziło przez poczekalnię. Wspominając sytuację z perspektywy czasu, detektyw nie wiedział, jak mógł uniknąć katastrofy. To znaczy mógł wystrzelać kilka magazynków na ślepo przez drzwi i wrzucić do środka granat. Nie zrobił tego.

Nim drzwi otwały się do końca, w oczy intruzów zaświeciło jaskrawe światło. Zygmunt wiedział, co to znaczy. Krzyknął nieartykułowaną komendę, ale Agnieszka zrozumiała – dwójka warszawiaków rzuciła się na podłogę. Tylko egipska księżniczka wahała się te kilka sekund za długo. Jako arystokratka, posiadała atawistyczny strach przed schyłaniem głowy, klękaniem przed innymi ludźmi oraz padaniem na ziemię. Dlatego – z niewiarygodną szybkością – sięgnęła po mausera. Jakkolwiek szybka była Sekmet, nie prześcignęła kuli.

Pierwszy pocisk niegroźnie musnął jej ramię, drugi poszybował gdzieś w tył, ale trzeci wbił się prosto w czoło. Grzybująca kula z czterdziestki piątki rozbiła starożytną głowę niczym arbuza. Ale Zygmunt tego nie widział. Z rykiem rzucił się przed siebie, wymijając padającą Egipcjankę. Odruch, którego żołnierze uczą się przez lata, wniknął do umysłu i ciała detektywa przez niezliczone godziny spędzone nad gramami komputerowymi i partiami paintballa. W czasie zasadzki, jeśli nie można uciekać, należy zawsze zlikwidować przytłaczającego ogniem wroga. Nie martwić się o towarzyszy, bo najpierw trzeba zlikwidować przyczynę, a potem skutki choroby. Niobe i dwaj Bracia byli zdumieni, że cywil przyswoił tę lekcję.

Zygmunt wpadł na sierżanta Masłowskiego. Potężny podoficer zwykle mocno stąpał po ziemi, ale w tym momencie, zaskoczony, zachwiał się i padł razem z przeciwnikiem. To uratowało detektywa, gdyż Amur Chi chciał wzbogacić go o kilkanaście ołowianych kulek, ale nie nacisnął spustu, widząc przyjaciela splątanego w zapasach z wrogiem. Po kilku sekundach Masłowski zrzucił z siebie natręta, ciskając go w bok pokoju. Dwaj wojskowi – polski i amerykański – ruszyli spokojnym krokiem dokończyć walkę. Właśnie wtedy padł pierwszy strzał.

– Rzućcie broń! Na ziemię! – krzyknęła Agnieszka. Pocisk z Mausera rozłupał lampę zabiegową i w poczekalni zapanowała ciemność. Oślepiąca Czująca nie widziała nic oczyma, ale żywioł wody podpowiadał jej, gdzie znajduje się czwórka ludzi z pomieszczenia. „Irakijczycy” nie mogli o tym wiedzieć, ale w głosie dziewczyny brzmiała nowa, straszna nuta. Na ich miejscu Zygmunt już by uciekał. – Trzy, dwa...

– Panienko, wyluzuj – powiedział Masłowski. – My tylko po księżniczkę...

– Zero – odliczyła detektywka i strzeliła.

Pierwszym celem była drobna kobieta o słodkim spojrzeniu nastolatki i dymiącym pistolecie w dłoni – zabójczyni Sekmet. Czująca bez słowa wypaliła dwukrotnie w pierś Niobe i skierowała lufę na Chi. Żołnierze uszliby z tej kabały

cało, gdyby w jakiś sposób skoordynowali swoje działania. Tymczasem obaj chwycili Zygmunta, chcąc go użyć jako żywej traczy. W ten sposób warszawiak znalazł się między dwoma odsłoniętymi celami. Agnieszka szepnęła kilka złowieszczych słów i znów nacisnęła na spust.

Dodajmy, że nie była wcale aż tak nieostrożna. Otoczyła Zygmunta tarczą magnetyczną, w teorii odpychając pociski. Rzecz jasna słabe zakłęcie nie odgięłoby lotu wystrzelonej pod kątem prostym naboju, ale dobrze chroniło przed rykoszetami i poprawiało chybione trajektorie. Chi padł na podłogę z trzema kulami. Masłowski nie stracił głowy.

– Chwila... nic do was nie mam! – zawył, zasłaniając się Zygmuntem.

Był to kolejny błąd żołnierza. Najlepszą żywą tarczą jest przestraszona, drobna kobieta, tudzież metroseksulany mężczyzna. Detektyw nie spanikował, a mimo braku sportowej sylwetki był dość silny. Na dodatek trzymał wciąż w dłoni klucz francuski. Narzędzie szybko zetknęło się z krocem sierżanta. Ten szepnął coś, co mogło być przekleństwem albo słowem w języku japońskim. Bez dalszych ceregieli padł na podłogę.

– O! – odezwał się głos gdzieś z tyłu. – No to zrobiło się niezręcznie.

Zygmunt nie widział wszystkiego – w jego oczach tańczył wciąż ogień chirurgicznego reflektora – ale dostrzegł kontury sceny. Postrzelona dwukrotnie kobieta żyła, a na dodatek miała się dobrze. Stała nad ciałem Sekmet, trzymając w dłoni złoty diadem. Detektyw zawył wściekle i zamachnął się kluczem. Agnieszka podniosła pistolet, rozpoczynając szeptanie zakłęcia. Tym razem nie chciała jednak utkać czaru odtrącającego kule, a wręcz przeciwnie. Niestety, żadne z nich nie zdążyło. Pod względem magii warszawska Czująca nie mogła się równać z obywatelką.

Pomieszczenie rozbłysło na sekundę bladym światłem. Potem zamarło, a dokładniej mówiąc, w klinice zamarło wszystko, prócz Niobe. Zatrzymała się wystrzelona z mausera kula, zastygł płomień wokół lufy pistoletu. Rzucony przez Zygmunta klucz francuski wisiał bezradnie w powietrzu, a jego właściciel nie mógł poruszyć się choćby o milimetr. Ale wszystko słyszał.

– Niech was potop pochłonie... Nie trzeba dziś było wstawać z łóżka! – warczała Niobe, kuśtykając ku poczekalni. Zostawiła za sobą zmasakrowane ciało Sekmet i zmierzała do postrzelonych towarzyszy. Na głowie trzymała złoty diadem. – Jeśli chcesz coś zrobić, zrób to sam. Patałachy. – Zygmunt zauważył, że na odsłoniętym ramieniu kobiety zakwitł potężny krwiak. Agnieszka strzeliła do obywatelki dwukrotnie, ale nie widziała skutku. Niobe trzymała na sobie zakłęcie tarczy, które niemal skutecznie odgięło tor pocisków. Niemal. – Żyją... fartowne dranie – stwierdziła magiczka, chwytając Chi za nogę i ciągnąc go ku wyjściu. Sierżant oberwał trzy razy, ale kule z mausera nie przebiły kamizelki kuloodpornej. Zapewne jęczałby z bólu, ale zakłęcie paraliżu unieruchamiało także jego usta.

Agnieszka i Zygmunt siłowali się z niewidzialnymi więzami, ale na próżno. Czująca mrugnęła do przyjaciela kilkanaście razy. „Piętnaście – pomyślał detektyw – będzie nas trzymało piętnaście... minut? Godzin?”. Jednak nie zaprzestał zapasów. Tymczasem kobieta o łagodnej twarzy wróciła, zabrała

Masłowskiego (ten jęczał cicho, nawet mimo czaru). Zygmunt chciał spojrzeć na Sekmet, ale zastygł z twarzą zwróconą w złym kierunku. Bezsilnie i bezgłośnie sapał, do czasu, aż wróciła Niobe.

– Przykra sytuacja – stwierdziła obywatelka. – Jeżeli jeszcze nie wiecie, nazywam się Niobe i jestem czterdziestą pierwszą obywatelką Zachodu. Nie chciałam was skrzywdzić, zależało mi tylko na diademie. Wiem o pewnych talentach naszej drogiej Sekmet, więc zdecydowałam się zdjąć artefakt z głową. – Widząc wściekłość na zastygłej twarzy Zygmunta, dodała niemal łagodnym głosem. – No przecież czar wciąż działa, a miała na sobie diadem, kiedy ją zabiłam. Za dzień, może dwa twoja księżniczka zregeneruje się. A strzał w czoło był zapewne idealnie bezbolesny. Do momentu, gdy przekazemy diadem nowemu właścicielowi – pełna szacunku wielka litera była wyraźnie słyszalna – ona będzie żyła. Co prawda, potem rozsypie się w proch, ale macie przed sobą jeszcze kilka dni. Wykorzystajcie je. – Potem podeszła do Agnieszki. – Oj, Kopciuszku, nie użyłaś szarych komórek. Testy trwałyby ze trzy doby, ale ja zaczęłam się, bo wiedziałam, że przyjdziecie. Ta bajka powinna w dwudziestym pierwszym wieku otrzymać nową postać. – Potem spojrzała jeszcze raz na Zygmunta. – Czy ja powiedziałam, że macie jeszcze kilka dni? Cóż, kłamałam. Może ona ma, ty nie. Niestety, muszę usunąć niewygodnych świadków.

Zrzuciła ze stołu bianiak spirytusu medycznego, poczekała, aż ciecz rozleje się po podłodze, po czym wyciągnęła z torebki zapalniczkę. Medytowała chwilę nad drobnym ognikiem, po czym upuściła go na podłogę. Ruszyła pewnym krokiem do drzwi, zostawiając sparaliżowanych wrogów w płonącym pomieszczeniu. Agnieszka nie mogła kierować ciałem, ale odzyskała już pewną sprawność magiczną. Telekinezą podniosła z ziemi mausera i skierowała go w plecy wychodzącej. Nie zdążyła – drzwi za Niobe zamknęły się.

Czując szybko zastąpiła wściekłość zdrowymi odruchami. Wycelowała (a nie jest to proste! Pocolujcie kiedyś z broni trzymanej w telekinetycznym chwycie) w bezpiecznik alarmu i wystrzeliła. Po kilkudziesięciu sekundach z sufitu runęły strumienie wody. Agnieszka liczyła, że Niobe wróci i przywita się z ostatnim nabojem w magazynku mausera, ale obywatelka nie przejęła się alarmem. Może go nie słyszała, może miała na głowie inne problemy (takie jak dwóch nieprzytomnych żołnierzy). A detektywi wisieli w zakłębieniu, unieruchomieni w duszącej złości. Po dwudziestu minutach znalazł ich Smok.

* * *

Milczeli. Zresztą, o czym mogliby rozmawiać, jadąc ulicami nocnej Warszawy z bezgłowym ciałem na przednim siedzeniu. Zygmunt usadził Agnieszkę i Wawelskiego z tyłu, a sam położył Sekmet na miejscu pasażera i usiadł na fotelu kierowcy. Gdyby zatrzymała ich wtedy policja... chociaż nie, dziewięciu na dziesięciu drogowców nie uwierzyłoby w ten widok, a ów dziesiąty nie zaryzykowałby interwencji. Spokojnie dotarli na Żoliborz. Zygmunt i Jerzy przenieśli ostrożnie ciało z wozu do biura, po czym położyli na biurku. Dawny

stół operacyjny stał się katafalkiem. Bazyliszek wdrapał się na mebel, ułożył się obok księżniczki i mruczał żałośnie.

– Hej... ale o co tyle szumu? – zapytał niezręcznie Wawelski. – Jeśli dobrze zrozumiałem, ona zmartwychwstanie.

– Na kilka dni – odparł beznamiętnie Zygmunt. – Do czasu, aż przejmą zaklęcie, aby ożywić nim jakiegoś swojego wodza.

– Żyła przecież pięć tysięcy... – zaczął pogromca, ale zaraz pojał grozę sytuacji. – Jakiego wodza? Wiecie coś o tej kobiecie naładowanej magią?

– Co za różnica? – powiedział detektyw i chwycił zimną dłoń Egipcjanki.

A Smok spojrział w tył, gdzie dostrzegł płaczącą na kanapie Agnieszkę. Wolał już rąbać angolskie wampiry z pomocą półmetrowej maczety, niż pocieszać kobiety, ale pchany poczuciem obowiązku usiadł obok Czującej. Niezręcznie objął dziewczynę.

– Za... zabiłam – szeptała Agnieszka. – Nie chciałam, ale zabiłam... Nie żyje...

– Po pierwsze, nie zabiłaś – zauważył Jerzy. – Tamten buc miał kamizelkę kuloodporną. Pewnie go odratowali. Po drugie, szkoda, że mu nie rozkwaśliłaś czaszki. To wróg. – Ale detektywka wciąż płakała. – Ludzie, co z wami!? – jęknął. – Oplakujecie zmarłą, która zaraz ożyje i czujecie wyrzuty sumienia z powodu zabójstwa, które nie wyszło! – Wars i Sawa nie reagowali. – Dobrze, przepraszam was za Cytadelę. Zwrócę Rosomaka za kilka dni. – Odpowiedziało mu obojętne milczenie Zygmunta i szloch Agnieszki. – Okej... no to przynajmniej zamówię pizzę.

Kupił dwie hawajskie, wmusił potrawę we wciąż milczących przyjaciół, po czym nawet umył wewnątrz zakrwawionego samochodu. Nad ranem nie miał już pomysłu na nianczenie Agnieszki i Zygmunta. Zadzwoił do ojca Jana, a duchowny przyjechał niedługo potem. Rzadko opuszczał dom zakonny, ale w tak dramatycznej sytuacji wyruszył natychmiast po jutrzni. Został podopiecznych wciąż w tym samym bezwładzie, o którym mówił mu Jerzy.

– Ale karmię ich – powiedział, jakby na usprawiedliwienie, Wawelski.

– Dzieci moje... zaraz się zajmujemy pułapkami szatana, ale teraz złożcie raport – polecił zakonnik.

Ojciec Jan słuchał, uspokajał Agnieszkę i chwilę modlił się nad Sekmet. Zapewnił Zygmunta, że czar działa, a regeneracja już się rozpoczęła. Młodzian przyjął tę informację z ulgą, ale nie przerwał swojego smutnego milczenia. Wciąż trzymał zimną dłoń księżniczki, jakby musiał być świadkiem ożywienia. Odpowiadał tylko zdawkowo na pytania, które jemu i Agnieszce zadawał Wawelski. W ten sposób szybko uzyskali portrety pamięciowe dwóch żołnierzy i tajemniczej kobiety z pistoletem.

– Znam tego typu – powiedział Smok, wskazując na szkic twarzy Masłowskiego.

– Kiedy byłem w Iraku, służył jeszcze jako kapral. Już wtedy przesiadywał w starych ruinach i gadał od rzeczy. Zawodowi żołnierze, którzy często jeżdżą na misje, są najbardziej narażeni na werbunek tej sekty. Wiadomo, że czterdziestu dziewięciu na pięćdziesięciu naszych jest normalna. Ale kiedy już temu pięćdziesiątemu sumeryjskie słońce dekiel podgrzeje...

– Wraca! – krzyknął nagle Zygmunt.

Miał rację, Sekmet wracała. Jej ciało drgało, a wokół zmasakrowanej głowy unosiła się krwawa mgiełka. Ojciec Jan natychmiast podszedł do księżniczki i wyciągnął dłonie nad półmartwym ciałem. Szukał wpływów demonicznych, ale – jak się spodziewał – niczego takiego nie znalazł. Była to starsza magia, siła niewidzialnego świata, która może współczesnym nie uchodziła, ale w oczach Boga nie stanowiła bluźnierstwa. Jak kiedyś tłumaczył swoim uczniom, magia stanowiła pozostałość, a człowiek ją wykorzystujący przypominał klienta po denominacji, który płaci w sklepie starą, ale wciąż akceptowalną walutą. A głowa Egipcjanki wracała powoli do dawnego stanu. Ciało wciąż drgało, a Zygmunt bał się nawet myśleć, czy to odruchowa reakcja, czy świadectwo przeżywanego bólu.

– Padnij! – krzyknęła w końcu Sekmet. Zapewne było to ostateczne słowo, jakie chciała wypowiedzieć przed trafieniem.

Zygmunt podał jej szklankę wody, ale ona wręcz odskoczyła, widząc detektywa w innym ubraniu, zakrwawionego i przerażonego. Rozejrzała się wokół, rozumiejąc już, że zaszło coś złego. Potem podniosła dłoń do czoła, na którym nie znalazła diademu. Jęknęła, ale potem przyjęła kubek.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił ojciec Jan. – Czar zadziałał. Czy potrzeba ci czegoś? Środków przeciwbólowych? Spowiedzi? Rumu? – Ona tylko potrząsnęła głową.

– Zabili mnie? – zapytała z rezygnacją. Zygmunt skinął głową. – Jak długo?

– Spokojnie, zaraz ci wszystko opowiemy – zapewnił Wawelski. – Póki co, powinnaś coś zjeść. Zrobić ci bulion?

– To ty jesteś bucem, który wrobił nas w aferę w Cytadeli? – zapytała Sekmet. Jej myśli pędziły, nie zatrzymując się na pojedynczym temacie. Ale tak bywało po nagłym zmartwychwstaniu. – Witaj, nazywam się Sekmet. Nie rób tego nigdy więcej... – Spojrzała na Zygmunta. – Czy to była obywatelka?

– Jurek, po bulion – poleciał jezuita. – A ty, Zygmuncie, opowiedz wszystko.

Egipcjanka słuchała i nie przerywała. Tylko na zmianę jadła i robiła notatki. Ponieważ Sekmet pisała alfabetem łańciskim, za to po koptyjsku, tylko Wawelski wiedział, co znalazło się na kartce (a przynajmniej tak mu się zdawało). A Zygmunt opowiadał. Kiedy dotarł do opisu walki, księżniczka przerwała mu, przysunęła go do siebie, pocałowała w policzek i stwierdziła, że jest bardzo dzielny i niezbyt inteligentny. Następnie spojrzała na Agnieszkę.

– Wiem, że nie jesteś wojowniczką. A mimo wszystko byłaś gotowa zabić w obronie Zygmunta i mnie. Dziękuję. Ale na przyszłość, widząc ludzi w kamizelkach, celuj w nogi lub, najlepiej, w głowę.

Sekmet zjadła, przeprosiła zgromadzonych i wzięła prysznic. Tymczasem Wawelski i detektyw siedli do komputera, aby zebrać więcej informacji o zamachowcach. Agnieszka i ojciec Jan zabrali się do szykowania prawdziwego obiadu, zdrowszego niż resztki pizzy. Ale słyszeli rozmowy z pokoju oraz opowieść Egipcjanki, kiedy ta wrócił z łazienki.

– Już czas, abyście dowiedzieli się o pewnych sprawach. Ta lekcja historii jest niezbędna – oświadczyła. – Musimy odebrać diadem Zachodnim. Jeśli oni dążą do

tę, o czym myślę, ich sukces oznaczałby koniec świata, który znamy i to bez gwarancji, że ten nowy będzie lepszy. Czy znacie legendy o zapomnianym Kraju Zachodu?

Cywilizacja zapomnianego kraju była stara, starsza niż wszystko, o czym wiedziała współczesna nauka. Sekmet ostrożnie identyfikowała je z rodem nodyskich Henochytów, potomków Kaina, którzy wybudowali miasto na wschód od Edenu. Dlaczego Biblia wskazywała kierunek wschodni, gdy Nodyjczycy z pewnością żyli na zachód od Nilu, nie wiedziała. Prawdę powiedziawszy, nie wiedziała też, gdzie mieścił się Eden i czy był on możliwym do określenia geograficznie miejscem. Sekmet przyjęła chrześcijaństwo dopiero w połowie drugiego wieku, a wcześniej знаła Stary Testament tylko dzięki wyrwanym z kontekstu fragmentom. Zresztą w czwartym milenium przed Chrystusem nie zdawała sobie sprawy z pochodzenia tajemniczego wroga. Nodyjczycy byli resztką świętego ludu, który rządził Ziemią przed Potopem. Posiadali oni wiele placówek na brzegu mórz i oceanów, ale po globalnym przyszciku, zafundowanym grzesznikom przez Pana, poziom wód podniósł się o dobre kilkadziesiąt metrów, niszcząc praktycznie wszystkie pozostałości kultury kainowej. Tylko pierwsze miasto, położone w górach, przetrwało zalew, więc Bóg zniszczył je trzęsieniem ziemi. Oczywiście nie do końca – tak powstało zapomniane państwo. Patrząc uważnie na mapę, Sekmet oceniła, że pierwotne ziemie Nodyjczyków rozciągają się na dnie Morza Śródziemnego, a także na pograniczu Libii, Tunezji i Republiki Wadistanu.

Byt, który historycy nazywają „Egiptem Predynastycznym”, powstał jako koalicja ludów Doliny Nilu przeciwko tajemniczym najeźdźcom, przybywającym z pustyni. Za życia Sekmet państwo było już dość dobrze zorganizowane, a na tronie siedział kuzyn księżniczki – potężny Mani (na kategoryczne żądanie Wawelskiego, Egipcjanka wyjaśniła, że Mani – czy też Manes – istniał naprawdę, nazywał się Heru, a uchwytny historycznie Narmer był jego wnukiem) władał wojskiem zdolnym do obrony kraju. Nodyci dysponowali magią i nieznaną Egipcjanom technologią (były to resztki wiedzy przedpotopowców), ale rdzeń ich armii stanowili podbici i zmuszeni do służby nomadzi pustynni. Obywateli zapomnianego kraju nie było wielu, na wyprawy w kierunku Nilu nigdy nie wybierało się więcej niż kilkunastu magów i oficerów.

– Zaraz... – Zygmunt przerwał księżniczce opowieść. – Przypomnij nam, kim byłaś u siebie?

– Pierwszą kuzynką Heru... to jest Maniego, regentką Królestwa po jego śmierci.

– A nie miałaś zostać... no wiesz... – zapytała ostrożnie Agnieszka.

– Żoną faraona? Bzdura! – prychnęła księżniczka. – Co współczesne książki piszą o praktyce małżeństw wśród krewnych, to w większości oszczerstwa. Na szczęście dziś już ustalono, że te kilka przypadków za nowego państwa nie świadczą o moralności pierwszych dynastii. A władzę posiadałam i bez korony Ra! Dowodziłam obroną państwa, kiedy... – przerwała, widząc, jak Jerzy sięga po notatnik. – Nie ma czasu na zawiłości historyczne. Mam przygotowany szkic

„Prawdziwej historii Egiptu” i chętnie uczynię z twojego nazwiska *nom de plume*. Ale wszystko w swoim czasie. Teraz wróćmy do Zachodnich... Przez wieki tylko nam dokuczali, zbyt słabi i nieliczni, aby podnieść się z upadku po Potopie. W końcu odpuścili te plany. Zaczęli żyć pośród innych ludów i tylko przechowywali pamięć po utraconej ojczyźnie. Ale z czasem, kiedy gromadzili nową wiedzę o świecie i obserwowali, jak świadomość historii świętej zanika w Europie i Afryce, zaczęli myśleć nad przywróceniem Nodu. Z pomocą techniki waszego wieku mogą tego dokonać, o ile wcześniej podporządkują sobie władzę polityczną nad światem. Współcześni obywatele są długowieczni, pod opieką magów plemienia potrafią przetrwać kilka wieków, ale sądzę, że chcą obudzić prawdziwego Nodyjczyka, który pamięta czasy wojen z Egiptem, a może i epokę przed potopem. Nawet najślabszy mag z tego czasu będzie silniejszy od wszystkich czujących w dwudziestym pierwszym wieku.

– Jak ich można powstrzymać? – zapytał ojciec Jan.

– Definitywnie? – sprecyzowała Sekmet. – Kilkadziesiąt głowic nuklearnych, zrzuconych na ostatnie miasto oraz wysadzenie ruin innych placówek. Niewykonalne. Dlatego musimy powstrzymać wodza, kimkolwiek on jest. Mając mój diadem, będą mogli ożywić Nodyjczyka. Zapewne przeprowadzą próbę, tu w Warszawie. Znalezienie odpowiedniej mumii może im zająć ledwie kilka dni. Musimy znaleźć i zniszczyć mój artefakt.

– Ale wtedy umrzesz... – zauważył Zygmunt.

– Lepiej, abym ja zginęła, niż cały świat. Poza tym, ja tylko wypełniam moją przysięgę, którą złożyłam... tak dawno, że nie jestem w stanie określić daty rocznej – powiedziała poważnie. – Wiem, że mi pomożecie. – Ojcie, kiedy otrzymasz przesyłkę z Rzymu?

– W ciągu trzech dni – zapewnił zakonnik.

– Doskonale. Nie przygotowuję rytuału wcześniej. My poszukamy dogodnego źródła energii, z którego obywatele mogą skorzystać i przygotujemy zasadzkę. – Spojrzała na Wawelskiego. – Znasz ludzi w armii. – On skinął głową. – Ilu?

– E... a o co ci chodzi? – zapytał archeolog.

– Czy zorganizujesz mi pluton zaufanych ludzi, wyposażonych w broń przeciwpancerną?

– Ja... – zaczął Jerzy. To zazwyczaj on był skory do bitki, pożogi i zniszczenia, rodem ze współczesnego kina i gier komputerowych. Jednak prośba Sekmet trochę przekraczała skalę jego hobby. – W Warszawie? – jęknął.

– Rozumiem, władze, dyskrecja. W takim razie zdobądź tyle broni, ile zdołasz. Interesują mnie przede wszystkim pociski mało podatne na tarcze magnetyczne. Takie o dużej prędkości wylotowej, a przy tym niosące jakiś ładunek. Przydadzą się działka przeciwlotnicze, może szybkostrzelne armaty przeciwpancerne...

– Kobieto! Ja jestem archeologiem! – obruszył się Wawelski, po czym dodał. – Na dzień dzisiejszy mam Rosomaka z trzydziestomilimetrowym działkiem Bushmastera...

* * *

Technika pomaga magom.

Agnieszka naniósł wszystkie znane sobie węzły mocy do nawigacji GPS. Dzięki temu mogli dokładnie zmierzyć odległości między kluczowymi punktami zasadzki. Obywatele potrzebowali co najmniej dwóch miejsc – pustyni oraz czakramu. O oba nie było łatwo w Warszawie, ale dostępne erzace mogły Zachodnim wystarczyć. Odkryty dwa miesiące wcześniej węzeł mocy na wiślanej łasze znajdował się pół kilometra od obszernej plaży na tarasie zalewowym. Tuż przy moście Grota strefa powodziowa wyglądała jak pustynia, a przynajmniej pas sahelu. Było tam często mokro, śmierdziało nieziemsko, ale dobre pół kilometra kwadratowego drobnego piasku leżało odkryte. Alternatywnym punktem była położona na północy piaskarnia, ale Sekmet odrzuciła tę możliwość – między wykopaliskiem a Węzłem znajdował się bardzo wąski pas lądu. Woda i bliskość Wisłostrady zagrażały stabilności zaklęcia.

Przyjaciele ruszyli obejrzyć miejsce przyszłej batalii. Wcześniej uprzedzili Henryka, miejscowego eremity. Były menedżer mieszkał w ziemnej chatce nad Wisłą i pokutował za rozwiążność dawnego życia. Był też uważnym obserwatorem. Kiedy obrońcy świata dotarli na bielański brzeg, brodaty samotnik od razu złożył im raport.

– Kręcą się tutaj, bezbożnicy. Kobieta, dwóch mężczyzn ubranych dziwnie i wojskowi. Żli ludzie – stwierdził, leniwie dokładając polan do ognia. Był ubrany w zgrzebną szatę, uszytą z kilku worków po ziemniakach. Materiał tychże nie należał do najlepszych (i o to chodziło skromnemu mężowi), więc ścierał się intensywnie. Miało to też dobrą stronę – logo hipermarketu „Kerszoł” stało się już niemal niewidoczne.

– Jest pan prawdziwym eremity pustynnym? – zapytała Sekmet.

– Jaka pustynia, taki eremita... – mruknął Henryk, patrząc ze wstydem na brudny brzeg Wisły. – Ale tak, jestem.

– Pobłogosław mnie, ojczy! – krzyknęła Egipcjanka i padła na kolana przed byłym menedżerem firmy ISI Investments. Nie rozumiała obojętności warszawiaków. Oto mieli u siebie prawdziwego Ojca Pustyni, a nie korzystali z łask wymodlonych przez eremity.

– Dobrze... oczywiście, dziecko – powiedział brodac i, nieco zażenowany, zaczął szeptać modlitwy nad głową Egipcjanki.

Potem Jerzy zdjął z pleców worek marynarski i jego towarzysze zrozumieli, dlaczego podczas trasy wolał unikać kontroli drogowych. Wręczył eremicie uniwersalny karabin maszynowy wzór dwa tysiące, zapewne wymontowany z Rosomaka. Poleciał, by Henryk strzelał do wszystkich pogan, którzy spróbują skalać jego świętą ziemię. Pożegnali pobożnego męża i ruszyli w kierunku polanki. Jak się okazało, Jerzy wciąż trzymał w worku niespodzianki.

– Mam jeszcze czterdzieści izraelskich i sowieckich min przeciwpiechotnych – oznajmił. – Proponuję zakopać je już teraz, nim obywatele na dobre zajmą teren. O tam, linia przed chaszczami. – Widząc przerażone oblicze Agnieszki, wyjaśnił. – No przecież nikt się tu nie kręci. A czułość zapalnika podkręcę do minimum. Sekmet, ile waży mumia?

– Po rytuale? Tyle samo co człowiek. Nie mniej niż pięćdziesiąt kilogramów – odparła Egipcjanka. Pomysł z ziemnymi niespodziankami bardzo jej się podobał.

– Widzisz, nic się nie stanie – zapewnił Czującą archeolog. – Tylko, na Boga!, ostrożnie. Te ruskie są z odzysku!

– Tia... – mruknął Zygmunt, podnosząc sowieckie urządzenie. – A ja się zastanawiałem, dlaczego mają spinacze zamiast zawleczek.

Rozstawili przyniesiony zapas, ale Smok nalegał, aby – na wszelki wypadek – zaminować też ścieżki w chaszczach. Przekonał Agnieszkę, aby ta zawiozła go do mieszkania po kolejną porcję. Tymczasem Sekmet i Zygmunt spacerowali na brzegu, planując przyszłą batalię. Egipcjanka zdjęła buty, chcąc czuć piasek pod stopami, ale detektyw odradził jej takie wycieczki. Brzeg przy moście Grota nie był prawdziwą pustynią, podłoże brudziło i ukrywało stłuczone butelki, puszki, płytki azbestowe, a od niedawna także sowieckiej produkcji miny. Księżniczka przyznała towarzyszowi rację.

– Nie będzie łatwo, ale zatrzymamy ich – oceniła Sekmet. – Nie spodziewają się oporu, a ze wsparciem naszego pustelnika będziemy silni. Już niebawem wszystko się skończy... – powiedziała z nieoczekiwanym tonem ulgi w głosie.

– Umrzesz... – powiedział Zygmunt.

– Tak, ale już mówiłam, że tak być musi. Nawet nie wiesz, jakim ciężarem jest życie, jeśli twoje istnienie pośrednio zagraża światu. Niedługo będę miała spokój... Ale nie martw się. Spisałam moje pamiętniki oraz kronikę dziejów Egiptu, Mezopotamii i wszystkich państw, w których gościłam. Materiału jest tak dużo, że starczy dla ciebie, Jerzego, Agnieszki i wszystkich waszych przyszłych studentów na magisterki, doktoraty i habilitacje. Zabezpieczę was też finansowo. Walka z paranormalnym tałatajstwem jest warta tuzina diamentów i kilkunastu kilogramów transmutowanego złota...

– Śpieszy ci się do kogoś? – zapytał niezręcznie detektyw. – To znaczy tam, po drugiej stronie? – Nie zrozumiała. – Twoi... mężowie.

– No tak, miałam ich kilkunastu – przyznała. – Faktycznie, ciężko mi samej na świecie, a doświadczenie nauczyło mnie, że związki zawsze kończą się dla mnie smutno, ponieważ to ja patrzę na śmierć ukochanego. Ale tym razem może być inaczej. – Powiedziała nagle, z tajemniczym uśmiechem.

– To znacz... – chciał zapytać Zygmunt, ale Sekmet zamknęła mu usta pocałunkiem.

Poczuł dziwne, mrowiące uczucie, rozchodzące się od jego ust aż po najdalsze krańce ciała. Ale nie była to magia ani żadna klątwa. Po prostu był to pocałunek pięknej kobiety o bogatym wnętrzu i tajemniczej historii. Zygmunt objął ją, ale w pewnym momencie znieruchomiał.

– Co, co się stało? To tylko ja, czy po prostu nie umawiasz się ze starszymi? – zapytała Sekmet.

– Ty umrzesz – powtórzył detektyw. Ona skinęła głową. – I nie ma na to rady? – zaprzeczyła. – Ech, do diabła... mamy jeszcze kilka dni! – mruknął Zygmunt i znów połączył się z nią pocałunkiem.

Do wieczora rozstawiali miny i kopali umocnienia. Detektyw przekonał się, że

nawet ta czynność może przynosić przyjemność, o ile wykonuje się ją razem z drogą osobą. I jak romantycznie może wyglądać księżniczka Egiptu, rozpinając naciągi odłamkowych *raztiażek* w nadwiślańskich leszczynach. Po raz pierwszy od długiego czasu detektyw był szczęśliwy. Nie tylko zadowolony, ale szczęśliwy. Agnieszka zobaczyła tę zmianę od razu i pomyślała, że bardzo to zaboli Celestynę. Kochała siostrę, ale w tym przypadku uznała, że dobrze jej tak.

Drzew nad Wisłą nie rosło wiele, ale ilość wyszabrowanych z wojska pułapek Jerzego również była ograniczona. Około dwudziestej ruszyli do samochodu. Wawelski zapewniał, że wykona kilka telefonów i popyta o możliwe przemyt mumii na terytorium Polski. Radził przyjacielom odpocząć. Odwieźli Agnieszkę na Wilanów, potem ruszyli na północ. Archeolog wysadził ich na Mickiewicza, po czym ruszył swoją drogą.

– No... – powiedział niezręcznie Zygmunt. – Można by się wybrać na miasto.

– Można. Ale po co? – odparła Sekemt. – Gdyby kluby i puby były naprawdę potrzebne, wynaleziono by je już w Egipcie. – Detektyw uśmiechnął się z ulgą. – I nie bierz tego do siebie, ale muszę zmyć z ciała zapach twojej rzeki.

Jedna rzecz zaprowadziła do drugiej, więc po prysznicu nie mieli ochoty wychodzić na miasto. Ale pozwolicie, że ominę detale, aby niniejszego opowiadania nie zaklasyfikowano do innego gatunku literatury. Ograniczmy się do stwierdzenia, że spędzili nadchodzące godziny przyjemnie, a następnego ranka znowu wstało słońce.

* * *

Obudził ich bazyliszek, liżący Sekmet po twarzy. Księżniczka wstała i przygotowała Zygmuntowi swoje ulubione danie poranne. Zrobione z pszennej mąki i hodowlanego miodu placki miodowe nie smakowały dokładnie tak jak kiedyś nad Nilem, ale detektyw zapewniał o rozkoszach, jakie przeżywa jego podniebienie. Nie kłamał – prosta potrawa Sekmet przewyższała wszystko, co jemu udało się kiedykolwiek przyrządzić.

Około dziesiątej zadzwonił do nich Wawelski. Dość niespokojny głos archeologa świadczył o nowych odkryciach. Przekazał Zygmuntowi kilka ważnych informacji. Po pierwsze, umorzono śledztwo w sprawie włamania do Muzeum Narodowego. Oznaczało to silne wpływy Zachodnich w polskich organach ścigania. Po drugie, Jerzy faktycznie odkrył nielegalny ładunek, który dostarczono do Gdańska z Trypolis. Trzeciej wieści Smok już nie przekazał, bo ta poprzednia zelektryzowała detektywa.

– Jak wiele możesz się dowiedzieć o tym ładunku? To bardzo ważne...

– Wiem – potwierdził Wawelski. – Jeśli to Nodyjczyk, będzie niewesoło. To ciężka skrzynia, muszą przetransportować ładunek pociągiem lub tirem. Sądzę, że dowiem się, kiedy i jak go przewiozą. Czekać na mój telefon.

Sekmet wykazała zdumiewający spokój, słysząc o transporcie z Libii. Zauważyła, że świeżo wskrzeszony mag będzie słaby. Po tak długim nieżyciu, do pełni sił ożywieńcy przychodzili nawet po kilku miesiącach, a przez ten czas

będzie można zastosować inne środki zaradcze.

– Nie mówię o bombie atomowej, ale zgromadzeniu kilkuset egzorcystów oraz armii NATO – wyjaśniła. – Chociaż nie, to bzdura. Jeśli wódz powstanie, współcześni ludzie nie będą potrafili go zatrzymać, nawet znaleźć. Ale ty zdążysz uciec do Ameryki Południowej. Do końca twojego życia raczej nie stanie się nic strasznego. Apokalipsa trwa długo z powodu problemów technicznych.

– Wolałbym zatrzymać Zachodnich – przyznał Zygmunt. – Masz jakieś pomysły?

– Poczekajmy na dalsze wieści od Wawelskiego – odparła. – Jeśli zlokalizuje transport, możemy napuścić na niego policję, ABW, CBA, GOPR, WOŚP i każdego, kogo zainteresuje nielegalnie wwieziona od Polski mumia. Jeśli się nie uda... cóż, łatwo zorganizować ciężarówce wypadek. Ale na wszystko przyjdzie czas.

– Przyjdzie – potwierdził Zygmunt i znów pocałował Sekmet. Świat walił się w umiarkowanym tempie, ale im zostało już niewiele czasu.

* * *

– Bomba, Kroczewo! – oznajmił Jerzy. Detektyw odebrał telefon z irytacją, ponieważ dzwonek przerwał mu bardzo przyjemne czynności, ale był ciekaw, co znalazł Wawelski. – Wszystko znalazłem. Nie ryzykowali podróży pociągiem z powodu kontroli celnych. Wynajęli TIR-a i ruszają drogą krajową numer siedem.

– Dobrze, ale mów powoli. Już? Teraz!?

– Spokojnie – odparł Smok. – Napuściłem na nich wszystkie służby, w których mam znajomości. Z pewnością zyskamy trochę czasu, a być może pozbedziemy się problemu. Na wszelki wypadek przygotowałem plan zasadzki w lasku pod Kroczewem. Zbiórka u mnie, o trzynastej. Weźcie bazyliuszka, broń i sprzęty potrzebne do rytuału. Ojciec Jan będzie gotowy.

Jerzy musiał się wyspać oraz wydobyć z kryjówki Rosomaka. Ustalił rozsądny termin również ze względu na Agnieszkę. Ta była punktualna, ale podróż do odległej o czterdzieści kilometrów miejscowości oznaczała dla niej wyprawę w nieznane, a do takiej trzeba się było przygotować. Dodajmy też, że Wawelski nie był pozbawiony serca, przynajmniej całkowicie. Rozumiał, co starcie z Zachodnimi oznacza dla Sekmet. Księżniczka i Zygmunt mieli jeszcze kilka godzin.

– Właściwie dzisiaj zamierzam umrzeć – zauważyła Egipcjanka – a grzeszymy.

– Będzie na miejscu ojciec Jan. Wyspowiada – zapewnił ją detektyw. – Boże, nie wierzę, że nie ma innego sposobu...

– W teorii są – odparła księżniczka. – Gdybyśmy dysponowali rakieta nośną albo chociaż starym sowieckim pociskiem międzykontynentalnym. Można by było wyrzucić diadem w przestrzeń kosmiczną... choć w tym przypadku, po następnej śmierci nie byłoby mi przyjemnie. Ale to zbyt trudne. Wrzucenie artefaktu do Rowu Mariańskiego tylko odwleka poszukiwania Nodyjczyków. Do Fortu Knox ich wpuszczą prędzej niż nas, a innym skarbcem nie ma co ufać.

Przepraszam cię, że tak wyszło, ale nie wybierałam sobie losu.

Dotarli na Piaski, aby ujrzeć Jerzego, ładującego zapasy do Rosomaka. Pamiętajmy, że nawet Wawelski nie był taki głupi, aby trzymać kradziony transporter wojskowy w podziemnym garażu swojego bloku. Po pierwsze, pojazd był zbyt szeroki, aby zmieścić się na jakimkolwiek miejscu postojowym, po drugie, niektórzy sąsiedzi archeologa nie zatracili jeszcze zdolności krytycznego myślenia. Maszyna stała w krzakach, sto metrów od osiedla, szczelnie opatulona reklamami polskiego producenta mleka. Na jednej burcie widniała podobizna krowy na tle lasu, a pod spodem podpis „Mleko Żubrowe”. Po drugiej stronie patrzyła na świat dumnym wzrokiem twarz, na tyle podobna do Zbigniewa Herberta, aby budzić skojarzenie, a na tyle niepodobna, aby nie dawać rodzinie poety pretekstu do pozwu. Niżej rozciągało się zdanie: „Mleko Żubrowe – potęga smaku”.

– Ile za to zapłaciłeś? – zapytała pełna podziwu Sekmet.

– Ba, oni mi płacą – odparł Jerzy. – I dobrze, bo to cholera ciągnie ropę jak Zatoka Meksykańska. Przedział bojowy projektowano dla ośmiu żołnierzy, więc zmieścimy się wszyscy z bagażem. Wsiadajcie.

Pięć minut później nadjechała Agnieszka, wioząc ojca Jana oraz Celestynę. Widząc siostrę przyjaciółki, Zygmunt poczuł niekreślone poczucie winy, ale po chwili stwierdził, że bardzo mu z tym doznaniem dobrze. Przyszła lekarka obejrzała mobilną reklamę mleka, zrozumiała, co kryje się pod spodem i przestraszyła się.

– Hej... ale uważajcie – poprosiła. Kiedy Zygmunt odszedł po karnistry z ropą, ona chwyciła Sekmet za ramię. – Słuchaj, Faraonko, masz go pilnować.

– Będę – zapewniła Egipcjanka. – Ale myślałam...

– Już zawsze będzie moim byłym – przypomniała z rzewnością Celestyna. Ruszyła do samochodu, ale zabiegł jej drogę Jerzy.

– Słuchaj... jeśli się okaże, że nie wrócimy, to... – Wygrzebał z kieszeni kartkę papieru. – Tu jest lista min i pułapek, które założyliśmy pod mostem Grota. Zadzwoni pod ten numer i proś z Miszą, a on pomoże ci zdjąć ładunki. Wiesz... kiedyś mogą się tam kręcić dzieciaki...

– Cela... – Podbiegł do niej również Zygmunt. – Zaopiekuj się Błażem i pilnuj Henryka. W biurze znajdziesz trochę złota. Poślij ze dwa kilogramy moim rodzicom, a resztę spożytkuj, jak chcesz. Ale jeśli nam się nie uda, rozważ emigrację do Chile. Dobrze?

Nie mogła mówić, więc tylko skinęła głową i odjechała. A zwarta drużyna obrońców świata zapakowała ostatnie zapasy do transportera i ruszyła na północ. Oczywiście nie tak od razu. Długo stali w korku na Maczka, a potem przy Estrady. Z trudem wskoczyli na siódemkę w Łomiankach. Reklama nabiału nie budziła nie tyle podejrzania, co nienawiść innych użytkowników drogi i nie pomagała w nawigacji. Co gorsze, Jerzy szybko przekazał stery Zygmuntowi, a sam zbierał meldunki od krewnych i znajomych w instytucjach państwowych. Detektyw dobrze jeździł rowerem, nie był pewien swoich sił za kierownicą samochodu, a sterując dwudziestotonowym Rosomakiem, awansował na

potencjalnego Jeźdźca Apokalipsy. Na szczęście nikt, ale to absolutnie nikt nie próbował wymusić na nich pierwszeństwa.

Tego popołudnia powietrze było duszne i ciężkie. Wrześniowe słońce przygrzewało nadzwyczaj mocno, ale chmury na wschodzie zwiastowały nadchodzący deszcz. Około szesnastej dotarli na miejsce pułapki. Był to osłonięty laskiem fragment szosy, kilometr na południe od Kroczewa. O wyborze tej akurat lokalizacji postanowił nie tyle przypadek, co przekonanie, przekazywane z partyzanckimi genami we krwi zarówno Zygmunta, jak i Jerzego, że zasadzki warto ustawiać w lesie. Punkt nie był zbyt odosobniony, jako że fragment kryty przez drzewa z obu stron rozciągał się na ledwo trzysta metrów. Jednak wygodny, turystyczny zjazd i zatoczka przy drewnianej wiacie pozwalały ustawić Rosomaka w pozycji, która nie zagrażała innym użytkownikom ruchu. Wawelski otrzymywał niepokojące informacje – służby śledziły TIR-a, ale dwukrotna kontrola nie przyniosła oczekiwanego rezultatu. Agnieszka zauważyła, że policjantów można było wyprowadzić w pole prostym zakłębieniem, a Sekmet czuła zbliżający się diadem. Porucznik Piasek, dobra znajoma Jerzego, na bieżąco śledziła podejrzaną ciężarówkę z satelity. Zygmunt rozstawił trzysta metrów przed i za zasadzką uprzejmą informację: „Uwaga! Zdjęcia do filmu”, czym może nie poprawiał waloru tajności operacji, ale ułatwiał późniejsze zatuszowanie incydentu. Agnieszka tłumaczyła Bazyłowi jego rolę – mimo utraty oczu, mityczny jaszczur zachował zdolność masowej sugestii. To on miał przekonać świadków zdarzenia, że zajście z udziałem ukrytego pod reklamą mleka wojskowego wozu oraz niegroźnego z pozoru TIR-a jest faktycznie częścią zdjęć do epickiego widowiska. Ojciec Jan siedział w Rosomaku i święcił amunicję. Co prawda mumię Wodza mieli przechwycić przed ożywieniem, ale obecność sarkofagu wspomagała wrażliwych magów.

Zdjęcia satelitarne wskazywały na obecność eskorty. Dwa czarne furgony, jeden sto metrów przed ciężarówką, drugi pięćdziesiąt metrów z tyłu, z pewnością wiozły nodyjskich popleczników. Jerzy napatrzył się na wiele drogowych zasadzek, często przeprowadzanych mniejszymi siłami wobec silniejszego przeciwnika. Szybko ocenił, że atak na TIR-a, a dopiero późniejsze unieruchomienie obstawy może przynieść skutek. Nawet najbardziej paranoiczni sekciarze zapewne nie przypuszczali, że zagraża im przydrożna reklama mleka.

– Synu, nie strzelaj z działa, póki nie będziesz pewny, że to konieczne – poprosił ojciec Jan.

– Nie zamierzam – odparł archeolog.

Naprawdę liczył, że nie odpali ani jednego ładunku. Za to rychtował dwa pociski przeciwpancerne systemu Spike. Rakiety były drogie, w razie nietrafionego strzału mogły zmasakrować innych użytkowników drogi, za to posiadały niezaprzeczną zaletę. Z dziur po kulach trzeba się było tłumaczyć. Z całkowicie spalonego wraku – już niekoniecznie. Tuby pocisków Wawelski rozstawił w lesie, nieco dalej, aby razić ewentualnych uciekinierów i (lub) wracającą z pomocą awangardę.

– Proszę księdza... – zagadnęła kończącego święcenie zakonnik Sekmet. –

Proszę księdza o spowiedź.

– Tak, to rozsądna decyzja – odparł ojciec Jan, studiując instrukcję rakiet przeciwpancernych. Od czasu jego młodzieńczych przygód wojennych, technika poczyniła znaczne postępy. Instrukcja była napisana po hebrajsku, i to nowohebrajsku, więc jezuita zrezygnował ze studiów. Znał dobrze język Starego Testamentu, ale w prywatnym wokabularzu teologa brakowało słówek takich jak „znacznik impulsowy” bądź „dalmierz laserowy”. – Czy żałujesz swoich grzechów, córko? – Kiedy wysłuchał wyznania, myślał chwilę, po czym zapytał poważnie: – Poważny grzech, ta nieczystość. A planujesz poślubić tego młodzieńca, gdy przyjdzie stosowna pora?

– Ojciec na serio pyta, czy tylko się ze mną droczy?

– Poważnie, córko. Małżeństwo to rzecz dobra, nawet jeśli krótka. – Po czym dodał konfidencyjnym tonem. – A z mojego doświadczenia spowiednika, czasem wysnuwam wnioski, że im krótsza, tym lepsza.

– No... ja... – zachnęła się Sekmet. – Bardzo bym chciała, ale Zygmunt, choć dostojnego serca, nie posiada ważnej legitymacji szlachectwa. Nagana trwałaby kilka tygodni, a tak wiele czasu nie mamy.

– Córko, to akurat najmniejszy problem – zauważył zakonnik. – Nadasz mu ziemię w Dolinie Nilu za odwagę okazaną w boju. – Spojrzał ku szosie, aby zauważyć detektywa, trzymającego w jednej dłoni pistolet, w drugiej kostkę semtexu. – A tego chyba mu nie zabraknie.

– Nie chciałabym się wtrącać w jego niedokończone sprawy z Celestyną – stwierdziła Sekmet, ale jezuita zbył ten nietrafiony argument dostojnym milczeniem. – Choć kilka dni małżeństwa chyba nie wywrócą jego życia do góry nogami – przyznała. – Ale czy on będzie chciał? Czy w ogóle o tym pomyśli?

– Pomyśli. Jego też będę spowiadał. – Duchowny uśmiechnął się.

Kwadrans później byli już gotowi na śmierć, tak zadaną przeciwnikom, jak przychodzącą po nich. Jerzy siedział w Rosomaku, Agnieszka obsługiwała wieżyczkę (ku pewnemu niezadowoleniu ojca Jana, poprosiła o pomoc duszę czyścową zmarłego w Afganistanie żołnierza), jezuita czekał przy rakietach, a Zygmunt krył się pod wiatą, gotów w każdej chwili dobiec do unieruchomionego TIR-a i wysadzić jego cenny ładunek. Sekmet stała obok, w odwodzie, ściskając magiczne kryształy. Nie wyglądali na fachową ekipę filmową.

– Jada! – krzyknęła do mikrofonu Agnieszka. – Jurek, na pewno?

– Po to tu stoimy! – syknął archeolog. – Załatw ich!

– A co, jeśli skrzywdzę kierowcę? – zapytała Czująca.

– To się buc nauczy, aby nie brać chałtur od sprzysiężenia przedpotopowych magów – zauważył Wawelski z dydaktyczną nutą w głosie.

– A jeśli go zabiję!?

– To nie przekaże potomstwu genów odpowiedzialnych za tę ułomność – wyjaśnił samozwańczy filozof ewolucyjny, gotując się do eliminacji konkurencyjnych członków swojego gatunku.

Furgon obstawy właśnie mijał pułapkę, a cel wjechał w pole widzenia

podwarszawskich raubritterów. Czująca sięgnęła ku żywiłowi ognia i skierowała go przed siebie. Stali na zakręcie nie dla hecy. Jedynym sposobem na unieruchomienie ponad trzydziestotonowego tira było – zamiast siłować się z rozpędzoną masą – wywrócić ją. Tylko na zakręcie można to było zrobić, nie masakrując innych pojazdów. Agnieszka skierowała moc ku prawym kołom pojazdu i naczepy, a jednocześnie objęła pechowego kierowcę kokonem antywstrząsowym. Na efekt czekali ułamki sekund – opony pękły, cielsko maszyny opadło na prawą stronę, a okaleczone koła wybuchły fontannami iskier. Przez dobre kilkanaście metrów grawitacja walczyła o lepsze z bezwładnością, ale ostatecznie zwyciężyła. Najpierw naczepa, a potem ciągnik padły na burtę, zmieniając fontannę iskier w prawdziwy wulkan. Jadący z tyłu pojazd obstawy niemal uderzył w leżącego olbrzyma, ale tylko otarł się zderzakiem, odskoczył na środek drogi i popędził dalej. Nawet nie hamował.

– To on! – krzyknęła Sekmet. – Furgon, nie tir!

Zygmunt zastygł przy wraku ciężarówki. Zrozumiał od razu i klął swoją głupotę. Dlaczego założyli, że transport znajdzie się w największym z pojazdów? Mumia weszłaby na tył furgonu wana, którego właśnie puścili. Podbiegł do kabiny kierowcy, spojrział w dół i z ulgą stwierdził, że czar Agnieszki zadział. Odpiął tylko oszołomionego *truckera* i wyciągnął go na trawę.

– Nie maź się – fuknął. – Byłeś ubezpieczony. – Po czym spojrział na drogę.

Wawelski otworzył luk transportera i wrzeszczał z całych sił, aby weszli na pokład. Ojciec Jan też nie próżnował – odpalił pocisk przeciwpancerne i kierował śmiercionośną raketą. Spike wyskoczył ze ściany lasu, wznosił się nad mazowieckie łąki, szukając celu. Zakonnik chybił, ale nie z własnej winy. Widząc pomarańczowego malucha tuż obok furgonu, poderwał raketę ostro do góry i wydał komendę detonacji. A wan zniknął między zabudowaniami osiedla.

– Jedziemy za nimi! – krzyknął Zygmunt.

Złapał za wypaloną wyrzutnię Spike. Jezuita i Sekmet chwycili drugą, jeszcze nieużywaną. Zdążyli dobiec w ostatniej chwili – Jerzy już chciał ruszyć za uciekinierem. Na szczęście powstrzymali go magowie z drugiego pojazdu. Trzech ludzi w ciemnych kombinezonach wyległo na pobocze, skierowało lufy automatów ku detektywowi, duchownemu i Egipcjance, po czym rozpoczęły kanonadę. Zapewne nie zrobiliby tego, wiedząc, że pod tekturowym pyskiem krowy kryje się lufa trzydziestomilimetrowego działka.

Agnieszka chciała ich tylko postraszyć, dlatego celowała pod nogi. I prawie jej się udało – to znaczy większość pocisków eksplodowała kilka metrów od wrogów. Jednak kilkusekundowe wciśnięcie spustu wyrzuciło z lufy ponad dwadzieścia ładunków. Jeden z nich trafił udo maga, eksplodował tuż za nim, zabijając cel na miejscu. Eksplozję pozostałych pocisków wzbudziły burzę asfaltu i żwiru, pędzącą niczym szrapnele armatnie.

– Dość! – ryknął Wawelski.

– Boże, teraz to już na pewno kogoś zabiłam! – jęknęła Agnieszka.

– Brawo, ale nie marnuj amunicji.

Zygmunt wrzucił swoją wyrzutnię, Sekmet i ojciec Jan swoją (podkreślmy –

cisnęli odbezpieczonym pociskiem typu Spike. Gdyby głowica rakiety spotkała twardą powierzchnię, dobre chęci księżniczki i zakonnika zmieniłyby transporter w puszkę pieczonej ludziny), wskoczyli do startującego pojazdu, zatraskując drzwi. Jerzy ruszył, zostawiając za sobą wrak tira, jęczącego kierowcę oraz ciała półżywych i martwych magów. Profilaktycznie zerwał z uszu słuchawki, aby uniknąć steku przekleństw, którymi obdarzyłaby go porucznik Piasek, po odkryciu pobojowiska.

– Są szybsi! – zauważył Zygmunt, przepychając się przez wnętrze transportera. Dotarł do wieżyczki, zdjął z niej Agnieszkę, po czym powierzył zszokowaną przyjaciółkę zakonnikowi. Sam wdrapał się do działka. – Mam do nich strzelać na drodze?

– Sam powiedziałaś, że ich nie dogonimy – odparł Jerzy. – Ale nie martw się, zaraz staną w korku przed mostem.

– My też się zatrzymamy...

– Dlatego dobry Bóg stworzył pociski przeciwpancerne – zauważył nawrócony na kracjonizm ewolucjonista.

– Nie będę strzelał w zatłoczony most! – odpowiedział drżącym głosem detektyw. Właśnie wjeżdżali na zakorkowaną przeprawę zakroczymską.

– Przejmij stery. Ja będę – odparł Wawelski.

Tak, dobrze mieć drania za przyjaciela. W owej sekundzie Zygmunt chciał wyciskać archeologa. Jerzy podjął bez wahania decyzję, przekraczając granicę, której detektyw mógł nie pokonać. To znaczy należało się wściekać na mordercze i bezwzględne metody Wawelskiego, ale cóż, dzięki takim ludziom światy bywały ocalane, a imperia upadały później. Ale Jerzy nie dostał szansy zabicia magów oraz niewinnych kierowców.

– Co za... – jęknął archeolog i wcisnął hamulec.

Chyba zapomnieli, że nie tylko Agnieszka posługiwała się mocą. Czar maga z pierwszego furgonu był prosty i elegancki, przy tym genialny w swojej bezczelności. Przez Rosomakiem powstał stalowy mur – cztery samochody zlepiała magiczna siła. Transporter wyminął przeszkodę, ocierając się o tył poloneza. Przez ułamek sekundy Smok nawet rozważał staranowanie pojazdów, ale przecież magowie dopiero zaczynali. Za furgonem rósł karambol. Wściekły Jerzy zjechał na pobocze.

– Do wody! Wjedź do Wisły! – krzyknął ojciec Jan, po czym spojrzał na Zygmunta. – Mam rację, to amfibia?

– Przed wjazdem do wody wymaga pewnego przy... – zaczął detektyw, ale uznał że nie warto. Właśnie spadali.

Do zalet Wawelskiego z pewnością nie należał brak entuzjazmu. Słyszając polecenie zakonnika, wykonał je. Ruszył, rozpychając samochody na boki, dotarł do barierki, zgniótł ją figlarnie i zniknął za krawędzią. To znaczy nie do końca. Tekturowa reklama mleka została na moście, budząc znacznie większe zainteresowanie niż potężny plusk na powierzchni Wisły.

– A... – wrzasnął Zygmunt, nie tracąc czasu na doprecyzowanie – Agnieszka.

Dobry duch „Afgańca” chyba nie opuścił Czującej, ponieważ ta zareagowała

natychmiast. Zaczęła tkać zakłęcie zanim jeszcze uderzyli o wodę. Cudem – nieprzyzwoicie szczęśliwym, nawet jak na cud – wstrząs nie cisnął dziewczyny o burtę i nie pozbawił jej przytomności. Dzięki temu otoczyła pojazd bańką powstrzymania żywiołu wody. Jak się okazało, Rosomak mógł utrzymać się na powierzchni także bez drogich i nieporęcznych pływaków. We wnętrzu transportera zapadła niezręczna cisza, bo przez dobrą minutę pasażerowie upewniali się, że wciąż żyją. Dopiero Wawelski złamał milczenie.

– Do morza nas znosi – zauważył.

– Mamy śrubę – powiedział zakonnik. – Spróbuj ją uruchomić.

Tylko dzięki czarowi Agnieszki silnik nie zgasł. Cóż, to stwierdzenie dość banalne, tym bardziej, że również tylko dzięki czarowi Agnieszki nie poszli na dno. Jerzy sprawnie aktywował system pławny, wciąż poruszając się bardzo ostrożnie, jakby żywiołowa bańka miała za chwilę pęknąć. Z kronikarskiego obowiązku dodam, że była ona bliska anihilacji. Czująca, wciąż przerażona widokiem rozerwanych przez siebie magów, balansowała na krawędzi omdlenia, a utrata przytomności zniweczyłaby zakłęcie. Na szczęście Zygmunt błysnął niezwykłym wyczuciem emocji przyjaciółki (a przez to także instynktem samozachowawczym).

– To było wspaniałe – powiedział, ściskając ramię Czującej. Dał jej pięć sekund na skonsumowanie pochwały, po czym dodał. – A nie masz... bo ja wiem... jakiegoś czaru napędowego?

Rosomak ruszył, rozrywając fale Wisły. Nie chroniła go już reklama mleka, ale nikt ze stojących na moście nie patrzył w dół. Kierowcy krzyczeli, lamentowali bądź udzielali pomocy rannym. Nikt od czaru magów nie zginął, ale droga została unieruchomiona na dobre. I na to właśnie liczyła Niobe, poganiająca kierowcę. Obywatelka nie widziała zielonego kształtu na powierzchni rzeki...

– Co robimy? – zapytał Wawelski.

– Jak to co? – jęknął Zygmunt. – Ty kierujesz... bądź sterujesz...

– Płyniemy zbyt wolno – odparł Jerzy. – Potrzebuję dodatkowej mocy albo stałego ładu. Hej, Wasza Egipckość, nie masz w zanadrzu kryształ przywołania krokodyli pociągowych?

– Mam – odparła Egipcjanka. Cztery pary oczu skierowały się ku Sekmet. – No tak naprawdę to nie... – Wawelski zaklął. – To nie są krokodyle – wyjaśniła księżniczka, wyciągając z torby zielony kwarc.

W akompaniamencie dzikiego śmiechu, jęków niedowierzania oraz wiwatów na cześć monarchii faraonów, Egipcjanka nałożyła zakłęcie na pojazd, a magiczny sługa przybył i zaczął pchać Rosomaka. Ze swojej strony, Agnieszka wezwała żywioł wody, choć bardzo ostrożnie, tak aby nie przerwać ochronnej bańki. Dwadzieścia ton stali przyspieszało i po chwili sunęło już z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Pamiętajmy, że magiczna amfibia poruszała się niemal po torze liniowym i nie musiała użerać się z ruchem ulicznym. Mieli poważne szanse wyprzedzić furgon Niobe.

– I co dalej? – zapytał Zygmunt.

– No właśnie... – westchnęła Sekmet. – Potrzebujemy teraz wyjątkowej dawki

bohaterstwa i głupoty.

* * *

Czekali na nią niecierpliwie. Beryl otrzymał niepokojące meldunki o walce pod Kroczewem, utracie czterech braci oraz wynajętej przynęty. Na szczęście podstęp Niobe się udał. Kilkanaście minut po osiemnastej do uszu pierwszego obywatela na ziemiach polskich dotarł przejmujący pisk. To czarny furgon pędzący prawym pasem Wisłostrady zawracał, mimo stalowej barierki i pasa zieleni. Wspomagany magią pojazd wytrzymał i szybko znalazł się po lewej stronie drogi, ale za taki manewr policja powinna była zabrać prawo jazdy nie tylko kierowcy, ale i wszystkim pasażerom. Na szczęście ani policja, ani inni kierowcy nie zwracali uwagi na podobne akrobacje. Po chwili czarny wan zjechał z wału przeciwpowodziowego na nadwiślańską pustynkę.

– Mamy go! – triumfalnie obwieściła wysiadająca Niobe. – Wódz przybył.

Na polanie czekało dziesięciu ludzi: Beryl, Iryd oraz ośmiu braci służebnych. Tym razem sekciarze zrezygnowali z kultowych topicznych szat. Nosili policyjne kombinezony oraz kamizelki kuloodporne. Przygoda w klinice nauczyła ich ostrożności. Z szacunkiem podeszli do furgonu, a Niobe otworzyła tylne drzwi. Zgromadzeni zaintonowali pieśń w języku tak starym, że niezdatnym do zapisu naszym alfabetem. Czterech z nich chwyciło za sarkofag wodza. Kamienna osłona ważyła sto kilogramów – znacznie mniej, niż powinna. Tkwiła w niej pradawna magia Nodyjczyków, a także ich zmysł praktyczny. Nie warto było dźwigać ćwierćtonowych ciężarów, jeśli można nasycić kamień czystą mocą i ułatwić sobie pracę.

Sarkofag postawiono pionowo w płonącym kręgu. Wąska obręcz węgla i drzewa zakreślała trzymetrowy okrąg na piasku. Ludzie cofnęli się, zostawiając w środku tylko trójkę obywateli. Ci sprawnie podważyli wieko, zrzucili kamienną płytę i uwolnili zawartość trumny. Wygląd skarbu dorównywał dostojeństwem okładce. Na brudny piasek wiślańskiego wybrzeża wysypała się kupka piasku, tyle że czystsze. Ale wszyscy czujący, którzy stali obok, rozumieli, jak wielka moc drzemie w tym pyłe. Beryl, Niobe oraz Iryd złączyli dłonie nad doczesnymi szczątkami wodza i rozpoczęli pieśni. Po chwili piach zaczął wznosić się i tańczyć w niezrozumiałym podnieceniu. Taki widok pod najbardziej dzisiaj zatłoczonym mostem Warszawy mógł budzić zdziwienie, ale nie budził. Pas Armii Krajowej na wschód był tak zakorkowany, że zamiast wsłuchiwać się w psalmy z brzegu lub oglądać szemraną ceremonię, kierowcy trąbili i łajali sąsiadów. Na trasie panował taki hałas, że ludzie nie usłyszeli by nawet strzelaniny na dole, nie mówiąc już o zwykłych inkantacjach. Kobieta puściła ręce towarzyszy, wyszła z kręgu i podniosła złoty diadem Sekmet.

– Zaszczyt należy do ciebie, Berylu – powiedziała, podając artefakt zwierchnikowi. Była to rozsądna decyzja.

– Dziękuję – odpowiedział obywatel, odbierając diadem. Było to ostatnie słowo, które wypowiedział i ostatnia rzecz jaką zrobił. Sekundę później został

rozerwany.

Jerzy wiedział, że ma tylko jedną szansę – kiedy Zachodni nie spodziewają się ataku, nie noszą żadnych osłon magicznych i nie myślą o bezpieczeństwie. Skosił pierwszą serią starego maga, chcąc pozbyć się przywódcy i najpotężniejszego wroga. Już sekundę później, zanim jeszcze bracia służebni strząsnęli z szat resztki byłego kapłana, Niobe i Iryd zakładali już tarcze. Wawelski przeniósł ogień poświęconych pocisków na mężczyznę i – o dziwo – dosięgał celu. Od razu zaznaczmy, że magii Iryda nie sposób czegokolwiek zarzucić, a utkanie czaru osłony kinetycznej w tak krótkim czasie zasługuje na medal, nawet przyznany pośmiertnie. Pierwsze dziesięć pocisków wybuchło przed i obok maga, pięć następnych w powietrzu, odepchniętych tarczą. Trzy przemknęły tuż obok biedaka, ale wybuchły z tyłu, zbyt daleko, aby zrobić mu krzywdę. Wreszcie jeden wbił się w czoło, odrywając głowę, a drugi wybuchł w piersiach. Pozostałe siedem nie trafiło, bo cel przestał istnieć. Nodyjczyk eksplodował.

Poniesiony łatwym triumfem, Smok skierował lufę na Niobe. Z punktu widzenia Zachodnich, nieszczęścia „chadzały parami”, ale „do trzech razy sztuka” – tarcza trzeciego uczestnika obrzędu zadziałała idealnie. Fala pocisków eksplodowała przed i obok magini, nie czyniąc jej widocznej szkody. Nie sposób było tego samego powiedzieć o braciach służebnych, siekanych odłamkami i zabłąkanymi strzałami. Czterech przeżyło nawałnicę i – pełnych zwątpienia, co do ostatecznego zwycięstwa – ruszyło ku Wisłostradzie. Dwóch z nich znalazło miny. Piętami.

– Myślisz, że się ciebie boję, śmiertelniku? – zawołała Niobe, przekrzykując nawet wrzask ludzkiego pomocnika, szukającego oderwanej stopy. – Zaraz cię zabiję...

– To nie zawsze skutkuje! – oznajmiła Sekmet i odpaliła rakietę.

Ze skraju chaszcy pomknął w kierunku magini pocisk przeciwpancerny. Było to już prawdziwe wyzwanie, nawet dla magii obywatelki. Rozpaczliwie zwinęła tarczę, chcąc przechwycić śmiertcionośny obiekt, a właśnie na to czekała reszta oddziału. Jerzy znów obudził działko, Agnieszka i Zygmunt rozpoczęli długą serię z erkaemu. A księżniczka złamała kryształ osłony i ruszyła ku przeciwnicze. Właściwie niezbyt dokładnie tam, ale w kierunku ognia. Diadem leżał na ziemi.

Niobe została by rozerwana falą stalowego ognia, gdyby nie ściana piasku. Dosłownie – z ziemi powstała szara płyta, osłaniająca szczelnie maginię. Agnieszka odrzuciła taśmę amunicyjną i spróbowała rozproszyć czar. Ale to nie był czar. To był wódz.

Bezkształtny duch owinał się masą piasku. Wyglądał jak olbrzymi (bo trzymetrowy) plażowicz, który po wyjściu z wody wytarzał ciało na ziemi. Ale przecież nie było ciała. Pociski eksplodowały na, a czasem przechodziły na wylot przez wodza, nie czyniąc półmaterialnemu stworowi żadnej widocznej krzywdy. Zakłęcie Czującej z trudem fałdowało ziemne oblicze przedopotopowca. A sam wódz spojrział („Spojrzał? Czym!?”) na Niobe, potem na uciekających braci służebnych, aż w końcu na Agnieszkę. Z jego wnętrza wydobył się dźwięk, który przy odrobinie dobrej woli można było uznać za słowa. Stojąca obok obywatelka

zajaśniała jeszcze mocniejszą tarczą obrony, a z ziemi powstało kilkadziesiąt kształtów.

Były to drobne ogniki piaskowe, ale też ożywieńcy. Psy, koty, konie, dwa dziki oraz kilku ludzi. Być może byli to zmarli Cyganie, których wioskę zburzono kilkanaście lat wcześniej, być może ofiary porachunków mafijnych. Co najmniej trzy ciała wyglądały... no, cóż, jeśli nie na świeże, to przynajmniej w miarę kompletne.

Fiodor Urbanow miał zmiażdżony obojczyk oraz opuchłą od utopienia szyję, jego pomocnik – Mały – nosił też pamiątki wypadków pod mostem Gdańskim. Sierżant Amur Chi najwidoczniej nie przeżył ostatniego spotkania z Agnieszką, ewentualnie zszedł podczas reprimend od przełożonych. To wesołe trio wiodło pochód trupów, kroczących człowieczo ku Czującej. Wódz warknął coś jeszcze. Zygmunt pomyślał, że jest to pradawne zaklęcie Nodyjczyków, choć nie miał racji – najbliższym polskim odpowiednikiem tej inwokacji było słowo: „napierdalać!”.

– Odwróćcie ich uwagę! – krzyknęła Sekmet, ostrożnie zachodząc wodza od wschodu.

– Jasne... – wyjęczał Zygmunt. Maszerowała ku niemu zgraja piaskowych żywiołaków oraz trupów i pragnienie zwrócenia na siebie większej uwagi zajmowało odległe miejsce na liście jego aspiracji. Ale cóż mógł poradzić. Kiedy Agnieszka podała kolejną taśmę, przeładował karabin i wcisnął spust. – Za Noego!

Niobe przejęła kontrolę nad zgrają potworów, odciążając swojego mistrza. Piaskowy mag kroczył niepewnie ku linii chaszczy, co chwilę odkrywając kolejną minę. Dotarł wreszcie do leżącego na ziemi diademu i z trudem nałożył go na zwichrzone czoło. Sekmet trzymała w dłoni tylko sztylet ojca, skrzący się magią pustyni, ale niegroźny dla przedpotopowca. „Nie mogę go zabić...” – pomyślała. „Ale nie chcę. Muszę tylko zabrać, co moje”. Wawelski jakby czytał jej myśli. Skierował ogień działka na maga i uwięziony w pokracznej postaci piasek zaczął tańczyć pod drobnymi eksplozjami. Być może nie groziło to istnieniu Nodyjczyka, ale odstrzelona głowa z pewnością nie pomagała w nawigacji. Mag zataczał się jak pijany, co chwilę wpadając na kolejną minę Wawelskiego. A Sekmet zbliżała się i gotowała do skoku...

Ponieważ archeolog zostawił przyjaciół samym sobie, falę ożywieńców powstrzymywał jedynie ogień ze stanowiska Warsa i Sawy. Kolejne pociski kosiły atakujące istoty, ale do ideału „jedna kula – jeden zombie” detektywom było dość daleko. W dodatku część, zdałoby się, utraconego personelu, Niobe podnosiła po raz wtóry. Szeregi napastników topniały, ale nie tak szybko, jak zapasy obrońców. Zygmunt zrozumiał, że walkę trzeba zakończyć pojedynczą szybką i heroiczną akcją. Podjął decyzję i – na szczęście – miał zbyt mało czasu, aby rozważyć wszystkie konsekwencje. Chwycił mocno manierkę i wyciągnął rękę przed siebie.

– Żywioł wody. Odepchnij mnie – sapnął, patrząc na Agnieszkę. – Prosto w Niobe.

Czująca uznała ten pomysł za samobójstwo, ale prawie zawsze była posłuszna szefowi. Zebrała nieco mocy, ot tyle, aby poderwać w górę dobrze zbudowanego

mężczyznę i skierowała ją na zawartą w naczyniu ciecz. Manierka pociągnęła detektywa za sobą, a Czująca dość dokładnie kierowała lotem pocisku. Zygmunt chciał: „prosto w Niobe” i właśnie tam poleciał. Tarcze magini były przystosowane go zatrzymywania pocisków, odłamków i energii eksplozji. Nie utkano ich jednak z myślą o przechwyceniu wrzeszczącego bojowo warszawiaka. Detektyw przeniknął przez osłonę i wpadł na Niobe. Oboje padli na ziemię, szybko pojmując, że znajdują się razem w ochronnej bańce. Czyli – wewnątrz nie oddzielało ich nic.

– Jeszcze nigdy nie uderzyłem kobiety – powiedział chorobliwie podnieconym głosem Zygmunt. – Ale kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Obywatelka wyciągała dłonie do zakłęcia piaskowej burzy, kiedy manierka upadła ze znaczną siłą na jej czoło. Jęknęła i wypuściła na wół upleciony czar. Burzy nie przywołała, piasek owszem. Czworometrowej średnicy bańka tarczy wypełniła się w połowie ziemią. Magini i detektyw, równie oszołomieni i zagrzebani do pasa, przez chwile patrzyli na siebie bezradnie, po czym przystąpili do pięściarskiego pojedynku. Obywatelka nie miała większych szans w konfrontacji siłowej, a czarować nie mogła. Kolejne zakłęcie zapewne rozerwałoby siłową bańkę i wystawiło oboje na kule Agnieszki. Dlatego po kolejnym ciosie warszawskiego gentlemana przechyliła całe ciało do tyłu, w ten sposób bujając ich sferą. Wydało się jej to doskonałym pomysłem, przynajmniej do czasu, aż cała kula zaczęła się toczyć po ziemi.

Magiczna bańka ruszyła ku Wiśle, przemykając między Sekmet i wodzem. Wprawiała w konfuzję nie tylko księżniczkę i Przedpotopowca, ale również horde zombie, co stanowi ewenement w historii paranormalnej. Tłum martwych pokrak powoli ruszył za kierującą nimi maginią. Bardzo zirytowało to wodza. Kilkoma machnięciami piaskowych łap zdziesiątkował horde. Wawelski wstrzymał ogień.

– Co robisz? Strzelaj! – krzyknęła Agnieszka.

– Zobaczmy, co z tego wyjdzie – odparł Jerzy.

Nie wyszło nic dobrego. Rozgniatając osierocone truposze, wódz podbiegł do bańki Niobe i Zygmunta. Wziął porządny, trzymetrowy zamach i uderzył zakłęcie. Kula wystrzeliła wprost ku mostowi, odbiła się od filaru i wróciła mniej więcej w to samo miejsce, detonując po drodze kilka ładunków. Tarcza nie puściła, ale nie trzeba było mieć wyjątkowej empatii, aby współczuć pasażerom przedpotopowego *roller coastera*. Wawelski natychmiast wznowił ogień, ale to jakby obudziło stwora. Ruszył na północ, wprost ku chaszczom i plującym ogniem transporterowi. Jego celem było zanurzenie w węzle mocy. Mimo kolejnych pocisków rozrywających się na jego piaskowym ciele i min gotujących ziemię pod stopami, maszerował. Wawelski zrozumiał, że konwencjonalna broń nawet nie zwolni wodza. Nie żałował zbyt – właśnie skończyła mu się amunicja. A Przedpotopowy wyrwał z ziemi brzozę, podniósł ją nad Rosomakiem...

– Sekmet... teraz! – krzyknęła Agnieszka.

Czująca pchnęła tyle mocy, ile mogła. Jej słaby, w porównaniu z Nodyjczykiem, wręcz nieznaczący talent nie mógł się równać z potęgą podnoszącą martwych

i drzewa liściaste. Ale wódz, nieważne jak silny, podlegał prostym prawom fizyki. Zakłęcie Agnieszki popchnęło kraniec wzniesionego na sześć metrów drzewa. Zdumiony przedpotopowiec zaczął siłować się z założoną dźwignią i runął na plecy. Egipcjanka potrzebowała ledwie sekundy, by doskoczyć do pokracznej głowy i zerwać diadem. Ale nie zniszczyła potwora. Właściwie nic się nie stało. Wódz wstał i od niechcienia cisnął brzozą w kierunku księżniczki. W ciele Sekmet nie pozostałaby żadna cała kość, gdyby nie magiczna bańka, która wtoczyła się na tor lotu pocisku.

– Ja pier... – zawył Zygmunt, a końcówkę przekleństwa zagłuszył budzący grozę odgłos *emesis*. Wymiotowała Niobe, a, przypomnijmy, w środku sfery detektyw miał ograniczone możliwości uniku.

Zdumiony przedpotopowiec nie sięgał po kolejne drzewo. Dumnie ignorując ogień kaemu, wznosił dłonie w górę, tkając zakłęcie. Sekmet podjęła ten pojedynek, w którym nie miała szans. Z ziemi wytrysnęły dwa strumienie piasku – potężny, wzniesiony przez wodza, i znacznie słabszy Sekmet. Spotkały się w połowie drogi, a powietrze wokół zaostrzyło od elektryczności. Zygmunt tego nie widział, ponieważ właśnie dotoczył się do ogniska.

– Nie zwracajcie na nas uwagi – powiedział ojciec Jan, nie wstając z klęczek. Obok niego modlił się Henryk. Zygmunt nie znał koptyjskiego, ale z pojedynczych wyrazów zrozumiał, o co prosili zakonnik i eremita. O deszcz. Pojęła to też Niobe.

– Wodzu! – jęknęła żałośnie, ale było już za późno.

Ciężkie krople ruszyły ku ziemi. Pierwsze zareagowały skonfundowane zombie. Stwory w automatycznej panice ruszyły ku kierującej nimi Niobe, niektóre usiłowały zagrzebać się w piasku. Deszcz, jakakolwiek woda, tak niespotykana na Wielkiej Pustyni, rozpraszała magię, która powołała ich do życia. I piaskowe ciała zaczęły się rozpadać. Wszystkie – również woda.

Przedpotopowy zrozumiał zagrożenie. Przerwał zmaganie z Sekmet i nerwowo utkał magiczną tarczę energetyczną nad głową. Parasol chronił go przed wilgocią, ale czar nie był wieczny. Egipcjanka i Czująca natychmiast uderzyły w zakłęcie, rozpraszając je bez trudu. Niobe była silną maginią, potężniejszą od Sekmet i Agnieszki razem wziętych. Ale obywatelka nie wiedziała, gdzie znajduje się potrzebujący pomocy wódz. Nodyjka nie tyle miała problemy z określeniem stron świata, co odróżnieniem góry od dołu. Zygmunt okładał ją manierką, dwaj święci mężowie wznosili modlitwy, a Jerzego nasza heroiczna głupota.

Ruszył transporterem, skierował się ku wodzowi i przyśpieszył. Przedpotopowiec był zajęty układaniem nowych osłon, ale jego ciało – póki co – nic się nie stało. Smok postanowił zmienić ten stan rzeczy. – Tak się tworzy historię, mały – szepnął do leżącego na fotelu radionawigatora bazyliuszka, a potem uderzył w piaskowego stwora. Jeśli spodziewał się wrażeń podobnych do zderzenia z Cthulhu, zawiódł się.

Rosomak przebił się przez monstrualną babkę piaskową. Transporter znacznie zwolnił, ale się nie zatrzymał. Za to dobra tona piasku zaległa na pancerzu i wieżycze pojazdu. Nic nie widząc, archeolog postanowił się zatrzymać. Zrobił to dość szybko, by nie uszkodzić siebie oraz filarów mostu Grota, ale nie dość

prędko, aby Zygmunt i Niobe zdołali się odtoczyć z jego trasy. Magiczna piłka po raz kolejny skoczyła bezwładnie w kierunku – dla odmiany – Wisłostrady, detonując chyba ostatecznie miny. Tym razem to żołądek detektywa odmówił posłuszeństwa. Magini nie protestowała, bo straciła przytomność. A Wawelski wstał, z trudem otworzył wąż, spojrzął za siebie i zrozumiał, że wygrali.

– Na chwałę Pana! – krzyknął uradowany Henryk. Wyciągnął spod pazuchy telefon komórkowy, aby uwiecznić pobojuwisko na filmie, ale w ostatniej chwili powstrzymał się. Schował pod szatę wytwór przeklętej cywilizacji, po czym przeżegnał się.

Zmęczona Sekmet siedziała na ziemi, jedną ręką trzymając na czole odzyskany diadem. Wódz rozpływał się do reszty. Nie stracił nic z magicznej mocy, ale nie potrafił zregenerować swojego ciała. Wawelski wiedział, co należało teraz zrobić.

– Agnes, do Wisły z nim – krzyknął. – Dasz radę przenieść tyle piachu? – Widok wymizerowanej twarzy Czującej starczyła za odpowiedź. – Dobrze, siedź tu, pilnuj zwłok, a ja załatwię jakiś spychacz. Aha... – dodał, widząc toczącego się bezradnie detektywa. – Może wypuścisz go z tej bańki.

Jerzy ruszył ku Wisłostradzie, z zamiarem wyszabrowania sprzętu budowlanego, zostawiając zmęczonych do granic możliwości przyjaciół. Sekmet z trudem doczołgała się do ognia – osłanianego cieniem mostu przed deszczem. Agnieszka przerwała sferę osłony, na wszelki wypadek jeszcze raz zdzieliła w potylicę Niobe, na dobre odsyłając ją do krainy Morfeusza, po czym wykopała Zygmunta. Jej przyjaciel pachniał dramatem, rodem z wesołego miasteczka.

– Agnes.... Woda... – wyszeptał.

Mimo skrajnego zmęczenia, Czująca spełniła tę rozpaczliwą prośbę. Na detektywa spłynął strumień ciepłej wody, wzbogaconej dezynfekującymi bąbelkami żywiołu ognia. Po trzech minutach Zygmunt był czysty, choć musiał zrezygnować z noszonych ubrań. Założył znaną w Rosomaku bieliznę (nie wiedzieć czemu zapakowaną w zestaw pierwszej pomocy, razem z krawatem i zapasem prezerwatyw) oraz kitel sanitariusza wojskowego, po czym zaprowadził ślaniającą się na nogach Agnieszkę pod most. Sekmet chwyciła go w ramiona i namiętnie pocałowała. Dodajmy, że zrobiłaby to nawet, jeśli pogromca nodyjskich magów nie umyłby się, choć pieśczoła nie byłaby aż tak gorąca. A po kwadransie ze spychaczem wrócił Wawelski.

– A wy, co się tak gapicie! – krzyknął Zygmunt. Zobaczył, że na moście grupka kilkudziesięciu ludzi spogląda w dół, podziwiając wojskowy transporter, pobojuwisko, dziwaczne ciała oraz mocno obitego mężczyznę w białym kiltu. – Nic tu nie zaszło! – Detektyw podniósł ogromną jaszczurkę, szepnął jej coś do ucha, a gad beknął znacząco. Patrząc na osłepionego bazyliżka, świadkowie poczuli dziwną lekkość i nagły brak zainteresowania wydarzeniami na wiślanym brzegu. Rozeszli się w milczeniu. Wtedy przestał padać deszcz, ale słońce już nie wyszło. Nad Warszawą zapadła noc.

– I co teraz? – zapytała Agnieszka.

– Zrobione – odpowiedział z uśmiechem Jerzy. – Ci pustynni durnie nie przewidzieli, że u nas pada częściej niż w Libii i nie zabezpieczyli awatara

swojego wodza. Wrzuciłem szczątki do rzeki. Rozproszyły się na tyle, że przynajmniej przez parę dni mamy spokój. To znaczy, kiedy już wpadną do Zatoki Gdańskiej, ktoś może go odtworzyć. Ale przecież my już dawno uporamy się z... – Spojrzał na Sekmet. – Tak... przepraszam. Miałem na myśli...

– Uporamy się – potwierdziła księżniczka. – Do tego czasu zniszczycie diadem. Musimy zabezpieczyć ludzkość przed podobnymi zagrożeniami w przyszłości. To jedyna droga. Ojciec Janie?

– Nie martw się, moje dziecko. Poradzę sobie sam. Ceremonia potrwa, bo muszę się zająć zarówno samym zaklęciem, jak i nośnikiem. Skończę do rana. Najlepiej... cóż, połóż się spać. Wierzę, że wstaniesz w lepszym świecie.

– Zaraz... – wtrącił Wawelski. – Niobe gdzieś związała. Zabrała rannych i kilku zombie. – Widząc bezruch wśród zgromadzonych, zapytał. – Nie gonimy ich?

– Nie teraz – syknęła Agnieszka.

Zygmunt czuł w gardle suchość, ale był pewien decyzji. Ścisnął w dłoni niewielki przedmiot – oderwany przecinakami fragment łuski do działka. Na miedzianej obręczy zamontował zielony kryształ. Nie zawierał on żadnej magii, po prostu wyglądał jak szmaragd. Detektyw żałował każdego elementu tej sceny, począwszy od klejnotu, a na własnym stroju skończywszy. Ale nie miał czasu zadbać o coś lepszego. Ukłąkł na piasku przed Egipcjanką.

– Sekmet Meni Doroto Ungern von Sternberg, czy zechcesz zostać moją żoną? – zapytał, drżącym głosem.

– Ja... – zaczęła księżniczka. Jak na regentkę Górnego i Dolnego Egiptu spłoniała się bardzo dziewczęco. Pod mostem Grota-Roweckiego zapadła cisza, niemal idealna. Nawet symfonia klaksonów góry dochodziła jakby zza grubej zasłony. – Tak. Bardzo tego ragnę.

– Co takiego? – syknął Wawelski. – Teraz mam załatwiać mszę u świętego Benona i salę balową na wesele? Ludzie, jest środa! – odpowiedział mu tylko śmiech Sekmet.

– Nie, nie musisz. Poradzimy sobie sami... A, Zygmunco – dodała, przypominając sobie o starożytnej, ale istotnej formalności. – Za zasługi w boju przeciw wrogom Królestwa, ogłaszam cię rycerzem Dolnego i Górnego Egiptu. – Mimo że wykraczało to znacznie poza zwyczaje dworu faraonów, dotknęła jego ramienia obsydianowym sztyletem. – Ojciec Janie, czy udzielisz nam sakramentu?

– Chwila... – mruzczał zakonnik. – Nie mamy tu kościoła, ani prawdziwego ołtarza, ale okoliczności usprawiedliwiają to nadużycie... – Spojrzał na Agnieszkę, potem na Jerzego. – Dwójka świadków będzie. Tak, to da się zrobić.

– Cudownie! – pisnęła podniecona Czująca, po czym dodała w panice. – Boże, co ja mam na sobie. – Miała uroczą letnią sukienkę z gigantyczną plamą krwi na boku. Ale ona też nie mogła wybrzydząć, a w porównaniu do smokingu pana młodego, jej strój prezentował się nieźle.

Ceremonia odbyła się sprawnie, ponieważ po raz pierwszy od setek lat panna młoda musiała się śpieszyć. Za obrączki posłużyły obręcze z anteny transportera, dyskretnie transmutowane w złoto (Agnieszka podwędziła Egipcjanecę jeden z odpowiednich kryształów), a za welon odpowiednio przycięty skrawek siatki

maskującej. Ryżu też nie mieli, ale Wawelski zmyślnie pokruszył wojskowe suchary. Mogli przystąpić do sakramentu.

– Czy ty, Zygmuncie Wietrzyku, bierzesz Sekmet Meni Dorotę Ungern von Sternberg za żonę? – zapytał ojciec Jan. Po potwierdzeniu standardowej przysięgi, zwrócił się do księżniczki: – A ty, Sekmet Meni Doroto Ungern von Sternberg, bierzesz Zygmunta Wietrzyka za męża i ślubujesz mu miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że go nie opuścisz aż do śmierci?

– Tak – odparła księżniczka pewnym głosem. Obietnica była ważna, niezależnie od oczekiwanej długości trwania.

– Ogłaszam was mężem i żoną – stwierdził zakonnik.

Po rytualnym pocałunku, na młodych (których średnia wieku oscylowała w okolicach dwóch mileniów) spadł deszcz okruszków suchara. Pobłogosławił ich Henryk, na co księżniczka bardzo liczyła. Twierdziła, że to modlitwa eremity sprowadziła nad Wisłę deszcz. Kto wie, może i tak było – polski klimat od zawsze zdawał się być bardzo podatny na humory Boga. Sekmet Meni Dorotę Ungern von Sternberg Wietrzyk rzuciła maskującym welonem za siebie, ale przynajmniej, że Agnieszka nie miała wielkiej konkurencji w łapaniu ozdoby. Z tajemniczego źródła (mogły być to zarówno czeluście Rosomaka, jak i schowek spychacza), Jerzy wydobył odrobinę bimbru, który wypili w łuskach od pocisków trzydziestomilimetrowego działka. Nowożeńcom rozstawiono namiot z czterech żołnierskich pałatek i anteny radiowej. Był to ślub czasów wojny – szybki, niedrogi, ale pieczętujący uczucie gorące jak eksplodująca mina przeciwpiechotna.

– Wszystko, co dobre, szybko się kończy – zauważył Zygmunt, kładąc żonę pod zielonym dachem.

– Inaczej byśmy nie wiedzieli, że jest takie wspaniałe – powiedziała Sekmet. – Zygmuncie, pamiętaj o mnie.

– Będę – zapewnił detektyw. – Ale dziś liczy się teraźniejszość – powiedział, starając się nie myśleć, że sto metrów od namiotu ojciec Jan, Henryk i Agnieszka, wkładając złoty diadem do ognia, rozpoczynają rytuał.

Następnej godziny miał nie zapomnieć do końca życia. A kiedy, zmęczeni i szczęśliwi, ułożyli się na wojskowych karimatach, Egipcjanka sięgnęła do torby po ostatni z kryształów. Był to kwarc snu, który rozkruszyła nad mężem. Nie chciała, aby czekał do rana i widział ją rozpadającą się na proch. Sama nie czuła strachu, a drobinki kryształu wciągnęła do ust przypadkiem. Zasnęła, oparta o Zygmunta.

* * *

Czuł, że coś poszło nie tak. Wcale nie źle, po prostu inaczej. Otworzył oczy i stwierdził, że wciąż leży w namiocie z pałatek na wiślańskiej plaży. Chłodny ranek pachniał rzadko spotykaną tak blisko rzeki świeżością. Siniaki po dniu wczorajszym wciąż świadczyły o realności minionych zdarzeń. Ta samo jak obrączka, dłoń Sekmet na jego szyi, leżący z boku kitel sanitariusza, pachnąca

alkoholem łuska po... WRÓĆ!

Dłoń Sekmet. Ciepła, żyjąca i piękna dłoń, prowadząca przez przedramię, łokieć i ramię do ciepłego, żywego i pięknego ciała. Zygmunt nie wierzył. Sprawdził puls na nadgarstku, na szyi i pod kolanem.

– Co robisz, kochanie? – zapytała obudzona księżniczka. – To dziwne miejsce na rozpoczęcie... Boże! Co się stało?

Egipcjanka chwyciła kitel sanitariusza, wstała i wybiegła z namiotu. Zaspany Zygmunt podążył za nią i zobaczył po raz pierwszy furie swojej żony. Dobiegła do stojącego nad dogasającym ogniskiem ojca Jana i zaczęła targać jego habit.

– Co to ma znaczyć!? Nie umiałeś nawet zdjąć zaklęcia!? Jak mogłeś! I co teraz? Co ja powiem Zygmuntovi?

– Ależ dziecko... wszystko się udało! – odparł zaskoczony jezuita. – Odizolowaliśmy czar i transmutowaliśmy diadem w ołów. Tak silna magia nie utrzyma się na innym metalu, więc... – Wtedy położył dłoń na czole Egipcjanki. – Ale... Odnowa tkwi w tobie! Nigdy jej nie było na diademie. Nie mogą ci ukraść zaklęcia.

– Czyli nie uratowaliśmy świata? – zapytała Agnieszka zaspanym, ale i zawiedzonym głosem.

– A to dobre! – krzyknął Wawelski. – Choć z drugiej strony... oż w mordę! – Spojrzał na podchodzącego do ognia detektywa. – Hej, rycerzu Dolnego i Górnego Egiptu. Mam dla ciebie dwie wiadomości, z których obie mogą być złe.

– Sekmet! – zawołał Zygmunt. – Ona przeżyje?

– Skoro dycha teraz bez złota... – mruknął Wawelski. Następnie wyrwał księżniczce obsydianowy sztylet, drasnął ją w rękę i spuścił czerwoną kroplę na swoją dłoń. Widząc nerwowy ruch detektywa, natychmiast oznajmił. – Spoko, to tylko test. Agnes, pozwól tu. Czy ta krew się utlenia? Czy czujesz zwiększenie zawartości powietrza w wodzie? – Ona pokręciła głową. – Cóż, dałbym jeszcze próbki do obejrzenia Celestynie, ale, jak na mój gust, wciąż się nie starzejesz.

– Czyli zaklęcie...

– Nie wiemy, jak teraz działa – zauważył archeolog. – Dlatego, zanim nie przeprowadzimy pewnych testów, postaraj się nie ginąć, dobrze...

– Czyli ja... – Spojrzała bezradnie na Zygmunta. – To nie tak miało być.

– Nie jestem specem od prawa kanonicznego, ale w przypadku zatajenia TAKICH okoliczności, unieważnienie małżeństwa nie powinno stanowić problemu – wtrącił Jerzy.

– Ale chwila... kto chce unieważniać... – zapytał zdumiony Zygmunt.

– A nie chcesz? – głos Sekmet przepełnił się nagłą nadzieją.

– Nie, ja mówiłem poważnie... – Zamknęła mu usta pocałunkiem. Ojciec Jan i Henryk rozpoczęli gorące oklaski, a Agnieszka rozplakała się ze wzruszenia. Tylko Wawelski zepsuł podniosłą atmosferę przyziemną sugestią...

– Zygmunt... może być coś na sobie założył.

* * *

Państwo Wietrzykowie ruszyli w podróż poślubną na lodowce Grenlandii. Poza chęcią zwiedzenia jedyne miejsce na ziemi, w którym pani Meni Dorota Ungern von Sternberg Wietrzyk jeszcze nie była, zamierzali sfigować ślub tam i oddaleniem od cywilizacji wytłumaczyć rodzicom Zygmunta brak zaproszenia oraz wiejskiego wesela. Starsi państwo Wietrzykowie dobrze znieśli wieści, żądając jednak, aby najbliższe chrzciny były huczne.

A obywatelka Niobe wynajęła do wydobycia piasku wszystkie dostępne barki z okolic Gdańska i Świbna, ale znaleziony szlam rzeczny nie reagował na żadne czary, wezwania ni klątwy.

XI. KONIEC ŚWIATA NA SZASERÓW

Miasto było stracone. Moczo Cuhuo stał jeszcze na murach, zagrzewając wojowników do walki, ale Rachka nie widziała sensu w odwlekaniu nieuniknionego. Była wręcz na męża zła, bo ten chciał zginąć śmiercią chwalebną, pociągając za sobą wszystkich mieszkańców Champoton. A przecież powinni byli się poddać, wyprowadzić z murów jak najwięcej rodaków, zdać się na łaskę ludzi zza morza. Im więcej Champotów przetrwa, tym większa była szansa na zemstę. Ale mężczyźni jej plnienia woleli zginąć, niż próbować walki w ten straszny sposób. Królowej pozostała do dyspozycji jeszcze tylko jedna broń.

– Kiszu! – zawołała swojego najwierniejszego gwardzistę.

A majski wojownik wpadł do komnaty, bez słowa chyląc czoło przed władczynią. On był gotowy zginąć, ale nie chciał. Wolał walczyć nadal, dlatego Rachka w niego wierzyła.

– Wszystko stracone, przyjacielu – powiedziała, wstając z tronu i podchodząc do klęczącego siłacza. – Ja zginę, ale przed tobą jeszcze jedna walka.

– Tak, Pani. Będę zabijał Hiszpanów – odparł Kisz.

– Nie... – zaprzeczyła królowa umierającego kraju. Wyciągnęła spod sukni drobny przedmiot, świecący lekką, nienaturalną poświatą. – Będiesz zabijał, wszystkich... tak. Ale to nie Hiszpanie są winni naszej nędzy. Zagłada ich świata zacznie się gdzie indziej, w krainie, skąd pochodzi przeklęty Jan Kolnus, który sprowadził zza morza swoich pobratymców! – Wcisnęła wojownikowi w dłonie starożytny artefakt niosący przeklętą moc niemych ojców. – Ale zginą wszyscy. To może potrwać rok, wiek i pięćset lat, ale skończysz cykl tak, by poczuli gniew naszego ludu!

Pedro Kaspano śpieszył się. Co prawda poganie nie planowali kapitulacji, ale jeśli ich wyprawę znalazłyby te cholerne, madryckie klechy, proces rabowania ochrzczonych już Majów mógłby się skomplikować. Dlatego – wbrew wszelkim poleceniom wicekróla – rozdał ludziom cały zapas prochu i pchnął ich do błyskawicznego szturmu. Sklecone naprędce drabiny, lecz wspomagane ogniem arkebuzów oraz granatów dymnych, odniosły niespodziewany skutek. Pierwsza drużyna konkwistadorów zdobyła wschodnią basztę i podpaliła bramę od środka. Teraz zdobycie miasta było już tylko kwestią czasu.

Nie miało to jednak większego znaczenia. Kisz wynurzył się u stóp świętego wodospadu i zostawiając za sobą rozpalone miasto, zniknął w dżungli.

Cały cywilizowany świat wpadał nad ranem 21 grudnia w panikę. Ale nie Warszawa – Warszawa rzygała. Nawet nie „wymiotowała”, ale „rzygała” właśnie, ponieważ temu pierwszemu słowu towarzyszy pewna dawka dostojeństwa, a nie dźwięki, kojarzone raczej z przetykaniem rury odpływowej. Zygmunt czuł się fatalnie – oczywiście sam nie zwracał treści żołądkowej, ale słuchał tych bluźnierczych bulgnień dochodzących z ust Celestyny. A przecież jego dawna, nie do końca spełniona miłość, winna być ponad żołądkowe grypy. Nie była.

– Założmy jej kroplówkę – oceniła Sekmet. Uprzedzając obawy męża, dodała: – Wiem, że nie umiesz. Ja umiem. Prowadziłam szpital polowy admirałowi Kołczakowi. Przez dziewięćdziesiąt lat chyba nie zmienił się znacznie układ naczyń krwionośnych człowieka...

Celestyna chciała to jakoś skomentować, zapewne poprzez pomysł nawodnienia dożylnego, ale i wyrazić sceptycyzm, co do medycznego doświadczenia Sekmet podczas wojny domowej. Przyszła lekarka dobrze zniosła małżeństwo Zygmunta, ba!, nawet darzyła tajemniczą brunetkę pewną sympatią, ale nie wierzyła, że byłego chłopaka odbiła jej nieśmiertelna księżniczka egipska. Służba w Białej Gwardii była jednym z wielu elementów CV Sekmet, który Celestyna poddawała w wątpliwość. Ale nie wypowiedziała tych myśli na głos, a dokładniej pisząc, zamiast nich wydała odgłos godowy zapowietrzonych rur. Zygmunt czekał z miską w gotowości. Był żonaty, ale przecie byłej dziewczynie należała się z jego strony pewna lojalność, nawet jeśli oznaczało to pielęgnację we wstydlivej chorobie.

– Jeśli jesteś pewna... – powiedział, przekrzykując wymiotującą dziewczynę.

Zmienił mieszkanie Celestyny w szpital polowy (swoim nieładem przypominał wiele placówek przy armii Admirała), bo szturmowanie tego oficjalnego miało się z celem. Ulice Warszawy zatkały się samochodami i karetkami, wypełniły dźwiękami klaksonów oraz odgłosami choroby. Grypa żołądkowa przybrała rozmiary epidemii. Placówki służby zdrowia były oblegane, a ich personel funkcjonował dzięki masowemu stosowaniu środków chemicznych, o których nie śniło się komórce antynarkotykowej CBŚ.

Położyli Celestynę na zmienionym na leżankę biurku. Zygmunt odwinął rękaw bluzki i przygotowywał swoją eks do nakłucia. Sekmet przeszukiwała szafę studentki. Jej wiedza medyczna była faktycznie przeterminowana – księżniczka czytała nieznanne sobie nazwy, aby w końcu spróbować trzech pakunków, przypominających sól fizjologiczną. Jęk Celestyny upewnił ją, że drugi z worków zawierał odpowiedni środek.

– Szybko! – jęczała studentka. – Nawodnij mnie i szukaj jakiś stymulantów. Muszę się stawić na dyżurze, skoro tyle osób nie przyjdzie... – Tu jej wywód przerwała fala nieeleganckich torsji. Kiedy skończyła, Sekmet sprawnie wbiła igłę w nadgarstek pacjentki, a Zygmunt zaczął z czułością głaskać chorą.

– Ciii, już dobrze. Musisz się wyspać...

– Jeśli oni wszyscy tak bełtają, to kto... – Detektyw nie zrozumiał dalszej części wypowiedzi, ponieważ Celestyna brzmiała, jakby mówiła do blaszanego kubka, będąc zamknięta w toalecie na zanurzonej okręcie podwodnym. Jednak

zrozumiał ogólną myśl.

– Spokojnie, świat się bez ciebie nie zawali – zapewnił, jednak tonem na tyle niezdecydowanym, że świat powinien się przestraszyć. Przestraszył się za to Zygmunt.

Nie o siebie, rzecz jasna, o Celestynę i Sekmet (księżniczka była nieśmiertelna, ale to nie oznacza, że rozrywanie ciała jej nie bolało). Zmusił się jednak do bohaterskiej głupoty. Gdy napastnicy przekroczyli próg, skoczył ku drzwiom, niejasno podejrzewając, że w wąskim przedpokoju zamaskowana postać nie odpali granatnika. Zderzył się z masą napastnika, lecz miał siłować się w potężnym wrogiem, sięgnął, aby zerwać jej aparat tlenowy.

– Pax! – wrzasnął Jerzy, ale przez system filtrów brzmiał, jakby zatrzasnął się w tej samej toalecie co Celestyna.

Sytuację uratowała Agnieszka, bo choć również miała na twarzy aparat oddechowy, Zygmunt poznał jej szary płaszcz (narzucony na strój ochronny) i zbierające energię do zakłęcia iskry na placach. Puścił Smoka i bez sił opadł na podłogę. Niezależny strażnik warszawskiego porządku z godnością przeszedł nad przyjacielem.

– Zysi, to my... przepraszam... – zawołała Agnieszka, choć detektyw nie słyszał wszystkich słów. Sprawę wyjaśnił dopiero Wawelski, gdy podszedł do miniwieży w salonie, wpiął się wychodzącym spod skafandra kablem w wejście liniowe i rozpoczął transmisję.

– Raz, dwa... raz, dwa – głośniki zadudniły głosem Jerzego. – Nie panikujcie, ale możecie być zakażeni. Dlatego nie wolno nam ściągać masek. Musimy stosować się do zasad kwarantanny typu omega. Nie twierdzę, że ta epidemia zagraża całemu życiu na Ziemi, ale... – Ostatnie słowo brzmiałoby dość przerażająco, gdyby nie kontekst sytuacji. Zygmunt wybuchnął śmiechem i znów padł na podłogę w przedpokoju. Sekmet utrzymała powagę, ale zapytała z lekką drwiną w głosie:

– To co... Majowie mają nas teraz zarazić grypą żołądkowa? To jest sposób na koniec świata, ale dodaje on nowego znaczenia idiomowi *ad mortem defecandum*.

– To nie jest śmieszne, wasza wysokość – mruknęły głośniki, a Wawelski wzruszył ramionami. – Rozmiarów tej epidemii nie da się wytłumaczyć klasycznymi szczepami wirusowymi.

– Da się! – zaczęła leżąca Celestyna, ale nie mogła kontynuować. Chciała dobrze, ale wyszło jak zwykle.

– Zaraz Agnieszka wam wszystko powie – oznajmił głos Jerzego z miniwieży.

Po chwili siedzieli już przy stole, niczym na popołudniowej, niedzielnej herbatce. Nie zgadzało się tylko kilka szczegółów. Był piątek przed południem, a na stole, zamiast herbaty, leżała umęczona Celestyna Szara w pozycji bezpiecznej i z wbitym igłą kroplówki. Jej goście siedzieli wokół, ale nie pili herbaty. Agnieszka Szara i Jerzy Wawelski pić nie mogli, ponieważ szczelne kombinezony przeciwchemiczne były u nich zwieńczone fachowymi maskami z niezależnymi źródłami tlenu. Sekmet i Zygmunt nie pili dla towarzystwa.

Sprzęt oddechowy utrudniał gościom komunikację, więc także Czująca wpięła

się do wejścia liniowego odtwarzacza siostry, aby mówić przez głośniki. A miała do opowiedzenia poważną historię, w którą nie tylko Celestyna, ale i państwo Wietrzykowie jej nie wierzyli.

– ZA-RĄ-BI-STE! – ocenił Zygmunt. – Przez chwilę myślałem, że wy tak na poważnie.

– To jest poważne! – dobiegł bezradny jęk z głośników.

– Agnes, wybacz... – powiedziała Sekmet. – Mamy uwierzyć, że Warszawa ma się stać epicentrum zarazy o podłożu nadprzyrodzonym?

– Sam wirus jest naturalny – wyjaśnił Wawelski. – Tylko został przetransportowany sposobami tajemnymi. To jakiś szczep z prekolumbijskiej Ameryki, dlatego nie jesteśmy na niego odporni. W nieznanym nam sposób Majowie przechowali...

– Majowie!?! – jęknął Zygmunt. – Żarty żartami, ale to już nie jest śmieszne.

– Moja droga... – łagodnie zapytała Sekmet. – Czy uważasz, że to, co mówisz, brzmi wiarygodnie? Przychodzisz do siostry dwudziestego pierwszego grudnia... Gdybyś to zrobiła w rok podejrzewanej przez popkulturę zagłady ludzkości...

– Fani Danikena pomylili się w obliczeniach – stwierdziła Agnieszka. – Chodziło o dwa tysiące siedemnasty.

– ...i udajesz, że jesteśmy zakażeni śmiertelnym wirusem, który zakończy życie na ziemi. Przyznaję, że wasz sprzęt robi wrażenie, ale spójrzmy prawdzie w oczy. Jerzy nie takie rzeczy pożyczal i szabrował, więc zwykłe aparaty tlenowe i kombinezony nie robią na nas wrażenia.

– Ale nie rozbierajcie się! – zabronił Zygmunt. – Sfilmuję i wrzucę do sieci!

– Nie, Zygi! Sekmet... mówię poważnie!

Agnieszka wstała i podbiegła do przyjaciela (wyrrywając z gniazdka kabel), stanęła nad nim, patrząc prosto w oczy. Zygmunt szczerze spojrzenie dziewczyny widział z trudem, ponieważ aparat oddechowy i solidne okulary maski kontaktu wzrokowego nie ułatwiały, ale poczuł w tym błysku coś niepokojącego. Szalę przeważała Celestyna, deklarując z odmętów swojego chorobowego uboota:

– Oczywiście im nie wierzę, ale ten wirus jest dziwny.

I wtedy Zygmunt Wietrzyk, warszawski detektyw paranormalny, założyciel agencji „Wars i Sawa”, a w wolnych chwilach dyskretny obrońca uciśnionych, poczuł, że świat może się naprawdę kończyć.

Poczuł w sercu błogość.

* * *

Celestyna mieszkała od pewnego czasu w bloku przy Fabrycznej, z pięknym widokiem na Wisłę i co najmniej ciekawym widokiem na ślimaki mostu Łazienkowskiego. Dlatego też z okna mogli podziwiać dobry wycinek pandemium. Wisłostrada i Trasa Łazienkowska były zakorkowane, i to w obu kierunkach. W padającym lekko śniegu tonęły okrzyki przerażenia i klątwy, a ponieważ obie te kategorie miejskich dźwięków słyszeli niegorzej, na poziomie ulicy musiała rozgrywać się żałosna symfonia. Niektórzy usiłowali jeszcze jechać,

ale co chwilę drzwi kolejnego wozu otwierały się, a kierowca (lub pasażerowie) wyskakiwał i składał świadectwo zarażenia tajemniczym wirusem. Od zmasowanych ofiar uchronili Warszawę zaskoczeni drogowcy – nie odśnieżyli, dlatego samochody jechały zbyt wolno, aby spowodować masakrę. Miasto zakorkowało się w całkiem bezpieczny sposób, oczywiście o ile nie liczyć groźby pandemii oraz zamrażnięcia na przenikliwym mrozie. Zygmunt nie do końca rozumiał, dlaczego podobna liczba ludzi chciała się dostać z Pragi na Zachód oraz na odwrót. „Cóż – pomyślał – może szukają rejonowych szpitali oraz przychodni, w których są ubezpieczeni. To dobry znak, bo wciąż pokładają nadzieję w zbiorowej służbie zdrowia”. Potem porzucił myśli o mieście, bo musiał zastanowić się nad sobą i towarzyszami. Coś się nie zgadzało.

– Do góry? – jęknął zdumiony.

Wawelski usłyszał go tylko cudem, ponieważ to pytanie musiało przebyć przez dwie warstwy gumy. Szalony archeolog pomyślał o przyjaciółach i ich też ubrał w chemiczne kombinezony oraz założył im maski. Nie było to działanie w pełni racjonalne, ponieważ nieśmiertelna księżniczka egipska choroby bać się nie musiała, a Celestyna była – według wszelkiego prawdopodobieństwa – już zakażona. Może Jerzy uznał, że ubrane w normalne stroje zimowe panie poczują się niedoceniane. Ale wracając do zdumienia Zygmunta, zamiast ruszyć schodami (winda nie działała) w dół, Smok ruszył w górę. Szybko odpowiedział przyjacielowi:

– A niby, gdzie miałem zaparkować? – Ten uznał to tłumaczenie za, jak na razie, wystarczające.

Mieszkanie Celestyny znajdowało się na przedostatnim piętrze, więc szybko dotarli do wjazdu na dach i z trudem przecisnęli się przez wjazd. Piszę z trudem, bo w obszernych skafandrach, szytych na potężnych chłopców z Batchemów LWP, nie tylko Jerzy miał problem z wejściem po drabince przez wąski szyb. Ale po kilkuset sekundach przepychanki stanęli na dachu budynku Fabryczna 2. Sterowiec powitał ich surowym wezwaniem „Pij mleko!” oraz wizerunkiem uśmiechniętego dziecka i uśmiechniętej krowy.

– Co do... – jęknął Zygmunt.

– Nie gadaj, łap odciążki – pogonił go Smok. – Tylko ostrożnie, przycumowałem do anteny.

Kiedy nasi bohaterowie będą się męczyć z powietrznym wehikułem, zdążymy powiedzieć kilka słów o dumie Wawelskiego. Miękkoszkieletowy, hybrydowy sterowiec „Graf Zero” wisiał spokojnie nad Fabryczną 2, dobrotliwie zastanawiając się, czy poddać cielsko następnemu podmuchowi wiatru, zerwać antenę satelitarną i polecieć w siną dal, pozostawiając naszą drużynę bez środka transportu. Ale Graf był dobrotliwy. Czego Zygmunt nie wiedział, wehikuł stanowił najnowszą zdobycz Wawelskiego, przyrządzoną przez pracowników upadłego już przedsiębiorstwa oponiarskiego oraz niezrównoważonego producenta domków działkowych, który (jak się okazało, słusznie) uznał, że za drobną opłatą wykona solidną gondolę. Sterowiec był napełniany helem (oficjalnie), gorącym powietrzem oraz (czym już Jerzy nie chwalił się urzędowi)

wodorem, co pozwalało uzyskać znośne parametry lotu przy umiarkowanych wydatkach na gazy. Mimo wszystko budowa i utrzymanie Grafa kosztowały więcej, niż Wawelski chciał i był w stanie wydać, ale Ministerstwo Zdrowia czuwało. Przyjaciel Jerzego wpisał wehikuł powietrzny na listę finansowanych przedsięwzięć polskiego rządu, po czym sam dostarczył reklamowe folie. Od tamtej pory podniebny okręt reklamował zdrową dietę. Napisałem „okręt”, ponieważ, jak każdy z pojazdów Smoka, „Graf” był niezłe uzbrojony.

– Ruszamy! – krzyknął Wawelski, uruchamiając silniki.

Powietrzna reklama mleka lekko ześlizgnęła się z dachu, po czym rozpoczęła rejs na południowy wschód. Zygmunt z niezdrową fascynacją chłonił krajobraz poniżej – zablokowane trasy i jakże niewielkie z tej perspektywy ludzkie dramaty. Niemo pytał się, czy nie powinni zlecieć na dół, zabrać na pokład choćby najbardziej potrzebujących. Ale nie, oni lecieli w misji. Jakiej – tego Wietrzyk nie wiedział, ale ufał Wawelskiemu. No dobrze, ufał przynajmniej Agnieszce. Z zamyślenia wyrwał go głos Celestyny:

– Nie wiem, co kombinujecie, ale podrzućcie mnie na Szaserów. Mają tam mało personelu, a autobusem nie dojadę.

– Nie! – sprzeciwiła się młodsza z sióstr. – Cela, musisz nam pomóc. Tylko ty znasz się na wirusach, a my lecimy rozbrajać bombę biologiczną.

– Żadnych duchów? – zapytała pryncypialna materialistka.

– Żadnych – odparł Jerzy. – To tylko potomkowie starożytnych Majów. Mszczą się na Polsce, bo uważają, że upadkowi cywilizacji mezoamerykańskich jest winien nie Kolumb, nie Korteż, ale Jan z Kolna, który miał odkryć pierwszą nowożytną trasę atlantycką. Majowie mają próbki prekolumbijskich wirusów, na które nie jesteśmy odporni. Rozpuszczają je w ujęciu wody, czyli Grubej Kaśce.

– W porządku – przytaknęła młoda racjonalistka, po czym sprawnym ruchem ściągnęła aparat tlenowy. W ostatniej chwili, dodajmy, bo prekolumbijski wirus znów się odezwał. Na ziemi nikt nie ucierpiał, ponieważ wlecieli już nad Wisłę.

Mimo siarczystego mrozu, rzeka nie była zamarznięta na całej szerokości. Obłą konstrukcję pomp łączył jednak z prawym brzegiem pas lodu. Zygmunt nigdy nie interesował się zbyt rzeczynymi filtrami, a w każdym razie nie poświęcił im należytej uwagi. Wiedział, że wieża Grubej Kaśki jest tylko centralą rozłożonych promieniście drenów i do konstrukcji można dotrzeć tunelem z Saskiej Kępy. Tylko po co, jeśli miało się do dyspozycji sterowiec? A same filtry wyglądały prawie normalnie, to znaczy ich kształt się nie zmienił, może nie licząc otulenia śnieżnym kozuchem. Jedynym elementem podejrzanym była wielka, czarna flaga z czerwonym jaguarem zawieszona w miejsce sztandaru Warszawy. W pierwszej chwili detektyw zdumiał się. Stolica nie zwróciła uwagi na tę uzurpację, ale cóż w tym dziwnego. Stolica wymiotowała.

Niestety, choroba nie była jedynym powodem bezkarności porywaczy.

– Kontrola, tu delta! – odezwał się głos w radiostacji Wawelskiego. – Niezidentyfikowany obiekt latający sto metrów na południe od mostu Łazienkowskiego. Kierują drony.

– Delta, co jest? Jakie drony? – zapytał inny, zdumiony głos. – Mamy jakieś

drony?

– Tak, kieruję dwójkę, trójkę i czwórkę do przechwycenia.

– Trzymać się, będę unikał – zamruczał spod maski Jerzy.

– Jakie drony? – powtórzył pytanie policyjnego operatora Zygmunt.

– Amerykańskie – odparł Smok. – Dali nam na pocieszenie, za utrzymanie obowiązku wizowego. Ale nie martw się, to nie policja, tylko ci Majowie się podszywają. Zmusili jakiegoś biedaka do udawania czujki z Zarządu Komunikacji.

– To lepiej? – jęknął Wietrzyk.

– Lepiej, bo nie łamiemy prawa... tak bardzo – wyjaśnił Wawelski. Jednocześnie obrócił gwałtownie pojazd. – Ale gorzej, bo te typy chcą nas zestrzelić.

Trzy drony typu Barracuda nie zostały dostarczone do Polski w konfiguracji bojowej. Amerykańscy użytkownicy wymontowali z nich niosące demokrację działka automatyczne oraz pylony na ładunki kasetowe, jednak polska policja znalazła sposoby na wykorzystanie bojowych możliwości prezentu. W normalnych warunkach Barracudy niosły granaty z gazem łzawiącym, ale tym razem wyposażono je w fosforowe race. Nie posiadały one klasycznego ładunku burzącego, ale powtórzmy, Graf Zero był wypełniony w trzydziestu procentach wodorem, a w trzydziestu pięciu powietrzem atmosferycznym. Los Hindenburga pokazywał, że zapłon gazów nie oznacza nagłej eksplozji, ale nie wróży też pojazdowi długiego życia.

– Ognia! – wrzasnął Wawelski.

Tej komendy nie musiał powtarzać. Sekmet i Zygmunt rzucili się do leżącej na podłodze skrzyni, wyciągając podręczne zapasy łowcy. Nie było czasu na subtelności, zaraz potem dwie lufy FN Falów wybiły burtowe okna Grafa i rozpoczęły ostrzał wroga. Ostrzał ostrożny i oszczędny – karabiny miały ledwo dwudziestonabojowe magazynki, a przy takim zaśnięciu ślepe serie były marnotrawstwem. Agnieszka oparła się o przeciwległą burtę i wyciągnęła rękę przed siebie. Zebrała całą dostępną jej moc w oczekiwaniu na najgorsze. To nadeszło szybko.

Kule państwa Wietrzyków nie wyrządziły dronom żadnej szkody, choć jakimś cudem Sekmet trafiła odpaloną racę. Drugą flarę zdetonowała Agnieszka, posyłając ku pociskowi falę żywiołu ognia. Niestety trzeci ładunek dotarł do poszycia Grafa. Nim Widząca zdołała zgasić go przywołanym z Wisły żywiołem wody, przepalił warstwę gumy. Od tej pory Agnieszka nie walczyła już z maszynami – rozpaczliwie tłumiła tylko pożar.

Sekmet zmieniła magazynek i dostrzelała kolejny. Niewiele już zostało. Jedna z Barracud dymiała i została w tyle, ale pozostałe dwie szukały pozycji do następnej salwy. Księżniczka zrozumiała, że życie całej załogi wisi na włosku. Krzyknęła do Jerzego.

– Smoku, flara! – I chwyciła rzuconą przez pilota racę zapalającą. – Mają czujniki podczerwone. Zwabię ich. Nic mi nie będzie! – powiedziała do Zygmunta. Potem odpaliła ładunek i wyskoczyła przez okno – wprost ku zamarznętej Wiśle.

Obie sprawne drony chwyciły przynętę. Nim egipska księżniczka uderzyła

o taflę i zniknęła w rzece, posłały dwa pociski nad nowym źródłem ciepła. Zrozpaczony Zygmunt panikował jednak w bardzo racjonalny sposób, bo zareagował w odpowiednim momencie. Gdy drony obróciły się wirnikami ku Grafowi, dwie krótkie serie trafiły teraz znacznie łatwiejsze cele. To nie wina Wietrzyków, że fortuna sprzyjała trzeciemu, uszkodzonemu robotowi.

Puszczona na ślepo raca została odbita telekinezą Agnieszki, ale powtórzmy, Widząca posiadała bardzo świeży i niewykształcony talent. Zmieniła tor lotu pocisku tak, że nie trafił on w płonące poszycie; za to wleciał do gondoli, uderzył blondynkę w hełm, pozbawiając przytomności. Nietłumiony ogień objął cały pęcherz z wodorem.

– Będzie bolało! – krzyknął jeszcze Wawelski, usiłując zapanować nad ginącym sterowcem.

Pojazd obrał tęczową trasę ku ziemi, przebywając resztę szerokości Wisły oraz wąski pas plaży. Gondola już miała plasnąć w twardy piach warszawski, ale płonące poszycie zaplątało się w drzewa skraju lasu. Wyrzuceni ze środka pasażerowie popadali w zaspę śniegu tuż przed wybuchem paliwa Grafy.

– Ktoś mi tu jest krewny sterowiec... – wyszeptał jeszcze Wawelski, zanim stracił przytomność.

* * *

Nie zginęli z kilku powodów. Zarośla wyhamowały Grafy, wybuch był delikatny, raczej wypchnął ich z wraku, niż zrobił prawdziwą krzywdę. Upadli na śnieg dość głęboki, by raczej plasnąć, nie uderzyć w ziemię. Nie zamarзли na śmierć, bo szybko odnalazła ich Sekmet. Pierwszy ocknął się Zygmunt, czując z daleka przyjemne dotknięcie ciepła. Żona rozpałała ognisko i otoczyła je śnieżnym wałem. Jak na Egipcjanke, wykazała się wspaniałym wyczuciem warunków Dalekiej Północy.

– Spokojnie – powiedziała. – Ale jak dojdiesz do siebie, pomóż mi z szaląsem.

Detektyw jeszcze przez chwilę chwycił powietrze w usta, orzeźwiając się mrozem wokół. Potem zrozumiał, że choć nadal tkwił w skafandrze, to dla ochrony przed temperaturą. Hełm z aparatem tlenowym nie wytrzymał lądowania. W zamian małżonka opatuliła mu głowę szmatami niewiadomego pochodzenia. W tamtej chwili topiła śnieg i gotowała coś... w czymś, co w lepszych czasach było garnkiem. Dopiero wtedy Zygmunt zdziwił się do końca.

– Ty żyjesz... – powiedział z ulgą.

– Tak – przyznała Sekmet. – Nie tak łatwo mnie zabić, pamiętasz? – Widząc mgielkę niezrozumienia na twarzy Wietrzyka, wyjaśniła: – Wpadłam do Wisły, ale kombinezon wytrzymał spotkanie z lodem. Musiałam wyrzucić aparat oddechowy, ale mnie powietrze do szczęścia nie jest potrzebne... Nawet się nie zamoczyłam.

– Wskoczyłaś z flarą... – wyszeptał Zygmunt – aby nas ratować.

– Oczywiście, głuptasku. Tak trzeba było – odparła księżniczka, ukłękła przed mężem i już chciała go pocałować, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Wirus

jej nie groził, ale wciąż mogła go roznosić. Poglaskała Zygmunta tylko po zwoju szmat.

– Tak... ale dlaczego po prostu nie wyrzuciłaś flary za burtę? – zapytał detektyw, popełniając spore *faux pas*. Cisza. Raz, dwa, trzy... – No, ale uratowałaś nas – udobruchał ją w końcu. – Wszyscy żyjemy... no nie?

Żyli. Rany Agnieszki były niegroźne, Celestyna szybko ocknęła się, tylko po to, aby znowu cierpieć od choroby. Jerzy miał mniej szczęścia, uderzenie o drążek sterowy mogło złamać mu dwa żebra, ale łowca nie narzekał, bo świadomości nie odzyskał. Zygmunt dołączył do starań Sekmet. Przygotowali zapas opału, zagotowali cudem uratowaną z wraku herbatę i zdążyli poczuć się jak rozbitkowie. Było to nieliczne osiągnięcie, zważywszy że znajdowali się cztery kilometry w linii prostej od administracyjnego centrum stolicy poważnego, europejskiego państwa. Tyle, że stolica już nie funkcjonowała, a cierpiała na dolegliwości znane Celestynie. Ściemniało się powoli.

– Co teraz? – zapytała Sekmet, a Zygmunt poczuł się bardzo źle. Oto księżniczka dwóch starożytnych imperiów, na polu bitwy dowodząca łącznie ponad milionem żołnierzy, zdała kierownictwo na niego. Poczuł się poniekąd dumny, ale był to rodzaj dumy, który podczas rozstrzelania czuje mianowany specjalnie na tę okazję feldmarszałek.

– Agnes miała jakiś plan... – mruknął. – A co my właściwie wiemy?

Na szczęście dla Zygmunta oraz ziemskiej cywilizacji, Czująca ocknęła się. Z początku była niemrawa, ale gdy pojęła, w czym ugotowano herbatę, którą wypila, odegnała wszelkie słabości. Czyż mogło ją spotkać coś gorszego? Celestyna i Wawelski przychodzili do siebie z trudem, jednak słuchali i potakiwali.

– Na pewno – powtarzała Agnieszka. – Czuję źródło mocy z tuneli filtrowych. A Jurek jest pewien, że to majscy wojownicy-mściciele. Dostał ostrzeżenie od znajomych w wywiadzie meksykańskich. To grupa buntownicza. Zresztą sam posłuchaj.

Wyciągnęła z kieszeni Smoka telefon (cudem nieuszkodzony) i odtworzyła nagranie. Na szczęście porucznik Taczani mówiła po angielsku, nawet bez hiszpańskiego akcentu. Z urody potężnej brunetki Zygmunt wnioskował, że pochodziła z rodu jukatańskich Indian, jedynie akcydentalnie wmieszanych w służbę Meksyku. Była to postawa słuszna – własne sprawy Majowie powinni załatwiać we własnym lub przynajmniej zamkniętym gronie.

– Mam powody przypuszczać, że legenda o Mścicielu Kiszu jest prawdziwa – tłumaczyła Majka. – Nie mogę się z tym udać do przełożonych, bo by mnie nie tylko wyśmiali, ale zdjęli ze sprawy. Starsi plemienia też nie pomogą, zresztą nie wiem, komu ufać. Nikt nie chce apokalipsy, chyba... Ale zdarza się, też u nas, że ktoś uniesie się honorem i będzie życzył śmierci wszystkim gringo...

– Chwila, Eme... nie tak szybko – przerwał jej nagrany głos Wawelskiego. – Ale dlaczego Polska? Co my zrobiliśmy twoim przodkom?

– Według podań, drogę przez Atlantyk znalazł polski nawigator, zwany Janem Kolnusem – odparła agentka. – Nie pytajcie dlaczego to takie ważne dla dzieci

Rachki. Ale ze strategicznego punktu widzenia to nie jest głupie. Polska jest w strefie Schengen, a nie ma sprawnych procedur epidemiologicznych. Nieważne, słuchaj, oni dysponują próbkami wirusa, przynajmniej tak wynika z sekcji zwłok dwóch naszych agentów. Nieznany szczep, ale przenosi się z wodą...

– Dobra, już wierzę – powiedział Zygmunt. – Ale jaki mamy plan? Musimy unieszkodliwić zamachowców i zdobyć czyste próbki wirusa? – Spojrzał na cierpiącą Celestynę, a ta pokiwała głową. – Tunele?

– Nie – zaprzeczyła Agnieszka. – Mają strażę. Może chodźmy po lodzie...

– Broń. Ile mamy broni?

– Jeden sprawny Fal i mojego mausera – zameldowała Sekmet. Niepewnie spojrzała na chaszcze wokoło. – Dużo leszczynowych kijów.

– Czy zdajecie sobie sprawę z istnienia takiej instytucji, którą w szerokim świecie zwą policją? – zapytała słabym głosem Celestyna. Wyrwała siostrze telefon z dłoni, tylko po to, aby zauważyć komunikat o awarii sieci. – Aha... No to chodźmy po lodzie. Ci wojownicy nie będą się spodziewać tak głupiego posunięcia.

– Jest nas piątka... – westchnął Zygmunt. Wtedy jednak usłyszał trzask gałęzi od strony Trasy Łazienkowskiej. – Choć może nieco więcej.

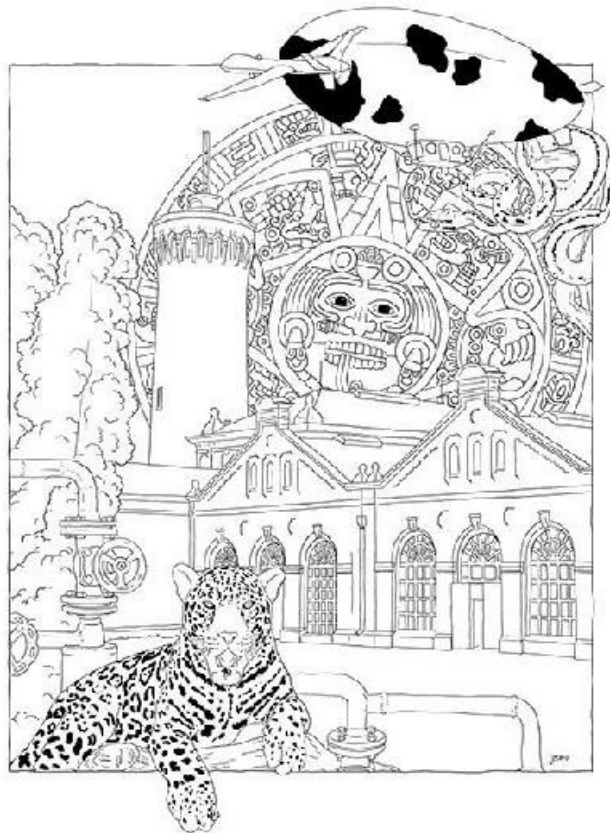
– Jest ogień, jest impreza! – krzyknął pierwszy z saskich żuli.

* * *

Ominęli formalności, przysięgę przyjęli w formie bardzo skróconej, nie targowali się o żołąd – po obietnicy wydania litra spirytusu na głowę, cała szóstka wesołych kłozardów z chęcią dołączyła do Warszawskiej Milicji Specjalnej (nazwę zaproponowała lekkomyślnie Sekmet, nie do końca świadoma lokalnych konotacji słowa milicja). Jerzy i Zygmunt strugali rekrutom włócznie, a Celestyna dokonywała oględzin lekarskich. Oprócz przypadłości typowych dla niezależnych kiprów win owocowych, sześciu mieszkańców nadwiślańskich chaszczy było zdrowych.

– No tak! – potwierdziła przyszła lekarka. – Nie mogli się zarazić, skoro nie pili wody z rurociągu. Zresztą chyba ostatnio w ogóle wody nie pili ... – dodała, patrząc na krążącą wśród nowych milicjantów butelkę jabłkowego aperitif.

I to złożenie losu bardzo się obrońcom Warszawy przydało – nie dość, że mieli do dyspozycji zdrowego rekruta, to jeszcze otrzymane po „Rajskim Jabłku” tulipany nadawały się na ostrza włócznie. No w każdym razie nadawały się najlepiej z dostępnych im materiałów. A rekruci okazali się bardzo chętni i przejawiali wysokie morale. Tak wysokie, że nie pytali, czemu ich dowódcy chodzą w gumowych skafandrach, a leżący obok na śniegu hełm jest przepalony. Gdy śnieżne popołudnie przestało już udawać dzień, ruszyli.



Na przedzie szła Sekmet, choć zarówno Zygmunt, jak i Jerzy chcieli prowadzić. Ale prawda była brutalna. Nieśmiertelna księżniczka mogła sobie pozwolić zarówno na spotkanie z ołowianym rojem (jeśli terroryści byli przygotowani), jak i kąpiel w Wiśle (jeśli rzeczny lód nie był przygotowany). Potem kroczyła Agnieszka, zmysłami Czującej badając teren i wewnątrz filtrów. Za nimi maszerował Wawelski, celując z karabinu. Pochód zamykał Zygmunt, prowadząc Celestynę. No i był jeszcze oddział drugi, ten ochotniczy, ale kloszardzi mieli przede wszystkim udawać groźną siłę bojową.

Lód został wzmocniony dyskretnym zaklęciem Agnieszki, ale Czująca odradzała skakanie oraz strzelanie pod nogi. Szli w linii, aby prowadząca Egipcjanka sprawdzała bezpieczną ścieżkę. Gruba Kaśka trwała w ciszy, łopocząc tylko majską flagą z masztu. Tak, porywacze byli na tyle inteligentni, aby nie spodziewać się ataku od najniebezpieczniejszej strony.

– Tak sobie myślę... – szeptała Celestyna – że to jest bez sensu. Jak oni przechowali wirusa przez pięćset lat? Przecież nie mieli do dyspozycji chłodzi...

– Może mieli... – odparł niepewnie detektyw. Właśnie zdał sobie sprawę, że zaangażowanie obywateli było całkiem realne. Według Sekmet, przedpotopowa cywilizacja posiadała kolonie w Mezoameryce i to z jej resztek powstały

starożytne imperia. Jeśli majowscy mściciele odkryli technologię Nodyjczyków... – Ale nie przejmuj się tym. Zabezpieczany próbkę i jedziemy do laboratorium na Szaserów.

Nie zgubił ich nadmiar ostrożności (nie byli ostrożni) czy nieporadność (szli jak stado słoni, ale nie miało to wpływu na naszą historię), ale nałóg młodszego pazura Ikana Malikse. Pisząc wprost, wojownik wyszedł na papierosa, bo nadzorowanie końca świata było zajęciem bardzo stresującym. Wdrapał się na taras wokół centralnej pompy, zapalił obrzydliwego, bo wyprodukowanego przez gringo fajka, zaciągnął się dwa razy, po czym znieruchomiał. I myślał intensywnie, nie wiedząc, czy widzi prawdę, czy majak. Oto tuż pod słupem filtrowni stała grupka jedenastu obdartusów z kijami, zastygła tak jak on, chyba wznosząca modły do Boga gringo, aby strażnik dostał przypadkiem zawału serca. Ale Ikan przewyciężył paraliż woli i sięgnął po alarmową piszczalkę. Właściwie mógł wywołać Jaguara przez radio, ale z jakiegoś powodu wybrał tradycyjny sposób komunikacji. To zapewne uratowało milicji życie.

Zygmunt wziął zamach i cisnął włócznią. Powtórzmy, cisnął włócznią, nie oszczepem bądź dziirytem. Broń nie była przystosowana do rzucania, a właściwie nie była przystosowana do niczego, jako dziecko leszczynowego kija i butelki po winie. Było ciemno, wiał wiatr, a detektyw nigdy nie ciskał dobrze, nawet przewidywalnymi balistycznie rzutkami. Dlatego broń nie sięgnęła szerokiej (bo w puchową kurtkę zamkniętej) piersi wojownika, a zaryła w śnieżny nawis na daszku, dwa metry powyżej. Potem zrobiło się białe i zanim Ikan strzepnął z siebie zimną masę, z pomocą Jerzego i wodza żuli, Sekmet wspięła się na taras, dopadła do terrorysty i fachowo go obezwładniła. Dzięki tłumiacemu niemal wszystkie dźwięki śniegowi, nie wzbudzili alarmu w środku filtrowni. Jednak, postępując po rycersku, rozpoczęli szturm bez żadnego planu.

Wiedzieli, że napastników było sześciu (pierwotnie siedmiu, licząc związanego izolacyjną taśmą Ikana), ale już rozmieszczenia terrorystów Agnieszka nie była pewna. Kierunki i wektory ruchu niewiele warszawiakom pomagały, jako że bardzo mgliście znali układ pomieszczeń centrali. Na szczęście, aż czterech było obecnych przy głównej pompie, zajętych obsługą silnika i próbą zrozumienia instrukcji (tylko jeden z nich znał jako tako rosyjski, żaden polskiego, a tylko w tych narzeczach znaleźli materiały). Na nieszczęście wszyscy mieli broń maszynową.

Mimo zapewnionej magią starego państwa nieśmiertelności, Sekmet nie lubiła spotykać się z kulami. Na szczęście nie miała czasu, aby przemyśleć swoje działanie i z poziomu tarasu skoczyła w dół okrągłej sterowni, paląc ze swojego mausera. Trafiała jednego z napastników w bark i udo, drugiego zmusiła do padnięcia za kontrolkę. Pozostała dwójka odpowiedziała ogniem tłumionych ingramów. Tylko jedna ciężka kula musnęła bok księżniczki, druga zerwała bezużyteczną już butlę tlenową z pleców Wawelskiego.

– Psssss... – powiedział żałośnie zbiornik powietrza.

– Brzdęk! – odparła szyba tarasu.

Niestety pozostałe kule pomknęły dalej, a po minięciu skulonych na

metalowym rusztowaniu milicjantów specjalnych pozbawiły filtrownię osłony przed zimową nocą. Przez pęknięte okna wdarł się śnieg, a nienawykły do strzelanin Zygmunt uznał to za odpowiednią chwilę do szarży. Jerzy leżał pod ogniem nieraz i jako doświadczony awanturnik tylko wychylił karabin za krawędź, by posłać ślepą serię. Agnieszka zbierała moc na zakłęcie, Celestyna wymiotowała, a lumpenbojówkarze chłonęli spektakl z rosnącym zachwytem. W ten sposób detektyw ruszył sam.

Spadł bardzo źle, za to na chowającego się przy konsoli napastnika, podwyższając wynik spotkania na trzy do zera dla gospodarzy. Pozostałych dwóch Majów odpowiedziało ogniem, na szczęście Sekmet była już gotowa. Wystrzelała magazynek do końca, potem skoczyła na bliższego z przeciwników, szczepiając się z nim w śmiertelnym uścisku. Pamiętajmy, że magia Egiptu chroniła księżniczkę od śmierci, ale nie zapewniała siły większej niż moc ważącego dobre sto kilogramów Indianina. Na jej korzyść działał efekt zaskoczenia i grozy, bo nawet drobna niewiasta w kombinezonie chemicznym Ludowego Wojska Polskiego wygląda przerażająco.

Zygmunt pchnął ostatniego przeciwnika włócznią, spudłował, a przymocowany tylko taśmą izolacyjną tulipan podjął decyzję o zsunięciu się z drzewca. Nim jednak terrorysta zdążył zastrzelić pechowego piechura, druga seria (tym razem już wymierzona) z karabinu Wawelskiego sięgnęła celu. Wietrzyk dopadł do ранego terrorysty, wyrwał mu pistolet, akurat na czas, aby usłyszeć jęk żony.

– Puść ją! – wrzasnął. Potem przypomniał sobie, że wróg może nie znać polskiego, a on naukę hiszpańskiego zakończył na lekturze etykiet winnych. – Carramba! – krzyknął, licząc, że intonacja odda jego zamiary.

Napastnik był na tyle zdumiony, że spojrzał ku Zygmuntowi, puszcając na sekundę Sekmet. Z dźwięku, który biedak wydał zaraz potem, detektyw wywnioskował, że jego żona wykorzystała tę szansę w najlepszy z możliwych sposobów. Wawelski skoczył z tarasu na ugodzonego w słabiznę Maja, ale ten zdołał się odturlać i zniknąć za krawędzią wjazdu. Ktoś z tuneli technicznych chwycił towarzysza i zatrzasnął klapę.

– Straty! – zawołała Sekmet słabym głosem.

– Głównie moralne – odparł Jerzy. – Ej, wy tam, możecie złączyć – zwrócił się do leżących na rusztowaniu lumpów. – Do roboty, zabezpieczyć wejścia!

Wawelski i nowi rekruci zajęli się zatarasowaniem dwóch wjazdów i prowadzących do tuneli serwisowych schodów. Zygmunt wdrapał się na rusztowanie, upewnił się, że Agnieszka zejdzie sama, po czym sprowadził na dół Celestynę. Potem zabrakło mu już pomysłów, bo przecież uratowali świat, no nie? Niestety, zagubiony wyraz twarzy Sekmet nie potwierdzał tego sądu. Księżniczka stała przed cylindrycznym urządzeniem podłączonym do zbiornika ciśnieniowego.

– To jest technologia nodyjska – wskazała na niewielki zbiorniczek – ale to... wygląda na ruską hydraulikę. Jakies pomysły? – zapytała dość rozpaczliwie.

Dozownik zarazków przypominał saturator wody sodowej i faktycznie prócz

litrowego termosu, pokrytego nieznanym Zygmuntovi alfabetem, stanowił zwykły układ wtryskowy. Detektyw, księżniczka, Czująca, archeolog, nie mówiąc już o ledwie przytomnej studentce medycyny, nie mieli pojęcia, jak rozłączyć te dwa mechanizmy, nie powodując pandemii.

– Ale jak rozlejemy trochę, to nic się nie stanie? – zapytał z nadzieją Wietrzyk. – To tylko grypa żołądkowa, tak?

– Nie grypa, tylko gastroenteritis! – poprawiła Celestyna. – No, jak się nie rozleje na dół, to chyba będzie dobrze. – Jej towarzysze odetchnęli. – Od drobinek w powietrzu zginiemy tylko my.

Ciszę, która zapadła potem przerywało tylko wycie wiatru w stłuczonych oknach. Zygmunt spojrział na towarzyszy, a ci powoli kiwali głowami. „Mogę odesłać ich wszystkich, a potem zginać bohatersko – pomyślał detektyw – ale to bez sensu, bo czarną robotę może wykonać Sekmet, nie ryzykując niczym”. Cóż, koniec świata zapowiadał się znacznie mniej epicko w rzeczywistości niż w wyobrażeniach Zygmunta. Wtedy jednak do mechanizmu podszedł jeden z brodatych rekrutów, zwany Rurką. Jak się okazało, był zwany Rurką nie dla hecy.

– No, a w czym problem? Zakręcimy zawory od zbiornika z powietrzem, a butelkę z tym cholerstwem obłożymy śniegiem, aż zamarznie. Albo znajdziemy tu jakiś ciekły azot, powinni mieć. – Widząc zdumione spojrzenia pozostałych milicjantów. – No, Rurka jestem. Mariusz Bracki, hydraulik rencista.

– Agnes, Celestyno, zajmijcie się tym – poleciła Sekmet. – My upolujemy szefa tego cyrku.

– Czekaj – odparła Czująca. – To nie takie proste. Ten Jaguar ma na sobie tatuaże... bardzo stare wzory. Nie trafi go żadna kula.

– Czyli preferujemy starcie bezpośrednie? – zapytał Jerzy, sięgając po metrowy fragment gazurki.

– Nie wiem. To jakieś pole statyczne. Nie będzie łatwo.

– Wy martwcie się wirusem – powtórzyła Sekmet. – Naszego gościa zostawcie mnie. – Na szczęście nie znali jej dość długo, aby wyczuć w jej głosie strach. Księżniczka stawała naprzeciw setek różnych wrogów, ale z magią obywateli miała do czynienia po raz pierwszy. No chyba, że liczyć starcie z nodyjską mumią na wiślanej plaży, acz wtedy nasi bohaterowie mieli do dyspozycji transporter opancerzony.

Ale Sekmet nie dane było przestraszyć się na dobre, bo Jaguar i ostatni wojownik dzieci zaatakowali. Jedna z klap serwisowych podskoczyła, odrzucając zarówno blokującą ją butlę z acetylenem, jak i ciągnącą ją pijaka. Przez powstałą w ten sposób szparę, do centrali wpadły cztery granaty dymne, błyskawicznie wypełniając pomieszczenie żrącymi oparami. Zygmunt spróbował pocieszyć się tym, że ograniczona widoczność będzie przeszkadzać zarówno warszawiakom, jak i Majom, ale potem wspomniał, że najbardziej przeszkodzi ledwie trzeźwemu hydraulikowi, po omacku rozbierającego bombę biologiczną.

Dlatego rzucił się ku włazowi, kopiąc i cudem trafiając jeden z granatów. Było to posunięcie prawie rozsądne, ale to prawie czyniło znaczną różnicę. Wawelski

skoczył przed siebie i machnął gazrurką, ku spodziewanemu wrogowi. „Ugh!” – pomyślał trafiony w nerkę Zygmunt, po czym padł na podłogę. Obrońcy Warszawy działali bardzo honorowo, bo już w pierwszych sekundach starcia pozbyli się przewagi liczebnej.

– Poddajcie się! – odezwał się spośród dymów głos. – Wasz opór jest bezcelowy.

Wróg mówił po angielsku z dziwnym akcentem, ale wyraźnie. Na tyle wyraźnie, aby lokalizować go w niewielkim pomieszczeniu. Sekmet nie zaryzykowała strzału, zaryzykował za to Jerzy, który wiedział już, że Zygmunt leży na podłodze. Kule z ostatniego magazynka karabinu pomknęły ku źródłu dźwięku. Rozległ się jakiś jęk, ale nie pasował do chronionego bluźnierczą magią herosa upadłego imperium i Wawelski uznał, że kropnął praktykanta.

– Myślicie, że nam przeszkodzicie? – zawył napastnik, z początku groźnie, ale ostatnia sylaba krzyku ześlizgnęła się od wściekłości do prawdziwej obawy.

Sekmet rozumiała, co to znaczy. Wskoczyła zza kontrolki i pięknym ślizgiem dopadła do ciała pechowego młodzika. Z szybkością godną pustynnego sokoła zaczęła przeszukiwać kieszenie kamizelki rannego. Fiolkę znalazła natychmiast i mimo gryzącego oczy dymu, poznała podpis. W jednej dłoni ścisnęła zdobycz, w drugą chwyciła ingrama i odturlała się od ciała. Ciało, bo Jaguar uznał, że jego towarzysz jest na tyle wysoko ubezpieczony, że może spróbować obejść przepisy BHP. Dwie kule trafiły terrorystę stażystę, jedna musnęła udo Sekmet, pozostałe dziesięć odbiło się od podłogi.

– Tak, to jest kosiarz – potwierdził Jaguar. – To on was wykończy. Epidemia grypy żołądkowej tylko osłabia waszą odporność.

– To jest gastroenteritis! – krzyknęła z góry Celestyna i jakby na poparcie swojej tezy, zrzuciła w gęsty dym wymontowaną z dozownika butlę z powietrzem.

Jaguar nie osłonił się nawet. Sekmet widziała zarys wojownika i przedmiot odbijający się od niewidzialnej osłony. Tatuaze działały, co nie wróżyło najlepiej losowi warszawiaków. Bardziej z obowiązku niż z rozsądku, księżniczka wypaliła resztę magazynka ku terrorystom. Kule bezradnie odbijały się od kinetycznej bańki wokół mężczyzny. Walka z nim nie miała sensu.

– Agnes! Lodówka! – krzyknęła Sekmet i szepcząc wszystkie znane sobie modlitwy na raz, podrzuciła śmiertelny flakon.

Szara złapała butelkę, ale kolejna ślepa seria Jaguara nie ominęła jej. Zabłąkana kula boleśnie zadrapała ramię, a blondynka tylko z najwyższym trudem nie wypuściła z ręki artefaktu. Ból zatykał jej umysł; nie była w stanie rzucić nawet najprostszego zaklęcia. Na szczęście Mario czuwał. Złapał zbiorniczek, sprawnym ruchem wrzucił go do zbiornika kontrolnego górnego filtra, po czym chlusnął tam ponad litr ciekłego azotu. Dziesięciolitrowy rezerwuuar zmienił się w bryłę lodu, na dobre więżąc próbkę wirusa. Dla porządku dodajmy, że gdyby starożytny pojemnik nie był wykonany z kosmicznie wytrzymałych materiałów, a powiedzmy z aluminium, pękłby pod naporem krzepnącej wody. Ale Rurkę będziemy rozliczać tylko z rezultatów.

Jerzy zeskoczył na Jaguara z rusztowania. Nie mógł oszukać potężnego zaklęcia, ale i nie zamierzał. Chwycił kinetyczny bąbel, jak niemowlak obejmuje

piłkę plażową i pozwolił prawom fizyki dokonać reszty. Magiczna bańka zaczęła się turlać, a wściekły wojownik stracił równowagę. Zapewne stoczyliby się schodami w dół, do kanałów, ale na przeszkodzie stanął im wciąż leżący na podłodze Zygmunt. Majska piłka zmieniła kierunek i dotarła do ściany. Sekmet chciała wydać stosowane komendy kloszardom, ale oni dobrze wiedzieli, co należy zrobić.

– Zginiecie wszyscy! – krzyczał oszołomiony Jaguar. – Kosiarz was zabije! To będzie zemsta za Jana z Kolna i wszystkich obcych, którzy pokalali naszą ziemię! – Sześć par rąk kloszardów oraz Jerzego złapało obrzeża bańki. Noszenie pola kinetycznego nie było łatwe, ale znajdźcie mi dwanaście punktów podparcia, a podniosę Maja. Sekmet dopadła do drzwi technicznych, kilkoma uderzeniami pistoletu zdarła plombę i otworzyła przejście na zewnątrz. – Nic mi nie zrobicie! Chroni mnie magia Nod! Wykorzystaliśmy wiedzę Nodyjczyków, aby zbudować imperium, i tak wykorzystamy waszą technikę, aby zaspokoić zemstę Rachki! – krzyczał wojownik, gdy warszawiacy przerzucali go przez barierkę. – Myślicie, że się boję? Nawet nie dotknę wody! – wołał Jaguar, spadając.

– I właśnie w tym tkwi twój problem – zauważył Wawelski.

Otoczony magicznym pancerzem wojownik uderzył o taflę lodu, przebił ją i zanurzył się w Wiśle. Po kilku sekundach Jaguar wrócił na powierzchnię – osłona faktycznie nie przepuszczała wody, stając się pływakiem o znacznej wyporności. Maj bezradnie miotał się w czarodziejskim pancerzu, nie mogąc znaleźć żadnego punktu podparcia.

– I co teraz? – zapytała Sekmet. – Przecież czar będzie działał tak długo, jak otacza go wrogie środowisko.

– Odeślemy go do Meksyku, niech się porucznik Taczani głowi – odparł Wawelski. – A w drodze powinien być spokojny. Zostało nam jeszcze trochę azotu.

Zygmunt dopadł do Agnieszki, aby upewnić się, że rana nie zagraża jej życiu. Potem wdrapał się na górę, aby znaleźć Celestynę w zdrowiu niegorszym niż godzinę wcześniej. Trzymała w prawej dłoni zmrożony zbiornik, a lewą próbowała połączyć się z laboratorium na Szaserów. Spojrzała na byłego chłopaka.

– Nieźle się sprawiłeś – uznała. – Można nawet powiedzieć, że uratowałeś świat. Gdybyś nie był żonaty, pozwoliłabym ci się teraz pocałować – zapewniła, po czym poddała się kolejnej torsji.

W filtrowni nie było ciepło. Wybite okna, wyważone drzwi serwisowe oraz zabawy z ciekłym azotem spowodowały, że temperatura w środku nie odbiegała zbyt od tej na zewnątrz. Ale obrońcy Warszawy nie mogli próżnować. Sekmet pilnowała więźnia, Celestyna usiłowała pomóc czwórce wciąż żywych napastników, a Jerzy dobrał się do przyniesionego przez Majów komputera.

– Bomba! – krzyknął, a kiedy stojący obok Zygmunt padł na podłogę, wyjaśnił: – No, ten komputer. Shakowali miejski system drogowy, stąd mieli dostęp do stron. Jeszcze jedna działa. Nie przebijemy się do żadnego laboratorium, drogi są zakorkowane, ale możemy podwiesić próbki kosiarza od grypy żołądkowej pod

Barracudę.

– To jest gastroenteritis! – krzyknęła Celestyna. – Ale pomysł jest niezły, tylko dajcie mi jakąś kartkę. Muszę napisać im instrukcję.

– Czyli przeżyjemy? – zapytał nieśmiało Rurka.

– Na to wygląda.

– Musimy to oblać! – stwierdził hydraulik rencista.

* * *

Ponieważ na Szaserów dyżury pełnili stażyści i ściągani pokątnie studenci, laboratorium poradziło sobie nadspodziewanie dobrze. W ciągu sześciu godzin stworzyli prowizoryczną szczepionkę na szesnastowieczny wirus układu pokarmowego, a butelkę z kosiarzem zabezpieczyli w magazynie. Jeśli kolejny dyrektor administracyjny nie pomyli się przy inwentaryzacji, ludzkość przetrwa. Wszystkie szpitale były zapchane, więc drobne urazy nasi bohaterowie postanowili leczyć w domu, pod czujnym, acz zmęczonym okiem Celestyny. To dobrze, bo nawet zapracowany chirurg z państwowego szpitala mógłby zadawać kłopotliwe pytania o źródło ran postrzałowych.

Porucznik Eme Taczani przybyła do Polski już w niedzielę, zamiarem przejęcia kłopotliwych więźniów i spędzenia wigilii u Jerzego. Jednak sprawami służbowymi zajęła się wcześniej. Przybyła do ambasady Meksyku w Alejach Jerozolimskich, cicho, acz brzydko zakłęta, widząc ponad dwumetrowej średnicy kulę lodu na trawniku przed urzędem. Na szczęście chwilę później wyłodzony i wychłodzony wojownik zwany Jaguarem stracił przytomność, więc Eme i Jerzy mogli zaprząć pracowników ambasady do rozkucia lodowego więzienia oraz rozpocząć poszukiwania salonu kosmetycznego, który zdjąłby ogromny tatuaż w niedzielę przed świętami.

Gdy dwudziestego ósmego Eme odlatywała z więźniami do ojczyzny, na lotnisku żegnali ją Celestyna i Jerzy, będący w najlepszym stanie spośród Warszawskiej Milicji Specjalnej.

– No, było blisko – uznał Wawelski.

– Nie wierzę w to, co się stało – potwierdziła przyszła lekarka.

– Dziękuję wam i jako Ziemiańska, która lubi życie, i jako potomkini Majów – powiedziała. – Tylko niektórych spośród naszego ludu dręczy pragnienie zemsty. Prawdziwi spadkobiercy Rachki nie patrzą w przeszłość, ale przyszłość. A właśnie, Jurek, może wpadniesz do mnie na wiosnę. Te wykopaliska, o których ci mówiłam...

A kwadrans później Eme siedziała już w samolocie łącznikowym meksykańskiego rządu. Czterech więźniów skuto w tylnym przedziale i powierzono agentom CISEN-u, ale Jaguara posadziła przy sobie, w salonce. Patrzyła na dumnego, ale złamanego klęską wojownika i mówiła do niego w języku przodków. Zajmujący krzesło obok major Paxiano nie rozumiał ani słowa. A szkoda.

– Głupi, głupi, głupi! Prawie wywołaliście pandemię. I na co wam to? Zemsta to

pragnienie słabego. Silny szuka sposobów na zdobycie władzy. Bo prawdziwi spadkobiercy Rachki są silni. Kiedy odkopimy resztę pamiątek po niemych ojcach, Moczo Cuhuo znów powstanie!

XII. LEGENDA O TRZECH RANGERACH (*BONUS TRACK*)

Trzech dzielnych mężów z Drugiego Batalionu Rangers poszło na Wojnę Europejską, ale do rodzinnej Alabamy nie wrócił żaden. Historii o ich walecznych czynach nie znajdziecie w podręcznikach historii, nie usłyszycie na wykładach, nie obejrzycie na filmach. Nic zresztą dziwnego – żaden pisarz, żaden historyk, nawet żaden reżyser nie uwierzy, że ich przygody były prawdziwe. Posłuchajcie więc tej legendy, którą znają tylko zbocza Doliny Renu.

30 marca 1945, Dolina Renu, 12 kilometrów na południe od Bonn

Wiosna w Dolinie Renu była zaiste olśniewająca jeszcze tydzień wcześniej, przed ostrzałem Rejonu Bonn-Bad Honnef. Po spotkaniu z tysiącami pocisków kalibru sto pięćdziesiąt pięć milimetrów zielone lasy i winnice wschodniego brzegu dopalały się z wolna, wznosząc ku niebu warkocze dymu. Dwunasta Armia przerzuciła przeprawę pontonową pod Königswinter i do pilnowania mostu przed atakami dywersantów wyznaczono żołnierzy w stanie „drugiej gotowości”. Byli to głównie ranni lub zmęczeni długotrwałym przebywaniem na pierwszej linii wojacy, ale także notoryczni dekownicy, korumpujący lekarzy i Korpus Uzupełnień, aby otrzymać przydział w bezpiecznej strefie. Johary B. Daves, John Phillis i Simon Sosnov mieli już dość wojny. Podczas desantu w Normandii wyczerpali cały zasób heroizmu oraz patriotyzmu i od tego czasu mijali działania bojowe w rozsądnej odległości. Johary i Simon byli faktycznie ranni, John ukradł nieprzytomnemu czołgście kartę pacjenta i dzięki temu skierowano ich do pilnowania przeprawy pontonowej. Zadanie było pozbawione strategicznego sensu. Niemców odepchnięto daleko na południowy wschód, a pogłoski o fanatycznych wojownikach Werwofu pozostały jedynie pogłoskami. Trzech wojaków zameldowało się u dowódcy – odważnego i zdecydowanego kapitana saperów, który pod ostrzałem przepłynął przez Ren, zyskując tym nieśmiertelną sławę i tracąc dwa palce oraz sprawność lewego ucha. Niedawny wojownik i tak zachował sporo stanowczości, jak na człowieka wciąż odurzanego silnym znieczuleniem. Kapitan zdołał nawet wyznaczyć trzem dekownikom odpowiednie posterunki, ale już nie dopilnował, aby chorzy z urojenia znajdowali się na nich w nocy z trzydziestego na trzydziestego pierwszego marca.

A Daves, Phillis i Sosnov potraktowali obowiązek wartowniczy dość luźno. Na dobry początek wieczoru rozszabrowali piwniczkę z winami. Następnie rozpalili ognisko na stoku Siebengebirge i rozpoczęli degustację poprzedniego rocznika rieslinga. Szybko rozpoczęły się historie o duchach i smokach. Pamiętajcie dzieci, że w latach czterdziestych nie było jeszcze internetu i sieciowych encyklopedii. Dekownicy szybko odkryli, że nie znają żadnej kompletnej historii, zaczęli więc mieszać różne, w czym wydatnie pomagało wino. Wreszcie Daves przywołał zasłyszane fragmenty Pieśni o Nibelungach.

– No... smok tu był! – oznajmił szeregowy. – Na tej górze. Zygfyrd, ten od pierścienia, go ubił i wypił jego krew. Smoka, nie pierścienia – dodał żołnierz, niepewnym jasności swoich wywodów.

– No to już nie ma smoka! – odparł Phillis. – Bo kto umarł, ten nie żyje!

– Może miał brata? – zapytał Sosnov.

– To tego brata my możemy zabić i ułożą o nas operę! – radośnie skostatował Daves. – Pomyślimy o tym panowie, ale teraz idę za potrzebą.

Szeregowy wstał i ruszył w głąb przerzedzonego lasu. Chadzanie tamtędy po ciemku, zwłaszcza w objęciach Dionizosa, nie było rozsądne – na stokach Góry

Zygryda zalegały tysiące niemieckich min oraz amerykańskich niewybuchów. Ale dobre duchy Renu prowadziły Johary'ego, niestety, w złe miejsce. Jako człek kulturalny, szeregowy zdecydował, że nie ulży sobie w lesie, ale wejdzie do niewielkiej jaskini na skalnym zboczu.

Friednir, młodszy brat Fafnira, nie spał już tak głęboko. Niedawny ostrzał obudził smoka, ale też nie zmusił do żadnego działania. Magiczny jaszczur leżał spokojnie, zwinięty w kłębek i zastanawiał się, co tak ważnego mogło się wydarzyć przez ostatnie osiem wieków. Jednak w pewnej chwili poczuł ukłucie niepokoju – ktoś wdierał się do jego kryjówki. Jamy smoków są niemal zawsze obłożone potężnym czarem maskowania, więc Friednir zrozumiał, że idzie ku niemu potężny mag albo rycerz, wyposażony w silny amulet. Nie wziął po uwagę wariantu, w którym szeregowy Johary B. Daves trafił do jamy przypadkiem i był zbyt pijany, aby urok odniósł na nim jakikolwiek skutek.

Kiedy żołnierz dotarł do ściany, Friednir zareagował tak, jak trzy tysiące lat temu nauczyła go matka. Jeśli mag pcha się do ciebie bez ostrzeżenia, pokonaj go, aby on cię nie zabił. Jaszczur nie chciał robić krzywdy intruzowi, raczej dowiedzieć się, czemu zawdzięcza tę nieproszoną wizytę. Liczył jednak, że odważny smokobójca będzie zabezpieczony poważną magią albo przynajmniej nosił zbroję. Dlatego cios mający tylko ogłuszyć natręta, złamał niemal wszystkie kości żołnierza i pozbawił go życia. Zdumiony smok powąchał zwłoki i poczuł coś na kształt wyrzutów sumienia.

Zanim Johary wydal ostatnie tchnienia, zdołał jeszcze krzyknąć żałościwie, co dotarło do co najmniej jednego uszu. John Phillis wstał gwałtownie i spojrzał w kierunku zbrojaka. Dźwięk już zamilkł, ale dzwonił dekonnikowi w uszach. Szeregowy bezradnie spojrzał na Sosnova.

– Słyszałeś? To Daves! Smok dorwał Johary'ego!

– Jak dla mnie, to była sowa – odparł Simon. – Ale jak chcesz, dopiję i możemy go poszukać.

Podniósł butelkę zeszłorocznego rieslinga i wzniósł ją w niemym toastie. John poczuł wściekłość i żądzę działania. Sosnov mógł chlać do końca świata, ale on, rycerz z Alabamy, musiał uratować kumpla, zabić smoka i stać się bohaterem opery. Chwycił leżącą przy ogniu bazookę i ruszył – jak mu się wydawało – po śladach kolegi. Zdecydowanie odgoniło to z umysłu alkoholową mgiełkę i czar ukrycia natychmiast zadziałał. Przez kolejne pięć minut żołnierz kręcił się po krzakach i kamieniach, niezdolny do zauważania skalnej rozpadliny. A Sosnov zrobił, jak obiecał – dokończył butelkę i wstał.

Jednak przed ocaleniem kamrata postanowił również uczynić za dość naturze. Odruchowo skierował się tą samą ścieżką, co świętej pamięci szeregowy Johary B. Daves, minął zagubionego Phillisa i już dwie minuty później wszedł w tę samą jaskinię, w której zniknął John. Smok kończył akurat oględziny zwłok człowieka i wciąż nie mógł się zdecydować, czy zabił niewinnego przechodnia, czy potężnego maga. Jednak drugi napastnik rozproszył jego wątpliwości. Kolejny intruz nie mógł trafić do jaskini przypadkowo. Był wyszkolonym pogromcą smoków. Friednir zaryczał, jak na magicznego jaszczura przystało, dając

człowiekowi kilka sekund do namysłu. Sosnov wykorzystał je do sięgnięcia za pas i wycelowania colta w ciemny kształt.

– *Hände hoch!* – rzucił pewnie i opróżnił magazynek. Dodajmy, że szeregowy nie był zabójcą patologicznym, a jedynie nieuczonym. Nie wiedział, że to zdanie co najmniej sugeruje zamiar wzięcia do niewoli. Uznawał, że jest to odpowiednio groźny tekst, aby posyłać go rozstrzeliwanym wrogom.

Niestety siedem kul pistoletowych – mimo że jakimś cudem wszystkie trafiły – nie zrobiło na smoku wielkiego wrażenia. Friednir obalił intruza ogonem, a potem sięgnął ku niemu szponiastą łapą i wyrwał z ramienia rękę Sosnova. Szeregowy był zbyt pijany, aby czuć ból, wrzasnął jednak ze zdziwienia, zanim życie wypłynęło z jego tętnic. Tego krzyku Phillis nie mógł już zignorować.

Czar nie działał, jeśli człowiek wiedział dokładnie, gdzie znajduje się ukryta pieczara. John ruszył biegiem, z trudem utrzymując na ramieniu granatnik. Wpadł do jamy, lądując tuż obok ciał swoich kolegów. Zaczął gorączkowo rozglądać się w grocie, ale przez długi czas nie rozumiał, na co patrzy. To dało Friednirowi nieco czasu na ostrzeżenie trzeciego maga.

– Po coś tu przyszedł śmiertelniku? – zapytał żałośnie. – Mój czas się skończył, chciałem tylko spać. A wy dudniliście siarkowymi pociskami po całej górze, krusząc skały i sny mojego rodzaju. – Ogonem dotknął ciała Davesa i w jednej sekundzie przechwycił wspomnienia żołnierza. Milczał dłuższą chwilę, analizując zdobytą w magiczny sposób wiedzę, a Phillis szukał po kieszeniach latarki. – Biedni ludzie... – kontynuował gad. – Tyle śmierci. Co za straszna wojna... co za straszny świat. I wam się wydaje, że ja – germański smok – jestem temu winny? Ten horror na powierzchni nie ma wiele wspólnego z Renem, za to dużo ze współczesnością. Za moich czasów podobne masakry były niemożliwe. I zupełnie niepotrzebne. Wojnę wywołały mundury, takie, jak nosisz na sobie, umożliwiły bronie, którymi potrafisz strzelać i zaogniły sposoby przekazywania wici, które tak uwielbiasz. Człowiecze, to nie moje czasy. Zostaw mnie i nie wracaj.

A szeregowy wreszcie znalazł latarkę, wcisnął przycisk i skierował krążek światła na pysk potężnego jaszczura. Dodajmy, że Friednir wygłosił swoją mowę w starogórnoniemieckim, pamiętającym czasy bohaterów *Althochdeutsch*, a Phillis nie rozumiał nawet współczesnej niemieczyny. Co prawda, uczono go, jeszcze w Stanach, podstawowych zwrotów („*Hände hoch!*”, „*Hitler Kaput!*” oraz „*Wo ist Schnapps?*”), przydatnych w codzienności walk, ale szeregowy nigdy nie słuchał wykładów zbyt uważnie. Ostatecznie nie pojął ani słowa z wytwornej mowy potwora, za to widok pokrytego zieloną skórą pyska nie przypadł mu do gustu. Krzyknął na całe gardło:

– *Wo ist Schnapps?!* – I odpalił bazookę. Blask pocisku na sekundę oświetlił jaskinię, a fala uderzeniowa omal nie zaważyła sufitu. Ostatecznie sklepienie wytrzymało, tylko John padł na plecy, myśląc że umiera.

Być może wczesne alianckie granaty przeciwpancerne potrafiły przebić ledwo dziesięciocentymetrowy pancierz, ale smocza łuska z pewnością nie była wytrzymalsza od burty czołgu. Ładunek kumulacyjny rozerwał wręcz ramię

stwora, nie dając mu szans na zastosowanie magii obronnej czy czarów leczących. Friednir warknął słabo i upadł na kamienie, tuż obok dwóch martwych rangersów. A Phillis podrapał się za uchem, wstał i wyszedł z groty.

Dla porządku możemy dodać, że wyczerpał zapas szczęścia, przeznaczony na ten wieczór. Schodząc ku rzece najkrótszą drogą, kopnął niewybuchły pocisk kalibru sto pięćdziesiąt pięć milimetrów i podzielił los smoka. Tak zginął rycerz, o którym napisałbym operę, gdybym umiał. A że nie umiem, macie tylko tę krótką bajeczkę.